

A. PILIPIUK

— ZŁY LAS —



fabryka offset

Andrzej Pilipiuk

Światy Pilipiuka Tom 10

Zły Las

Zbiór Opowiadań

Spis Treści

Tajemnica zielonej teczki

Zły las

Rozczochrana kochanka

Zemsta Śmieciarzy

Tajemnica zielonej teczki

A więc znalazłeś swoje miejsce, bracie...

– Jestem obywatelem Związku Socjalistycznych Republik Rad. Członkiem rzeczywistym sowieckiej Akademii Nauk. Profesorem uniwersytetu

w Moskwie. Możemy teraz gadać jak równy z równym. Jak profesor z profesorem. Choć Rosjanie mają takie fajne przysłowie...

– Daruj sobie. Powiedz lepiej, jakie lichy cię tu przyniosło?

– Czasem stajemy wobec zagadek, które nas w oczywisty sposób przerastają. Wobec odwiecznych tajemnic bytu, cywilizacji, kultury. A w życiu warto kierować się jedną podstawową zasadą. Przyłączać się do watahy najsilniejszego drapieżnika. Mam propozycję.

– Taaa...?

– Co powiesz na objęcie katedry w Leningradzie?

– Dobrze sobie! Po co miałbym zamienić życie w wolnym kraju na krwawą satrapię? Dla pieniędzy? Dla sławy? To, co mam, w zupełności mi wystarcza.

– A dla możliwości nieograniczonego dostępu do oryginalnych i unikatowych materiałów?

– Więc chcesz powiedzieć, że ten cały Stalin...

– Wydusił niemal wszystkich, całą starą gwardię. A ja kroilem na jego polecenie tych, którzy już poszli do piachu. Tych, którzy mieli połowę tamtej krwi. I tych, którzy mieli czwartą część.

– Hmm...

– Pozostali nieliczni. Zinowiew i Kamieniew zostali odsunięci od władzy i wykluczeni z szeregów partii bolszewickiej. Nie uwięziono ich jeszcze, ale sprawa jest przesądzona. Bucharin, Radek, Tomski i paru innych też niebawem polecą. Moim zdaniem ich dni są policzone. Przegrali. Stalin odczeka może jeszcze kilka lat, ale wszystkich wytnie równo z ziemią. A wtedy, w drodze do krematorium, wylądują u mnie na stole.

– Jeszcze żywi czy już martwi?

– A jakie to ma znaczenie?

- I do jakich wniosków doszedłeś podczas dotychczasowych badań?
- Do bardzo wielu ściśle tajnych wniosków. Mogę ci tylko powiedzieć, że tutaj, w Warszawie, marnujesz talent, wiedzę, zdolności. Przyłącz się do nas i jedź ze mną do Sowietów. Materiału do badań nam nie zabraknie. Tam jest roboty na długie lata.
- Nie. Nie licz na to. Nigdy.
- Nie musisz przyjmować sowieckiego obywatelstwa. Władze cenią zagranicznych fachowców, niejeden cudzoziemiec na kontraktach u czerwonych zarabia krocie.
- I sądzisz, że gdy krojąc trupy czołowych bolszewików, poznam sekrety, o których wspomniałeś, pozwolą mi ot tak wyjechać?
- A po co w ogóle miałbyś wyjeżdżać? To wielki i piękny kraj.
- Tak czy siak, odmawiam. Badajcie sobie swoje „preparaty” sami. Mnie w zupełności wystarczy moja praca i moje dochody.
- Jak uważasz. Gdybyś jednak zmienił zdanie, pamiętaj, zaproszenie jest aktualne. Wystarczy, że dasz znać, wszystko ci przygotuję.

Warszawa, czerwiec 1932

Tramwaj ze zgrzytem i brzękiem przetoczył się po bliskim torowisku. Krystyna uchyliła okno, przeciąg wydał firankę. Na rozłożystym kasztanowcu rozkwiwały kiście kwiatów. Lato za pasem. Jeszcze tylko ostatnie egzaminy i będzie można... Zagryzła wargi. Spojrzała ze złością na stos podręczników i skryptów akademickich. Niewiele będzie można. Żeby wyrwać się w góry lub nad morze, trzeba mieć pieniądze. Skromna renta po ojcu ledwo starczała na bardzo oszczędne życie. Co więcej, musi poszukać pracy, żeby odłożyć choć parę groszy. W wakacje nie zarobi na

korepetycjach, a czynsz płacić trzeba. No i warto coś na jesień i zimę uciąć.

Dziewczyna liczyła po cichu, że któraś z koleżanek zaprosi ją chociaż na tydzień na prowincję. Fajnie byłoby wyrwać się z dusznego miasta, odetchnąć wiejskim powietrzem, zobaczyć coś ciekawego. Ale nie dostała żadnej propozycji, a nie chciała się napraszać. No cóż, zawsze zostaje rower i weekendowe wycieczki poza Warszawę... Tylko trzeba hamulce naprawić. Włączyła radio i zaraz wyłączyła. „Wesołej lwowskiej fali” posłucha sobie wieczorem. Spojrzała na zegarek. Do wizyty porucznika jeszcze dwadzieścia minut. Wstawiła wodę. Wesołe płomyki gazu polizały spód czajnika.

Pukanie do drzwi rozległo się w chwili, gdy wskazówka minutowa dotknęła kropki na cyferblacie. Dziewczyna przełknęła ślinę i otworzyła.

– Porucznik Henryk Grot – przedstawił się mężczyzna.

Przystojny, ale bez przesady, oceniła dziewczyna.

Był kilka lat od niej starszy. Przyszedł ubrany po cywilnemu, nie założył też krawata, ale w jego postawie była pewna sprężysta sztywność, typowa dla wojskowych. Przeczesał odruchowo dłonią ciemne włosy.

– Krystyna Malinowska. – Podała mu rękę. – Znamy się z widzenia, panie poruczniku, zresztą ojciec kiedyś wspomniał o panu, był pan też na pogrzebie. Proszę, niech pan wejdzie. Kawy czy herbaty?

– Jeśli to nie kłopot, poprosiłbym o herbatę. Kawy było już dziś tyle, że serce skacze mi jak zdychająca żaba.

Miał sympatyczny uśmiech. Zasedli do stolika. Herbata parowała w szklankach. Porucznik rozejrzał się mimowolnie. Mieszkanie było ładne, jasne, przestronne i ciekawie rozplanowane. Na podłodze położono parkiet. Spostrzegł meble z giętego drewna, radio na etażerze, kilka reprodukcji na ścianach. Zawiesił na chwilę wzrok na gobelinie.

– Chciał pan ze mną pomówić.

– Nie chcę zajmować pani cennego czasu. Zakładam, że nie zna pani zbyt

wielu szczegółów pracy swojego ojca?

– Wspominał parokrotnie, że jest zatrudniony w instytucie, ale nie informował mnie nigdy, jaki to instytut ani jak się nazywa. Wiem tylko, że pracował dla wojska, a z wykształcenia był antropologiem i tego też dotyczyła jego praca. Przynosił co jakiś czas do domu czaszki albo odlewy czaszek i nocami dokonywał ich pomiarów.

Mężczyzna poważnie skinął głową.

– Obowiązywała go tajemnica państwowa.

– To mieszkanie – bąknęła – jest służbowe... I ma trzy pokoje. Jak do tej pory wojsko nie upominało się...

– Zapewne zechcą je odzyskać, wielu oficerów w Warszawie narzeka na warunki lokalowe, ale pani jako członkowi Rodziny Wojskowej przysługuje w takim przypadku lokal zastępczy. Pewnie dadzą jakąś kawalerkę. W razie czego proszę dać znać, spróbuję pomóc.

Zagryzła w duchu wargi. Lubiła to mieszkanie. Fakt, że na uczelnię jechała stąd przeszło czterdzieści minut tramwajem, ale przywykła do niego. Tylko że po śmierci ojca w zasadzie nie potrzebowała tak przestronnego lokalu. Jego sypialnia i gabinet i tak stały nieużywane. Może faktycznie lepiej oddać je jakiemuś oficerowi z liczną rodziną, a samej przenieść się do czegoś mniejszego? No i co najważniejsze, mniejsze lokum to znacznie niższy czynsz. Byle tylko dostać takie z centralnym ogrzewaniem.

– Skoro nie przyszedł pan w sprawie mieszkania...

– Przyszedłem, bo mamy pewną propozycję.

– Wy? To znaczy kto konkretnie? – spróbowała uściślić.

– Instytut.

– Czy ten instytut ma jakąś nazwę? – Przekornie przechyliła głowę.

Uśmiechnął się lekko.

– W oficjalnych dokumentach, opatrzonych klauzulą „poufne”, figuruje jako Wojskowy Instytut Kryptozoologii. Nasza instytucja ma też inną, bardziej prawdziwą nazwę, ale ona jest ściśle tajna. Wśród wtajemniczonych mówimy po prostu „instytut” i każdy wie, o co chodzi.

– Kryptozoologia... – smakowała przez chwilę nieznane do tej pory słowo.

– To termin wymyślony pod koniec ubiegłego wieku przez holenderskiego zoologa Anthonie’a Cornelisa Oudemansa. Oznacza gałąź nauki zajmującą się poszukiwaniem dowodów na istnienie nieznanych zwierząt.

– Zaintrygował mnie pan. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Zatem ja też miałabym dla tego instytutu pracować?

Skinął głową i pociągnął łyk herbaty.

– Nie znam się na zoologii. Biologią interesowałam się tylko amatorsko. Nie mam też nic wspólnego z wojskiem. Tyle że skończyłam kurs Wojskowego Przysposobienia Kobiet i drugi w ramach Legii Akademickiej. Umieję strzelać z broni krótkiej i z karabinu.

– I to całkiem przyzwoicie. Widziałem pani wyniki. Ale nasz instytut ma już ochronę w postaci kilku ponurych trepów-weteranów.

– Zatem zapewne potrzebujecie kogoś do sprzątania. Na uniwersytecie pracuję w brygadzie porządkowej. Umieję zmiatać, myć okna i podłogi – podpuszczała go mało finezyjnie, ale denerwowały ją te wszystkie niedopowiedzenia.

– Sprzątaczkę też mamy. Moglibyśmy natomiast zaproponować pani posadę tłumaczki.

– Znam francuski... Jak niemal każda maturzystka w Warszawie.

– Oraz duński. Mieszkała pani z rodzicami w Kopenhadze do trzynastego roku życia. Znajomość tego języka nie jest w Polsce zbyt powszechna.

– Chodziłam do szkoły w Kopenhadze. Władam tym językiem, ale po latach brak mi biegłości, więc nie wiem, jak sobie poradzę z tłumaczeniem na

przykład tekstów zoologicznych, czy też z dziedziny nauk medycznych...

Upiła łyk herbaty.

– Zaproponowalibyśmy pani udział w pewnej ekspedycji naukowej. Tam, gdzie się udamy, znajomość duńskiego bardzo by się przydała. W pewnym sensie podjęłaby pani pracę, którą wykonywał pani świętej pamięci ojciec. Tylko w trochę innym pionie.

– Dlaczego miałabym się na to zgodzić? To, co tajne, zazwyczaj bywa też trudne i niebezpieczne.

– Owszem, instytut to ściśle tajna instytucja, podlegająca bezpośrednio naczelnikowi państwa – ściszył głos. – Oczywiście praca dla podobnej komórki daje pewne korzyści. Pracując dla nas, może pani kontynuować studia, a my zapewniamy nie tylko etat, ale też służbowe mieszkanie, opiekę medyczną i emeryturę w przyszłości.

– A ryzyko?

– Oczywiście zapewniamy też śmiertelne ryzyko. – Jego twarz nawet nie drgnęła.

– Mówi pan poważnie?

– O emeryturze i etacie jak najbardziej. Co do ryzyka jest trudne do oszacowania. Może być różnie. – Westchnął. – Po pierwsze, materia, która się zajmujemy, jest dość specyficzna. Po drugie, musimy liczyć się z ewentualnością, że wywiady innych państw mogą coś przewąchać i zechcieć nas ubiec albo zażądać, byśmy podzielili się z nimi wiedzą. Jeśli zgodzi się pani na udział w naszej małej ekspedycji badawczej... No cóż, nie będę owijał w bawełnę. Tam, dokąd się udajemy, nie będziemy mogli oczekiwać żadnej pomocy. Jeśli przepadniemy, służby będą nas szukać, ale musi się pani liczyć i z ewentualnością, że czeka nas okropna śmierć i bezimienna mogiła daleko od ojczyzny.

Zamilkł.

– Zapewne to wszystko, co może mi pan powiedzieć? – odgadła Krystyna.

– Jeszcze tylko jedno – odparł. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie, najpóźniej pod koniec września powinniśmy być z powrotem w kraju.

– Próbuje mnie pan, ot, tak sobie, zwerbować do pracy w tajnej instytucji? Przecież nic o mnie nie wiecie.

– Daruje pani, wiemy wszystko. – Rozłożył ręce. – Była pani dyskretnie sprawdzana przez ostatnich kilka tygodni. Uważamy, że jest pani odpowiednią osobą.

– Mój stryjek...

– Wiemy. – Ponownie rozłożył dłonie. – No cóż, w najlepszej nawet rodzinie trafia się czasem czarna owca.

– Ładnie pan to ujął. Wedle słów mojego ojca jest renegatem i degeneratem.

– To może lekka przesada. Po prostu gdyby się z panią skontaktował, proszę nas każdorazowo powiadomić.

– Dostanę czas do namysłu?

– Oczywiście. Pięć dni. W poniedziałek zajdę i będę prosił o odpowiedź. Potem czeka panią zaprzysiężenie, szkolenie i tak dalej. To znaczy – poprawił się – na szkolenie nie będzie czasu, wyjaśnimy pani wszystko na pokładzie. Chyba że pani nie zechce, wówczas proszę o wszystkim zapomnieć i tyle.

Gość wyszedł. Pozostała po nim niedopita herbata i kilka okruszków na talerzyku. Krystyna poluzowała aksamitkę pod szyją, przetarła okulary chusteczką, a potem nawinęła na palec kosmyk ciemnych włosów. Długą chwilę siedziała w kuchni, usiłując poskładać w całość to, o czym mówił porucznik. Wreszcie wstała i weszła do gabinetu ojca. Przez te pół roku, które minęło od jego śmierci, nic się tu nie zmieniło. Na biurku leżały te same opasłe tomy zagranicznych publikacji medycznych i antropologicznych. Na grzbietach kilku czerniały swastyki... Ojciec

wspominał, że hitlerowska antropologia stoi na wysokim poziomie. Jej to po nic. Może warto oddać księgozbiór do biblioteki tego całego instytutu? Porucznik przyjdzie raz jeszcze, wtedy go zapyta. Uśmiechnęła się mimowolnie na myśl o wizycie. Sympatyczny człowiek. I z poczuciem humoru. A jeśli będą razem pracować? Ech, z pewnością ma już dziewczynę. Przystojny wojskowy, tacy pewnie nie mogą się opędzić... A ona nawet nie jest ładna.

Podeszła do niewielkiej kasy pancерnej w kącie pokoju. Znała szyfr, jako że ojciec, gdy zaczął poważnie chorować na serce, podał jej kombinację cyfr „na wszelki wypadek”. Jeśli pracował nad jakimiś papierami, zawsze na noc wkładał je do środka. Krystyna nie otwierała sejfu nigdy, przez ostatnie miesiące też stał nietknięty. Dotknęła ebonitowego pokrętki czubkiem palca wskazującego.

– W zasadzie nie powinnam – mruknęła. – Ale chyba mam prawo wiedzieć, w co się pakuję?

Pokręciła, ustawiła po kolei cyfry, a potem pociągnęła dźwignię. Stalowa skrzynia stanęła otworem. Drzwiczki nie były do końca szczelne, dlatego wewnątrz wszystko pokrywała delikatna warstewka kurzu. Na najniższej półce leżały przewiązane zetałą tasiemką pliki listów od matki, pudełeczko z orderem oraz drugie, spięte recepturką. Wyjęła je i zajrzała do środka. Szara tektura kryła w sobie „żelazną rezerwę” – dwie carskie dziesiątki, trochę austro-węgierskich koron i pruskich marek, do tego czterdzieści dolarów, także w złotych monetach. Odłożyła je na miejsce. Rezerwa to rezerwa. Na środkowej półce spoczywały dwie grubachne tekturowe teczki. Najwyższa półka była pusta. Zmarszczyła brwi. Wielokrotnie widziała ojca przy pracy, gdy ślęczał wieczorami, przynosiła mu kawę lub herbatę. Stalowe drzwiczki nie raz były uchylone lub nawet otwarte na oścież. Pamiętała, że na najwyższej półce powinna leżeć jeszcze jedna teczka – jasnozielona. Ale teraz jej nie było. Poczuła nieokreślony niepokój. Ktoś się włamał i ją zabrał? Nie, to bzdura, przecież złodziej raczej połasczyłby się na złoto...

Wyciągnęła teczkę, opatrzoną niezrozumiałą sygnaturą i pieczętką „poufne”. Chyba nad tym ojciec pracował w nocy przed zawałem. Poufne dane tajnej instytucji. Coś, czego nie powinna znać, coś, czego nawet nie powinna mieć w domu. Co grozi za poznanie takich sekretów? Dlaczego instytut się o to nie

upomniał? Nie wiedzieli, że materiały są tutaj? Zawahała się na moment, a potem pociągnęła za sznurek, rozwiązując pedantyczną kokardkę. Wewnątrz zobaczyła dziesiątki kart z brystolu, na każdej naklejone zdjęcie na błyszczącym papierze lub fotografia wycięta z gazety. Wszystkie przedstawiały Lenina. Lenin w ogrodzie, Lenin wśród pionierów, Lenin ze współpracownikami. Każde zdjęcie krótko opisano, określając datę i miejsce wykonania. Przyjrzała się poszczególnym kartom. Na niektórych widać było ślady delikatnych wgłębień obrysowujących kontury głowy, jakby ktoś kopiował je przez kalkę, trochę zbyt mocno dociskając ołówek. Ostatnie fotografie przedstawiały straszliwie wychudzonego wodza rewolucji, zakutanego w pled i siedzącego na wózku inwalidzkim. Na samym dnie teczek były wycinki z ilustrowanej sowieckiej prasy – mumia Lenina spoczywająca w szklanej trumnie.

Zmarszczyła brwi i rozsznurowała tasemkę drugiej, podobnej teczeki. Wewnątrz znalazła zdjęcia kilkunastu popiersi Lenina. Wyglądały na typowy sowiecki wyrób – bolszewickie „dewocjonalia” do ustawiania w urzędach... Ale były też inne, jakby bardziej realistyczne, wykonane z białego gipsu, sfotografowane z wielu ujęć.

„Model 4b, skala 1:1” – głosił podpis.

Na jednej z fotografii obok rzeźby leżały cyrkle i inne przyrządy antropologiczne służące do mierzenia kątów czaszkowych i innych parametrów.

Tata nie mógł osobiście zmierzyć jego czaszki, więc próbował tego dokonać inaczej, za pomocą rzeźby sporządzonej na podstawie fotografii, domyśliła się. Tylko po co? Przecież ten dziad Lenin nie żyje chyba już od dziesięciu lat! Do czego to mogło być tacie potrzebne? Spojrzała w ciemność za oknem. Niemcy pewnie by się ucieszyli, mogąc dowieść, że Lenin był Żydem... Ale dla nas ta informacja jest bez znaczenia.

Włożyła teczeki z powrotem do sejfów i już miała go zamknąć, kiedy jej wzrok padł na najwyższą półkę. Omal nie krzyknęła. Tutaj też zebrał się kurz, ale na cieniutkiej warstewce wyraźnie odcinał się ciemniejszy prostokątny zarys. Zielona teczka najwyraźniej znikła niedawno, może tydzień temu, może miesiąc.

Ktoś jeszcze znał kombinację cyfr, uświadomiła sobie dziewczyna. Widocznie ojciec przekazał klucze od mieszkania i kod komuś zaufanemu, pewnie z tego instytutu. Ale dlaczego nie przyszli po nią oficjalnie? I czy zostawiliby dwie pozostałe teczki? Skoro to i tak ich...

Nie. Teczkę z całą pewnością ktoś skradł. Co w niej było? Zapewne coś ważnego, ważniejszego niż złoto, ważniejszego niż dwa pozostałe pakiety. Poczula zimny dreszcz. Jak złodziej dostał się do mieszkania? Jak sforsował stalowe drzwiczki kasy pancernej?

Przeszła do przedpokoju, podstawiała sobie stółek i sięgnęła do pawlaczka. W pudle znalazła trzy czapki. Puchata kryła rewolwer Nagant z fabryki w Radomiu i pudełko amunicji. Dziewczyna wysunęła bębenek, sprawdziła, czy broń jest nabita. O drzwi wejściowe oparła starą, blaszaną miskę. Jeśli ktoś spróbuje się zakraść, narobi takiego hałasu, że umarłego by obudził, a wtedy ona...

*

Porucznik pojawił się tak samo punktualnie jak poprzednio. Przyniósł kawałek ciasta.

Skąd wie, że lubię szarlotkę? – przeleciało dziewczynie przez głowę. Trafił przypadkiem, a może to mała demonstracja, żeby pokazać, jak dokładnie mnie rozpracowali?

Usiedli przy stole.

– Mam pewną teorię... – zaczęła niepewnie.

– Spędziła pani te pięć dni, usiłując zrozumieć, czym mógł zajmować się pani

ojciec i czego będziemy od pani oczekiwali – uśmiechnął się porucznik.

– Tak. Przejrzałam też dwie teczki, które leżały w jego sejfie. One chyba powinny wrócić do waszego archiwum, prawda?

– Powinny. I do jakich wniosków pani doszła?

– Ostatnio pracował nad problemem ras ludzkich. W zasadzie wszystkie książki w gabinecie dotyczą pomiarów czaszek przedstawicieli rozmaitych ludów pierwotnych. Wspomniał pan, że moja znajomość duńskiego jest kluczowa. W tym języku mówi się tylko w dwu miejscach na świecie. Badania w samej Danii to absurd. Sądzę zatem, że czeka nas ekspedycja naukowa na Grenlandię. Być może chodzi o pomiary czaszek i badania rasy Eskimosów, ale to nie jest ani tajne, ani ryzykowne. Wydaje mi się zatem, że jest coś jeszcze...

Kiwnął poważnie głową.

– Jest pani bardzo domyślna, istotnie planujemy udać się na Grenlandię. Trafnie odgadła też pani, że jest coś jeszcze – westchnął.

– Ojciec zebrał kilkadziesiąt zdjęć Lenina. Nie mając dostępu do czaszki, wykonał na ich podstawie model jego głowy i robił pomiary. Zakładam, że jego zainteresowanie tą postacią miało podłoże antropologiczne... Nie podejrzewam go raczej o badania frenologiczne. Choć zgromadził w bibliotece kilkadziesiąt książek z tej dziedziny nauki.

– Raczej pseudonauki. Pani ojciec był po prostu bardzo dokładny w tym, co robił. Nie odrzucał a priori niczego bez dokładnego sprawdzenia. Wprawdzie frenologia okazała się bzdurą, ale on mimo wszystko wolał zbadać sprawę i od tej strony.

– Ma też książki traktujące o fizjonomice i patognomice.

– Owszem, to też brał pod uwagę. Wprawdzie oficjalna nauka dawno już odrzuciła tezy o wpływie kształtu czaszki na charakter, ale mimo wszystko wolał sprawdzić.

– Czy te dwie sprawy się jakoś łączą? Lenin nie pochodził przecież z Grenlandii. Z tego, co mi wiadomo, nie miał nic wspólnego z Eskimosami, może poza tym, że pewnie chętnie nawróciłby ich na bolszewizm. Albo wymordował.

Gość uśmiechnął się i w milczeniu napił kawy.

– Jak na Instytut Kryptozoologii, chyba za bardzo skupiacie się na badaniach ras ludzkich – mówiła dalej Krystyna. – Wspomniał pan, że poszukiwanie nieznanych zwierząt to przykrywką...

Porucznik znów upił łyk.

– Osiągnęliśmy próg tajemnicy państwowej – powiedział wreszcie. – Są pewne sprawy, które faktycznie wiążą się z Leninem i jego najwierniejszymi sługami. Są pewne pytania, na które odpowiedzi poszukać musimy na Grenlandii. Są pewne badania zapoczątkowane przez pani ojca, które chcemy kontynuować. Wedle naszego osądu mogłaby się nam pani przydać.

– Jest jeden problem – powiedziała niepewnie. – Na najwyższej półce sejfu powinna leżeć jeszcze jedna teczka. Jasnozielona. Zniknęła.

– Zniknęła? – zdziwił się młody mężczyzna. – Co było wewnątrz?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że ktoś się włamał do mojego mieszkania, otworzył sejf i ją zabrał. Ale zignorował pudełko z pieniędzmi i te dwie grube teczki z waszymi materiałami.

– To na pewno nikt od nas... – Na twarzy porucznika odmalował się niepokój. – Jest pani pewna?

Streściła mu swoją teorię odnośnie do kurzu. Słuchał uważnie, nie przerywając. Widać było jednak, że solidnie się zasępił.

– Jasnozielona... – powtórzył. – Widziałem ją kilka razy w jego gabinecie w instytucie, ale z pewnością nie ma jej w papierach, które zabezpieczyliśmy. Może odłożył ją gdzie indziej?

Pokręciła głową.

– Mamy jeszcze drugi mały sejf na klejnoty i inne takie, tylko z braku odpowiednich precjozów stoi pusty. Nie sędzę, żeby ojciec sporządził w mieszkaniu jakieś skrytki, o których nie wiem. W dodatku wszędzie utrzymywał pedantyczny porządek. Idę o zakład, że dopóki żył, w sejfie panowała sterylna czystość.

– Proszę mi to pokazać.

Otworzyła kasę pancerną. Henryk długo badał wzrokiem wnętrze. Podnosił pudełka. Wreszcie pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że ma pani rację – powiedział. – Przekażę informację zwierzchnikom. Wracając zaś do meritum sprawy... Pani decyzja?

– Myślę, że ojciec byłby dumny, gdybym mogła choć w jakiejś części kontynuować jego prace. Skoro porzucił katedrę w Kopenhadze, by przyjechać do Warszawy, oferta instytutu musiała spełniać jego oczekiwania, a etyczna strona badań nie budziła zastrzeżeń. Wydaje mi się zatem, że i ja mogę podjąć pracę dla pańskiej zagadkowej instytucji.

– Cieszę się. Proszę zatem przyjąć tę kopertę. Wewnątrz znajdzie pani bilet kolejowy. Będziemy oczekiwać pani w Gdyni dwudziestego siódmego czerwca. Jest taki pociąg, odchodzi o siódmej czterdzieści rano z Warszawy. Jedzie się około dziewięciu godzin. Proszę zabrać paszport i tak dalej. Niestety, trzeba po drodze przekroczyć granicę Wolnego Miasta Gdańska. Zazwyczaj sprawdzane są tylko dokumenty, ale nie da się wykluczyć rewizji ze strony gdańskich celników, więc proszę nie zabierać broni ani nic podobnego. Z dworca odbierze panią moja kuzynka Weronika. Piętnastolatka, ma brązowe kręcone włosy. Założy niebieską sukienkę i słomkowy kapelusz z czerwoną wstążką. Jeśli ubierze się pani podobnie, łatwiej się znajdziecie.

– Co powinna zabrać na taką wyprawę?

– Proszę się liczyć z warunkami klimatycznymi, pakując ubrania.

– A aparat fotograficzny?

– Oczywiście, ale obowiązuje nas dalece posunięta dyskrecja. Dlatego to my wywołały klisze i oddamy pani tylko wybrane odbitki.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale wyglądało na to, że nie żartuje.

– Takie procedury. – Rozłożył ręce. – Proszę teraz zapoznać się z tymi papierami i jeśli nic nie budzi pani wątpliwości, podpisać w zaznaczonym miejscu. Ponieważ nie będzie pani przez dwa do trzech miesięcy, sugerowałbym uregulować z góry czynsz i pozostałe opłaty. Wzięliśmy w pani imieniu pożyczkę z kasy instytutu, potrącimy równowartość z trzech pierwszych wypłat.

Krystyna zagłębiła się w lekturze.

– Rozstrzelanie w przypadku zdrady...? – zadumała się na chwilę.

– Owszem. I proszę to potraktować śmiertelnie poważnie.

– Rozumiem.

Ujęła wieczne pióro i spokojnie złożyła podpis.

*

Ostatnie dni przed wyjazdem mijały w gorączkowym pośpiechu. Krystyna ściągnęła z pawlacza walizkę, zapakowała kilka letnich sukienek i trykotowy strój kąpielowy. Potem zajrzała do encyklopedii, wypakowała dwie sukienki, a na ich miejsce upchnęła kurtkę i wełniany sweter. Nie miała grubych skarpet. Obeszła kilka sklepów, ale wszyscy na jej pytanie odpowiadali wzruszeniem ramion. „To nie sezon” – słyszała. Zakupiła więc kilka par cieńszych. Nie miała duńskich koron, a gdy zapytała o nie w banku, urzędnik

rozłożył tylko bezradnie ręce.

Przekopła szafę, kompletując bardziej jesienną garderobę. Potem wypastowała wojskową raportówkę po ojcu. Miała stary kask tropikalny, przymierzyła go nawet przed lustrem, ale ostatecznie zostawiła na szafie. Po co komu ochrona przed słońcem, gdy się jedzie daleko za koło podbiegunowe? Nie miała zydwestki...

Sprawdziła aparat fotograficzny i kupiła pięć rolek filmu. Naostrzyła harcerską finkę i odszukała na dnie szuflady otwieracz do konserw. Przy okazji znalazła odznakę skautowską ojca i jego zdjęcie w charakterze instruktora drużyny, wykonane we Lwowie jeszcze przed wojną. Z pudełka na pawlaczu ponownie wyciągnęła rewolwer. Zważyła go w dłoni. Ojciec miał zezwolenie na broń, ona nie.

– Trudno, najwyżej zapłacę mandat, wprowadzie pięćdziesiąt złotych piechotą nie chodzi, ale w podróży lepiej mieć coś pod ręką...

Wyczyściła broń i ponownie nabiła. A potem przypomniała sobie o kontroli granicznej i ponownie schowała ją do pudełka.

*

Najdłuższa nawet podróż kiedyś się skończy. Termos z herbatą dawno już pokazał dno, po kanapkach pozostały tylko dwie kule woskowanego papieru śniadaniowego. Studentka przeczytała gazetę i prawie całą książkę. Pogapiła się przez okno do znudzenia. Od huku kół łomoczących na łączniach torów rozboleła ją głowa. Najchętniej ucięłaby sobie drzemkę, ale podróżowała w przedziale sama, wołała, żeby jej nikt nie zaskoczył śpiącej. Za kilka dni skończy się rok szkolny, wtedy pociąg będzie zatłoczony... Westchnęła.

Spojrzała na zegarek. Ktoś zapukał we framugę drzwi przedziału. Podniosła głowę. Myślała, że to konduktor, ale przed nią stał stryjek. Miał na sobie pasiastą rosyjską koszulkę, zwaną tielniaszką, a na ramiona narzucił płócienną marynarską kurtkę. Uśmiechał się jakby ironicznie.

– Spokojnie, Krysiu – powiedział. – Chcę zamienić z tobą kilka słów. Trzy minuty i już mnie nie ma. Swoją drogą, wyrosłaś i zrobiła się z ciebie diablo ładna panna.

– O co chodzi... stryjku? – wykrztusiła.

Odruchowo wsunęła dłoń do torebki i zacisnęła palce na rękojeści finki.

– Uważaj z tą pukawką, bo jeszcze wystrzeli. – Krewniak był najwyraźniej przekonany, że ma pistolet. – Narobisz hałasu, a po co nam użeranie się z miejscową policją? – Wyszczерzył w krzywym uśmiechu poząłkę od nikotyny zęby.

Pokręciła głową i nie wyjęła ręki. Niech się boi.

– Przyjmij, proszę, moje kondolencje. Nie byłem na pogrzebie brata, ale tak się jakoś złożyło, że nikt mnie nie zawiadomił na czas.

– Nie miałam adresu – bąknęła.

– Tak, wiem. Przez ostatnie dwie dekady nasze kontakty były sporadyczne, a spotkania rodzinne z reguły miały bardzo nieprzyjemny i burzliwy przebieg. Gdy ostatnio się widzieliśmy, rozbił mi twarz kominkową szufelką. Miałas bodaj dwanaście lat, wyrosłaś od tego czasu i wyładniałaś...

Nie była pewna, czy pokpiwa sobie, czy mówi poważnie.

– Jego śmierć głęboko mnie zasmuciła, ale też i zaskoczyła. Wielka to szkoda i wielka strata dla nauki. Od dzieciństwa mu zazdrościłem pamięci, bystrości, lotności umysłu. Zdecydowanie przedwcześnie zgasł... – Stryjek wyglądał na naprawdę zasmuconego. – Myślałem, że mimo pewnych... khm... zasadniczych różnic w poglądach oraz niepotrzebnych konfliktów, wlokących się od czasów naszej burzliwej młodości, uda nam się nawiązać

pewne formy współpracy na polu nauki, która jest wspólną ojczyzną ludzi światłych. Ale i tu napotkałem na mur niepotrzebnej wrogości, choć byłem gotów pomóc mu w wypłynięciu na naprawdę szerokie wody. Nie mówiąc o tym, jak cenna byłaby dla mnie jego pomoc.

– Co się stało, już się nie odstanie – odezwała dziewczyna tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Cieszę się bardzo, że cię spotkałem. – Stryjek gadał jak katarynka, jakby od bardzo dawna nie miał okazji porozmawiać z nikim po polsku. –

Wyruszyłem przedwczoraj z Berlina, a w Gdańsku wsiadam na pokład sowieckiego okrętu badawczego i liczę, że za kilka dni będę już w Leningradzie. Ty pewnie jedziesz na wakacje? Słusznie, po trudach roku akademickiego trzeba dobrze wypocząć na plaży. Złap trochę słońca.

– Leningrad? – podchwyciła, usiłując choć częściowo przejąć kontrolę nad rozmową.

– Piękne miasto, niestety, mało kto ostatnio chce je odwiedzać. Nie lubią ludzie Kraju Rad, oj, nie lubią. Ty też raczej nie dasz się namówić na wizytę... No cóż, rozumiem, do pewnego stopnia jesteśmy rzecz jasna wrogami. – Nie wyglądało, żeby szczególnie się tym przejmował. – Ale nie o tym chciałem teraz rozmawiać.

– A o czym? – Przechyliła głowę.

– Widzisz, dręczyła mnie pewna sprawa... Poprzednio, przejeżdżając przez Warszawę, wpadłem na chwilę w odwiedziny, no wiesz, zapalić świeczkę na grobie i kondolencje złożyć, ale nie zastałem cię w domu. W każdym razie stałem tak pod drzwiami, a ty zapewne byłaś na uniwersytecie.

Przypomniałem sobie, jak bardzo zawsze fascynowała mnie praca mojego uczonego brata i te błyskotliwe wnioski, które wyciągał ze znanych także i mnie zagadnień... Nie miałem nic do poczytania na drogę, więc zaszedłem na chwilę do twojego domu i pożyczyłem sobie rękopis pewnego opracowania. W każdym razie przepraszam, że tak bez pytania wziąłem, ale teraz oddaję. Przekaż do instytutu, w którym pracował, choć nalegam, byś wcześniej sama przestudiowała zawartość.

Otworzył skórzaną aktówkę, którą trzymał pod pachą, i wydobył z niej... zaginioną zieloną teczkę. Dziewczyna odruchowo wyciągnęła rękę, a krewniak spokojnie podał jej zgubę.

– Jeszcze jedno na pożegnanie. – Spoważniał. – Być może jedziesz po prostu poopalać się na plaży. Ale jest jeszcze inna możliwość. Jeśli coś ci zaproponowano, to nie ufaj im. Taka moja drobna rada. Wsiądź w pociąg powrotny i jedź do domu. – Ściągnął wargi. – Jeśli dobrze odgaduję cel twojej podróży, pchać się na daleką północ, zwłaszcza w takim towarzystwie, jest obecnie bardzo nierozsądnie. W każdym razie przeczytaj te papiery. Powiem „do zobaczenia”, choć pewnie więcej się nie spotkamy. Uważaj na siebie, z całej rodziny tylko ty mi zostałeś.

Wykrztusiła jakieś słowa pożegnania. Stryjek odszedł korytarzem w stronę lokomotywy. Krystyna popatrzyła na teczkę. Zatem to on włamał się do mieszkania, następnie do sejfu i ją zabrał! Skąd znał szyfr? Od ojca? Nie, to chyba niemożliwe. Wyszkolili go specje z OGPU? To już bardziej prawdopodobne. Zabrał dokumentację... ale nie całą. Wybrał niepozorną, najcieńszą teczkę. Czyli to ona wydała mu się najważniejsza. Zabrał, ale teraz oddał. Dlaczego?

Poczuła chłód w żołądku. Pewnie obserwował ją w Warszawie i wsiadł do tego samego pociągu... A może nie musiał jej nawet obserwować? Może od jakiegoś czasu posiadał informacje, kiedy i dokąd wyjeżdża? Chciała od razu rozsnuć tasiemki i zapoznać się z zawartością teczki, ale skład właśnie zwalniał.

Tczew, granica Wolnego Miasta Gdańska, uświadomiła sobie dziewczyna. Zaraz będzie kontrola celna i paszportowa.

Wrzuciła teczkę na dno walizki, przygotowała dokumenty. Pociąg tymczasem stanął ze zgrzytem hamulców. Z zewnątrz dobiegały krótkie komendy, wyszczekiwane po niemiecku. Mignęli jej jacyś ludzie w paskudnych czarnych mundurach. Westchnęła. Na szczęście celnicy tylko rzucili okiem na jej paszport i poszli dalej.

W Tczewie do przedziału zapakowała się cała niemiecka rodzinka. Nadęty mężczyzna ze znaczkiem NSDAP w klapie marynarki, chuda blondynka

o ostrym spojrzeniu szarych oczu i trójka chłopców w mundurkach Deutsches Jungvolk. W tym towarzystwie wołała nie zaglądać do papierów od stryja. Jechała, starając się zatopić w lekturze, ale szczekliwe zdania co chwila ją rozpraszały.

Wreszcie dotarli na miejsce. Pociąg zatrzymał się ze zgrzytem. Gładki, lśniący nowością peron zapraszał, aby wysiąść. Po wyjściu z wagonu Krystyna rozejrzała się i zaraz zauważyła, że ktoś do niej macha. Stojąca na peronie dziewczyna miała dość pospolitą twarz, którą otaczała burza drobnych, ciemnych loków. Duże, brązowe oczy sprawiały wrażenie lekko wilgotnych, brwi wygięte w łuki nadawały buzi wyraz wiecznego zdziwienia. Słomkowy kapelusz trzymała w dłoni. Miała długie, szczupłe palce pianistki.

– Pani Krystyna? Mam ma imię Weronika – powiedziała. – Jestem cioteczną wnuczką profesora, a Henryk jest moim wujkiem. Zrobiono mnie oficjalnym fotografem ekspedycji. Z tego, co wiem, mamy dzielić kajutę.

– Dzień dobry... – Studentka była nieco speszona.

Nie spodziewała się kogoś tak młodego. Porucznik wspomniał wprawdzie, że dziewczyna ma piętnaście lat, ale była tak drobna i chuda, że wyglądała raczej na dwanaście.

– Chodźmy, auto już czeka.

Mewy krzyczały, krążąc nad portem. Z dala niósł się głuchy huk kafarów wbijających pale w dno zatoki. Zahurgotał dźwig, zahuczała syrena na okręcie. Port w Gdyni cały czas rozbudowywano. Dziewczyny maszerowały przez tłum. W podobnych błękitnych sukienkach i słomianych kapeluszach ozdobionych wstążkami wyglądały jak siostry.

W cieniu krzewów bzu parkował elegancki czarny CWS. Na widok nadchodzących dziewcząt z wnętrza wysiadł starszy mężczyzna. Druciane okulary, łysina, pobrużdżone czoło i przycięta w szpic bródka upodabniały go trochę do doktora Korczaka. Musiał liczyć sobie około siedemdziesiątki, ale trzymał się prosto. Krystyna pamiętała go z pogrzebu ojca.

– Profesor Zbigniew Pabianicki – przedstawił się. – Jestem kierownikiem

ekspedycji, od tej chwili podlega pani moim rozkazom.

– Tak jest – odparła krótko, po wojskowemu.

– Cieszę się, że pani do nas dołączyła. W szczególności wprowadzimy panią już w trakcie wyprawy. Wsiadajcie, proszę.

Umościli się na tylnej kanapie. Auto ruszyło z cichym pomrukiem silnika. Resory delikatnie poskrzypywały na bazaltowej kostce, ale pasażerki prawie wcale nie odczuwały wstrząsów. Krystyna postawiła walizkę na podłodze i ścisnęła ją kolanami.

– Wspaniała maszyna, i to w dodatku wyłącznie polska myśl techniczna. Ten wóz projektował inżynier Tański – odezwał się profesor zza kierownicy. – Auto niezawodne, praktycznie nie do zderzenia. Co ciekawe, wszystkie śruby ma identycznej średnicy. Każdy szwankujący detale można zdemontować więc jednym kluczem. Niestety, produkcję wygaszono w trzydziestym pierwszym. A te fiaty na włoskiej licencji, które robimy teraz... – w lusterku Krystyna dostrzegła, jak mężczyzna wykrzywia wargi – może są tańsze w produkcji i eksploatacji, ale jakością nie umywają się do tego auta.

Wyjechali za miasto. Uczony dodał gazu. Silnik grał cicho i równo. Auto dzielnie pokonywało wzniesienia. Gdynia została z tyłu. Jeszcze co jakiś czas, będąc na kolejnych pagórkach, widzieli miasto, wreszcie znikło...

– Myślałam, że zaokrętuje się na jakiś statek. – Krystyna obejrzała się przez ramię, ale portu już zupełnie nie było widać.

– Statek to zasadniczo bardzo dobry pomysł, ale trochę długo trwałoby dotarcie na miejsce. – Po intonacji odgadła, że starszy pan się uśmiecha. – Proszę o kwadrans cierpliwości...

Weronika też miała minę, jakby ukrywała jakąś niespodziankę. Wyjechali zza lasu, a ich oczom ukazały się ogromne szopy oraz rozległy plac. Obok, częściowo skryty pomiędzy dorodnymi sosnami, ciemniał balon sterowca.

– A niech mnie! – szepnęła Krystyna. – Czy to znaczy, że...

– Na Grenlandię polecimy wzorem grafa Zeppelina i generała Umberto Nobilego. Zamiast tłuc się kilka tygodni szkunerem, dotrzemy na miejsce w sto kilkadziesiąt godzin – wyjaśnił uczony.

– Nie wiedziałam, że Polska ma własne sterowce. To wojskowa konstrukcja?

– Nie, to mój prywatny. Ale użytkuje go nasz instytut. Oficjalnie należy do firmy spedycyjnej z Rio de Janeiro – uśmiechnął się profesor. – Zasłaniamy się przed wścibskimi ludźmi kolejnymi parawanami kłamstw...

Na twarzy Krystyny musiało odmalować się wahanie.

– To bardzo bezpieczna maszyna – zapewnił ją. – Wewnątrz dużego balonu są mniejsze balonety, sześć sztuk, wypełnione wodorem. Doświadczenia armii, głównie pruskiej, wskazują, że potrzeba kilkadziesiąciu bezpośrednich trafień, aby ubytek gazu zaczął stanowić problem. A nie sądzę, by ktokolwiek do nas strzelał. Mamy rezerwę paliwa, która wystarczy teoretycznie na lot stąd na Grenlandię i z powrotem, ale na wszelki wypadek zapasy czekają na nas w kilku miejscach po drodze. Najgroźniejszy byłby pożar na pokładzie, ale wszystkie instalacje elektryczne są bardzo starannie zaizolowane, nikt z nas nie pali, więc też nikt nie będzie używał otwartego ognia.

– Generał Nobile... – zaczęła.

– Generał popełnił fatalny błąd, pakując się swoją maszyną prosto w chmurę burzową. Marznąca mżawka spowodowała oblodzenie balonu i w konsekwencji jego upadek na ziemię. Pożar dopełnił dzieła zniszczenia. To nam raczej nie grozi, zamierzam unikać chmur, a w dodatku lecimy latem i nie zapuścimy się aż tak daleko na północ.

Zaparkował obok ściany jakiegoś magazynu. Wysiedli. Z półmroku wyłonił się młody żołnierz, odebrał kluczyki i odjechał autem.

Z boku gondoli otworzyły się drzwi, po trapie zszedł niewysoki mężczyzna około czterdziestki. Marynarska broda okalała mu twarz, na głowie miał czapkę.

– To nasz kapitan – przedstawił go profesor.

– Będę miał zaszczyt dowieźć panią na miejsce badań i miejmy nadzieję, bezpiecznie odwieźć całą ekspedycję z powrotem.

Przedstawiła się, trochę speszona.

– Wybacz pani, że nie wymienię imienia ani nazwiska. – Uśmiechnął się. – Wprawdzie posiadam takowe, nawet kilka kompletów do wyboru, ale tak będzie lepiej...

– Michaił już wrócił? – zapytał profesor.

– Pojechali z Henrykiem, powinni dotrzeć w ciągu godziny. I możemy, jak to mówią na morzu, rzucać cumy. Zapraszam na pokład.

Weszli po kilku metalowych schodkach.

– To jest dolna gondola, mamy jeszcze na górze malutką obserwacyjną – wyjaśnił kapitan. – Z przodu jest mostek, z którego kierujemy wszystkimi podzespołami aerostatu, oraz pokój radiooperatora. Dalej mesa wraz z wnęką kuchenną, cztery kajuty mieszkalne, dwie łazienki, pomieszczenia magazynowe i na końcu małe stanowisko obserwacyjne. Co do tych łazienek, proszę nie oczekiwać szczególnych luksusów.

Przeszli do mesy. Pośrodku stał owalny stół, przyśrubowany do desek podłogi. Ściany ozdabiały oprawione w ramki zdjęcia, najwyraźniej pamiątki z dalekich wypraw. Powyżej umieszczono dwa wiosła ciemnoczerwonej barwy, ozdobione jakimiś napisami po angielsku. Na stojaku wisiało kilka dubeltówek, w tym dziwaczna flinta o lufach grubych jak rurki wodociągowe.

– To na najgrubszego zwierza – wyjaśniła Weronika, widząc zaciekawienie towarzyszek. – Nitro Express. Mając taki oręż, można jednym celnym strzałem powalić słonia, hipopotama lub szarżującego nosorożca.

Przeciwną ścianę zdobiła skóra tygrysa i dzidy o grotach różnego kształtu.

Na drzwiach Krystyna wypatrzyła dziurki, układające się w zarys jakiegoś

napisu.

– Były tu inicjały wielkiego księcia Olega Konstantynowicza Romanowa, otoczone wieńcem laurowym – wyjaśnił kapitan. – To dla niego wykonano ten aerostat.

– Nie słyszałam chyba o nim.

– Nie był nikim szczególnie ważnym. Członek dynastii Romanowów, daleki pociotek cara. Pewnie dwudziesty lub trzydziesty w kolejce do tronu. Interesujący młody człowiek, miał niezwykle szerokie horyzonty. Pisywał wiersze i opowiadania, trochę jeździł po świecie, bo interesował się historią sztuki. Niedługo się tym sterowcem biedak cieszył, poległ jeszcze w piętnastym roku, gdzieś na Wileńszczyźnie, mając niespełna dwadzieścia dwa lata. Potem sterowiec przejęła Czeka, następnie ukradli go zawodowi złodzieje, tak zwane wory w zakonie i sprzedali przemysłownikowi samogonu. Ci latali nim do Finlandii. Wygrałem go w rosyjską ruletkę – wyjaśnił profesor.

Krystyna pokręciła ze zdumieniem głową, ale nie wyglądało, żeby uczony żartował. Przez uchylone drzwi widziała mostek. Koło sterowe jak na statku, do tego jakieś zegary, sygnalizatory, nieznane jej urządzenia.

– Henryka już poznałaś, pełni w naszej ekspedycji rolę radiooperatora i po trosze nawigatora. Przyjedzie niebawem wraz z Michaiłem, to nasz chłopak okrętowy...

– Okrętowy? – podchwyciła.

– No dobrze, to nie jest okręt – westchnął kapitan, klepiąc ścianę. – Tak mówimy z braku lepszych określeń. Taki nasz przynieś-wynieś-pozamiataj, ale ma też spore doświadczenie i spokojnie można powierzyć mu stery. Trafił nam się wraz z tym okrętem. Przemysłownicy chcieli go zabrać, ale wołał zostać z nami. Tamci bardzo się upierali, musiałem im kilka kulek wsadzić, dwa magazynki poszły, zanim ich wreszcie przekonałem. On nie mówi – dodał. – Przeżył w Sowietach takie rzeczy, że stracił głos... Lekarze stwierdzili, że w zasadzie wszystko jest anatomicznie w porządku. Krtań, struny głosowe, tchawica są normalne. Tylko w głowie coś się zepsuło. Rozumie po polsku, rozumie po rosyjsku. Pisać potrafi i cyrylicą, i łacińskim alfabetem. Jest

trochę dziwny, nieśmiały, no i twarz ma oszpeconą, ale proszę się go nie bać, to wypróbowany towarzysz niejednej naszej wyprawy.

– Nie umiemy mu pomóc – wyjaśnił profesor. – Od trzech lat nie powiedział ani słowa, choć czasem krzyczy przez sen. Z tego, co napisał o sobie, pochodzi z Powoźza, był synem nauczycieli. Czerwoni spalili całą jego wieś. Ludzie nie chcieli iść do kołchozu i się zbuntowali, ruszyli z kłonicami przeciw karabinom. On trafił do łagru dla młodocianych wrogów ludu na Wyspach Sołowieckich. To straszne miejsce. Kiedyś był to ważny ośrodek prawosławia, pełen klasztorów i pustelni. Mnisi uprawiali ziemię na dziesiątkach wysp, hodowali zwierzęta, malowali ikony. Sowieci wymordowali gospodarzy i stworzyli w świętym miejscu piekło. Sieć wielkich obozów pracy. Trzymają tam w okropnych warunkach kilkadziesiąt tysięcy więźniów. Michał zdołał uciec z łagru. Opuścił wyspę wpław, potem ukradł łódkę, przepłynął labirynty kanałów i błakał się nad Morzem Białym, aż przystał do przemytników. Zapewne będzie się początkowo odwracał do ściany, proszę się tym nie przejmować. Wstydzi się biedak swojego wyglądu, ale powoli się ośmieli.

Kiwnęła głową na znak, że zapamięta.

– Proszę na wszelki wypadek nie poruszać przy nim tych tematów. Zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim dojdzie do siebie po tych okropnych przeżyciach. Niestety, każde spojrzenie w lustro przypomina mu najgorsze chwile.

– Chodź, rozgościsz się w naszej kajucie. – Weronika pociągnęła Krystynę za rękę.

Wąski korytarz biegł przez środek gondoli, łącząc pomieszczenie nawigacyjne i mesę z tylnym stanowiskiem obserwacyjnym. Półmrok rozpraszały niewielkie świetliki nad drzwiami. Pachniało gumą, lakierem, rozgrzаныmi smarami, naftą. Te wonie przypomniały studentce spacer po molo portu w Kopenhadze...

Młodsza z dziewcząt pchnęła drzwi.

– Oto nasze królestwo. – Dygnęła, wykonując ręką przesadnie elegancki

zapraszający gest.

Pomieszczenie było rozpaczliwie ciasne, miało może dwa na dwa metry. Pod ścianą umieszczono piętrową koję. Na wyższej koc był skotłowany. Krystyna domyśliła się, że to legowisko zaanektowała sobie Weronika. Za to niższa koja miała nad wezgłowieм okrągły bulaj, oprawiony w mosiądz. Barwne huculskie makatki na ścianach, grube wełniane kapy na posłaniach i dywanik na podłodze nadały surowej przestrzeni nieco przytulności. Na regale stało kilka książek. Krystyna otworzyła drzwi szafy. Sukienki Weroniki prawie wykłaniały na zewnątrz. Umieszczone w środku lustro złapało na chwilę ich odbicia. I nagle Krystyna poczuła się jakoś dziwnie beztrosko i wakacyjnie. Przez najbliższe tygodnie to będzie jej dom. Polecą daleko, pozna nowych ludzi, zobaczy nowe miejsca, skosztuje nowych potraw, złowi nieznane wcześniej zapachy. A wszystkie zmartwienia pozostaną na ziemi.

– Jeśli masz ochotę odświeżyć się po podróży, na końcu korytarza jest mała umywalnia, a jak chcesz się zdrzemnąć, nie ma problemu. O dwudziestej profesor prosi do mesy na naradę – paplała radośnie Weronika.

Mała trzpiotka, zaraźliwie radosna.

Ona też poczuła zew przygody, pomyślała studentka.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Polecą w miejsca, w których zapewne nigdy wcześniej nie stanęła stopa Polaka. Przemierzą ogromne przestrzenie. Zobaczą krajobrazy piękne i niezwykle. Pomacała materac. Trawa morska? Po długiej podróży kolejną łóżko kusilo...

– Chyba faktycznie położę się na chwilę – bąknęła.

Przyłożyła głowę do dobrze nabitej poduszki i nawet nie zauważyła, kiedy zapadła w twardy sen.

Coś ją obudziło. Jakiś hałas? Otworzyła oczy. Przez całą konstrukcję przechodziły dziwne wibracje. Kajuta kołysała się delikatnie.

Zapuscili silniki! – uświadomiła sobie. Startujemy! A może już wystartowaliśmy?

Wyjrzała przez bulaj. Sterowiec nie stał już wśród drzew, przeciągnięto go na środek placu. Widziała kilku żołnierzy, trzymających końce lin. Nie usłyszała rozkazu, który im wydano, spostrzegła tylko, że jednocześnie puścili cumy. Zahurgotały windy kotwiczne, silniki zagrały głośnieją. Przez gondolę biegły wibracje, gdy rosła moc. Brukowany dziedziniec powoli zniknął w dole. Odlatywali. Krystyna poczuła niewielkie przeciążenie, gdy kapitan lekko skreślił. Nadal nabierali wysokości. Silniki weszły na jeszcze wyższe obroty i wreszcie maszyna ruszyła przed siebie.

Dziewczyna wstała, rozejrzała się po kajucie. Weronika gdzieś znikła. Z oddali echo niosło jakieś głosy. Krystyna uczesała się pośpiesznie. Wyszła na korytarz i ruszyła w stronę mesy. Profesor siedział za stołem, obok niego rozsiadł się Henryk. Przez uchylone drzwi prowadzące na mostek widziała plecy kapitana. Prowadził aerostat na północ. Przez przednią szybę nad jego ramieniem dziewczyna spostrzegła czerwoną kulę zachodzącego słońca wolno zanurzającą się w morzu.

We wnęce służącej za kambuz krzątał się chłopak w szarej marynarskiej bluzie. Oceniała jego wiek na jakieś szesnaście lat. Był szczupły, jego twarz przecinało kilka paskudnych szram. Wyglądały na blizny po pazurach jakiegoś zwierzęcia, ale domyśliła się, że to raczej ślad sieczenia knutem. Słyszając kroki studentki, odwrócił się i z uśmiechem skinął głową na powitanie. A potem wrócił do parzenia kawy. Twarzą do ściany... Uczony zaprosił ją do stołu.

– Panie profesorze – zaczęła Krystyna – obiecano mi, że podczas podróży zostanę dokładniej wprowadzona w tematykę badań. Mam być tłumaczką. Jakiego rodzaju rozmowy planujemy? Wzięłam słowniki, by odświeżyć sobie

i przyswoić konieczne wyrazy, ale...

– Po pierwsze, będzie potrzebne standardowe słownictwo, którego używa się w portach i przy transakcjach handlowych. Będziemy musieli co jakiś czas uzupełniać zapasy. Zakładamy, że przeważnie dogadamy się po angielsku i niemiecku, ale może być tak, że w mniejszych osadach trafimy na duńskich urzędników czy kupców mówiących tylko w swoim języku. Po drugie, jeśli spotkamy Eskimosów, chcę w miarę możliwości dokładnie wypytać o ich najstarsze legendy, te z czasów, gdy przybyli na wyspę i nawiązali kontakty z wikingami. Mam też trochę literatury antropologicznej, gdyby zechciała pani potem rzucić okiem i przetłumaczyć mi przynajmniej spisy treści.

– Rozumiem. Jaki jest dokładnie cel wyprawy?

– Proszę mi najpierw powiedzieć, co pani wywnioskowała z papierów ojca?

– Niewiele. Wydaje mi się, że szukał w materiale z pomiarów antropologicznych pewnych zespołów cech recesywnych, wskazujących na domieszkę krwi bardzo dawnych ras ludzkich. A może nawet praludzkich.

– Zupełnie słusznie. – Uczony skinął głową. – Tym się właśnie zajmujemy. W oficjalnych papierach występujemy jako Instytut Kryptozoologii. Te papiery są rzecz jasna tajne, ale liczymy się z dekonspiracją. Chodzi o to, by ktoś, kto dokopie się do tej nazwy, wymyślił sobie fałszywą interpretację naszych zadań. W rzeczywistości jest to Wojskowy Instytut Antropologii Historycznej. Tak właśnie nazywa się nasza instytucja. Ale nie używamy tej nazwy nawet w rozmowach pomiędzy wtajemniczonymi. Proszę mówić tylko „instytut”.

– Czyli prawdziwe zadania panów to antropologia historyczna... Zatem badanie starych kości, pomiary, identyfikacja, do jakiej rasy należeli badani?

– Tak.

– Oraz zapewne badanie kości istot przedludzkich, neandertalczyków, pitekantropów i tak dalej...

– To w zasadzie nasz główny cel.

– Co ma wspólnego polskie wojsko z jakimiś małpoludami?

– Powiem krótko. Nie jesteśmy na naszej planecie sami.

– To znaczy? – zirytowała się Krystyna. – Przylecieli przybysze z Marsa lub Wenus?

– W dawnych czasach obok nas, przedstawicieli gatunku *Homo sapiens*, żyli na Ziemi także neandertalczycy oraz być może niedobitki jeszcze wcześniejszych form humanoidalnych, na przykład *Homo habilis*, *Homo erectus*, czy *gigantopiteków*. Pani ojciec sądził, że ci nasi sąsiedzi nie wyginęli tak całkowicie bez śladu. Że część z nich zdołała przetrwać i na różne sposoby wtopić się między nas. Jak słusznie pani zauważyła, mierząc czaszki, poszukiwał śladów silnie recesywnych cech pierwotnych.

– Jeśli nie zniszczyliśmy tych niedobitków, tylko zasymilowaliśmy, to chyba dobrze? – bąknęła. – Postąpiliśmy szlachetnie i wedle wartości humanistycznych...

– Teoretycznie tak. Miło z naszej strony i tak dalej. Wynik badań czaszek bardzo różnych ludów oraz pojedynczych osobników jest w zasadzie jednoznaczny. Nawet jeśli mamy domieszkę krwi neandertalskiej, to rozcieńczyła się do tego stopnia, że wykrycie jej naukowymi metodami stało się niemożliwe. Na tym jednak nie koniec. Nauka zakładała, że oni wyginęli. Mamy jednak mocne poszlaki, że nadal współdziela z nami planetę, którą przywykliśmy uważać za naszą wyłączną własność. Zostali tylko zepchnięci daleko, na skraj strefy zamieszkaney przez człowieka. Kontakty nie są częste. Jak do tej pory badamy ich tylko pośrednio, analizując cechy ich potomków spłodzonych z nami.

Zapadła cisza.

– Neandertalczycy? – zapytała niepewnie Krystyna.

– Główni podejrzani. A właściwie nie sami neandertalczycy, tylko ich potomkowie – uściślił profesor. – Minęło czterdzieści tysięcy lat. Oni też się trochę zmienili. Neandertalczycy mieli mózgi większe niż *homo sapiens*. Przypuszczalnie byli bardziej inteligentni, tylko nie trafili na swój czas.

Istnieje też teoria, że posługiwali się telepatią. Słabo znamy jeszcze ich kulturę, wykopaliska prowadzone w Europie i na Bliskim Wschodzie rzucają na to niewiele światła. Domniemywa się, że utkwili w fazie stagnacji cywilizacyjnej, bo po prostu zbyt wiele wysiłku kosztowała ich walka o byt. Mówiąc wprost, nie mieli czasu rozwijać sztuki ani nauki. Słowem, tego wszystkiego, co prowadzi do powstania cywilizacji technicznej. Ulegli kolejnym falom migracji wychodzącym z Afryki, wycofali się na północ Europy i Azji, a potem już tylko cofali się dalej. Na coraz mniej zasobne tereny. Tam się okopali. Słyszała pani historie o ludziach śniegu, tak zwanych yeti?

– Owszem.

– Nie potrafimy zweryfikować prawdziwości tych doniesień, ale jest ich sporo. Podejrzewamy, że w Himalajach, Tybecie, w górach Ałtaju i Pamiru bytuje niewielka kolonia tych istot. Nie wiemy, czy zachowuje łączność z tymi, których istnienia domyślamy się w Arktyce. Ale dla uproszczenia całą populację reliktowych hominidów określamy słowem „yeti”. A ich potomków, tych mieszańców „jetinsynami”.

– Mówi pan... poważnie?

– Tak. Pytała pani, dlaczego jest to wojskowy instytut i co wojsko może mieć wspólnego z takimi badaniami. No cóż. Problem w tym, że nasi „sąsiedzi” zachowują świadomość swego pochodzenia, nadal żywią urazę oraz przejawiają w stosunku do ludzi mordercze zamiary.

– Nawet jeśli istnieją, zagrożenie nie jest chyba szczególnie duże – zauważyła dziewczyna. – Ilu ich może być?

– Przypuszczamy, że kilkanaście, nie więcej niż kilkadziesiąt tysięcy. Strefy polarne, gdzie bytują, są w stanie wyżywić wprawdzie miliony ludzi, ale bardziej intensywne osadnictwo byłoby niemożliwe do ukrycia. Podejrzewamy, że mają kilka osad w niedostępnych regionach, na bezludnych archipelagach czy samotnych wyspach. Są nieco odmienni fizycznie. Natychmiast wyróżniliby się z tłumu. Łatwo byłoby ich zidentyfikować. Zakładamy zatem, że nie podejmują raczej wypraw między ludzi. Ale ich potomkowie, mający połowę albo ćwierć krwi starej rasy,

poruszają się po świecie już bez większych przeszkód.

– A takich mieszańców...

– Ich jest więcej. Trudno mówić tu o twardych statystykach, ale mamy swoje podejrzenia.

– Ale po co wnikają między nas? Czy są jakieś dowody na to, że stanowią zagrożenie?

– Badają nas, naszą technikę i cywilizację. Ale nie tylko. Ich cel to całkowite zniewolenie lub wręcz wyniszczenie ludzkości.

Milczała długą chwilę, trawiając informacje. Słowa uczonego brzmiały kompletnie idiotycznie, jednak nie wyglądał na wariata. Zagadkowy instytut istniał i dysponował środkami finansowymi, co oznaczało, że ktoś w rządzie lub sztabie generalnym traktuje te teorie poważnie. Co więcej, jej ojciec... współpracował z nimi przez kilka lat. A przecież on z całą pewnością nie był szaleńcem.

– Czy są jednak jakieś konkretne dowody tych morderczych zamiarów? – zapytała ostrożnie.

– Takim dowodem, niegdyś żywym, a obecnie zabalsamowanym, jest Lenin, którego prawdziwe pochodzenie czy też, można by powiedzieć, prawdziwą tożsamość badał przez kilka lat pani ojciec – odezwał się Henryk.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie bardzo rozumiem. Lenin był potomkiem neandertalczyków? Jak to nazywacie, jetinsynem?

– Człowiek o żelaznej woli i niezwyklej pamięci. W wieku kilkunastu lat znał rosyjski, niemiecki, łacinę, grekę i podstawy francuskiego. Na emigracji wyuczył się jeszcze angielskiego. Fenomenalna pamięć. Znał z imienia, nazwiska i pseudonimów setki swoich współpracowników. Błyskawicznie się uczył. Piszząc, cytował całe akapity dzieł Marksa bez zaglądania do książek. Wszechstronny geniusz, tyle tylko, że służył sprawie złej i podłej, a także nie

miał za grosz tego, co nazywamy moralnością. Walory intelektualne uzupełniała wyjątkowa odporność fizyczna. Został przecież ciężko postrzelony, ale w kilkanaście dni stanął na nogi.

– Podobno zabił go syfilis.

– Tak się mówi. Owszem, chorował na to banalne schorzenie przez wiele lat. Ale to nie ono go zabiło. Po śmierci Lenina powołano do istnienia Instytut Mózgu w Moskwie. Gdy Lenin umierał, zaproszono najwybitniejszych uczonych, by po śmierci zbadali jego mózg. Kierował nimi profesor Oskar Vogt z Berlina. Wykonał tak zwane badanie cytoarchitektoniczne, czyli, mówiąc po ludzku, szukał w budowie narządu sekretów jego fenomenalnego działania. Profesorowi przekazano w ramach umowy część plasterów z mózgu Lenina, dzięki czemu pewne informacje przenikły na zachód. Wódz cierpiał nie tylko na syfilis, który spowodował obumarcie rozległych pól neuronów, ale i na dziwną chorobę, powodującą stopniowe zwapnienie zwojów. To przypadłość, na którą zmarło wcześniej kilkoro jego krewnych. Skaza wrodzona rodu Blanków, z którego pochodziła matka wodza rewolucji. Poza tym nie stwierdzono szczególnych rewelacji. Trochę gęstsze upakowanie komórek w ośrodkach odpowiedzialnych za mowę i logiczne myślenie. Niestety, nauka nie umożliwia jeszcze dokładniejszych badań. Brak nam wiedzy, metod, narzędzi...

– Chce pan powiedzieć, że te hipotetyczne yeti podesłały nam Lenina jak kukułcze jajo? I to zapewne jeszcze z instrukcjami, jak nas wyniszczyć i wygubić?

– Tak. Dokładnie to chcę powiedzieć. Sowietzi dokonali rewolucji w największym i najbogatszym kraju naszej planety. W trakcie inwazji doszło do bezprecedensowego rabunku niewyobrażalnych bogactw, które wysiłkiem wielu pokoleń zgromadziło państwo rosyjskie. Po opanowaniu terenu i zainstalowaniu tam nowej władzy społeczeństwo też oczywiście zostało obrabowane... Dzięki temu Lenin i jego następcy weszli w posiadanie niewyobrażalnych kapitałów.

– To kwoty liczone w miliardach, pozwalające przez dziesięciolecia prowadzić wojny, pozyskiwać agenturę i dokonywać aktów dywersji w dowolnym zakątku globu – dodał Henryk. – Ale także dyskretnie wpływać

na gospodarkę i politykę krajów wolnego świata. Sowietów kupują sobie wpływowych przyjaciół na kopy. Mają na liście płac zachodnich myślicieli, filozofów, dziennikarzy, publicystów, ale także artystów i polityków. Tysiące, jak to określił Lenin, „pożytecznych idiotów” prowadzi prace nad legitymizacją tego ludożerczego reżimu w oczach światowej opinii publicznej.

– Jeśli chodzi o opanowany teren, już w tej chwili skutkiem głodu, chorób czy legalnej aborcji nastąpił drastyczny spadek liczby ludności. Mówiąc językiem naukowym: znaczna depopulacja – powiedział profesor i westchnął.

– Ależ to, co panowie mówią, jest kompletną aberracją!

Uczony uśmiechnął się tylko smutno i pociągnął długi łyk kawy.

– Co gorsza, wydaje mi się, że sytuacja na Ukrainie, gdzie głód pochłoniął setki tysięcy, jeśli nie miliony istnień, to prawdopodobnie tylko przygrywka – rzekł porucznik. – Testowanie sił i metod przed jakąś poważniejszą „robotą”. Niestety, nie da się wykluczyć, że to my będziemy następni na liście do likwidacji. Polska już raz powstrzymała bolszewickie hordy, niosące komunizm Europie.

– No dobrze – westchnęła Krystyna. – Przyjmijmy, że Lenin nie był człowiekiem, ale diabłem, neandertalczykiem lub nawet Marsjaninem... Nadal nie wiem, jaka ma być moja rola w tym wszystkim.

– Instytut poszukuje namacalnych dowodów na prawdziwość teorii pani ojca. Nie wybierzemy się do Moskwy, żeby wykraść głowę Lenina z mauzoleum. Jak się jednak wydaje, istnieje inna szansa na pozyskanie odpowiedniego materiału do badań antropologicznych. Na Grenlandii.

– Będziecie mierzyć czaszki Eskimosów? I szukać pobratymców Lenina? – Przypomniała sobie rozmowę odbytą jeszcze w Warszawie. – Nie mamy w Polsce specjalistów od miejscowych języków, ale niektórzy tubylcy coś dukają po duńsku, zatem mam ich namówić, aby pozwolili obejrzeć swoje głowy?

– Szukać krewnych Lenina trzeba by raczej chyba na Ałtaju i w górach

Pamiru. Pomierzyć Eskimosom czaszki? No cóż, to oczywiście nie zawadzi, ale bardziej interesuje nas kilka starych pochówków znajdujących się parę dni drogi na północ od tak zwanego Osiedla Zachodniego. Zapewne nie zna pani historii osadnictwa normańskiego na tej wyspie?

– Wiem tylko z ksiórek, że Gunnbjörn Ulfsson odkrył Grenlandię, a sto lat później dotarł do jej wybrzeży Eryk Rudy. To on nazwał ją Grœnleít, Zieloną Ziemią, i namówił spór grupę Normanów z Islandii, by osiedlić się na tym niedostępnym skrawku lądu. Zapewne panował tam wówczas łagodniejszy klimat, można było hodować zwierzęta. Wikingowie żyli tam kilkaset lat, założyli osady, mieli kościoły i klasztory. Jednak po pewnym czasie kolonia upadła.

– W zasadzie są tam tylko dwa miejsca nadające się pod większe osadnictwo. Po zachodniej stronie wyspy płynie z południa ciepły prąd morski. To spowodowało wycofanie się lądolodu i odsłoniło pas nadbrzeżny, szeroki miejscami nawet na ponad sto kilometrów. Nad głębokimi, zacisznymi fiordami, w miejscach osłoniętych od nadmorskich wiatrów, znalazły się łąki, a nawet zagajniki rachitycznych brzoźek. Było gdzie budować domy i wypasać krowy. W dodatku wikingowie pływali wzdłuż wybrzeży dalej na północ, gdzie polowali na morsy. Ich kły były bardzo cenione w Europie, jako że dobrze imitują kość słoniową.

– A był to okres, gdy Arabowie blokowali handel z Azją, szczególnie z krajami Maghrebu, a jeszcze przed wyprawami hiszpańskimi i portugalskimi na południe wzdłuż zachodnich wybrzeży Czarnego Lądu – dodał porucznik.

– Kolonia przetrwała około pięciuset lat. Kontakty z Normanami żyjącymi na Grenlandii ustają w latach czterdziestych piętnastego wieku – wyjaśnił profesor. – Dopiero w tysiąc siedemset dwudziestym pierwszym rząd Danii wysłał ekspedycję, która miała zbadać, czy w ogóle żyją tam biali ludzie. Jej dowódca, misjonarz Hans Nielsen Egede, znalazł tylko ruiny osiedli, porzucone od wielu dekad. Na chatach były jeszcze resztki dachów, ale członkowie wyprawy nie znaleźli już tych, których szukali. To znaczy – poprawił się naukowiec – spotkali Eskimosów. Próbowali ich wypytywać, gdzie też podzieli się Normanowie, ale usłyszeli tylko legendy o wojnie, która wybuchła między potomkami Islandczyków a Eskimosami. W latach

trzydziestych siedemnastego wieku na Grenlandię dotarła misja, wysłana przez protestantów z Moraw. Brali w niej udział dwaj bracia pochodzący ze Śląska, Mateusz i Krystyn Stachowie. Misja badała wyspę przez kilka lat, starano się siać ziarno wiary wśród tubylców. Misjonarze znaleźli też ślady swoich katolickich poprzedników, ruiny kościołów z czasów wikingów. W jednym z nich, położonym na terenie tak zwanego Osiedla Zachodniego, natrafili na drewnianą smołowaną skrzynkę, a w niej resztki kroniki, spisanej przez miejscowego proboszcza. Wracając do ojczyzny, zabrali ją ze sobą. Nasz przyjaciel znalazł ten przedmiot przypadkiem, porządkując stare rękopisy w muzeum w Pradze. Kronika jest bardzo zniszczona, ale to i owo dało się odczytać.

– Jak rozumiem, jej treść stała się powodem do zorganizowania wyprawy?

– Tak. Ale o tym porozmawiamy jutro. – Profesor spojrział na zegarek. – Na razie proponuję kolację.

Krystyna poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Wiele godzin w pociągu, teraz ta dziwna rozmowa. W głowie kłębiły jej się dziesiątki myśli, pytań, wątpliwości, ale czuła, jak powieki ciąży coraz bardziej. Bułka z szynką... wiejskie masło... Herbata przyjemnie rozgrzała żołądek, ale przyniosła kolejny atak senności. Wreszcie przeprosiła towarzystwo i poszła do kajuty. Weronika już spała jak zabita. Studentka poszła w jej ślady.

Przyśnił jej się znajomy sen, który nawiedzał ją od wielu lat. Za każdym razem był podobny, ale różnił się szczegółami. Jakby ktoś wyświetlał jej w głowie krótkie fragmenty jednego długiego filmu. Losowo dobrane, niepowiązane ze sobą. Zawsze była ucieczka na nartach przez niekończącą się śnieżną pustynię. Czasem biegła nocą, czasem w dzień. Kilka razy słyszała wrzaski pościgu, raz nawet walczyła z wielkim psem, który ją dopadł. Narty były zawsze te same. Krótkie, szerokie, z mocno wygiętymi noskami. Znalazła podobne w jednej z książek ojca – używały ich ludy żyjące na północy Rosji. Tym razem kierowała się w stronę smużki dymu, wyraźne rysującej się na wieczornym zimowym niebie... Coś ją tam przyciągało, choć jednocześnie czuła, że to niebezpieczne. Kierowały ją desperacja i nadzieja spotkania innych ludzi, a zarazem czuła obawę, że to może być obozowisko jej prześladowców. Zatrzymała się, niepewna, czy ma iść dalej, czy może zawracać. I w tym momencie poczuła strach, zwierzęce

wręcz przerażenie. Nie wiedziała, co jest jego przyczyną. Z pozoru nic się nie zmieniło. Nadal otaczała ją ta sama śnieżna pustynia. Słup dymu wciąż leniwie unosił się ku niebu. Zaufała instynktowi, zawróciła i zaczęła uciekać. Narty ciążyły, brakowało oddechu, ale najgorsza była świadomość, że to bezcelowe. Że podeszła zbyt blisko i znów ją zauważyli, że na ucieczkę jest już zbyt późno... Obudziła się jak wiele razy wcześniej – roztrzęsiona i zlana potem...

*

Do trzeciej nad ranem lecieli zupełnie spokojnie. Rzecz jasna, czuło się lekkie szarpnięcia, sen przypominał drzemkę w pociągu, kiedy człowiek śpi płytko, zachowując świadomość ruchu naprzód. Teraz gondola podskakiwała jak korek. Unosiła się niczym na grzbietach fal, a potem opadała. Krystyna i Weronika przypięły się pasami do swoich koi i próbowały drzemać. Co chwila jednak otwierały oczy. Konstrukcja skrzypiała i trzeszczała niepokojąco.

– Przed hałasem da się uciec, zatykając uszy, przed fetorem, zatykając nos, na okropny widok wystarczy opuścić powieki, ale przed takim kołysaniem nie ma żadnej ucieczki – filozofowała młodsza z dziewcząt.

– Trzeba przeczekać – westchnęła Krystyna. – Ten sztorm kiedyś ucichnie...

– Nie chcę cię martwić, ale...

– Co?

– Tam na zewnątrz wcale nie ma sztormu – wyjaśniła młodsza z podróżniczek. – Ten sterowiec ma niespełna sześćdziesiąt metrów długości. To nie jest duża jednostka. Tak zazwyczaj nim kołysze, jak się idzie pod

wiatr.

Dopiero koło szóstej trochę się uspokoiło. Krystyna nie miała jednak ochoty na sen. Umyła włosy i wysuszyła je elektryczną suszarką. Przeszła do mesy. W kambuzie krzątała się już Weronika. Delikatny aromat świeżo zmielonej kawy wypełniał pomieszczenie. Henryk siedział w pokoiku radiooperatora, na uszy założył ciężkie ebonitowe słuchawki.

Drzwi na mostek były otwarte, Michaił stał za sterem. Przywitali się skinieniem głowy. Studentka odniosła wrażenie, że chłopak chce coś powiedzieć, ale milczał. Sterowiec szedł prosto jak strzała, jednak gdy wyjrzała przez iluminatory, przekonała się, że wokoło widać wyłącznie wodę. Nawet skrawka lądu, żadnego choćby najmarniejszego żagla na horyzoncie.

Poczuła dziwny niepokój. Wiedziała, że chłopak trzyma się jakiegoś kursu, że mają kompas, mapy, komplet innych przyrządów nawigacyjnych. Że nie zabłądzili na morzu. Mimo to ogarnęła ją melancholia i poczucie zagubienia w bezludnej przestrzeni. Spojrzała spod oka na chłopca za sterem. Wpatrywał się w horyzont, nie zwracał na nią uwagi. Jego wargi poruszały się lekko, jakby usiłował wypowiadać słowa modlitwy albo bezgłośnie deklamował wiersz... Bezimienny kapitan wstał może pół godziny później. Nalał sobie kubek kawy i zmienił chłopaka za sterem.

– Niebawem będziemy nad Archipelagiem Sztokholmskim – powiedział. – Szwedzi są uprzedzeni o naszym przelocie, ale niewykluczone, że dostaniemy asystę jakiegoś ich samolotu. W końcu pojawiamy się niedaleko ich stolicy. Pewnie zechcą delikatnie zaznaczyć, że sytuacja znajduje się pod ich całkowitą kontrolą.

– Jeśli spróbują nas wywołać przez radio, jestem gotów – zameldował porucznik.

Krystyna, widząc, że Weronika kroi chleb, poszła pomóc jej w przygotowaniach do śniadania. Popatrywała przy tym ciekawie przez bulaj. Była kilka razy w Szwecji z ojcem, ale ich wizyty ograniczały się do Lund, starego miasta uniwersyteckiego na południu. Tymczasem płynęli nad labiryntem wysp i wysypek. Z wody wynurzały się szare granitowe skały.

Większe skrawki lądu zdobiły kępy brzoź i świerków, wczepionych rozpaczliwie w każdą szczelinę. Blisko morza drzewka były niewielkie i pokręcone, ale szybko pojawiły się także dorodniejsze. Silniki mruczały cicho. W kanałach pomiędzy wyspami uwijały się mniejsze i większe statki. Rybacy wracali z nocnych połowów, wioząc ładunek ryb, statki handlowe zmierzały ku stolicy, białe jednostki pasażerskie woziły mieszkańców archipelagu.

– Kiedyś stacjonowała tu flota wojenna Szwecji – powiedział kapitan zza steru. – Łączą się tu słone wody Bałtyku i słodkie jeziora Melar. Okolica obfituje w ryby, co pozwalało obniżyć koszty wyżywienia załóg, jednocześnie te kanały i przesmyki rzadko zamarzają. Sztokholm znany jest ze specyficznego mikroklimatu, zazwyczaj jest tu nieco cieplej niż w sąsiadujących gminach.

– Czyli to stąd wyruszyli, by podbić Polskę podczas potopu – zadumała się Weronika.

– Do dziś ich muzea i biblioteki pełne są skarbów, które ukradli naszym przodkom – westchnął profesor. – Mają na przykład prywatny księgozbiór Mikołaja Kopernika zrabowany we Fromborku. Ale raczej nie ma większych szans, żeby nam to oddali.

Rozmowa urwała się, w dole mignęły okrągłe, najeżone działami forty artyleryjskie. Zabudowa po obu stronach kanału zgęstniała. Pojawiły się farmy, wioski, domy, domki, ustawione coraz gęściej i na coraz mniejszych działkach. Jeszcze jeden zakręt i wypłynęli na nieco rozleglejszy przestwór wód. Po lewej ukazały się wyspy zabudowane gęsto kamieniczkami.

– Sztokholm – powiedział porucznik jakby z melancholią.

Weronika przyniosła trzy lornetki. Dzięki nim mogli spostrzec więcej szczegółów. Krystynie przypomniało się dzieciństwo spędzone w Kopenhadze. Budynki niewiele się różniły od tych w stolicy Danii. Ulicami przetaczały się auta oraz konne wozy, załadowane paczkami i beczkami.

– Proszę spojrzeć. Tam na lewo, ten budynek z wysoką wieżą to ich ratusz

miejski. – Porucznik wskazał Krystynie jakiś punkt. – A ten statek cumujący pośrodku to sowiecki lodołamacz „Sybirakow”. Potężna maszyna zimą pływa, czyszcząc tor wodny z Murmańska do Norylska, a latem czasami jest wykorzystywana do wypraw polarnych.

– Skąd się tutaj wziął? – zdziwiła się.

– Pojęcia nie mam. Może uzupełnia zapasy?

– My też będziemy uzupełniać?

– Zatankujemy i zaraz lecimy dalej – wyjaśnił. – Następna porcja paliwa czeka na lotnisku w Reykjavíku, a ostatnia na Grenlandii. Poradzilibyśmy sobie od biedy i bez tego, ale wolę mieć pełne zbiorniki. Na wypadek gdyby nas zniosły jakieś wiatry albo gdybyśmy musieli zmodyfikować plany.

Niebawem znaleźli się nad lotniskiem. Spostrzegli jasną smugę pasa startowego, kilkanaście różnych samolotów stojących w karnym rzędzie. Na dole pojawił się człowiek z chorągiewkami sygnałowymi. Pokierowano ich na plac załadunkowy między hangarami. Kapitan uruchomił windy kotwiczne, a szwedzcy żołnierze sprawnie przycumowali sterowiec do betonowych kłoców. Widać było, że mają wprawę w obsłudze aerostatów. Kapitan pozwolił dziewczętom zejść z pokładu, kazał tylko na wszelki wypadek zabrać paszporty. Przyjemnie było poczuć pod stopami twardy grunt. Szwedzi przywieźli ciężarówką kilka beczek paliwa i teraz pod nadzorem kapitana tankowali je do zbiorników sterowca. Buczały pompy, a lekki, ciepły wiatr delikatnie kołysał sterowcem.

– Nocą przelecimy nad górami, rankiem zobaczymy pewnie norweskie fiordy – cieszyła się Weronika. – A potem już tylko ocean.

– Szkoda, że tak się spieszymy – westchnęła Krystyna. – Warto by odwiedzić w tym mieście skansen i muzeum nordyckie. Mój ojciec był kilka razy w Sztokholmie, ale nigdy mnie tam nie zabrał.

Przyszedł wojskowy w paradnym mundurze, zapewne dowódca lotniska. Wymienił grzeczności z profesorem. Stali zbyt daleko, żeby można usłyszeć, o czym rozmawiają, ale sprawiali wrażenie starych znajomych.

Postój trwał około dwóch godzin i znów ruszyli w przestworza. Przeskoczyli nad szeroko rozlaną powierzchnią jeziora Melar. Z góry widać było setki zacisznych zatoczek i dziesiątki wysp. Łąki i pola szybko ustąpiły gęstym lasom, tu i ówdzie połyskiwały oczka wodne i jeziora. Krystyna siadła przy jednym z okien, chłonąc widok.

– Idziemy na wysokości pięciuset metrów – poinformował ją porucznik. – Mamy tu dobry wiatr, który pcha nas we właściwym kierunku, dzięki temu oszczędzamy paliwo, a i tak robimy prawie sto kilometrów na godzinę.

– Fascynujące – przyznała.

– W czasie wojny najpotężniejsze pruskie zeppelin, te wielkie, o mocnych silnikach, osiągały szybkości nawet dwukrotnie większe. Niestety, opracowania analityków przemysłu lotniczego i tych pracujących dla armii wskazują, że sterowce to ślepa gałąź ewolucji aparatów latających i że coraz doskonalsze samoloty już niebawem całkowicie wyprą je z nieba. Cóż, gdy mówimy o zastosowaniach militarnych, jest w tym trochę racji. Ale myślę, że przy lotach pasażerskich i transportowych sterowce nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa. Tego typu konstrukcje mają wiele zalet, których nigdy nie będą miały samoloty.

– Rozumiem. – Kiwnęła głową. – Ale wojskowi chyba mają rację. Samoloty są szybsze, bardziej zwrotne, sterowiec jest duży, ale nieruchawy. Jak go wyśledzą, koniec.

– Niemieckie zeppelin bojowe były naprawdę groźnym przeciwnikiem. Miały wewnątrz konstrukcję pozwalającą na osadzenie kilku gondoli, oprócz dolnych, pokłady bojowe znajdowały się także na górze balonu, na przedzie, czasem nawet po bokach. Wystarczyło umieścić na nich kilka karabinów maszynowych i powstawała latająca twierdza najeżona lufami, do której trudno było się zbliżyć. I która mogła zabrać nawet kilkadziesiąt ton bomb. Inna rzecz, że ówczesne samoloty nie były poważnie uzbrojone, opracowywane obecnie prototypy działek lotniczych... – Henryk urwał i ujął w dłoń lornetkę.

Jakiś szwedzki samolot przemknął kilkaset metrów od sterowca, pilot pozdrowił ich, machając skrzydłami, i znów lecieli samotni. Henryk wrócił

do kajuty radionawigacyjnej, zamarł ze słuchawkami na uszach.

Podrywa mnie czy nie? – zadumała się Krystyna. Kręci się wokół, zagaduje, odpowiada cierpliwie na pytania. Chyba wpadłam mu w oko. Zresztą, co w tym złego i jakie ma znaczenie? Powiadają, że podróże zbliżają ludzi. Będzie, co ma być...

Weronika przywędrowała z kajuty i zajęła się szykowaniem obiadu. Ponieważ rozmowa jakoś zamarła, studentka ruszyła jej pomóc.

– Trochę dziwnie się czuję ze świadomością, że pod nogami mam tylko warstwę blachy, a poniżej setki metrów pustki – wyznała.

– Tam jest chyba jeszcze jedna warstwa. – Weronika zmarszczyła brwi. – Blacha, docieplenie i kolejna blacha. I jakieś wręgi, które wszystko wzmacniają. Nie martw się, nawet jak kawałek podłogi się urwie, to nie spadniesz.

– Wiem, ale mimo wszystko jakoś tak dziwnie.

– Przywykniesz. Ja wcześniej leciałam tylko raz samolotem i znacznie bardziej się bałam. Trzęsło i trzeszczało, a tu komfort... Lecimy szybko, równo i cicho... Silniki są daleko od naszej kajuty.

Krystyna zamilkła.

Mała się nie boi, pomyślała. To dobrze. Ale ja powinnam ugryźć się w język, bo swoją gadaniną mogę ją niepotrzebnie wystraszyć. Jednak nie potrafię się uwolnić od myśli o chmurze łatwopalnego gazu nad głową i otchłani pod stopami... Generał Nobile się rozbił, a przecież miał nowoczesny sterowiec, wyszkoloną, wypróbowaną załogę i doświadczenie. A my?

Po obiedzie profesor poprosił ją o chwilę rozmowy.

– Wspomniałem wczoraj o znalezisku z Pragi – powiedział. – Pora na więcej szczegółów. Największy zbiór islandzkich rękopisów zgromadziła biblioteka królewska w Kopenhadze. Część z nich to dar luterańskiego biskupa wyspy Brynjólfura Sveinssona, ale większość zgromadzili duńscy badacze przy

okazji dokonywania spisów powszechnych. Wyszukiwano wtedy każdy możliwy strzęp pergaminu lub papieru. Wykonano mrówczą pracę. Czego nie dało się odkupić lub wyprosić, przepisywano. Na podstawie sag, kronik, listów, dokumentów udało się całkiem nieźle poznać dzieje nie tylko samych Islandczyków, ale też ich pobratymców, którzy zamieszkali na Grenlandii i w Osiedlu Wschodnim. Niestety, w zbiorach duńskich i islandzkich nie ma praktycznie żadnych dokumentów dotyczących kolonii położonej dalej na północ, w rejonie dzisiejszej osady Godthåb. Czyli w tak zwanym Osiedlu Zachodnim. Kronika znaleziona w Czechach nie tylko jest jedynym obszerniejszym dokumentem pochodzącym z tego miejsca, ale wspomina też o kolejnej osadzie, czy może raczej dużej farmie, położonej jeszcze dalej na północ. Oto tłumaczenie najciekawszego fragmentu.

Dziewczyna zaciekawiona ujęła podany maszynopis.

Gdy nadchodziła zima, trolle stawały się bardziej dokuczliwe. Porywały kury i owce, a raz nawet usiłowały uprowadzić krowę. Domniemywać można, iż nie posiadały zapasów żywności, które umożliwiłyby im przetrwanie pory chłódów. Doszło do tego, że musieliśmy nocami trzymać straż. Gdy kilka wpadło w naszą zasadzkę, zatłukliśmy je kijami i wystawiliśmy powieszane na słupach na skraju osady. Od tamtej pory już ich w naszych stronach nie widziano. Pewnego dnia poważły się jednak napaść poczciwego gospodarza Sigurda w jego farmie. Zabiły o świcie jego rodzinę, domowników i wszystkie sługi. Nikogo nie oszczędziły, tylko najmłodsza córka zdołała się ukryć w sianie nad oborą, a nocą umknęła kajakiem i po dwóch dniach żeglugi dotarła do nas na południe. Poruszony jej opowieścią, nakazałem zebrać trzydziestu najsilniejszych mężczyzn i ruszyliśmy wymierzyć sprawiedliwość. Obmierzłe trolle dały się zaskoczyć, gdyż naruszywszy Sigurdowe zapasy wina i piwa, zaległy niezdolne stawić oporu. Usiekliliśmy wszystkie mieczami lub dobiliśmy widłami, uciekające wybili z łuków towarzyszący nam myśliwi z ludu Skraelingów. Zebraliśmy ciała Sigurda, jego rodziny oraz sług i pogrzebaliśmy godnie, ścierwo trolli zaś zgromadziliśmy na północ od dawnego kościoła i przywaliliśmy głazami, aby nie dawać zwierzętom okazji do żeru. Wielki żal było pozostawiać kwitnącą niegdyś farmę na pastwę losu. Jednak wobec jej oddalenia nikt tu na zimę nie chciał pozostać. Wyłapaliśmy

krowy i kozy, zabraliśmy też przetopioną miedź i rudę wydobytą przez służę Sigurda.

– Trolle... – mruknęła Krystyna.

– Ano właśnie – westchnął profesor.

– Ale nie chodzi o autochtonów, bo autor wyraźnie rozróżnia trolle i Skraelingów, czyli Eskimosów?

– Powiem tak: gdyby chodziło o Islandię, można by domniemywać, że Eskimosi, drobni, śniadzi, skośnoocy i czarnowłosi, mogli zostać wzięci za trolle. Teoretycznie jakaś burza mogłaby zanieść ich kajaki aż tam. Ale na Grenlandii mieszkańcy od czasu do czasu mieli z nimi kontakt. Tu najwyraźniej chodzi o zupełnie inny lud albo wręcz nie ludzi. To pasuje do naszej teorii bytowania yeti i jetinsynów w odległych zakątkach Arktyki.

– A może to byli Indianie z Labradoru? – podsunęła. – Wiemy, że wikingowie podróżowali do legendarnej Winlandii i miejsca, które nazwali krainą lasów. Skoro oni popłynęli tak daleko na zachód, to może ktoś z zachodu był ciekaw, skąd przybywają, i odwiedził Grenlandię? Nie wiemy, czy wikingowie tylko łupili i podbijali tamte ziemie. Być może handlowali z tubylcami. Indianie mogli zapragnąć zdobyć dobra, które należały do przybyszów, w drodze handlu albo przemocą. Albo może chcieli pomścić jakieś swoje krzywdy?

– To ciekawa teoria. – Profesor kiwnął głową. – I także warta zweryfikowania na miejscu.

– Ale jak niby chciałby pan to zweryfikować? – zdziwiła się.

– Trzeba odszukać miejsce pochówku opisane w kronice, odkopać szkielety domniemyanych trolli, pomierzyć ich czaszki i wykonać inne analizy antropologiczne. Uzyskamy twarde, niepodważalne wyniki. Jestem przekonany, że potwierdzą przypuszczenia pani ojca.

– Zidentyfikowanie tego miejsca będzie chyba niezwykle trudne... –
Zamyśliła się.

– Owszem, ale manuskrypt zawiera sporo wskazówek. Po pierwsze, farma leżała dwa dni drogi kajakiem na północ od Osiedla Zachodniego.

– Nie wiemy, w jakim wieku była ta córka Sigurda – zauważyła Krystyna. – Dwa dni wiosłowania to inna odległość dla osiemnastolatki, a inna w przypadku siedmiolatki.

– Owszem. Sądzę, że to dystans pomiędzy dwadzieścia a maksymalnie osiemdziesiąt kilometrów. Druga wskazówka: na terenie farmy był kościół. To oznacza, że mieszkało tam sporo ludzi. Zapewne nie mieli własnego duchownego, ktoś dojeżdżał do nich z południa, by odprawiać msze. Ale to będzie skupisko ruin wielu budynków mieszkalnych. Niewielka osada, bogata dzięki zasobom naturalnym. Rozwaliska kościoła też pewnie rozpoznamy.

– O ile nie był drewniany.

– To też słuszna uwaga. Ale wydaje mi się, że nie. Norwegowie mieli pod dostatkiem drewna. Budowali istne katedry, kościoły słupowe, wysokie i piękne. Na Islandii z drewnem był kłopot. Tamtejsze świątynie są niskie, przysadziste, o bardzo grubych kamiennych murach. Na Grenlandii z drewnem było jeszcze gorzej. Kolejna poszlaka zawarta w kronice jest taka: ci ludzie osiedlili się tam nie tylko z uwagi na obecność dogodnych pastwisk, ale natrafili także na rudy miedzi, i to zdatnej do przetopienia. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy pozostałości kopalni. Szyby wydobywcze, sztolnie, hałdy urobku. No i liczę na ślady pieców.

– Zatem będziemy przemieszczali się od fiordu do fiordu, szukając na ślepo?

– Nie do końca na ślepo – uśmiechnął się profesor, sięgając po opasy wolumin. – Mam tu publikację duńskich archeologów, którzy spędzili kilka lat, katalogując wszelkie ślady osadnicze na wyspie. Eskimoskie, normańskie, z okresu ponownej kolonizacji oraz takie, których nie potrafili jednoznacznie zidentyfikować. Wprawdzie opisy są dość zdawkowe, a rysowali i fotografowali tylko najciekawsze stanowiska, ale za to zamieścili

mapki.

– Czyli...

– Wybrałem dwie lokalizacje. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy to, czego szukamy. Nie da się niestety wykluczyć jeszcze jednego scenariusza. – Westchnął. – Mogło być i tak, że teren tej farmy przykrył lodowiec. Kolonie na Grenlandii upadły, bo zrobiło się zimniej. Zresztą i obecnie, wedle uczonych, żyjemy u progu nowej epoki lodowcowej. Opady śniegu są coraz obfitsze. Prognozuje się, że koniec dwudziestego wieku przyniesie zauważalne ochłodzenie klimatu, a w pierwszych dekadach dwudziestego pierwszego spadną średnioroczne temperatury i powstaną lodowce w Tatrach. To zaowocuje skróceniem okresu wegetacji i niższymi plonami. Dziś głód naszej części Europy nie grozi, ale dla naszych wnuków, na przykład około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego, kartki na żywność i inne towary mogą stać się smutną oczywistością...

– Raz już przytrafił się rok bez lata – zauważył Henryk ze swojego stanowiska. – Tysiąc osiemset szesnasty. W Kanadzie śniegi spadły w czerwcu, w Europie było bardzo zimno i deszczowo, wielu upraw nie zdołano zebrać. To był wprawdzie efekt zanieczyszczenia atmosfery pyłami z wulkanu, który wybuchł w holenderskich koloniach, ale może to stanowić dla nas ostrzeżenie.

– Norwegia pod nami – uczony zmienił temat. – Szkoda, że ominiemy Oslo. Byłem przed kilku laty w gościnie u Nansena. Miał duży dom, nieomal zameczek, w Lysaker, niedaleko stolicy. Zgromadził nie tylko fantastyczną kolekcję rozmaitych eksponatów przywiezionych z wypraw, ale też obszerną dokumentację naukową dokonań poprzedników, kolegów i towarzyszy badań. Do późnej nocy gadaliśmy o podboju sfer polarnych. Miał jeszcze pewne plany. Mówiło się o wielkiej międzynarodowej ekspedycji, o flocie sterowców i badaniach z powietrza. Ale zaraz potem nastąpiła katastrofa aerostatu „Italia” generała Nobilego, a podczas prób ratowania Włochów zaginął bez śladu Amundsen. Te tragedie bardzo Nansena przybiły. Serce nie wytrzymało. A nie był to jeszcze stary człowiek...

– Wykończyła go praca dla Ligi Narodów – mruknął Henryk. – I wieści, które przed śmiercią otrzymywał z ZSRR. Miał wielu przyjaciół Rosjan,

bolało go to, co się tam dzieje.

*

Prawdziwa abisyńska kawa wypełniała mesę wspaniałym aromatem. Michaił znów prowadził aerostat, kapitan zaszył się w kajucie i smacznie chrapał. Pozostali członkowie ekspedycji albo czytali, albo obserwowali z góry kraj przesuający się w dole jak barwna mapa. Rozległe pola lodowe, dzikie górskie wąwozy i wijące się, srebrzyste wstęgi potoków, wodospady, a w szerszych dolinach farmy, stada krów i owiec pasące się na spłachetkach łąk. Kamienistą drogą przemknęła dwukołowa kariola, mignął im, drewniany kościół, malutki i poczerwiał ze starości. Dzieciaki zadzierały zaciekawione głowy i machały do statku powietrznego. Potem sunęli wzdłuż fiordu, ciemna barwa wody pozwalała domyślić się, że jest tu głęboko. Zaraz obok pojawił się kolejny fiord, a gdy kapitan wzniósł nieco maszynę, ujrzeli całe wybrzeże. Wreszcie dobrze po dwudziestej pierwszej przemknęli nad ostatnim miasteczkiem.

– Pora pożegnać stały ląd – odezwał się Henryk. – Przed nami Atlantyk.

Teraz dopiero Krystyna poczuła prawdziwy niepokój. Do tej pory lecieli nad ziemią, w razie awarii silnika albo ubytku gazu można było wylądować awaryjnie i wysiąść z gondoli... A teraz pod nimi była tylko woda.

*

Weronika zasnęła. Krystyna wydobyła z walizki zagadkową teczkę. Zaciągnęła zasłonki, zapaliła małą lampkę nad koją. Rozwiązała troczki i w mdłym świetle słabej żarówki kolejny raz zaczęła przeglądać sztywne karty.

Równiutko przycięte arkusze brystolu, na nich naklejone zdjęcia. Na niektórych była jej matka, na pozostałych ona sama. Fotografie, zaznaczone tuszem punkty pomiarów, diagramy, schematy, wykresy. Charakterystyka antropologiczna. Obok opisy nakreślone równym, niemal kaligraficznym pismem. Zamrugała, ale gąszcz literek nie ułożył się w zrozumiałe słowa. Przeglądała zawartość, coraz bardziej zirytowana. Pamiętała, że ojciec, od kiedy mogła sięgnąć pamięcią, co kilka miesięcy mierzył jej głowę, był też zapalonym fotografem. Nie sądziła, że jego hobby ma jakieś ukryte znaczenie. Co chwila natrafiała na spięte strony kompletnie niezrozumiałego maszynopisu.

To wszystko jest zaszyfrowane, rozważała. W sumie to logiczne. Tajne dane tajnych instytucji zazwyczaj się szyfruje, by nie mogły wpaść w niepowołane ręce. Ta teczka wpadła. Stryjek ją wykradł, a potem oddał. Czy zdołał to przeczytać? To raczej pewne... Bo jakby nie zdołał, toby zabrał ze sobą. W Moskwie z pewnością są lepsi fachowcy i oni by sobie z tym poradzili. Czemu oddał mi teczkę? Lojalność rodzinna? Chyba nie ma co na to liczyć. O spadek po dziadku walczył jak wściekły buldog. A może na przykład sądzi, że oddam ją do instytutu, i podmienił kilka kartek, żeby ich wprowadzić w błąd? Tak, to prawdopodobne.

Męczyła się ponad godzinę, usiłując odgadnąć metodę, jakiej użył ojciec, ale nie zdołała. W harcerstwie nie raz stosowali różne szyfry, uczyli się je łamać... Przystawiała litery, podstawiała inne, ale tekst zazdrośnie strzegł swoich tajemnic. Była pewna, że nie zastosowano w tym przypadku szyfru Juliusza Cezara ani podobnego prostego systemu kodowania.

– To musi być coś banalnego – westchnęła. – Coś, co pozwalało mu robić notatki na bieżąco, co nie wymagało żadnej maszyny szyfrującej ani nic z tych rzeczy.

Zniechęcona poskładała wszystko do teczki i umieściła ją pod poduszką.

*

Kolejny dzień ciągnął się jak guma. Weronika czytała, Krystyna tłumaczyła profesorowi interesujące go fragmenty duńskich opracowań etnograficznych. Henryk to siedział, nasłuchując radia, to snuł się po pokładzie, to dosiadał do stołu, żeby posłuchać tłumaczenia. Kapitan i Michaił na zmianę prowadzili sterowiec.

Islandia pojawiła się znenacka rankiem następnego dnia. Najpierw ujrzeli oblodzone szczyty, wystające ponad horyzont. Masyw górski z minuty na minutę potężniał w oczach. Krystyna z Weroniką robiły obiad, co chwila wymykając się do kabiny nawigacyjnej, aby choć rzucić okiem na piętrzące się przed aerostatem wulkany i lodowce. Kapitan wykonał lekką korektę kursu.

– Wiatr nam sprzyja – mruknął jakby do siebie.

– Będziemy tankowali paliwo w Reykjavíku – poinformował dziewczęta Henryk. – Nie mamy w planach uzupełniania zapasów, ale jeśli potrzebujecie zrobić jakieś zakupy...

Nie potrzebowały.

Zjedli obiad, w milczeniu spoglądając przez okna na rozciągający się wokoło krajobraz. Brzeg sprawiał wrażenie niegościnnego, smaganego wichrami odludzia. Wypatrzyli marne drogi wysypane tłuczniami, samotne gospodarstwa zagubione wśród pustkowi. Kilka razy dostrzegli przez lornetki dwukołowe kariole ciągnięte przez małe krępe koniki, a raz całą karawanę objuczonych zwierząt, wędrujących z jakimiś towarami ku dalekim osiedlom.

– Te góry to wygasłe wulkany. Teoretycznie można by tu chyba szukać złota
– zauważyła Weronika. – Kruszec występuje w skałach magmowych.

– Magma magmie nie równa – zaczął tłumaczyć profesor. – Owszem, na zboczach Etny znajdowano skały z zawartością rud polimetalicznych, w tym złota i srebra, ale stopień zanieczyszczenia i rozproszenie koncentracji były takie, że jakakolwiek eksploatacja okazała się nieopłacalna.

Dopiero w pobliżu stolicy zaobserwowali niewielki kawałek linii kolejowej i parowóz, który wyrzucając z komina kłęby dymu, ciągnął kilka towarowych wagonów. Henryk przeszedł do kajuty radionawigacyjnej i zaczął wywoływać miasto.

– Mają tu lotnisko? – zaciekała się Krystyna.

– Mają, ale w zasadzie nie jest używane – wyjaśnił profesor. – W każdym razie poproszono nas, abyśmy lądowali na jednym z placów przeładunkowych w porcie. Samoloty w tej części świata to swego rodzaju rzadkość, ale czasem przylatują tu sterowce rozmaitych ekspedycji polarnych, więc mam nadzieję, że nie wzbudzimy nadmiernej sensacji.

Powoli nadlecieli nad port. Przy pirsach stało kilkanaście mniejszych i większych jednostek. Zaraz też wypatrzyli człowieka z chorągiewkami sygnałowymi. Usiedli na placu. Nadbiegło kilku robotników, zresztą zaczęli cumy do betonowych pachołków.

– No, to odetchnijmy powietrzem odległej wyspy – zarządził profesor.

Kapitan został na pokładzie, reszta zeszła na ziemię. Po rozległym placu hulał wiatr. Opodal cumował sowiecki okręt. Jednostka wyglądała na brudną i zaniedbaną. Biała bandera z niebieskim paskiem, ozdobiona czerwonymi emblematami gwiazdy i sierpa skrzyżowanego z młotem, łopotała na wietrze. Dźwig wydobywał z ładowni jakieś skrzynki. Kilkunastu marynarzy pomagało opuszczać je na podstawioną przez Islandczyków ciężarówkę. Nawet tu słychać było, jak wspomagają się podczas pracy mocno niecenzuralnymi wyrażeniami. Krystyna zauważyła jedną rzecz – wszyscy zdawali się bardzo skupiać na swoim zadaniu, zupełnie jakby sterowiec

wiszący raptem dwieście metrów od nich nie był niczym nadzwyczajnym. Chłopak okrętowy gapił się na wrogą jednostkę, a przy tym drżał jak osika. Widać było, że wracają do niego jakieś koszmarne wspomnienia.

– Idź do kajuty – mruknął profesor. – Poradźmy sobie.

Michaił nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Znikł jak duch. Ciężarówka odjechała, zaraz podstawiono kolejną.

– Boi się – mruknął Henryk. – Czasem wystarczy choćby wspomnieć o Sowietach i już się robi zielony na twarzy...

Uniósł lornetkę do oczu i długą chwilę lustrował pokład radzieckiego okrętu. Spostrzegł trzech strażników z karabinami, pilnujących pokładu. Opuścił przyrząd i wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czego tu szukają ani co przywieźli. Zresztą pies im buźkę lizał – powiedział. – Jedyne problem, że mogą uznać nasz sterowiec za coś niezwykłego. Z pewnością na pokładzie mają kilku agentów OGPU. Przekazą meldunek do swojej centrali. Ci z „Sybirakowa” też mogli o nas zameldować. Ktoś może dodać dwa do dwóch.

– Marynarze nie uciekają? – zagadnęła Weronika. – Obcy port, jest okazja zejść na ląd, iść na policję czy do władz, poprosić o azyl i stać się wolnym człowiekiem.

– Nie wiem. Sądzę, że po pierwsze, za granicę pływają tylko zaufani, po drugie, każdy z nich wie, że jak ucieknie, to jego rodzina trafi do łagru – odparł profesor. – Albo i pod ścianę, bo takie u nich panują miłe zwyczaje. Tak czy inaczej, niedobrze, że ich spotykamy. Nie zapominajcie też, że sterowiec jest poniekąd kradziony. Wprawdzie z moralnego punktu widzenia nie mają do niego żadnych praw, ale my także takich praw nie mamy. Jeśli

go zidentyfikują...

– Przecież nas nie pochwycą? – zirytowała się Krystyna. – Bo niby jak? Przybiegną tu ze statku, to śmigniemy w górę i tyle. Zechcą nas ścigać okrętem, to zakręcimy w głąb lądu, a i nad wodą pomkniemy szybciej niż oni. W powietrzu nas nie dosięgną.

– Teoretycznie nie. Ale będziemy musieli jakoś wrócić, a jeśli złożą oficjalne pisma z żądaniem wydania im własności rządowej, to lokalne władze mogą zechcieć zatrzymać maszynę, gdy tylko wylądujemy. Ci przemysłowcy wtedy w Finlandii... Odnoszę czasem wrażenie, że chcieli się go pozbyć. Nie planowali w każdym razie wracać do Sowdeprii, zaledwie im tam deptano po piętach.

Umilkli. Zaraz podjechała ciężarówka wioząca beczki z paliwem. Pokwitowano przyjęcie ładunku, uruchomiono pompy. Krystyna stała i w zadumie patrzyła na stary, zniszczony sowiecki okręt i uwijających się wokół niego ludzi. Spojrzała przez lornetkę Henryka i zaraz ją opuściła. W zdeptanych kirzowych butach, powyciąganych spodniach z workowego płótna, pasiastych tielniaszkach i drelichowych kurtkach wyglądali nędznie. Zauważyła też, że wielu jest nieogolonych.

– Wyglądają jak więźniowie – mruknęła Weronika.

Dociskała kapelusz dłonią, wiatr rozwiewał jej włosy.

– Więźniów nie wypuszczono by raczej za granicę. Ale coś z racji jest w tym, co mówisz, bo tam wszyscy są de facto niewolnikami, a ci uprzywilejowani co najwyżej poganiaczami niewolników.

Niebawem ruszyli dalej. Port i sowiecki okręt pozostały w dole. Henryk konsultował coś przez radio, kapitan obrał kurs na północny zachód. Sterowiec popłynął nad rozległą zatoką i powoli nabierał szybkości. Mieli lekki wiatr z prawej, ale podmuchy były na tyle ugodne, że nie przeszkadzały w powietrznej wędrówce. Jeszcze przez kilka godzin widzieli pokryte śniegiem szczyty wulkanu Snæfellsjökull, wreszcie i on znikł za horyzontem. I znów jak okiem sięgnąć nie było nic – tylko ocean.

*

Znów przyszedł tamten sen. Męczący, dręczący, niepokojąco realistyczny. Tym razem nie było w nim ucieczki przez zasypaną śniegiem tundrę. Kuliła się w jakimś wykrocie, ciasnej norze, czy może czymś w rodzaju szałas, pod pniem powalonego drzewa. Było tu niemal zupełnie ciemno, ona jednak jakimś cudem widziała, co robi. Tarła dwa kije, usiłując rozniecić w ten sposób ogień. Kije nagrzewały się, czuła już zapach dymu, jeszcze trochę i pojawią się pierwsze plamki żaru. Na zewnątrz huczał wiatr, drzewa trzeszczały niepokojąco i klekotały gałęziami. Przez odwieczną tajgę przetaczał się buran... Tu było zacisznie, tylko lodowato zimno.

Wreszcie udało się. Cienka smużka dymu połaskotała ją w nos. Plamki żaru na drewnie zlały się w jedno, rozdmuchała wąty płomyk i zapaliła od niego zwitek białej brzozonej kory, a potem ognisko ułożone z patyczków. Wnętrze kryjówki powoli się nagrzało. Umościła sobie marne poślanie z traw i brzozonych liści. Wygarnęła z woreczka kilka cedrowych szyszek. Zgrabiętymi palcami łupała twarde łuski, a potem ostrożnie rozgryzała orzeszki ukryte w brązowych zdrewniałych skorupkach. Powoli zniknęło dokuczliwe ssanie w żołądku, odmrożone opuszki palców piekły. Ale na uciekinierkę spłynął ogromny spokój. Tu prześladowcy nie odnajdą jej nigdy. A przynajmniej tak długo, jak szaleje buran, ona jest bezpieczna. W małej, ciepłej norce pośrodku szalejącej burzy...

*

Ze snu wyrwała ją seria wstrząsów. Sterowiec wpadł w turbulencje. Na szczęście wszystko potrwało może kwadrans i znów lecieli równo. Krystyna spojrzała na zegarek. Piąta rano. Wyjrzała na zewnątrz. Nadal znajdowali się nad oceanem. Jak daleko mogła sięgnąć wzrokiem, nie dostrzegała ani lądu, ani żadnego statku. Kompletnie odechciało jej się spać. Znów zapaliła lampkę i zaczęła przeglądać zawartość teczek. Dotarła na sam koniec i nieoczekiwanie spostrzegła coś, czego nie zauważyła wcześniej. Na jednej z kart widać było lekkie wgłębienia. Ktoś pisał coś twardym ołówkiem i widocznie mocno dociskał, skoro na brystolu odbił się ślad. Ciąg liter... Dwa ciągi.

Stryjek złamał szyfr?

Długo manipulowała kartą przy lampie, usiłując tak ustawić światło, żeby jak najlepiej zobaczyć odciski. Ślad nie był wyraźny, ale odcyfrowała piętnaście liter i ich odpowiedników. Teraz zabrała się do oryginalnego tekstu. Bardzo szybko domyśliła się znaczenia kilku wyrazów, to pozwoliło uzupełnić klucz. Wreszcie miała wszystkie litery.

Zabrała się do lektury. Ze strony na stronę ogarniało ją coraz większe zdumienie. Wreszcie dotarła do stroniczki maszynopisu zatytułowanej „Szkic raportu końcowego”.

Należy przypuszczać, że wśród ludzi funkcjonują dwie grupy tych istot. Pierwsza, rozbójniczo-pasożytnicza, składa się ze świadomych swego pochodzenia jetinsynów w pierwszym i drugim, a być może też trzecim pokoleniu. Realizuje ona program demoralizacji i depopulacji gatunku ludzkiego. Obok niej bytuje grupa druga, na którą składa się bliżej nieokreślona liczba „porzuconych”. Są to istoty posiadające mniejszą domieszkę obcej krwi. Nie są świadome swego pochodzenia i dobrze zasymilowały się z nami. Ci potomkowie jetinsynów charakteryzują się już jedynie błyskotliwą inteligencją, wyjątkową odpornością na infekcje, wysoką

tolerancją na mróz, noktologią i być może szczątkowym zmysłem telepatycznym.

– Noktologia, czyli dobre widzenie w ciemnościach – mruknęła.

Przypomniała sobie nocne podchody na obozie harcerskim i te wszystkie noce w Kopenhadze, a potem w Warszawie, gdy nie zapalając światła, odnajdywała bez trudu różne rzeczy, dziwiąc się, że inni ludzie błakają się po omacku. Czytała dalej:

Nie potrafię dociec genezy ich pojawienia się wśród nas. Być może w okresie od połowy XVIII do początków XIX wieku yeti podjęli pierwszą nieudaną próbę instalacji swojej agentury wśród ludzi. Plany te z jakichś przyczyn się nie powiodły. Małpoludy wycofały się, porzucając potomków na pastwę losu. Genealogia mojej żony zdaje się potwierdzać to przypuszczenie. Jak ustaliłem, pochodzi od chłopca znalezione go przy drodze na wschód od Tobolska i przygarniętego przez rodzinę młynarza wracającego z Syberii na Ukrainę.

W przypadku mojej córki, posiadającej jedną szesnastą krwi yeti, cechy recesywne, typowe dla jetinsynów, obserwowalne jeszcze u jej matki, są już w zasadzie nieuchwytnie przy użyciu zwykłych metod pomiaru.

– To ja też?! – syknęła i zaraz zasłoniła usta dłonią.

Na szczęście Weronika nie obudziła się. Krystyna odłożyła papiery i długo siedziała na koi, wpatrując się tępo w bulaj. Wreszcie otworzyła szafę, stanęła przed lustrem, a po chwili wahania ściągnęła przez głowę koszulę nocną. Zwierciadlana tafla była wąska, ale gdy odrobinę się cofnęła, ujrzała całą postać.

– Jak by to powiedzieli: cud rozkwitającej dwudziestoletniej kobiecości –

burknęła pod nosem zdanie wyczytanie kiedyś w tanim romansidle.

Okręciła się na pięcie, stanęła bokiem. Wpatrywała się w swoje ciało jak antropolog. Szukała wzrokiem wszelkich odstępstw od normy, wszystkiego, co zdradzałoby niehumanitarne pochodzenie. Nie znajdowała. Proporcje były dobre. Ręce i nogi odpowiedniej długości. Piersi jak połówki grejpfrutów, ładne, normalnego kształtu. Obojczyki delikatnie zarysowane. Może tylko jasne włoski na przedramionach i łydkach rosły ciut gęściej, niż to widziała u swoich koleżanek z roku. Spojrzała krytycznie raz jeszcze i uspokojona pokręciła głową.

– Och... ale jesteś piękna – głos Weroniki sprawił, że Krystyna zamarła w pół ruchu i odruchowo zasłoniła dłońmi nagi biust. – Masz figurę jak księżniczka albo i królowa.

Obejrzała się. Smarkula obudziła się najwyraźniej i patrzyła na starszą towarzyszkę z nieskrywanym zachwytem.

– Marzę o chwili, kiedy dorosnę i też nabiorę takich bardziej kobiecych kształtów – oznajmiła mała z rozbrajającą szczerością.

Krystyna nie odpowiedziała, pośpiesznie zawijała się w szlafrok, lustro odbijało czerwień jej płonących ze wstydu policzków. Ale słowa towarzyszki mimo wszystko trochę ją uspokoiły. Jak to sformułował ojciec? Różnice anatomiczne nieuchwytnie.

– Pośpij jeszcze – powiedziała. – Dopiero szósta rano.

Położyła się. Brnęła przez zapiski, mozolnie składając literę po literze.

Córka kilkakrotnie opowiadała mi o dręczącym ją śnie, w którym ucieka na nartach przez zasypaną śniegiem tundrę. Ponieważ nic takiego w jej życiu się nie wydarzyło, a o podobnych snach wspominała także moja żona, skłamałam to na karb pamięci wrodzonej – odcyfrowała inny kawałek zapisków ojca. Być może to zapis dramatycznej ucieczki ich praprababki, rosyjskiej dziewczyny porwanej i zapłodnionej przez małpoludy. Pojawia się jednak

zrozumiałe pytanie, dlaczego akurat ta informacja wydostaje się z głębin jaźni, podczas gdy nie wspominały o podobnych snach dotyczących późniejszych epok. Być może te wrażenia odbiły się jakoś w umyśle małego dziecka, które uciekinierka nosiła w łonie.

Czarujące, pomyślała ze złością. Własna rodzina przedmiotem badań naukowych nad małpoludami? A jak brali ślub z mamą, już to wiedział czy wpadł na ten koncept dopiero potem?

Zagryzła wargi. Matkę pamiętała ledwo, ledwo. Ojciec miał swoje sekrety, ale znała go jako człowieka prawego, szlachetnego. Naukowca oddanego swoim pasjom, ale przy tym dobrego i posiadającego poczucie humoru.

– Z pewnością wpadł na to przypadkiem – uspokoiła się. – A jak spostrzegł coś, co go zastanowiło, zaczął to badać...

Wreszcie zgarnęła karty z zapiskami, ubrała się i wyszła do mesy. Profesor i Henryk już wstali, siedzieli przy stole pochyleni nad mapami. Z trzaskiem położyła teczkę na blacie. Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Jestem małpą?! – syknęła.

Nie zrobiło to na nich większego wrażenia.

– Po pierwsze, to śladowa domieszka obcych cech. Gdyby miała pani tyle krwi murzyńskiej czy azjatyckiej, nikt by się nie domyślił, że wśród przodków były podobne nacje. Po drugie, nie ma się czym przejmować, bo nie zamierzamy oddać pani do zoo ani likwidować. Po trzecie, nie pani jedna.

– Uczony wzruszył ramionami.

– Wiedzieliście?

– Tak. – Profesor kiwnął głową. – Przecież pracowaliśmy z pani ojcem. Wspominał o wykonanych pomiarach...

– Wiedzieliście i zabraliście mnie ze sobą. Jako przynętę na innych jetinsynów? – warknęła wściekle. – Jak kozę przywiązaną pod drzewem? Żeby mnie wyczuli telepatycznie i przybyli? A wtedy wy ich za łeb? Czy

może planujecie rokowania?

– Gdybyśmy chcieli kontaktować się z jetinsynami, wyruszylibyśmy na wyprawę znacznie lepiej uzbrojeni i liczniejszą ekipą – powiedział spokojnie porucznik. – Co do pani obecności, pani ojciec był zwolennikiem teorii o pamięci wrodzonej, czyli że coś z doświadczeń przodków odkłada się nam w mózgu i bezpośrednio wpływa na postępowanie. Mamy cień nadziei, że skutkiem swego pochodzenia zaobserwuje pani miejsca, które mogły interesować tych nietypowych przodków, a my zdołamy znaleźć jakieś ich ślady i tym samym zdobędziemy twarde dowody, jakich żąda od nas Warszawa. Ale zasadniczo naprawdę jest nam pani potrzebna jako tłumaczka. I choć może to mało romantyczne, również do pomocy w kuchni.

– A jeśli mnie wyczują? Telepatycznie albo w inny sposób?

– Nie braliśmy tego pod uwagę. Z telepatią to w zasadzie tylko hipoteza. W ogóle telepatia, jak by to powiedzieć... Nie została nigdy potwierdzona naukowo, choć eksperymenty inżyniera Ossowieckiego są bardzo ciekawe i dają do myślenia. Może powinniśmy zawrócić? – zadumał się Henryk.

– Nie sędzę, by było to konieczne – powiedział profesor. – Zresztą...

Wstał i podszedł do ściany. Zdjął z niej sztucer. Z szafki poniżej wydobyl paczkę naboí.

– Droga Krystyno – powiedział, kładąc broń przed nią, na stole – to jest sztucer na naboje Nitro Express 600. Mówiąc potocznym językiem, flinta na najgrubszego zwierza. Najpotężniejsza broń myśliwska, jaką wymyślili ludzie. Szarżujący słoń trafiony takim pociskiem zatrzymuje się w miejscu. Rozjuszony byk wywija kozła w powietrzu. W czasie wojny zabijałem z tej pukawki pruskich strzelców wyborowych ukrytych za stalowymi płytami okopowymi. A to są naboje dum-dum. – Potrząsnął pudełkiem. – Oficjalnie zakazane od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku przez konwencję haską. – Wyłuskał jeden z paczki. – Zupełnie słusznie zakazane, bo czubek to czysty ołów bez stalowego płaszczu, a w dodatku jest wydrążony w środku. Po trafieniu w cel deformuje się i grzybkuje w ciele, tworząc rozległą miazdżono-szarpaną ranę. W czaszce byka taka kula wyrywa dziurę, której nie da się nakryć czapką. Nabijam zazwyczaj na

przemian jeden normalny, jeden taki. Jeśli cokolwiek pani zagrozi... nieważne, czy niedźwiedź polarny, czy yeti, mamut, dinozaur, czy też tankietka pełna Sowietów, zrobimy z tym porządek, zanim zdąży się pani przestraszyć.

– Czego jeszcze mi nie powiedzieliście?

– Szeregu rzeczy, które są tajne albo ściśle tajne, i nie posiada pani uprawnień, aby poznać tego typu informacje – powiedział Henryk szczerze. – Ale wie pani wystarczająco wiele, by pomóc w naszej misji.

– A jeśli nie zechcę wystąpić przeciw swoim? – fuknęła.

– Po pierwsze, to nie są żadni swoi. Zapewne porwali kogoś spośród pani przodków. Kobietę. Zgwałcili, zapłodnili, żeby urodziła im potomstwo, które planowali wytresować po swojemu i czysto instrumentalnie wykorzystać przeciw ludziom. Jeśli jednak czuje pani konflikt sumienia, znajdziemy ponurą bezludną wyspę i zostawimy na niej panią. Oczywiście z namiotem i zapasami na mniej więcej miesiąc pobytu. Gdy wykonamy misję, zabierzemy panią w drodze powrotnej do Polski.

– I tam stanę przed sądem wojennym?

– A niby po co i z jakiego paragrafu? – wtrącił się profesor. – Odwieziemy panią do Warszawy i tam damy kilka razy wojskowym pasem w pupę, a potem puścimy wolno. Nie ma większego znaczenia, czy komuś pani opowie o instytucie i jego badaniach. I tak nikt w to nie uwierzy. Nie zna pani adresu, nie ma legitymacji pracowniczej, a nasza instytucja jest tak ściśle tajna, że w całym kraju wie o niej kilkanaście osób. Może pani puścić farbę przed strykiem, ale to akurat żaden problem, bo sukinsyn już to wszystko wie. A przedmiot naszych badań... No cóż. Zacznie pani opowiadać, że Lenin był potomkiem małpoludów zamieszkujących strefy arktyczne? Na zdrowie. Można o tym trąbić na prawo i lewo. Ale po tygodniu czy dwóch przyjdą smutni sanitariusze z odpowiednim kaftanem. Oczywiście bardzo panią lubimy i będzie nam strasznie żal, więc wyślemy pani paczki z czekoladą oraz kandyzowanymi owocami do zakładu dla psychicznie i nerwowo chorych w Tworkach...

Popatrzyła na nich zarazem rozbawiona i poirytowana. Uśmiechali się trochę szyderczo, ale jednocześnie przyjacielsko.

– No dobra – mruknęła. – Ta bezludna wyspa i lanie w tyłek chyba nie będą potrzebne. Gorzej, jeśli te małpoludy jednak mnie wyczują, przybędą i poderzną nam wszystkim gardła. Tylko dlaczego stryjek wykradł tę teczkę, a potem mi ją oddał?

– Zapewne chciał się dowiedzieć, czym zajmuje się pani ojciec, a nie był w stanie włamać się do archiwów instytutu. Za to sforsowanie zamków waszego mieszkania oraz drzwiczek sejfu okazało się dla niego wykonalne. A czemu ją oddał? Pewnie właśnie po to, żeby nabrała pani wątpliwości... – odparł Henryk.

– Myślałam, że może sfałszował jakiś kawałek dokumentacji.

– Nie da się tego wykluczyć – zadumał się profesor. – Czy któryś fragment budzi pani wątpliwości?

Pokręciła głową.

– Wszystkie karty wyglądają podobnie – odparła. – Rysunki i opisy ewidentnie wyszły spod ręki ojca. Maszynopis... To chyba byłoby łatwiej, ale papier jest identyczny i czcionka maszyny chyba też.

*

Lecieli i lecieli. Morze było szare, zupełnie puste. Nie dostrzegali dookoła żadnego lądu, tylko od czasu do czasu pojawiał się samotny żagiel albo ciemna smużka dymu zdradzała obecność jakiegoś okrętu. Krystyna siedziała nad zawartością teczek.

Zakładam, że gdzieś w Arktyce istnieje pewne miejsce. Nazwaliśmy je w naszych hipotezach Obozem X. Zakładam, że jest to niewielkie miasto, liczące kilka, może kilkanaście tysięcy mieszkańców. Być może ośrodków takich jest więcej, uważam to jednak za mało prawdopodobne. Komunikacja pomiędzy nimi zwiększałaby ryzyko dekonspiracji. Żyją tam istoty, które roboczo uważamy za reliktowe hominidy, zapewne niedobitki form przedludzkich. Wybitnie inteligentne, złe, dyszące żądzą odwetu za wyparcie ich przodków z regionów bardziej nadających się do życia.

Zastanawiam się nad ich moralnością, jak funkcjonują u nich pojęcia dobra i zła. To pewne, że skoro przetrwali tak długo, muszą ze sobą współpracować, a ich działania nie tylko są koordynowane przez jakiś ośrodek władzy, ale muszą także opierać się na prawach, podziale ról społecznych i obowiązkach wobec wspólnoty. Zarazem może to być kultura ksenofobiczna, stosująca silne rozgraniczenie swój–obcy i zakładająca zupełnie odmienne normy stosowane w kontaktach ze współplemieńcami i z nami.

Zakładam, iż yeti różni się od nas wyglądem na tyle mocno, że trudno byłoby im wtopić się w tłum. Dlatego porywają nasze kobiety, zapładniają i wysyłają na południe swoje potomstwo. Ono nas bada, szpieguje, wykonuje ich polecenia i przekazuje im pozyskane informacje.

Małpoludom sprzyja izolacja tych części świata. Arktyka to tysiące wysp, w większości tylko naniesionych na mapy, niezbadanych, niezamieszkałych. I niewykluczone, że kraina ta kryje w sobie skarby, z których istnienia nie zdajemy sobie nawet sprawy. W 1896 roku odkryto złoto nad rzeką Klondike, a wkrótce potem także na Alasce. Sowieci również znaleźli kruszec, więźniowie łagrów wydobywają go w dorzeczu rzeki Kołymy. Ostatnie doniesienia naszego wywiadu wskazują, że w okolicach Norylska, na terenie Kraju Krasnojarskiego, odkryto bardzo bogate złoża niklu i metali ziem rzadkich, w tym platynę, wanad, rod, itr, iryd i molibden. Sowieci budują tam obecnie ogromny kombinat metalurgiczny, a wokół sieć łagrów i kopalni, w których mają niewolniczo pracować więźniowie. Norylsk z Koleją Transsyberyjską ma łączyć specjalna magistrala towarowa.

Na Wyspie Niedźwiedziej i Spitsbergenie znaleziono złoża węgla. Jeśli małpoludy osiadły w miejscu, gdzie mogą dokopać się do materiałów palnych, a przy tym znalazły złoto i inne metale, teoretycznie mogą spokojnie żyć, część potrzebnych rzeczy produkować we własnym zakresie, resztę importować, a i towarów luksusowych im nie zabraknie. Wystarczy, że jeden z ich potomków, dysponujący własnym statkiem, co jakiś czas sprzeda trochę kruszcu w Europie czy Ameryce, kupi, co trzeba, i zawiezie pobratymcom. Próbowaliśmy prześledzić pewne zakupy wytypowanych firm prywatnych, lecz niewiele to dało, niestety, bo Sowieci też dokonują masy zakupów nieoficjalnie i płacą złotem, które przez szereg podstawionych instytucji spieniężają, wymieniając na normalne waluty. Jest masa wyrobów z górnej półki, którymi delectuje się ich oligarchia, ale żeby nie powodować wzburzenia mas głodnych nędzarzy zamieszkujących imperium, sprowadzają je z zachowaniem daleko posuniętej dyskrecji i rozprowadzają przez sieć sklepów, w których zakupy mogą zrobić tylko uprawnieni. Jest na przykład firma handlowa z Trondheim w Norwegii, która, na ile zdołaliśmy ustalić, ma kilka niewielkich jednostek przystosowanych do żeglugi po morzach polarnych, kupuje dużo urządzeń przemysłowych, ale nie sprzedaje tego towaru dalej. Ich statki czasem płyną w stronę Murmańska, a czasami obierają kurs na północny zachód. Czy część tych towarów może trafiać do małpoludów? Twardych dowodów raczej nie zdobędziemy. Ale jest sporo poszlak.

Zanotowała tłumaczenie i przeczytała raz jeszcze całość. Zmarszczyła brwi.

– Coś nie tak? – zainteresował się Henryk.

– To nie do końca brzmi jak styl mojego ojca. Wydaje mi się, że inaczej budował zdania. I bardziej precyzyjnie formułował wnioski.

– Można? – Profesor ujął kartkę z maszynopisem, potem wziął kawałek innego. Wydobył z kieszeni grubą lupę i długo oglądał tekst litera po literze. Wreszcie pokręcił głową.

– Papier i czcionka są identyczne. Literki „k” i „m” w obu maszynopisach posiadają takie samo uszkodzenie czcionki. Oba teksty napisano na tej samej

maszynie.

– Kart dokumentacyjnych pisanych ręcznie raczej nie mogli podrobić – rozważał porucznik. – Ale przepisanie całego maszynopisu, usunięcie pewnych partii tekstu, dopisanie innych to robota na kilkadziesiąt godzin.

– Dezinformacja czy może chcieli ukierunkować nasze poszukiwania w stronę, która także ich interesuje? – zadumał się uczony. – Ty lepiej znasz swojego stryja...

– W tym właśnie problem, że prawie go nie znam – wyjaśniła. – Pokłócił się z moim ojcem o spadek po dziadku. Uważał, że skoro ojciec jest profesorem i czegoś się zdołał dorobić, to jemu jako biedniejszemu należy się większy udział. Potem wyjechał do Sowdepii. Spotkałam go zaledwie kilka razy w życiu.

– Informacje o tym Norylsku obły nam się o uszy – powiedział Henryk. – Z geologicznego punktu widzenia miejsce jest niezwykle ciekawe. Już carscy geolodzy podejrzewali, że przed milionami lat gdzieś w tamtej okolicy spadł wielki żelazny meteoryt albo wręcz planetoida. Wygląda na to, że Ruscy dokopali się do jej pozostałości. Nie wiemy oczywiście, jak bogate są te złoża.

– Sowietci wiedzą, że Lenin był jetinsynem? – zadała nurtujące ją pytanie.

– Lenin i kilku członków pierwszych sowieckich rządów. Wiedzą. Co więcej, ten cały Stalin chyba się ich w którymś momencie przestraszył, bo większość z nich już nie żyje lub jest całkowicie zneutralizowana, odsunięta od ważnych funkcji i otoczona wianuszkiem kapusiów. Zinowiew, Kamieniew, Rudzutak, Tomski... Mówi się, że wokół nich zaciska się pętla i niebawem Stalin zechce pozbyć się ich ostatecznie, wyrzucając z kraju lub likwidując.

Krystyna spędziła jeszcze sporo czasu nad zawartością teczek. Próbowwała rozeznaczyć, które fragmenty są autentyczne, a które nie, ale wreszcie machnęła ręką.

*

W ciągu kolejnych dwóch dni przebyli pozostałą część drogi. Dotarli do wschodniego wybrzeża Grenlandii, przecięli wyspę, przelatując około dwustu kilometrów nad lądolodem, a potem zakręcili na północ i posuwali się wzdłuż zachodniego wybrzeża.

– Miasto Godthåb przed nami – zameldował kapitan. – Tak przynajmniej twierdzi mapa, bo szczerze powiedziawszy, spodziewałem się czegoś bardziej, hm... spektakularnego.

Rzucili cumy i osadzili sterowiec niemal w centrum osady.

Osiedle było niewielkie i wyglądało nędznie. Mogło liczyć ze trzy tysiące mieszkańców. Stał w nim drewniany duński kościół, obity białą drewnianą klepką. Obok znajdowały się budynek rządowy, będący rezydencją duńskiego namiestnika, szkoła i faktoria handlowa. Przed siedzibą władz wbito maszt, na którym powiewała duńska flaga. Przy klombie stał samochód. Krystyna z trudem stłumiła chichot. Auto dostarczono tu chyba tylko po to, by oficjalny przedstawiciel króla Chrystiana X mógł zrobić wrażenie na autochtonach. Całą osadę można było przemierzyć marszem w dziesięć minut.

Wokół centrum miejscowości biegło kilkanaście krętych uliczek, a przy nich stało mnóstwo lichych, drewnianych chat zamieszkałych przez Eskimosów, którzy porzucili koczowniczy tryb życia, oraz Duńczyków, którzy przybyli na koniec świata uszczknąć coś z bogactw tej krainy. Na uboczu dostrzec można było kilkadziesiąt namiotów ze skór zwierzęcych, starego płótna żaglowego lub brezentu. Przy pomoście cumowało parę duńskich stateczków.

Pojawienie się aerostatu wzbudziło spore zainteresowanie. Mieszkańcy zebrali się w pobliżu. Pomogli w cumowaniu, oplątując liny wokół głazów.

Stali teraz pojedynczo lub grupkami, wymieniając uwagi. Krystyna w towarzystwie Henryka zeszła do nich i cierpliwie odpowiadała na pytania. Miejscowi mówili po duńsku, jedni prawie dobrze, inni kiepsko, w każdym razie dawało się z nimi dogadać. Jeden z tubylców zainteresował się, czy są może kolejną ekspedycją generała Nobilego.

Dorośli szybko zaspokoiли ciekawość i wrócili do przerwanej pracy, dzieciaki rozeszły się wolniej.

Profesor zabrał dziewczęta i poszli załatwić sprawunki. Zaczęli od odwiedzin w biurze. Studentka służyła za tłumaczkę. Uczony przedstawił listy uwierzytelniające z Uniwersytetu Warszawskiego i jakieś zezwolenia wystawione przez rząd Danii. Bez problemu zainkasowano opłaty urzędowe i podstemplowano zezwolenia. Oficjalnie stanowili ekspedycję przyrodniczo-etnograficzno-antropologiczną.

– No i świetnie – mruknął profesor, gdy schodzili po schodkach. – Jesteśmy tu legalnie, nikt nie będzie się czepiał.

Zaszli do faktorii, ciekawi, jak coś takiego może wyglądać. Spory drewniany budynek mieścił punkt skupu skórek zwierzęcych wraz z magazynem na towar i niewielki sklepik, zaopatrzony w pstrokate tkaniny, igły, nici, noże, haczyki do wędek, sieci oraz strzelby i amunicję.

Zgodnie z zamówieniem w magazynie czekały cztery beczki paliwa. Faktorię prowadziło duńskie małżeństwo, a ruch w interesie był chyba spory. W punkcie skupu trzech Eskimosi targowali się zawzięcie, usiłując uzyskać jak najlepszą cenę za pęki skórek. W sklepiku ich kobiety oglądały towar, czekając, aż mężowie dobiją targu.

– Perkal i paciorki – mruknęła Weronika, rozglądając się po wnętrzu. – Szmatki lichej jakości, za to kolorowe, aż oczy bolą, a do tego guziki z fałszywej masy perłowej.

– W tym świecie niewiele jest mocnych barw. Ale masz rację, ceny raczej paskarskie, a towar kiepski – mruknął uczony. – Maksymalizacja zysków, jak to w koloniach. Nic tu po nas, tankujemy paliwo i lecimy dalej na północ.

– Tu było Osiedle Zachodnie, prawda? – zagadnęła Weronika.

– Tak.

– To znaczy, że wikingowie mieli Osiedle Wschodnie na południu i Osiedle Zachodnie na północnym zachodzie... A wschodnia część wyspy? Przecież z Norwegii czy Islandii bliżej byłoby do...

– To swego rodzaju paradoks – powiedział profesor – ale sama widziałas, gdy lecieliśmy. Wschodnie wybrzeże Grenlandii to lodowiec i nagie niegościnnie skały. Ale zachodnie, podgrzewane przez ciepłe prądy morskie, wygląda znacznie bardziej zachęcająco. W dziewiętnastym wieku na wschodnim wybrzeżu Grenlandii odkryto niewielkie plemię Eskimosów. Przybyli tam zapewne z północy w okresie, gdy było cieplej. Domniemywa się, że morze było wówczas okresowo wolne od lodu i dawało się opłynąć wyspę od tamtej strony. Potem lody odcięły drogę. Członkowie plemienia polowali na przestrzeni kilkuset kilometrów wzdłuż wybrzeża. Borykali się z coraz trudniejszymi warunkami życia, ale nie wpadli na pomysł, by pożegłować daleko na południe i opłynąć skraj wyspy. Nie mieli od kilku pokoleń łączności ze współplemieńcami, nigdy nie spotykali żadnych myśliwych czy wielorybników, do chwili kontaktu z białymi byli przekonani, że są ostatnimi ludźmi na świecie. Nikt poza nimi nie zdecydował się osiedlić w tak niegościnnym miejscu.

– Wikingowie, przybywając na Grenlandię, spotkali Eskimosów? – zainteresowała się Krystyna.

– Pojawiali się tam, ale kontakty z białymi były raczej rzadkością. Dopiero na samym początku czternastego wieku roku Eskimosi zaczęli pojawiać się bardziej regularnie – wyjaśnił. – Osadnictwo wikińskie już wówczas podupadało. Przeważnie jedni i drudzy nie wchodzili sobie w drogę. Normanowie byli osiadłymi rolnikami, Eskimosi koczującymi myśliwymi. Nawet ich diety były całkowicie odmienne.

– Szczerze powiedziawszy, spodziewałam się zobaczyć ruiny wikińskiego miasteczka, głązy runiczne albo jakieś bardziej namacalne ślady ich pobytu.

– Nazwa „osiedle” jest dość myląca: to było kilkadziesiąt farm rozrzuconych

nad kilkoma odnogami fiordu. Pojedyncze domostwa. Nic spektakularnego, ładnych ogromnych, kamiennych budynków czy murów obronnych jak w Visby. Poza tym leżało znacznie dalej od morza niż dzisiejsze Godthåb. Przepraszam, muszę wracać dopilnować tankowania.

Do odlotu pozostało jeszcze trochę czasu. Krystyna i Weronika postanowiły przejść się po koczowisku. Ostatecznie nie co dzień można zwiedzić miasteczko prawdziwych Eskimosów. Budynek z niskim ceglanym kominem okazał się prymitywną fabryczką. Wszędzie tutaj kręcili się ludzie. Jedni ciągnęli do lichych blaszanych magazynów wózki pełne suszonego sztokfisza, inni wieźli rybie truchła na taczkach przypominających te używane przez warszawskich ceglarzy. Przed „zakładem przetwórczym” stały w karnych rzędach beczki tranu lub oleju, ozdobione malowanymi czarną farbą nazwami jakichś duńskich firm.

– Tu pewnie wytapiają z ryb tłuszcze, potem przewożą je do Danii, gdzie są poddawane dalszej obróbce, oczyszczeniu i rafinacji – wyjaśniła studentka młodszej towarzysze.

– Daruj sobie, od dziecka nienawidzę tranu.

Dziewczęta przeszły wzdłuż nabrzeża. Nad brzegiem fiordu, tam gdzie stały drewniane domy, rozłożyło się coś na kształt bazaru. Chaty z bliska okazały się dość pokraczne. Krzywe ściany, drażniący natłok przybudówek i szop przypomniały Krystynie zabudowę, jaką widywała zeszłego roku w żydowskich miasteczkach na polskich kresach. Nie miała ochoty zapuszczać się między domy, wszędzie widziała niemal wyłącznie mężczyzn. W dodatku w zaułkach było brudno i trochę śmierdziało.

Targ rybny powitał je intensywnym zapachem ryb świeżych – wędzonych, suszonych – i takich niezbyt świeżych również. Rybacy oferowali głównie dorsze i łososie, ale mieli też wiaderka z żywymi krabami. Ogromne ochłapy na obitych blachą stołach wyglądały jak wołowina, ale Krystyna zaraz domyśliła się, że to mięso wielorybów. Dalej był jeszcze kram z różnymi utensyliami potrzebnymi do połowów i naprawy sieci, a na samym niemal końcu stary duński marynarz inwalida rozłożył na deskach barwne muszle oraz zęby morsów i narwali, pokryte misternymi rysunkami wydrapanymi igłą i napuszczonymi jakąś czarną masą. Zapatrzyła się na te skarby i już

miała zapytać o cenę broszki z kła morsa, gdy spostrzegła jeszcze jeden przedmiot. Ujęła wyrzeźbioną w kości główkę wielkości małej mandarynki. Rzeźba była dziwna.

– Małpolud – syknęła Weronika, widząc znalezisko. – Ale wredota...

Faktycznie, sportretowany osobnik miał szeroką twarz, przypłaszczony nos i pochylone czoło oraz mocno zarysowane wały nadoczodołowe. Broda przechodziła gładko w szyję, brakowało wyrostka na końcu żuchwy. Inuicki rzeźbiarz, rzecz jasna, wiele szczegółów uprościł, a inne podkreślił.

– Cóż to takiego? – zagadnęła Krystyna sprzedawcę.

– Od Eskimosów na północy kiedyś kupilem – wyjaśnił marynarz. – Będzie ze dwadzieścia lat albo i więcej. Pomyślałem, że na główkę laski się nada, ale jak obejrzałem dokładniej, to darowałem sobie, paskudna strasznie ta gęba, nieprzyjemna.

– Co przedstawia?

– W pierwszej chwili myślałem, że to małpa, ale jeden staruszek mnie objaśnił, że to taka istota z ich legend. Zły, dziki troll. Taki, który może się pojawić znienacka, nie chce handlować ani polować, tylko zabija. Mówił też, że dawniej takie stwory porywały ich kobiety i dzieci, by wychowywać je na swoich niewolników.

Dziewczyny wymieniły zaskoczone spojrzenia. Na szczęście Weronika miała trochę duńskich koron, a główka nie była droga. Sprzedawca, widząc, że interesują je starocie, pogrzebał w tobołkach i znalazł jeszcze zaśniedziałą szpilę ze srebra, jak twierdził, z pewnością „wikińskiej roboty”, jednak cena, jaką zaproponował, była paskarska.

Podziękowały i ruszyły dalej. Zaraz też pojawił się Henryk.

– Zbierajcie się, proszę – powiedział. – Skończyliśmy uzupełniać zapasy, pora ruszać dalej.

– Pożegnajmy zatem definitywnie ostatnią wysuniętą placówkę cywilizacji

białego człowieka i wypuśćmy się na dzikie i niezbadane wody. – Weronika zrobiła marsową minę wilczycy morskiej.

– No, tak jakby – mruknął porucznik. – Z tym niezbadaniem to oczywiście pewna przesada. I z tym pożegnaniem cywilizacji też. To w czasach wikingów był tu ostatni przyczółek. Na północ od nas są jeszcze inne osady, duńskie placówki, faktorie handlowe, wioski Eskimosów i tak dalej.

Wsiedli na pokład i sterowiec zaraz oderwał się od ziemi. Profesor obejrzał łup z targowiska. Orzekł, że rzeźba z pewnością jest autentyczna. Biorąc pod uwagę stopień zżółknięcia kości, ocenił, że może liczyć nawet dwieście lat.

Posuwali się wzdłuż wybrzeża ku północy. Przelecieli jeszcze nad koczowiskiem tubylców, ale wkrótce znaleźli się nad terenami naprawdę jałowymi. Przez kolejną godzinę nie działo się nic. Łądolód zbliżył się do wybrzeża, pozostawiając tylko kilkukilometrowy pas nagich skał i nielicznych splachetków ziemi uprawnej. Przelecieli nad wyniosłym szczytem.

– Jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów do ustalonego punktu – zameldował kapitan.

*

Wlecieli nad fiord. Sterowiec opadł lekko, kapitan prowadził maszynę kilkanaście metrów nad lustrem wody. Granitowe wzgórza po lewej i prawej były niskie, skały wygładził przed wiekami lodowiec. Od strony morza brzeg sprawiał wrażenie smutnego, jałowego, wysmaganego wiatrami pustkowia... Nawet ptaków było tu niewiele. Posuwali się może kwadrans w głąb zatoki, gdy na lewo ukazała się rozległa zielona łąka, opadająca niemal do samego

morza.

– To chyba dobre miejsce, by się osiedlić? – zauważyła Krystyna.

– Co najwyżej, żeby postawić szopę i latem wypasać owce. – Profesor pokręcił głową. – Jesteśmy zbyt blisko morza, pogodę mamy w tej chwili ładną, ale zazwyczaj wiatry muszą tu być bardzo dokuczliwe. Brak też zatoczki, która mogłaby stanowić naturalny port dla łódek lub większych jednostek.

Żeglowali w powietrzu dalej. Niewielkie spłachetki łąk otwierały się to po lewej, to po prawej. Nie widać było żywego człowieka, nie spostrzegli też śladów ludzkiej działalności. Porucznik studiował mapę, a Krystyna szczerzej otuliła się szalem i usiadła przy oknie. Ujęła w dłoń lornetkę. Spostrzegła kilka białych zajęcy, kicających wśród traw, mignął jej też płowy kształt. Renifer? Nie zdążyła się przyjrzeć. Jak wyglądało to miejsce osiemset lat temu? Czy na tych łąkach pasły się krowy? A może tylko owce?

Na odległych wzgórzach widziała czapy nietopniejącego nawet latem śniegu, a daleko przed nimi wyrastała niczym siny mur wysoka na dziesiątki metrów ściana lodolodu. Gdzieś tu, na wąskim pasie rozmarzniętej ziemi pomiędzy oceanem a lodowcem, kryła się zagadka.

Przed stuleciami i tu żyli ludzie, pomyślała studentka. Czy osiedlili się w takim miejscu z własnego wyboru? Chyba nie do końca. Wikingowie z dolin Norwegii wyruszyli na Islandię, szukając pastwisk, ziemi, przestrzeni do życia. Gdy zaludnienie wzrosło, ci z Islandii popłynęli dalej na Grenlandię. Szukali tego samego. Terenu pod osadnictwo. Swojego miejsca na ziemi. Ale de facto ich wędrówkę wymusiły okoliczności. Tam, gdzie żyli dotąd, było już za ciasno. Migracje, kolejne fale osadników. Lapończycy też zostali stopniowo zepchnięci na niegościnną północ Europy.

Mimo woli pomyślała o istotach, których śladów szukał jej ojciec i ludzie z instytutu. Yeti, syberyjskie ałmasy, dziwne dwunożne stwory z indiańskich legend – amerykańskie małpoludy – Sasquatch, czyli Wielka Stopa. Czy możliwe, że w tych opowieściach kryło się ziarno prawdy? Reliktowe hominidy... Człekokształtne istoty, bytujące na krawędzi ludzkiej oikumene w ostępach odwiecznej tajgi, w lasach Kanady, w mroźnych pustkowiach

tundry i w niedostępnych partiach dzikich gór środkowej Azji. Mit czy rzeczywistość? Ci ludzie w to wierzyli. Tajemniczy profesor, który zjeździł pół świata, zagadkowy kapitan bez imienia, porucznik Henryk, inni pracownicy instytutu.

To właśnie mamy sprawdzić, rozmyślała. Zbadać, czy istnieją. I czy faktycznie stanowią zagrożenie.

Grenlandia... Czy takie stwory mogły się tu ukrywać? Przyłożyła raz jeszcze lornetkę do oczu i rozejrzała się. Bezludne pustkowia. Tylko żeby żyć, trzeba coś jeść, zapewnić sobie schronienie. W tych stronach zima trwa nawet dwieście dni w roku. Licha wegetacja pozwalała utrzymać się kolonii wikingów i zapewniała wszystko, co potrzebne do życia wcale licznym Eskimosom. Z drugiej strony, brak było w tych stronach lasów, nie słyszała, by występował tu węgiel lub torf, a to oznaczało poważne problemy z opałem. No właśnie – w takiej dolinie, pozbawionej choćby najlichszych zagajników, nie sposób się ukryć...

– Pierwsza farma. – Profesor wskazał pozostałości jakichś budynków. – To raczej na pewno nie jest to miejsce. Druga jest trzy kilometry dalej. Proponuję, żeby ktoś wysiadł i rozejrzał się w tym miejscu, my polecimy i zbadamy kolejne.

Krystyna zgłosiła się na ochotnika, Henryk zaoferował się jej towarzyszyć. Profesor wydał im strzelby i dopilnował, żeby je nabili, ostrzegł przed niedźwiedziami polarnymi i udzielił kilku innych rad. Podporządkowali się bez szemrania – widać było, że nieraz przebywał w takich miejscach. Zeszli na ziemię, sterowiec uniósł się i znikł za wzgórzami...

Krystyna spojrzała spod oka na Henryka. Zostali sami... Chciała go jakoś zagadnąć, ale wszystkie słowa, które układała sobie godzinami w głowie, gdzieś uleciały. On sam zdawał się skupiać na zadaniu. Ruszył w stronę gruzowiska. Obejrzał się, ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Dziewczyna uśmiechnęła się, poprawiła aparat obijający się o biodro i podążyła za porucznikiem.

W trawie wyraźnie widać było resztki murów. Ściany ułożono z niewielkich płaskich kamieni i płyt łupku. Pierwotnie przekładano je darnią. Mimo

upływu setek lat widać było zarysy dużego prostokątnego pomieszczenia i kilku mniejszych. Zachowały się nawet resztki pieca z większych, starannie obrobionych głazów.

– Sala wikingów – wyjaśnił Krystynie porucznik. – Duża sala, coś jakby nasz salon. Miejsce, gdzie ucztowano i gdzie toczyło się życie towarzyskie. Obok mniejsze izby, w których były kuchnie, spiżarnie, magazyny dormitoria... I przyległe pomieszczenia gospodarcze, tak żeby można było doglądać zwierząt i zapasów bez wychodzenia na zewnątrz. Zimą miało to fundamentalne znaczenie. Oczywiście cały taki kompleks został pomyślany jako niewielkie refugium na wypadek zagrożenia.

– Niezbyt to imponujące – zauważyła.

– Patrząc na ruiny i fundamenty, zazwyczaj mamy wrażenie, że pomieszczenia były mniejsze niż w rzeczywistości. Ale racja, gdzie ich siedzibom równać się z naszymi dworakami? A zważ, że byli to bogaci gospodarze.

– Przeprowadzimy tu wykopaliska?

– Na bieżąco chyba nie będzie potrzeby. Profesor zdecyduje.

Pogrzebał w plecaku, wyjął grubą szpilę i wbił ją w glebę w kilku miejscach. Początkowo wchodziła gładko, ale szybko napotykała opór.

– Kamienisty grunt, ale nie ma tu chyba wiecznej zmarzliny. To znaczy jest, ale głębiej. To dobrze, bo gdy wytypujemy odpowiednie miejsce, założymy wykopy sondażowe, zbadamy warstwy kulturowe, to znaczy te, które powstały w wyniku działalności człowieka. Na regularne szerokopłaszczyznowe wykopaliska archeologiczne potrzeba by więcej ludzi i czasu. No i wypadłoby uzyskać zezwolenie duńskiego rządu...

Za głównym budynkiem znaleźli jeszcze labirynt rozsypujących się już murów i murków. Henryk podał Krystynie dłoń, pomagając przeskoczyć nad rumowiskiem. Miał silny, pewny chwyt. Liczyła, że potrzyma jej rękę przez chwilę, ale puścił.

– Tu były obory dla krów – zawyrokował, patrząc na resztki żłobów. – Trzymali ich kilkanaście, może więcej. Z pewnością w tamtych czasach ziemi zdatnej do wypasania bydła mieli tu więcej, a nie zapominajmy, że musieli też w czasie krótkiego lata zebrać siano w ilościach wystarczających na jakieś sto osiemdziesiąt dni zimy. Zapewne przechowywali je na strychach ponad oborami. Nie jest to najlepsze rozwiązanie, bo woń obornika i parująca wilgoć szybko czynią zapasy niezdatnymi do użytku. Z drugiej strony, była to niezła izolacja, zwłaszcza jeśli temperatury spadały grubo poniżej zera.

Wskoczył zręcznie na koronę muru i pomaszerował na narożnik górujący nad okolicą. Dłuższą chwilę wypatrywał ukrytych w trawie kamiennych reliktyw dalszych zabudowań.

– To z pewnością nie jest zagroda, której szukamy – zawyrokował wreszcie.
– Nie widać tu żadnych pozostałości pieców do przetopu rudy, nie ma też śladu kościoła, o którym wspomina księga. Ruszajmy dalej.

Znów na bardziej stromym podejściu podał jej rękę. Tym razem ich dłonie pozostały złączone chwilę dłużej, niż było to konieczne. Wdrapali się na przełęcz. Jakiś kilometr dalej cumował sterowiec. Tam także były ruiny kilku budynków. Profesor i Weronika przedzierali się przez chaszcze wśród gruzów.

– To chyba także nie jest właściwe miejsce – zawyrokowała studentka. – Ale pięknie tu...

Przystanęła i rozejrzała się. Łąki w dole usiane były drobnymi kwiatami. Surowy krajobraz miał niewątpliwie swój urok.

– Wieloryby. – Porucznik podał Krystynie lornetkę. – To niestety coraz rzadszy widok na wodach polarnych. Gdy przychodzi wiosna i zaczyna się sezon, cała Europa rusza na północ. Robota jest ciężka, ale każdy taki morski potwór to istny sejf z pieniędzmi. Fiszbin na gorsety może w obecnych czasach nie jest już towarem pierwszej potrzeby, ale pozostaje skóra na pasy transmisyjne, ambra dla przemysłu drogerijnego. No i, co najważniejsze, tran, który ratuje dzieciaki przed krzywicą, gruźlicą, anemią. Jest niezwykle pożywny i bogaty w witaminy. Szkoda tylko, że wielorybów coraz mniej. Gdyby tak udało się je zamknąć w jakimś fiordzie i hodować jak krowy.

– Łowią je bez opamiętania. Widocznie bogactwa wszechoceanu też się kiedyś wyczerpią...

Zeszli w dół. Uczony siedział na kamieniu w cieniu balonu. Laseczkę oparł o kolano.

– To nie tutaj – potwierdził ich przypuszczenia. – Za małe budynki i nie ma śladów żadnej budowli, którą moglibyśmy uznać za świątynię. Sprawdzimy jeszcze pro forma ten fiord do końca i lecimy zbadać kolejny ślad, jakieś osiem kilometrów na północ. Wsiadajmy.

Wiatr prawie ucichł, puścili w ruch silnik. Sterowiec sunął w powietrzu jak wieloryb, bez trudu radząc sobie z lekkimi podmuchami. Minęli kilka przewężeń i zakrętów. Krystyna rozglądała się ciekawie na boki. Skały były wygładzone, jak wylizane wielkim ozorem. Tu i ówdzie języki lodowca wiły się pomiędzy granitowymi wzgórzami. Jak potworne siły ukształtowały przed wiekami ten niegościnnie zakątek świata?... Wykonali kolejną lekką korektę kursu. Przed nimi wyrosła lodowa skarpa, wysoka na co najmniej czterdzieści metrów. Bryły oderwane od masywu zaścielały przedpole. Kapitan uniósł maszynę i patrzyli teraz z góry na ciągnącą się kilometrami jałową białą pustynię.

– Cóż za ponure miejsce – westchnęła Weronika. – Tylko lód i śnieg, żadnego śladu życia.

Kontrast między zielonymi nadbrzeżnymi łąkami a powierzchnią lądolodu był faktycznie uderzający. Maszyna zawisała w miejscu. Co jakiś czas kapitan zapuszczał na chwilę silniki, by skorygować pozycję. Henryk zamknął się w kajucie radiooperatora ze słuchawkami na uszach. Wreszcie wyłonił się i machnął dłonią na znak, że można lecieć dalej.

Prowadził nasłuch radiowy? – zdziwiła się Krystyna. Tylko czemu nie podczas normalnego lotu, ale z nieruchomego aerostatu? A może chciał wykonać jakieś inne precyzyjne pomiary? No cóż, widocznie wojsko ma swoje tajemnice.

Polecieli dalej na północ.

Krawędź lodowca zbliżała się tu do morza, fiordy rozlewały szeroko, wdzierały pomiędzy skaliste wzgórza, a na brzegach prawie nie widzieli traw. Było oczywiste, że żadne osadnictwo nie mogło utrzymać się w tak niegościnnym miejscu.

Nieoczekiwanie za kolejnym cyplem spostrzegli kolejną zatokę, a nad nią rozległe plateau, porośnięte soczystą trawą. Wśród usypisk głazów na brzegu można było nadal dostrzec pewną regularność. Jakby ktoś przed wiekami przygotował sobie umocnione nabrzeże i pochylnię do wyciągania łódek na brzeg. Tuż obok domniemanego portu wypatrzyli ewidentne ślady pobytu człowieka. Grube skalne odłupki układały się wyraźnie w prostokąt... Fundament? Co było tu kiedyś? Szopa do trzymania łodzi? A może nabrzeżna strażnica? Tak czy inaczej, stworzyli to ludzie. Z domniemanego portu słabo widoczna ścieżka prowadziła w głąb lądu, ku rozległym ruinom co najmniej kilku budynków.

– To wygląda bardzo obiecująco – powiedział uczony. – Lądujemy.

Kapitan zrobił niewielki oblot wokół rozwalisk, szukając dobrego miejsca do posadzenia sterowca. Krystyna domyślała się, że chodzi także o to, by ogromny aerostat w miarę możliwości osłonić przed bezpośrednimi uderzeniami wiatru. Wreszcie zahurgotały windy kotwiczne. Porucznik wraz z Michałem zeszli na ziemię i wbili stalowe paliki cumownicze głęboko w lichą, skalistą glebę. Sterowiec unieruchomiono łącznie ośmioma linami zaczepionymi o pręty i czterema kotwicami na łańcuchach. Następnie naciągnięto wszystkie cumy. Gondola zakołysała się jakieś cztery metry nad ziemią.

– Względy bezpieczeństwa – wyjaśnił kapitan, widząc pytający wzrok studentki. – Raczej nie ma tu ludzi, ale mogą się pojawić. Eskimosi eksplorują to wybrzeże, polując na foki i zające. Ponadto nie zapominajmy o drapieżnikach. Lisy polarne to akurat nie jest poważny problem, ale białe niedźwiedzie mogą stanowić śmiertelne zagrożenie. Jesteśmy tu sami w dalekim, obcym kraju. Trzeba zachować szczególną ostrożność. Na pokładzie zawsze ktoś będzie obecny, na noc wystawimy warty.

Wszyscy pokiwali głowami, aprobując jego polecenia. Wreszcie po kolei zeszli na ziemię.

– Panie profesorze, znalazłem to podczas cumowania. – Henryk podał uczonemu gładki otoczak, wydobyty z kieszeni spodni.

Kamień był szarozielonkawy, w jasnym cieście skalnym tkwiły większe grudki ciemnoniebieskawej, prawie granatowej barwy.

– To mi wygląda na lazuryt albo podobny minerał zawierający miedź – orzekł profesor. – Ale nie wiem, czy ta skała była warta przeróbki. Przede wszystkim w tych okolicach nawet wówczas musiało być bardzo niewiele drzew, a węgla kamiennego jeszcze nie znali. Jeśli próbowali wytopu, to raczej z lepszej jakości rudy. Z drugiej strony, bardzo potrzebowali metali...

– Nasi przodkowie produkowali na potrzeby hut i kuźni węgiel drzewny z drewna bukowego – zauważył Henryk.

– Mogli przywozić drewno bukowe z Nowego Świata, albo nawet gotowy węgiel drzewny. Ponadto brzoza, nawet tak marne krzaki jak tu, zwiera dziegieć, a jej kora, spalając się, daje bardzo dużo ciepła. Poszukajmy pieców.

Profesor obrócił kamień w dłoniach.

– Ta skała wprawdzie wydaje się bardzo uboga, ale twoje znalezisko to naturalny kamień. Niewykluczone, że gdzieś tu – powiódł gestem po wzgórzach – można znaleźć żyły znacznie bardziej obiecującej rudy.

Ruiny zajmowały znacznie większy obszar niż te, które Krystyna oglądała kilka godzin wcześniej. Cały kompleks budowli sprawiał wrażenie nieomal małej twierdzy. Niektóre partie murów zewnętrznych zachowały się nawet do wysokości dwu metrów. Zarazem widać było, że ludzie odeszli stąd bardzo dawno temu. Pomiedzy kamieniami pozostało niewiele zaprawy, część ścian runęła. Kamienie porósł mech, karłowate brzoźki zapuszczały korzenie w szczeliny.

Weszli przez rozległy wyłom, zapewne w tym miejscu znajdowała się niegdyś brama. Z głównego budynku zachowały się resztki ścian, w tym ściana szczytowa, do której przylegał komin dużego pieca. Budynki gospodarcze, w znacznie gorszym stanie, otaczały niewielki dziedziniec.

Spod kobierca mchów i porostów nadal prześwitywały kamienne płyty, wydeptane przez setki stóp i nóg zwierzęcych.

Tu także zastosowano ten sam system komunikacji pomiędzy poszczególnymi budynkami. Zimą można było bez wychodzenia na zewnątrz przemieszczać się po całym kompleksie. Przybysze z południa w milczeniu kontemplowali ślady przerwanej nagle ludzkiej egzystencji. Wiatr gonił po niebie małe, białe obłoczki, słońce przygrzewało, ćwierkały jakieś ptaki. Zabrakło odgłosów ludzkiej krzątany: skrzypienia żurawia nad studnią, muczenia krów, brzęku łańcuchów. Nie było trudno przymknąć oczy i wyobrazić sobie, jak wyglądało to miejsce w czasach, gdy tętniło tu życie. Ludzie stąd nie odeszli. Zostali bezlitośnie wymordowani przez istoty, które kronikarz określił jako trolle.

Jedno z większych i lepiej zachowanych pomieszczeń obok bramy posiadało mniejszy przyległy pokój, a w nim wnękę, jakby na kształt absydy. W ścianach zachowanych miejscami do wysokości około trzech metrów znajdowały się cztery niewielkie okrągłe okienka. Odrzwia wykonano bardzo starannie z dużych głazów. Ściany pierwotnie były tynkowane, ale pozostały tylko nieliczne łaty lichej glinianej zaprawy. Na jednej widać było coś jakby ślad rysunku i kolorowe plamy, nieukładające się już w żaden sensowny zarys.

– To może być ślad jakiegoś fresku. Sądzę, że tu znajdowała się kaplica, czy wręcz mały kościół służący całej okolicy – Henryk pierwszy przerwał męczącą ciszę. – Proboszcza raczej nie mieli, ale niewykluczone, że co jakiś czas przybywał kapłan z południa, by odprawić mszę. To też pasuje do opisu z kroniki.

– To był kościół – powiedział profesor. – Zwróć uwagę na rozmieszczenie świetlików. Tu, nad wejściem do prezbiterium, znajdowała się belka, a na niej z reguły umieszczano krucyfiks. Okienka rozplanowano tak, by nieliczne promienie słoneczne wpadające do wnętrza wydobywały go z mroku. Światło skoncentrowane na krzyżu i postaci Chrystusa. To częste rozwiązanie w średniowiecznych drewnianych kościołach norweskich.

– Nie ma żadnych śladów wyposażenia – zauważyła Weronika. – Myślicie, że było drewniane i rozpadło się bez śladu?

– Albo gdy zapadła decyzja o porzuceniu osady, zabrano je do osiedli na południu. Raczej nie było tu witraży, ale mogły być rzeźby, chrzcielnica, obrazy, mensa ołtarzowa z dokładnie obrobionego kamienia. Oczywiście świeczników czy dzwonu też nie pozostawiono na pastwę losu. To były rzeczy drogie, cenne. No i przydatne.

Przeżegnali się i powędrowali dalej. Opodal zespołu budynków widać było fundamenty kolejnej budowli. Mury zbudowano znacznie oszczędniej, rozsypywały się. W trawie czerwieniały bryły przepalanej gliny – pozostała z polepy ścian, a może stropu. W jednym kącie znaleźli znaczną ilość niebieskawych i zielonkawych kamieni.

– Zapasy rudy – ocenił porucznik. – I to chyba znacznie lepszej niż moje znalezisko. Ciekawe, bo kronika wspomina, że rudę zabrano. Mamy też piece.

– Piece? – zdziwiła się mała, patrząc na stos skorup. – To raczej gliniane rury od kanalizacji albo coś...

– Wydaje mi się, że próbowali wytapiać miedź tą samą metodą, którą u nas w pradziejach wytapiano żelazo – wyjaśnił Henryk. – Z gliny wylepiono piec wielkości dużej beczki. Potem wypełniano wnętrze, sypiąc na przemian warstwę rudy i warstwę węgla. Gdy wytop się skończył, piec przewracano, rozbijano i wygarniano ze środka żużle oraz tak zwaną łupę żelaza. Miedź ma temperaturę topnienia nieco powyżej tysiąca stopni, żelazo jeszcze więcej...

– Dymarki były jednorazowego użytku? – zdziwiła się Krystyna.

– Tak. Przynajmniej te u nas. Nie wiem, jak tu. Grube te ścianki, znacznie grubsze niż pozostałości znajdowane przez naszych archeologów.

Licha trawa przykrywała potrzaskane gliniane rurki.

– Tam mogły być skórzane miechy. – Porucznik wskazał pusty kąt pomieszczenia. – Powietrze tłoczono przez te dysze do paleniska, podnosząc temperaturę.

Profesor przykląkł i rozgarniał szpachelką warstwę spieczonych żużli.

Zielonkawe nitki podpowiedziały obecność miedzi. Było też kilka korodujących grudek metalu.

– To logiczne – odezwał się uczony. – Zaplecze produkcyjne ulokowane ponad pięćdziesiąt metrów od zabudowań. Bali się pożaru, tysiąc stopni Celsjusza to poważna sprawa.

– Czyli tym razem znaleźliśmy właściwą farmę – zaryzykowała Krystyna.

– Na to wygląda. Myślę, że z tej okazji warto otworzyć do kolacji butelkę dobrego wina.

– Kolacji? – Studentka odruchowo spojrzała na zegarek.

Było już grubo po dwudziestej pierwszej. Zdezorientowana polarnym dniem i podniecona pasją odkrywania tajemnic przeszłości straciła poczucie czasu.

*

Krystyna skuliła się na koi. Weronika zasnęła niemal natychmiast, ale ona mimo zmęczenia nie mogła jakoś zapaść w sen. Próbowwała poukładać sobie to wszystko w głowie. Długi lot nad oceanem. Eksploracja wybrzeża. Ruiny. Sprawa jej pochodzenia. Uścisk dłoni Henryka. I do tego ten cholerny stryjek. Cała ta teoria o małpoludach jeszcze w Warszawie wydawać się mogła czystym nonsensem, ale wiedziała, że ojciec poświęcił lata życia i pracy, żeby to zbadać, a przecież był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich знаła. No i jeszcze pozostali członkowie ekspedycji. Nie wyglądali na ludzi goniących za mrzonką. W dodatku ta główka z targu...

To jest realne, pomyślała, przewracając się na drugi bok. Wygląda na to, że naprawdę dzielimy naszą planetę z – jak to określili – reliktowymi

hominidami. Moja matka... Czego jeszcze nie wiem o swoim pochodzeniu? I co daje mi ta domieszka? A sny?

Było chłodno, od rozległych pól lodowych, zajmujących niemal cały obszar wielkiej wyspy, wiał zimny wiatr. Ściany gondoli były jakoś tam docieplone, ale czuła, jak ciągnie od okna. Owinęła się kocem, narzucając go na głowę. Przez chwilę chuchała.

Henryk coś ukrywa, pomyślała. Co chwilę siedzi w pokoiku radionawigacyjnym ze słuchawkami na uszach. Przecież nie słucha w ten sposób muzyki. No i jest jeszcze Michaił. Ten to mi się kompletnie nie podoba. A profesor? Na jakiej niby uczelni dostał swój tytuł? Kapitan, który nie zdradza swojego nazwiska, ba, nawet swego imienia! Przecież mógłby podać jakiekolwiek fałszywe! Ma dziwny akcent. Jak ktoś, kto dobrze wyuczył się polskiego...

Wreszcie zasnęła. Znów wrócił ten sam męczący koszmar. Uciekała, parła na nartach przez paskudny, rozmiękły śnieg. Zimny wiatr przenikał ją do szpiku kości. Czuła, że jest ścigana, panicznie bała się obejrzeć, zupełnie jakby prześladowcy byli tuż-tuż... Nie miała pojęcia, przed kim i dlaczego ucieka. Nagle wokół niej nie było już pustych przestrzeni. Ujrzała pożółkłe trawy przebijające się przez śnieg. Po lewej i po prawej spostrzegła kępy brzošek, a na wprost ciemną kreskę lasu. Przyspieszyła jak ścigane zwierzę, szukając ratunku wśród drzew. Zdawała sobie sprawę, że to i tak na nic, że zostawia przecież za sobą wyraźny ślad nart, że pościg za chwilę ją dopadnie. I nagle poczuła podmuch. Spojrzała w bok i zobaczyła ciemny wał burzowych chmur. W jednej chwili wszystko pociemniało i na równinę spadł rozszalały buran, ale ona była już bezpieczna, ukryta wśród drzew odwiecznej tajgi. Wiedziała, że wyrwała się z niewoli, że zgubiła pościg. Że będzie żyć.

Obudziła się.

To nie jest zwykły sen, pomyślała. To może być jakiś rodzaj zapisu. Pamięć wydarzenia z życia mojej prapraprababki. Porwali ją, by rodziła jetinsynów, ale zdołała wyrwać się i uciec z niewoli? Zapewne była już w ciąży... Co mówił Henryk? Że ojciec był zwolennikiem teorii o pamięci wrodzonej? To by pasowało. Przypomniła sobie poprzedni sen. Rozpalanie ognia w kryjówce. Ten sam las?

Odwrócona chronologia wydarzeń? – zadumała się. Kryjówka, dotarcie do lasu, ucieczka przez zaśnieżone stepy, a może tundrę? We śnie chyba mam tyle lat, co teraz. Czy to faktycznie zapis przeżyć jakiejs mojej praprababki, która zdołała zbiec z niewoli u małpoludów? Czy cofając się w przeszłość, dojdę do takiej chwili, że zobaczę ich osadę?

*

Kolejny dzień był wypełniony ciężką pracą. Ustalili reper, założyli siatkę współrzędnych, opomiarowali ruiny i sporządzili plan sytuacyjny. Następnie za pomocą drewnianych palików i linek wyznaczyli trzy długie wykopy sondażowe. Henryk udzielił krótkiego instruktażu.

Pierwsze godziny i pierwsze metry nie przyniosły nic ciekawego. Znaleźli płytki łupku, które mogły zsunąć się z dachu, kilka skorup garnków, drobne kości zwierzęce, zapewne odpadki kuchenne. Najcenniejszym znaleziskiem była spalona do połowy kościana łyżka. Wydobyta z wykopu glebę dziewczęta przesiewały przez sito, ale nie przyniosło to żadnych efektów. Wśród żwiru znalazły tylko więcej odłamków kości.

– Nie rozumiem – irytowała się Weronika. – Wikingowie byli przecież cholernie bogaci. Złupili pół świata...

– Widocznie ukryli te łupy w ciekawszym miejscu albo dzielili się nimi tak, że dla tych z Grenlandii już nie wystarczyło – zauważyła pogodnie Krystyna.

– Poza tym nawet oni nie byli na tyle bogaci, by wyrzucać srebro i złoto na śmietnik, który przekopujemy. Choć istnieją też legendy, że w średniowiecznym Visby świnie jadały ze srebrnych koryt.

Przesiewała glebę, popatrując spod oka na Henryka. Zdjął koszulę, łopata

tylko śmigła mu w dłoniach.

Zbudowany jak antyczny posąg, pomyślała mimochodem. Tylko, zdaje się, jest nieśmiały...

W ciągu godziny wyłapała chyba siedem jego spojrzeń. Im dalej od ścian zabudowań, tym znalezisk było mniej. Porucznik i profesor oglądali uważnie profile, ale nie natrafili na żadne warstwy kulturowe. Obiekt zapewne był użytkowany niezbyt długo. Zbudowano go, potem porzucono. Nie było też śladów pożaru. Pod wieczór uczony podjął decyzję o zasypaniu wykopu.

– Może jutro bardziej nam się poszczęści – westchnął.

Zasiedli przy kolacji w mesie. Drabinkę na wszelki wypadek podciągnęli na noc do góry. Wprawdzie okolica zdawała się zupełnie bezludna, nic nie wskazywało też na obecność niedźwiedzi polarnych, ale dowódca ekspedycji zachowywał ostrożność. Weronika zasnęła natychmiast jak zabita, ale Krystyna jakoś nie mogła.

Przebyliśmy wiele tysięcy kilometrów. Znaleźliśmy się na krańcach zamieszkanego świata, rozważała. Prowadzimy wykopaliska, mające dać jednoznaczny dowód na to, że obok ludzi naszą planetę zamieszkują inne istoty inteligentne... Ogromne koszty, nikłe szanse uzyskania danych. A co potem? Przyjmijmy, że znajdziemy zwłoki małpoludów pogrzebane tu siedemset lat temu. I co dalej?

Zza ściany dobiegało skrzypienie krzesła, Henryk, mimo późnej pory, siedział w kabinie radiotelegrafisty.

Ostatnio często wymyka się, żeby godzinami tkwić ze słuchawkami na uszach, uświadomiła sobie. Czego tak nasłuchuje, bo przecież nie Radia Lwów? Zdarza się, że konferuje to z profesorem Pabianickim, to z kapitanem. Widać, że coś ich niepokoi. O jak wielu rzeczach mi nie powiedzieli?

Krystyna zasłoniła bulaj, nakryła głowę kocem. Nie pomogło. Polarne dni, polarne noce, słońce zataczające tylko elipsę po niebie...

Rozmyślała o ludziach, którzy żyli tu przed setkami lat. Jak mieszkańcy Grenlandii mogli wytrzymać w tych warunkach? Latem niekończący się dzień, słońce wiszące nisko nad horyzontem – dość mocne, by oślepić, ale zbyt słabe, by przynieść ciepło. Zimą niekończąca się noc polarna, rozświetlana marnymi lampami olejowymi i blaskiem ognia na piecu. I jeszcze to zagrożenie. Trolle, jetinsyny.

Byli twardsi niż my, pomyślała. Może, od dziecka wychowani w podobnych miejscach, nie przejmowali się takim rytmem dnia? Byli tu wolni i u siebie. Nie znali innego życia. Religia przynosiła im ukojenie. A może po prostu nie mieli dokąd odejść? Ziemie zdadne do uprawy w Norwegii rozdrapano. Islandia też była już podzielona na pastwiska, a pasterze podlegali feudałom jak chłopci pańszczyźniani. W Winlandii, czyli prawdopodobnie na półwyspie Labrador, żyli Indianie, wrogo nastawieni do obcych. Liche pastwiska Grenlandii mogły być jedyną możliwością. Z drugiej strony, Norwegia bardzo się wyludniła po epidemii czarnej śmierci, opustoszały całe doliny. Może zatem było dokąd wracać?

*

Kolejny dzień był zimny i chyba zbierało się na deszcz. Porucznik odgarnął warstwę darni. Na głębokości zaledwie trzydziestu centymetrów saperka głucho stuknęła o coś drewnianego. Kilka ruchów pozwoliło odsłonić stare, spękane deski.

– Wieko trumny – zaraportował profesorowi. – Tu są ślady jakichś nacięć... Chyba runy albo litery.

Wyjął nóż i ostrożnie oskrobał wilgotne, nadgniłe drewno, starając się oczyścić je z wrośniętej ziemi i korzonków roślin. Napis stał się bardziej

czytelny.

– Magnus – przesylabizował. – To raczej nie jest grób, którego szukamy – zawyrokował. – Pochowano tu kogoś, jednego z osadników. Kto wie, może gdyby poszukać w księgach i sagach, dowiedzielibyśmy się, kim był?

– Rzućmy tylko okiem – polecił profesor. – A ty lepiej nie patrz – zwrócił się do Weroniki.

– Widywałam już szkielety – burknęła mała, ale posłusznie odwróciła się tyłem.

Henryk przez chwilę klęczał niezdecydowany, a potem podważył i podniósł deskę. Wieczna zmarzlina częściowo zmumifikowała nieboszczyka.

Poczerniała skóra ciasno opinała czaszkę. Na głowie zmarły miał futrzaną czapkę, resztę ciała otulała nieźle zachowana opończa. W talii opinał go szeroki, pleciony z rzemieni pas, a u boku widniała zardzewiała rękojeść niewielkiego kordu. Trzasnęła kilka razy migawka aparatu fotograficznego. To Michaił robił zdjęcia dokumentacyjne.

– Zamykaj – rozkazał uczony.

Wojskowy opuścił deskę i przeżegnał się.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie... – mruknął, przysypując grób ziemią.

– Ta trumna była zagrzebana bardzo płytko pod powierzchnią... – zaczęła Krystyna, ot tak, żeby coś powiedzieć.

– Widocznie nie byli w stanie wgryźć się głębiej. Musieliby kuć w wiecznej zmarzlinie. Myślę, że pierwsze groby były głębokie, ale potem wraz z pogarszaniem się klimatu coraz trudniej było kopać doły – wyjaśnił Henryk.

– To nie jest właściwe miejsce – odezwał się profesor. – Tu, blisko kościoła, osadnicy najwyraźniej grzebali swoich. Wrogów musieli pochować gdzie indziej.

– Wymordowana rodzina tego osadnika musi gdzieś tu spoczywać – zauważył Henryk.

– Na północ od kościoła – profesor przytoczył słowa kroniki. – Zapewne nie jakoś szczególnie daleko, bo nie chciałoby im się wlec trupów. Ale chyba też nieszczególnie blisko. A ci, których szukamy, leżą jeszcze gdzie indziej. Zakładam, że nie chcieli, aby napastnicy spoczywali blisko ofiar. Znajdziemy jednych i drugich. A na razie przerwa obiadowa. Mam nadzieję, że kapitan upichcił coś dobrego.

Poskładali narzędzia. Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy nieoczekiwanie porucznik pochylił się i podniósł z ziemi jakiś przedmiot.

– Profesorze!

Uczony podszedł do niego i po chwili obaj obracali znalezisko w palcach.

– Łuska od karabinu Mosina. – Krystyna wzruszyła ramionami. – Co w tym takiego nadzwyczajnego? Na polach pod Warszawą kilogramy się tego znajduje, leżą tam od czasów ofensywy w piętnastym roku. Sowieci mogli przecież sprzedać karabin i trochę amunicji Eskimosowi. Albo mogli się tu zapuścić w czasie jakiejś wyprawy. Zobaczyli zwierzę, pomyśleli, że do wódki przyda się zakąska...

– Owszem, mogło tak być – powiedział porucznik. – Ta łuska nie skorodowała, nawet nie pokryła się patyną. Leży tu może kilka miesięcy albo i tygodni. Powiem tak: znalezienie podobnego przedmiotu w miejscu, gdzie ludzie zapuszczają się bardzo sporadycznie, budzi zrozumiały niepokój.

– Jest czternasta – zauważył profesor. – Proponuję teraz udać się na posiłek, a potem dokończymy drugi wykop sondażowy. Potraktujmy także dzisiejszy dzień jako swego rodzaju pierwszy rekonesans.

Kolejny sondaż planowali założyć obok ruiny z resztkami pieców. Okazało się to niepotrzebne. Niewielki pagórek opodał wydał się profesorowi zbyt regularny. Gdy obeszli go od tyłu, okazało się, że w jednym miejscu cienka warstwa darni osunęła się, odsłaniając starannie ułożone, częściowo obrobione kamienie. Obkopali to miejsce saperkami, odkrywając coś jakby sklepienie z dobrze spasowanych głazów.

– Krypta? – zaintrygowała się Krystyna.

– Nie sądzę – odparł Henryk. – Myślę, że to raczej piwnica na jakieś dobra. U nas po wsiach chłopci budują takie do przechowywania kartofli. Pewnie początkowo strop był dla izolacji pokryty grubą warstwą gleby, ale przez setki lat deszcze ją rozmyły. Gdzieś tu musiało być wejście.

Szybko znaleźli krawędź i kopiąc, odsłoniли półokrągłą ścianę szczytową, a przy niej z grubsza prostokątny otwór, zawalony drobnymi kamieniami.

– Tu były schodki albo pochylnia – orzekł profesor. – Raczej pochylnia, bo jak sądzę, loszek służył do przechowywania beczek z tranem lub olejem

rybnym. Tak czy inaczej, ktoś to zasypał.

– Będę podawał kamienie – zaofiarował się Henryk. – Michaił niech odbiera.

Szybko zaczął wybierać rumosz wypełniający zagłębienie. Po chwili odsłonił górną belkę nadproża, poniżej ukazały się poczerniałe ze starości, przegniłe dechy drzwi. Czerwonawą rdzą odznaczały się żelazne listwy i grube guzy, którymi nabito gęsto powierzchnię drewna.

– Uczciwe dranice z sosny żywicznej – zauważył uczony. – Okute też przyzwoicie. Ciekawe tylko, dlaczego piwniczka leży w pewnym oddaleniu od zabudowań?

Drzwi miały zamek, ale nie przylegały ściśle do futryny. Przez szpary wiało chłodem. Porucznik wyjął z raportówki wojskową latarkę i poświecił do środka.

– No i co tam? – zagadnął profesor.

– Łód na podłodze. Kilkanaście podłużnych kształtów, myślę, że ciała. Ułożono je rzędem, nakryto jakimiś zetłalymi już szmatami albo skórami. Przypuszczam, że to rodzina, domownicy i pracownicy tego Sigurda – wyjaśnił młodzieniec. – Tu ich pogrzebano.

Wybrali kamienie do końca. Zawiasy były zarośnięte rdzą i gdy porucznik pociągnął, skruszyły się. Wyciągnęli deski, torując sobie drogę do piwnicy. Światło dnia faktycznie wydobyło z mroku częściowo zmumifikowane ciała, ułożone rzędem. Zmarłym skrzyżowano ręce na piersiach, każdemu w dłonie wsunięto krzyż z dwu gałązek oplecionych rzemieniem. Twarze nakryto jakimiś chustami, dzięki czemu widok był trochę mniej przerażający.

Strop trzymał się dobrze, ale nikt nie kwapił się zejść do loszku. Wreszcie profesor, uzbrojony w latarkę, wszedł do środka.

Przez dłuższą chwilę oglądał kolejne zwłoki, czasem unosił chusty, by spojrzeć na twarze zmarłych. Wreszcie wyszedł. Otarł pot z bladego czoła. Umieścili deski na ich miejscu.

– Można zasypywać – polecił. – To nie są ci, których szukamy, tylko ich ofiary. Sigurd i jego bliscy. Naliczyłem dwadzieścia siedem ciał. Biorąc pod uwagę, jak szczupła populacja tu żyła, to była prawdziwa masakra...

– Zginęli... – zaczęła Krystyna.

– Część ma poderżnięte gardła, ale większość wybito z kuszy albo podobnej broni. – Profesor zademonstrował gruby bełt.

– Ta strzała ma metalowy grot – zauważył porucznik. – I to z dobrego żelaza, skoro przez tyle lat w wilgotnym lochu nie uległo korozji.

– Masz rację. Podejrzewam, że to nie jest żelazo, ale czysty nikiel. Mam w sterowcu trochę odczynników. Spróbuję to zbadać.

Zasypali wejście, przeżegnali się i pomodlili. Michaił ułożył na ziemi duży krzyż z ciężkich otoczków, jakby pieczętując w ten sposób mogiłę. Nastrój wszystkich członków ekspedycji wyraźnie się zwarzył. Wprawdzie wiedzieli, że odnieśli pewien sukces, zidentyfikowali konkretne miejsce i potwierdzili relację z kroniki, ale nikt nie miał ochoty tego dnia kopać dalej. Porucznik wybrał się na samotną przechadzkę po wzgórzach, chłopak okrętowy wziął wędki i usiadłszy na głazie, wpatrzył się w błękitno-zielonkawe wody fiordu.

*

Wieczorem, po kolacji, profesor zapoznał wszystkich z wynikami analiz.

– Strzała, czy też raczej bełt z kuszy – zaprezentował znalezisko. – Promień z drewna bukowego, natomiast grot jest jednak żelazny. Trochę go wytrawiłem słabym kwasem i proszę, co mamy.

Puścił strzałę w obieg. Henryk oglądał ją dłuższą chwilę.

– W pierwszej chwili wydawało mi się, że to damast, ale... – zaczął.

– To żelazo meteorytowe – wyjaśnił profesor. – Meteoryty żelazne, przebywając miliony lat w skrajnie niskich temperaturach przestrzeni międzyplanetarnych i w warunkach nieważkości, przechodzą szereg przemian chemicznych i fizycznych, które sprawiają, że w ich wnętrzu tworzy się rodzaj pseudokrystalicznej struktury złożonej z dwóch odmian żelazoniklu. Po potraktowaniu wypolerowanej powierzchni kwasem ujawniają się, tworząc wzór znany jako figury Widmanstättena. Faktycznie nieco przypomina damast.

– Skąd tu coś takiego? – zdziwiła się Krystyna.

– Na północ od naszego stanowiska znajduje się cypel Cape York. W jego okolicy leży kilka wielkich meteorytów żelaznych – wyjaśnił profesor. – Eskimosi jeden z nich nazywają Namiotem, inny Psem. Obok tych wielkich trafiały im się także mniejsze, łatwiejsze do eksploatacji. Od pokoleń kawałki kosmicznego żelaza były dla nich źródłem surowca do produkcji strzał, noży i grotów włóczni. Myślę, że metal może pochodzić z tego miejsca. Problem w tym, że Eskimosi nie znali kuszy. Nawiasem mówiąc, kształt jest raczej nietypowy.

– Ten grot wykuli na zimno czy na gorąco? – zapytał porucznik.

– Na gorąco. Dlatego siatka jest nieco zdeformowana.

– Zatem ci, którzy go wykonali, zapewne mieli też węgiel.

– To możliwe, występuje na Spitsbergenie i Wyspie Niedźwiedziej. Zapewne są też inne złoża arktyczne, do tej pory nieodkryte. A ściślej rzecz biorąc, nieodkryte przez nas.

– Myśli pan... – zaczęła Krystyna.

– To nie jest twardy dowód, ale lista poszlak wydłuża się.

*

Minął jeden arktyczny dzień, potem drugi. Profesor za pomocą tyczek i sznurka wyznaczył dwie długie linie – założyli wzdłuż nich kolejne wykopy sondażowe. Mężczyźni machali dziarsko łopatami, Krystyna z Weroniką przesiewały urobek. Warstwa gleby nie była szczególnie gruba. Niecały metr pod powierzchnią trafili na wieczną zmarzlinę.

– Wegetacja marniuchna, to i gleba nie przyrasta, płytko wszystko zalega – ocenił Henryk.

Na sicie pojawiały się różności. Dziewczyny znalazły kilka kościanych guzików, dwa szklane paciorki, nierozpoznawalny przedmiot z brązu, stopiony w ognisku lub pożarze. Do tego fragment przerdzewiałego łańcucha.

– Żadnych skarbów – martwiła się mała, gdy profesor przyszedł ocenić ich pracę.

– Nie szukamy tu skarbów. – Uśmiechnął się i zaczął przeglądać wydobyte kości.

Zajął mu to niemal godzinę. Co jakiś czas robił notatki. Wreszcie odłożył kajet i popatrzył na gładką jak lustro powierzchnię fiordu. Nadszedł Henryk. Wyglądał na zmęczonego, ale ostatecznie od wielu godzin przerzucał ziemię łopatą. Usiadł i obrócił jedną z kości w dłoniach.

– Hodowali i jedli głównie krowy – wyjaśnił uczony. – Mamy tu jeszcze gnaty drobniejszych zwierząt, kóz albo owiec, stawiam raczej na owce. Metali bardzo niewiele, choć wikingowie znali przecież żelazo. Zapewne było na tyle cenne, że niewiele go trafiało do ziemi, a co zostało, zabrano ze sobą, gdy zapadła decyzja o porzuceniu farmy. Wasze znaleziska chyba zakopujemy tutaj.

– Może zabrać je do muzeum? – zaproponowała Weronika.

– Nasza misja jest tajna – westchnął. – Dziś kończymy pierwszy etap badań archeologicznych. Zasypimy wykopy. Ci, których kości szukamy, spoczywają gdzie indziej.

– Założymy nowe wykopy gdzieś dalej? – podsunęła Krystyna.

– Tak, ale chyba już tylko jako doły sondażowe w miejscach, które wydadzą się nam podejrzanym. Widzicie... Mamy pewien problem techniczny. – Spojrzał na porucznika.

– Ten sterowiec ma już swoje lata i siłą rzeczy nie wszystko działa w nim tak, jak powinno – wyjaśnił Henryk. – Już podczas lotu kapitan obserwował niepokojący spadek siły nośnej.

– Czy to coś poważnego? – zatroskała się studentka.

– Dwa balonety okazały się w znacznym stopniu nieszczelne. Straciliśmy sporo wodoru. Mamy oczywiście zapasy kleju kauczukowego, poradzimy sobie. Musimy w tym celu spuścić z nich resztę gazu, wyciągnąć je ze środka balonu głównego, zaimpregnować i napompować ponownie. Do tego jeden silnik wymaga czyszczenia i nowego oleju.

– Czy to znaczy...? – w głosie Weroniki zabrzmiał strach.

– Nic nie znaczy – uspokoił ją uczony. – Trochę ciężkiej i dość brudnej pracy dla nas, mężczyzn. Mamy wszystko, czego potrzeba, z wytwornicą wodoru włącznie. Nie powiem, będzie z tym sporo roboty, ale im szybciej się zabierzemy, tym szybciej skończymy. Nie grozi nam zimowanie w tym niegościnnym kraju ani marsz na nartach sześćdziesiąt kilometrów ku duńskim faktoriom handlowym.

– Jak możemy pomóc?

– Zróbcie jutro dobry obiad dla ciężko pracujących. – Henryk puścił oko. – A potem przejdźcie się po okolicy, dobrze patrząc pod nogi. Jeśli gdzieś zauważycie podejrzanym garby ziemi albo zapadliska, zaznaczcie je

proporczykami. Musimy znaleźć ten grób. To nasza ostatnia szansa.

– Ostatnia szansa? – zdziwiła się Krystyna.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– No cóż – westchnął wreszcie profesor. – Skoro pan porucznik tak głupio się wygadał... Widzisz, jest taki problem. Nasz instytut nie jest szczególnie duży, kilkanaście osób, z których większości nigdy nie poznasz. Kłopot w tym, że nasze dociekania i sformułowane na ich podstawie teorie naukowe nie spotkały się ze szczególnie życzliwym przyjęciem. Co tu dużo mówić, podlegamy rzecz jasna „dwójce”, zarazem zachowujemy pewną autonomię, bo kopie naszych raportów trafiają na biurko majora Lepeckiego, który nadzoruje nas z ramienia samego Marszałka. Tylko że nasi decydenci, zwłaszcza ci, którzy wydzielają fundusze na tajne operacje...

– Nie wierzą w istnienie tych yeti i jetinsynów? – domyśliła się.

– Antropologia jest nauką ścisłą, ale mamy do czynienia z materiałem badawczym bardzo marnej jakości. Osobniki, które zdołaliśmy zbadać albo których czaszki pozyskaliśmy, mają maksymalnie jedną czwartą tej krwi. Częściej jedną ósmą lub jedną szesnastą, a przy takim rozcieńczeniu doszukiwanie się charakterystycznych cech jest bardzo problematyczne, często wręcz mija się z celem.

– Zażądano od nas twardych dowodów istnienia hipotetycznych yeti i mieszańców tych istot z *homo sapiens* – dodał porucznik. – Mamy czas do końca roku. Jeśli nam się to nie uda, instytut zostanie postawiony w stan likwidacji. Już by się do nas dobrali, gdyby nie osobista interwencja pana Lepeckiego. To podróżnik, wędrował wiele po świecie, niejedno widział. Ale nawet on jest dość sceptyczny. Wydaje nam się, że tu, na Grenlandii, zdołamy zdobyć niepodważalne dowody, których żąda od nas „dwójka”. Oczywiście będą to dowody liczące sobie osiem wieków, ale z braku lepszych... Profesor i kapitan wykorzystali swoje znajomości, by wyposażyć ten sterowiec. Resztę wolnych środków w budżecie poświęciliśmy na sfinansowanie wyprawy. To trochę szukanie igły w stogu siana, ale zrobiliśmy wszystko, by zwiększyć nasze szanse. Tak więc pani obecność i znajomość duńskiego to taki mały kamyczek mający przechylić szalę

powodzenia. Jesteśmy tu, gdzie trzeba. Zidentyfikowaliśmy grób osadników. Teraz musimy znaleźć kości ich oprawców i zabrać je do Warszawy. Jeśli się nie uda, wylądujemy na bruku, w dodatku z łatką skończonych wariatów. Jeśli się uda, otworzymy kolejny etap poszukiwań. Być może zostanie zorganizowana kolejna wyprawa tu, do Arktyki. Sterowiec, kilka statków, pelengatory, balony obserwacyjne, może zdołamy zdobyć wodnopłat zdolny do lądowania na morzu. I zyskać odpowiednie wojskowe wsparcie. Wtedy będziemy mogli poszukać tych drani już na poważnie. Rozpoznać sytuację bojem. Może nawet wziąć jeńców. Dowiedzieć się, co te cholerne yeti knują.

– Rozumiem.

*

Kolację zjedli na świeżym powietrzu. Mężczyźni rozstawili dwa stoliki, nakryli obrusem. Dziewczęta naszykowały pieczywo, to znaczy suchary, wędliny i puszkowaną mielonkę. Znalazła się nawet butelka wina i kieliszki.

– A po kolacji możemy zagrać sobie partyjkę brydża – zaproponował kapitan. – Tylko potrzeba czterech osób, a Michaił nie umie... – Przeniósł pytający wzrok na dziewczyny.

– Ja też nie. – Studentka pokręciła głową.

– No to nie mamy czwartego – westchnęła Weronika.

– Nawet trzeciego nie macie. Nie lubię kart – wyjaśnił profesor. – Wiele kosztowała moją rodzinę ta tekturowa banda.

– A kuzyn? – Młodsza z dziewcząt spojrzała na Henryka.

– Też nie lubię kart. – Rozłożył ręce. – Babka bawiła się tarotem, nic dobrego z tego nie wynikło. Przepowiedziała ludziom szereg nieszczęść i wszystko się sprawdziło, co do joty.

– Przepowiednie to zazwyczaj bzdury – mruknął profesor, jakby odrobinę poirytowany. – Z drugiej strony nie lekceważyłbym ich tak do końca. Pewien szaman w Afryce przepowiedział mi kiedyś kilka rzeczy i jak do tej pory sprawdziło się niemal wszystko. Ale przepowiedział mi także, że kiedyś chybię i wtedy zabije mnie latający słoń. Powaliłem w życiu trzy słonie, ale żaden nie latał. No bo niby jak?

– Może to jakaś przenośnia albo źle go pan zrozumiał? – podsunęła Weronika.

– Być może.

– Przepowiednie nie zawsze bywają precyzyjne – uśmiechnął się krzywo kapitan. – Pamięta pan, profesorze, historię o Sofoklesie i żółwiu?

– Owszem.

– Ja nie znam... – Weronika spojrzała prosząco.

– To znana opowieść. Wielkiemu dramatopisarzowi przepowiedziano, że zabije go przedmiot spadający z wysoka. Wierzył w to, więc przez całe życie unikał miejsc, w których coś mogło mu spaść na głowę. Gdy zmarł, jego zwłoki wystawiono na widok publiczny. Spoczywały na tarasie domu, w którym mieszkał. Schodzili się sąsiedzi, przyjaciele, wielbiciele jego talentu, by oddać mu ostatni pokłon. I wtedy nadleciał orzeł niosący w szponach żółwia. Ptaki te, nie mogąc poradzić sobie z twardą skorupą, z reguły zrzucają ofiary na skały, tak jak u nas sroki pragnące dobrać się do mięszu orzechów. W każdym razie, widząc łysinę tragika, orzeł wziął ją za głaz i roztrzaskał, upuszczając żółwia. Tak więc na pańskim miejscu...

– Mam się zatem obawiać, że słoń usiądzie na moim nagrobku? – zakpił uczony. – To pół biedy. Jakoś to przeżyję, to znaczy, precyzyjnie rzecz ujmując, nie będę już żywy. – Roześmiał się z własnej pomyłki. – Z drugiej jednak strony... – Znów spoważniał i zadumał się.

– Może zatem szachy? – zaproponował kapitan.

– Szachy z przyjemnością.

Krystyna posiedziała jeszcze pół godziny, a potem udała się do kajuty. Weronika drzemała z książką w dłoni. Studentka wyjęła tomik z dłoni koleżanki, założyła kawałkiem tasiemki i zaciekawiona zajrzała jeszcze na stronę tytułową.

– Selma Lagerlöf, „Cudowna podróż” – odczytała.

Myśl o tym, że jej towarzyszka, lecąc sterowcem, czyta książkę o podróży na grzbiecie dzikiej gęsi, wydała się Krystynie nieoczekiwanie zabawna...

*

Śniadanie zjedli w pośpiechu. Potem opuścili gondolę na ziemię i założyli nowe cumy. W ciągu następnych trzech godzin mężczyźni zdemontowali pokrywę jednego z silników, a potem rozkręcili motor. Tłoki okazały się pokryte delikatną kaszką korozji, a wewnątrz cylindra znaleźli zapieczony nagar spalonego oleju. Tłoki były już mocno wyrobione. Wszystko to wymagało starannego oczyszczenia i wymiany niektórych elementów.

– Remont generalny, i to w warunkach polowych – marudził kapitan, upačkany smarem po łokcie. – A przecież pół roku temu wymienialiśmy olej i panewki na głównym korbowodzie.

– Nie oczekujmy cudów – powiedział profesor. – Ta maszyna ma już ponad dwadzieścia lat. Była eksploatowana bez litości, w rozmaitych warunkach, a czasem przez ludzi, którzy niewiele mieli wspólnego z kulturą techniczną. Tu wszystko ma prawo się posypać.

– Odpukajmy w niemalowane drzewo! – ostrzegł Henryk. – Mamy przed sobą tysiące kilometrów lotu na południe.

Tylko Michaił milczał jak zwykle. Wykonywał zadania sumiennie, ale jego myśli krążyły gdzieś daleko. Rozkręcone części silnika zostały wyczyszczone, nasmarowane oliwą i złożone z powrotem w całość. Wkręcili też nowe świece zapłonowe. Dziewczyny zrobiły obiad, potem poszły na rekonesans. Ziemia zazdrośnie strzegła swoich tajemnic. Na powierzchni gleby przy niewielkim osuwisku znalazły okazały ząb jakiegoś zwierzęcia, ale po dokładniejszych oględzinach zidentyfikowały go jako koński.

Gdy wróciły, mężczyźni oglądali balonet wydobyty z wnętrza głównego balonu sterowca. Jedwab nie wyglądał najlepiej, a guma użyta do jego impregnacji najwyraźniej sparciała przez te wszystkie lata.

– Nie możemy znaleźć grobu tych, jak to opisano, trolli – zameldowała młodsza z dziewcząt. – Może coś źle zrozumieliśmy z tej kroniki albo ten, kto ją pisał, sam nie wiedział dokładnie. Pagórek z gleby mogło oczywiście rozplukać przez te kilka stuleci...

– Może nie pogrzebano ich, tylko porzucono? – zadumał się kapitan. – Po tylu latach na wolnym powietrzu z kości nie pozostanie nawet ślad. A może ich pobratymcy przybyli później i zabrali ciała? Nie da się też wykluczyć, że wikingowie uznali swych przeciwników za pomiot szatana i spalili zwłoki. W końcu to już byli chrześcijanie. Choć z drugiej strony, to by wymagało ogromnej masy opału, nie wiem, czy zebraliby aż tyle.

– Żeby skutecznie spopielić jedno ciało, trzeba trzy do czterech metrów sześciennych drewna – wyjaśnił porucznik. – Dla nich cenny był każdy kawałek wyrzucony przez morze. Trzeba będzie wykopać kolejne rowy sondażowe. Tylko najpierw uporamy się z tymi problemami – westchnął.

Zbliżał się wieczór. W powietrzu unosiła się intensywna woń podgrzanego kleju kauczukowego. Balonet mieli pociągnąć potrójną warstwą... Krystyna z Weroniką właśnie zastanawiały się nad kolacją, gdy profesor zajrzał do mesy.

– Mamy gości – powiedział.

– Coś poważnego? – zaniepokoiła się studentka.

– Eskimosi, cztery kajaki na fiordzie. Zapewne spostrzegli nasz sterowiec i chcą złożyć nam wizytę. Na razie nie jest to powód do jakiegoś szczególnego niepokoju, ale miejmy oczy szeroko otwarte. Weronika, ty zostajesz w gondoli, Michaił i kapitan niech przygotują na wszelki wypadek broń, ale prosiłbym, żeby się nie pokazywali. Krystyno, ciebie będę potrzebował jako tłumaczki. Jeśli znają jakieś języki europejskie, to najprawdopodobniej duński, ewentualnie angielski.

– Tak jest!

Kolejne pół godziny spędzili na obserwacji nieoczekiwanych przybyszów. Eskimosi dobili do starej przystani. Tu, ze stoku obok ruin, widać było, że przypłynęły głównie kobiety i dzieci, mężczyzn było tylko trzech. Z pierwszego kajaka wygramolił się drobny, zasuszony staruszek. Wszyscy inni pozostali na brzegu, tylko on ruszył w stronę sterowca. Profesor przyniósł już wcześniej stół i cztery składane krzesła. Pośrodku stołu ustawił misę z ciasteczkami. Dziadek wyglądał nieomal jak jedna z odkopanych mumii. Był naprawdę stary, a życie w niegościnnym klimacie sprawiło, że jego twarz pokryły setki głębokich zmarszczek. Polarne słońce, północne wiatry i morska sól wygarbowały mu skórę. Jego czoło przecinała blizna po szarpanej ranie, z jednego ucha zostały strzępki. Uśmiechał się przyjaźnie, a w oczach wąskich jak szparki połyskiwały iskierki. Uczony zaprosił go gestem do stołu.

– Dzień dobry – powiedział po duńsku.

– Dobry – odpowiedział Eskimos.

Wymienili swoje imiona, on też się przedstawił, ale nazywał się tak dziwnie, że nie zdołali tego zapamiętać. Usiadł wygodnie, położył sobie ciastko na talerzyku i wyjął z kieszeni na piersi fajeczkę. Uczony poczęstował go tytoniem. Staruszek nabił, ujął podane pudełko zapalek, odpalił i zaciągnął się z wyraźną przyjemnością.

Krystyna zachęciła go gestem, żeby się częstował. Dziadek wziął jeszcze jedno ciasteczko, przesunął przed nosem, z lubością wdychając jego zapach,

po czym spałaszował oba w mgnieniu oka. Przeżuwając, oglądał sterowiec z wyraźnym zdumieniem.

– Jak coś tak wielkiego wisi w powietrzu? – zapytał wreszcie.

Mówił po duńsku z dziwnym akcentem, ale zupełnie poprawnie.

– To balon, lata podobnie jak ptak – wyjaśniła Krystyna. – Przybyliśmy tym z naszego kraju.

– I ten blaszany domek – wskazał cybuchem na gondolę – jest wasz? Cały dom zabraliście w drogę przez powietrze? Ot tak, razem z drzwiami i oknami?

– Tak.

Chyba z miejsca jej uwierzył, ale wyglądał raczej na rozbawionego niż zaskoczzonego. Uśmiechał się i klepał po udach.

– Różni ludzie tu przybywają – powiedział. – I dobrzy, i źli... Ale żeby w latającej chacie, to pierwszy raz widzę. Choć opowiadali, że i tak czasem bywa.

Podrapał się po piersi. Krystyna spostrzegła, że ma na szyi gruby rzemień, a na nim duży, stary miedziany krzyż.

– Bywają też u nas misjonarze – powiedział, widząc jej zainteresowanie. – Naszą mowę znają. I mówią o waszym Bogu, który jest dobry. Lubię ich posłuchać. Latem, gdy słońce nie zachodzi, gdy zielenią się trawy, przyjemnie słuchać o dobrym Bogu, który sam jest światłem. Ale gdy idzie jesień, misjonarze umykają przed zimą do swoich krajów za wielką wodą. Zapada długi mrok, chaty pokrywa śnieg, a wtedy strach przed naszymi dawnymi bogami powraca, wkrada się między nas jak cień... Trudniej wtedy myśleć o Bogu, który chodził między ludźmi i dzielił z nimi ich troski. Znowu czujemy lęk przed olbrzymkami zamieszkującymi dno morza. Szamani wyjmują swoje bębny, a miedziany pierścień wędruje po napiętej skórze, wskazując znaki, z których poznajemy nasze przyszłe losy i dowiadujemy się, czego chcą od nas duchy tych, co odeszli... – Składał słowa w zdania

całkiem zgrabnie, jakby chciał się popisać znajomością duńskiego. – No, ale powiedzcie, czego wam potrzeba. – Pyknął z fajki. – Po co tu przybyliście? Mamy dużo skórek. Ładnych, z zimowych polowań – zachęcał. – Albo zęby morsa. Duże i ciężkie, dwadzieścia sztuk. Potrzebujemy w zamian prochu i śrutu. Przyda się też miedziany i mosiężny drucik, cukier oraz tkaniny. Chcecie? W osadzie mamy, ale jak trzeba, przywieziemy. Niedaleko. Za pięć dni mogą być wasze. – Rozczapierzył palce jednej ręki.

Ciekawe, jak rozpoznaje upływ czasu, skoro słońce w ogóle tu nie zachodzi, pomyślała studentka. Z drugiej strony zatacza przecież elipsę po niebie, widać zmiany jego położenia...

– Nie mamy towarów na handel. Przybyliśmy tu badać przeszłość – wyjaśniła, wskazując ruiny.

Nie zmartwiła go ta odpowiedź, a w każdym razie nie dał po sobie nic poznać.

– Żyli tu kiedyś ludzie tacy jak wy, a nie tacy jak ja. – Pokiwał głową. – Dawno, najstarsi ludzie nie pamiętają... Chcecie wiedzieć, co się z nimi stało? A może i wiecie, skoro przybyliście szperać w tym właśnie miejscu, a nie gdzie indziej. Macie jednak książki, w których zapisano niejeden sekret czasów minionych. – Może jej się wydało, a może wyczuła w jego głosie nutkę zazdrości. – Tam na południu są podobne, ale dużo większe chaty, zbudowane z kamienia. Widziałem Duńczyków zeszłego lata, tam na południu, gdzie stare ruiny. Dziesięć dni drogi stąd albo i lepiej. Przybyli rozkopać rozwaliska, wyjęli też nieboszczyków z grobów, by ich oglądać, a potem ponownie złożyli w ziemi. – Pokręcił głową, jakby do tej pory dziwił się głupocie białego człowieka. – A gdy byłem wiele lat temu jako młody chłopak na Islandii, to nawet pokazali mi duży kamienny kościół, opuszczony od lat i bez dachu. Większy znacznie niż ten, który wzniesiono tam na południu w czasach, zanim mój lud przybył w te strony. Mówili też, że misjonarze już kiedyś byli u nas, potem odeszli, a teraz znów wrócili. Tak też i chyba było, bo ten krzyż znalazłem na brzegu, daleko stąd i też koło podobnych ruin. Pewnie nosił go na szyi ktoś zrodzony dawno temu.

– Badamy miejsca, gdzie kiedyś żyli ludzie – wyjaśnił profesor, a Krystyna przełożyła jego słowa. – Czy macie jakieś legendy związane z tym fiordem?

Staruszek spróbował kolejnego ciasteczka i mocniej zaciągnął się fajką.

– Starzy ludzie w długie zimowe wieczory opowiadali niejedno. Tu działy się straszne rzeczy, ale zapewne nie uwierzycie w to, co opowiem... – zadumał się dziadek. – To nie jest dobre miejsce. Tych ludzi zabiły trolle. – Wskazał ruiny. – Co więcej, mój dziadek mówił, że czasami znów się tu pojawiają, nad tą zatoką... I ja tak myślę. My mieszkamy daleko. Na północy. Kilka dni kajakiem, tu tylko czasem polujemy i szukamy puchu z mew i kaczek. Ale osiąść w tym miejscu? Ech, nie...

– Trolle? – podchwyciła studentka.

Te istoty kojarzyły się jej z Norwegią i Islandią, ale z drugiej strony, Grenlandię zasiedlili osadnicy z Islandii i niewielka grupka wikingów z innych krain.

– Tak wy ich nazywacie. Niscy ludzie, ale nie ludzie tacy jak my. Zwierzęta raczej, ale nie zwierzęta... – Rozłożył bezradnie dłonie. – Inni.

– Nie widział nigdy w życiu małp, nie umie znaleźć analogii – ocenił profesor, gdy studentka przełożyła słowa Eskimosa.

– Nazywamy ich także ludźmi bez brody – dodał starzec, pokazując gestem, że chodzi mu o podbródek.

– Cecha recesywna typowa dla neandertalczyków – szepnął profesor, wyraźnie zaintrygowany. – Brak wyrostka kostnego na końcu żuchwy.

Otworzył teczkę i pokazał starcowi karty z rysunkami. Głowy ludzi i neandertalczyków. En face i z profilu, rysunki i pomiary czaszek. Starzec brał je po kolei i oglądał uważnie. Wreszcie oddał uczonemu.

– A jednak chyba uwierzycie w to, co powiem – mruknął. – Istnieją ludzie, którzy nie są ludźmi jak ja, czy nawet jak wy. Niewielu ich i zazwyczaj trzymają się od nas z dala. Widziałem ich zaledwie kilka razy przez całe życie. Na szczęście tylko z daleka. I raz jednego z bliska, ale był martwy, zamarzył chyba, idąc po lodach. On miał tu grubo. – Przesunął palcami wzdłuż brwi. Zła twarz, inna niż nasze, inna niż wasze.

– Silniej rozwinięte wały nadoczodołowe – wysunął hipotezę porucznik. – To też pasuje!

– Potem nie widziałem żadnego. – Starzec popatrzył na swoje palce, jakby próbował policzyć, ile czasu minęło. – No może pięć lat albo i więcej... Trolle są niebezpieczne. Unikamy ich, ale i one z rzadka nas zaczepiają – ciągnął. – Gdy są zajęte swymi sprawami, niedobrze być w pobliżu.

– Sprawami? – podchwycił uczony.

– Czasem dobijają do brzegu, a wtedy z głębi lądu przybywają inni. Coś przenoszą. Ciągna na saniach. Pakują na statki. Swoje albo i nie. Ale tacy pojawiają się zazwyczaj tylko latem, przybywają gdzieś z północy, z krain pełnych lodu, zimna i śmierci, gdzie już nie zapuszcza się człowiek. Duńczycy nie wierzą w ich istnienie, ale ja widziałem. Niedawno.

Uczestnicy ekspedycji wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Widział pan trolla... niedawno? – ożywił się profesor.

– Przybywają czasem z głębi lądu, czasem płyną na blaszanych łodziach gdzieś z daleka – powtórzył. – Zeszłej zimy, gdy dzień robił się już dłuższy, zasadziłem się na fokę. Ciężka zima była, głód w domu. Potem zima mijała, ale głód trwał. Wziąłem psy, sanie i ruszyłem wzdłuż lądu, daleko na północ. Jest tam góra, z której widok rozciąga się bardzo daleko, a u jej stóp są miejsca przy brzegu, gdzie morze nie zamarza nawet w największe mrozy. Tam można się zasadzić na fokę. Zaprzęg zostawiłem na brzegu, w grotach, zabrałem tylko sanki i oszczep. Foki widziałem, ale z dala. Zasadziłem się z oszczepem i czekałem, czy któraś nie wypłynie w pobliżu. Troll szedł na nartach po lodzie. Strzelał do mnie, ale tylko zranił. Poleżałem, udając zabitego, ale ścisnąłem w ręce nóż. On jednak nawet nie sprawdził, czy żyję, tylko poszedł dalej.

Odsłonił przedramię, pokazując słabo widoczną, jasną bliznę.

– Kula karabinowa. Przeszła na wylot, nie uszkodziła na szczęście kości ani ścięgien – ocenił porucznik. – Pistoletowa czy z dubeltówki zostawiłaby... – urwał, widząc, że Krystyna wie, o co chodzi.

– Starzy ludzie mówią, że gdzieś tam, daleko za północnym widnokretem jest całe miasto trolli. Kiedyś podobno porywali nasze kobiety, żeby rodziły im dzieci. Potem przestali. Inni mówią, że pośrodku pustkowi, tam gdzie nic już nie żyje – wskazał fajką lodowiec – są doliny, w którychtrolle kopią w ziemi, szukając różnych skarbów. Ale wszyscy powtarzają, że lepiej trzymać się od nich z daleka, a gdy się pojawią, natychmiast uciekać. I tu też jest niedobre miejsce. Lepiej tu długo nie zostawajcie.

Pogadali jeszcze chwilę, ale niczego sensownego już nie usłyszeli. Obdarowali dziadka na drogę ciastkami i resztą tytoniu. Wracał do kajaka wyraźnie zadowolony i niebawem mała flotylla znikła za zakrętem fiordu.

– Ciekawe – mruknął uczony. – Idzie wieczór. Mogli tu się przespać i rano ruszać w drogę. Boją się...

– Myślisz, że jest coś, czego nam nie powiedział? – zaniepokoił się kapitan.

– Trudno ocenić. Ale myślę, że nie od rzeczy będzie wystawiać na noc warty. I może trochę dokładniej przyjrzeć się okolicy.

*

Zegar pokazywał ósmą. Smród świeżo zagotowanego kauczukowego kleju urywał nos. Nawet aromat niedawno zaparzonej kawy nie był w stanie go zagłuszyć. Krystyna z Weroniką pozmywały po śniadaniu.

– Miałbym dla was zadanie – odezwał się uczony. – Widzicie to wzgórze po drugiej stronie fiordu?

Przytaknęły.

– To najwyższy szczyt w tej okolicy. Myślę, że wikingowie, gdy już tu osiedli, mogli wykorzystywać to miejsce jako strażnicę. Rzecz jasna, nikt nie siedział tam non stop, by obserwować okoliczne fordy, ale w okresach zagrożenia mogli wystawiać tam warty. Wydaje mi się, że mogą tam być ślady jakiegoś budynku, wieży obserwacyjnej, czegoś podobnego. Jeśli mogę was prosić, weźcie blaszaną łódkę, przeprawcie się na drugą stronę zatoki i wdrapcie na górę. Rozejrzyjcie się po okolicy. Pogoda dziś idealna, można zrobić świetne zdjęcia. Wypstrykajcie ze dwie rolki filmu, a my tu sobie popracujemy... Nie będziecie musiały wdychać tego smrodu.

– Wziąć dubeltówki? – upewniła się studentka.

– Koniecznie. Proponuję zestaw: dubeltówkę i sztucer. Wprawdzie okolica jest raczej bezludna, a Eskimosi przyjaźnie nastawieni, ale zawsze może się trafić niedźwiedź polarny.

– Albo groźne bydlę, nieznane dotychczas nauce – zapaliła się Weronika. – W końcu reprezentujemy Instytut Kryptozoologii! Warto by odkryć wreszcie coś spektakularnego!

Profesor uśmiechnął się ciepło.

– Proszę ubić i przynieść okaz grenlandzkiego hipopotama leśnego – rozkazał. – I skórę białej zebry polarnej.

– Tak jest! – Dziewczyna zasalutowała.

Łódka doczepiona od spodu pod dnem gondoli była rodzajem szalupy – wypraską wytłoczoną z jednego arkusza alupolonu. Była bardzo lekka, miała niewielkie zanurzenie, mogła jednak unieść nawet cztery dorosłe osoby. Bez trudu zaniósł ją na brzeg i spuściły na wody fiordu.

Prawie nie było wiatru, powierzchni zatoki nie marszczyła najdrobniejsza fala. Niebo było bezchmurne, ale panował przyjemny chłód, przyjemnie było wiosłować. Łąka schodząca do samej wody wręcz zachęcała do lądowania. Dobiły do brzegu, wciągnęły łódkę daleko od linii wody i na wszelki wypadek przywiązały cumę do dużego głazu. Ruszyły pod górę. W wysokiej trawie szybko przemoczyły buty i nogawki.

– Wikingowie zapewne bywali tu nie raz, wypasali bydło... Zobacz, jaka tu trawa, znacznie lepsza niż po drugiej stronie – powiedziała Weronika.

– Szkoda, że nie wydeptali nam ścieżki na szczyt – westchnęła jej towarzyszka, trochę zasapana. – A może była tu taka, ale setki kolejnych zim zatarły ślady.

– Za to jest ławeczka. – Młodsza przysiadła na chwilę na kamiennej płycie.

Faktycznie, płaski głaz wyglądał jak celowo umieszczony w tym miejscu, opierał się na dwóch mniejszych. Łatwo było wyobrazić sobie pastuszkę, który siedzi w tym miejscu i gra na fujarce, obserwując krówki pasące się nad fiordem.

Odpoczęły tylko chwilę i ruszyły dalej. Wyżej gleba była już odmienna – licha i kamienista, trawy szybko ustąpiły miejsca porostom. Wreszcie stanęły na płaskim szczycie wzgórza, chłonąc wspaniały widok. Fiordy wcinały się w ląd, tworząc fantastyczną płataninę zatok i zatoczek. Szare skały, poznaczone żółtymi plamami porostów, zielone spłachetki łąk, szmaragdowa morska woda i szarobłękitna połać lądolodu, zamykająca cały wschodni widnokrąg. Krajobraz był dziki i surowy, ale i tak zachwycił pięknem.

– Roślinność przebojem zdobywa niegościnny i jałowy świat – powiedziała w zadumie Weronika. – Ale mimo wszystko wegetacja tu marniuchna, nic dziwnego, że kolonizacja w końcu się załamała. Ta ziemia nie wyżywi dużej populacji ani ludzi, ani ich zwierząt. Do tego zima podobna do śmierci. Kilka miesięcy mrozu i ciemności. Nawet jak w chatach mieli ciepło, to mrok rozświetlany jedynie świecami lub łojówkami musiał strasznie męczyć fizycznie i psychicznie.

– Myślę, że jeszcze bardziej dokuczała im samotność – powiedziała w zadumie Krystyna. – Inni ludzie mieszkają kilka dni drogi na południe. Najbliższe większe miasteczko jest dopiero na Islandii. Czyli potwornie daleko. Zimą taka osada była kompletnie odcięta od jakiegokolwiek kontaktu ze światem, a młodzi ludzie zupełnie pozbawieni perspektyw. Jeśli w danym pokoleniu nie było odpowiedniej rówieśniczki...

– Masz chłopaka? – zaciekała się Weronika. – A może narzeczonego?

– Nie mam, ale przecież w Warszawie można wybierać i przebierać niemal do woli. Tu nie byłoby szans.

– Henryk jest fajny – zauważyła nastolatka. – A podróże zbliżają ludzi.

– Ano, fajny to on jest...

No proszę, smarkula pomyślała o tym samym, co ona.

– Ale chyba jest trochę nieśmiały – ciągnęła Weronika. – Już dawno myślałam, jak mu znaleźć jakąś dziewczynę...

– Khm... To bardzo szlachetnie z twojej strony.

By ukryć zmieszanie, ponownie uniosła lornetkę do oczu. Sterowiec z tej odległości wydawał się niewielki. Szary, obły kształt balonu trochę wtapiał się w tło.

– Obcy element, niczym purchawka wyrosła na brzegu tatrzańskiego strumyka – zauważyła Krystyna.

– Też masz porównania.

– Wydaje mi się po prostu, że my, ludzie, kompletnie tu nie pasujemy. To nie jest nasze miejsce. Możemy wpaść na chwilę jako goście, ale nie będziemy zdolni tu żyć. A teraz znajdziemy srebrny róg do picia i kupę innych wikińskich skarbów... I dóbr, które zrabowali podczas łupieżczych wypraw do Irlandii. Gdzieś je przecież musieli schować, dlaczego zatem nie tutaj?

Osadnicy sprzed wieków istotnie zbudowali tu niewielki budynek na planie kwadratu. Bardzo grube ściany, ułożone z łupków przekładanych darnią, zachowały się miejscami do wysokości prawie dwóch metrów.

Weronika przeszła przez wyłom w murze, wskazujący miejsce, gdzie znajdowały się dawno już nieistniejące drzwi. Z framugi pozostał tylko obrobiony z grubsza kamienny prostopadłościan. Rdzawa plama wskazywała miejsce mocowania zawiasu.

– Wsadzili żelazny pręt w mur i zalali ołowiem, żeby nie wypadał. –

Studentka obejrzała resztki. – Ciekawe, do czego służył im ten budynek. Jako strażnica, czy może rodzaj latarni morskiej?

– Może to szopa na owce?

– Raczej nie. Nie wyobrażam sobie, by codziennie gonili zwierzęta pod taką górę.

– Rzeczywiście, masz rację...

Wnętrze zasłane było kamieniami, które pierwotnie tworzyły ściany, oraz strzaskanymi płaskimi płytkami łupku, zapewne stanowiącymi przed wiekami pokrycie dachu. Przez niewielkie okienko w ścianie widać było wyraźnie wzgórze po drugiej stronie fiordu, ruiny i sterowiec.

– A to mi się już zupełnie nie podoba – mruknęła studentka.

– Co takiego? – zaniepokoiła się jej młodsza towarzysza.

– Zobacz sama. – Krystyna wskazała jej kilka jasnych plam na kamieniach oraz kępki mchu jakby rozrzucone wokół. – To wygląda, jakby ktoś tu chodził, zdzierając butami mech. I to niedawno. Zupełnie niedawno.

Weronika stanęła w rozkroku na dwóch łysych polach. Z tej pozycji mogła bez trudu wyglądać przez okienko.

– Sądzisz, że ktoś nas stąd śledził!? – zdumiała się.

– Tego nie wiem, ale tak czy inaczej, ktoś tu był, i to niedawno. Rozejrzyjmy się, czy nie zgubił czegoś...

Niestety, wśród kamieni nie wypatrzyły nic, żadnego niedopałka papierosa, strzępu gazety czy innego współczesnego śmiecia. Za to w trzech innych miejscach odkryły, że porosty leżą na kamieniach zupełnie luźno, jakby ktoś je przypadkiem zdarł, ale potem starannie ułożył na właściwym miejscu.

– Oj, niedobrze mi to wygląda – westchnęła Krystyna.

Weronika stanęła raz jeszcze obok okienka. Oparła się o parapet i nagle

oderwała dłoń jak oparzona.

– Zobacz to!

Gładką powierzchnię jasnoszarego kamienia przecinała długa może na pięć centymetrów srebrzysta rysa.

– To ewidentnie ślad metalu. Jakby od noża, a może od statywu aparatu? – poskrobała się w głowę Weronika. – Ktoś tu stał i coś opierał. Może trójnóg pod lunetę? Ale to chyba nie jest stal. Może aluminium? Ono jest miękkie.

– A parapet z jakiejś odmiany piaskowca? – zauważyła jej towarzyszka. – Tak czy inaczej, to by na pewno ściemniało, może w kilka dni...

– Świeży, gorący jeszcze trop!

Gdy młodsza z dziewcząt zeskoczyła z kamieni, Krystyna stanęła w tym samym miejscu. Rzeczywiście, gdyby ktoś chciał stąd obserwować poczynania ekspedycji, punkt miał idealny. Inne okienko prowadziło na zachód. Roztaczał się z niego doskonały widok na wylot fiordu, ocean i rozległą połąć wybrzeża. Ale tam nie odkryły nic podejrzanego. Wyszły przed budynek i dla odmiany zaczęły przyglądać się ziemi. Niestety, grunt był kamienisty. Nie odbiły się na nim żadne ślady. W jednym miejscu spostrzegły świeżo przełamaną płytę łupku. Ale czy złamał ją człowiek?

– Musimy zejść kawałek w dół – poleciła Krystyna. – Poszukać błota, miękkiej gleby, czegoś podobnego. Może tam znajdziemy ślady butów.

– Myślisz, że to...

– Może to tylko jakiś Eskimos. Wędrował brzegiem, polując, zobaczył nas z daleka... Nie widział nigdy sterowca, więc się przestraszył, ukrył w ruinach i śledził, próbując wy badać, cośmy za jedni. A że wydaliśmy mu się podejrzani, nie nawiązywał kontaktu, tylko poszedł swoją drogą. Może ślady coś nam powiedzą.

Niestety. Ze szczytu nie wybiegały żadne ścieżki. Obie dziewczyny przez dobre pół godziny penetrowały stoki wzgórza, jednak nie odnalazły żadnych

podejrzanych tropów. Wreszcie, zmęczone i zniechęcone, zawróciły na brzeg. Przeprowadzenie się przez fiord zajęło im prawie pół godziny, jako że chyba zaczął się odpływ. Małą łódkę znosiło, więc trzeba było ostro robić wiosłami. Wreszcie dobiły do starej przystani, wywlokły krypę na brzeg.

W czasie, gdy one odbywały rekonesans, mężczyźni wykonali masę ciężkiej pracy. Wyciągnęli z wnętrza głównego balonu także drugi uszkodzony balonet i spuścili z niego resztki wodoru. Obydwa jedwabne worki zostały jednostronnie pomalowane kauczukowym impregnatem. Schły teraz rozciągnięte na ziemi, a smród gumy urywał nos.

– Co tam ciekawego po drugiej stronie fiordu? – zapytał profesor.

Zreferowały swoje obserwacje. Uczony zasępił się wyraźnie.

– Ktoś nas śledził... – Zmarszczył czoło i powoli nabił fajkę tytoniem. – Trzeba będzie zachować szczególną ostrożność.

Krystynie wydało się, że twarze mężczyzn wyrażały nieokreśloną troskę.

To uszkodzenie jest chyba poważniejsze, niż chcą powiedzieć, pomyślała. Albo pojawiły się jeszcze jakieś problemy. Najgorsze, że nie znaleźliśmy dotąd grobu tych trolli. Bez pozyskania dowodów ich istnienia cała ekspedycja traci sens... Ano nic, może jutro się uda?

*

Krystyna uchyliła powieki. W kajucie panował półmrok, roleta nie do końca zatrzymywała blask polarnego dnia. Już planowała odwrócić się twarzą do ściany i spać dalej, gdy pokład zadrżał. Ktoś szedł korytarzykiem. Rozpoznała krok profesora.

– Znów to samo – usłyszała głos Henryka. – Wymiana komunikatów, chyba ten sam rodzaj szyfru.

– Diabli nadali.

– Myślisz, że...

– Nie wydaje mi się. Jesteśmy w sumie dość blisko cywilizacji. Kręcą się tu Eskimosi, zapuszczają Duńczycy. Dla hipotetycznych jetinsynów jest tu już chyba za ciasno – rozważał uczony. – Czy według ciebie jeszcze ktoś inny może nadawać te sygnały?

– Och, teoretycznie niemal każdy... Radio na pokładzie mają dziś praktycznie wszystkie okręty. Nadajniki zabierają ze sobą ekspedycje badające nieznane lądy. Jednocześnie skarby Arktyki pociągają coraz to nowe państwa. Norwegowie polują na tych wodach na wieloryby. Robią to na skalę przemysłową i dziś już się mówi, że stada tych pożytecznych zwierzaków uległy nadmiernemu przetrzebieniu. Sowieci, Kanadyjczycy i Amerykanie szukają cennych kopalin. Nie zapominajmy o Niemcach, którzy wszędzie usiłują wściubić nos, a których przemysł potrzebuje na gwałt surowców, w pierwszej kolejności metali. Ale zaniepokoiła mnie wizyta tego starego i jego opowieści. Wygląda na to, że oni się tu co jakiś czas kręcą.

– Te sygnały wyłapujemy ze wschodu? Czyli z głębi Grenlandii? – dociekał uczony.

– Niekoniecznie, mogą być nadawane ze wschodniego wybrzeża. Ewentualnie z Morza Grenlandzkiego lub wyspy Jan Mayen.

– A ze Spitsbergenu?

– Nie ten kierunek sygnału. Moim zdaniem mamy do czynienia ze słabym nadajnikiem, działającym gdzieś pośrodku wyspy – wyjaśnił porucznik. – Nadają jakieś komunikaty, średnio co trzy godziny. Nie znam treści przekazów. Wyłapałem dwa razy odpowiedzi, krótkie i nadawane gdzieś z północy. A raz z zachodu.

– Masz jakieś przypuszczenia?

– To mogłyby być powtarzalne dane, na przykład obserwacje meteorologiczne, ale po co je w takim przypadku szyfrować? Tak czy inaczej, nie podoba mi się to absolutnie. Bardzo mi się nie podoba. Zwłaszcza wobec podejrzeń, że ktoś nas obserwował z tej wikińskiej rudery na drugim brzegu – w głosie Henryka pobrzmiwał jakby strach.

– Dziewczyny nie znalazły jednoznacznego dowodu. Zdarty mech z dwóch kamieni, złamany kawałek łupku, rysa na parapecie... Gdyby ktoś tam siedział dłuższy czas, musiałby spać, jeść i załatwiać potrzeby – zauważył profesor. – Doświadczenie uczonego podpowiada mi jednak, by nie lekceważyć najmniejszego nawet tropu. Na razie musimy założyć, że byliśmy obserwowani. Co więcej, lepiej będzie, gdy założymy, że inwigilowały nas istoty, których śladów szukamy. I że to ich nadajnik wysyła intrygujące komunikaty.

– To bardzo odważna hipoteza.

– Najwyżej się przyjemnie rozczarujemy. Potrafisz wyliczyć, w jakiej jesteśmy odległości?

– Na tym przedpotopowym aparacie niewiele da się zdziałać. Przypuszczam, że około dwustu kilometrów, ale by zdobyć pewność, trzeba dokonać kolejnych pomiarów. Martwi mnie jedno. Chwilowo jesteśmy unieruchomieni...

– Nie przesadzajmy. W razie poważnego zagrożenia odetniemy kotwice, zrzućmy wodę ze zbiornika i dwie trzecie paliwa. Zostawimy szalupę. To będzie ściągnie tona ładunku mniej. Wtedy nawet bez balonetów docigniemy do Godthåb.

Rozległy się kroki na korytarzu, potem trzasnęły drzwi. Kierownik ekspedycji wrócił do siebie... Studentka leżała na swojej koi, wpatrując się w półmrok kajuty. To, co usłyszała, sprawiło, że serce waliło jej jak młotem.

Czy to możliwe? – zadała sobie trwożne pytanie. Czy jetinsyny nie dość, że istnieją, to jeszcze wiedzą o naszej obecności?

Myślała, że nie zaśnie do rana, ale w końcu zmorzył ją sen.

*

Aromat kawy i zapach jajecznicy na cebulce wypełniały wnętrze mesy. Zasedli do stołu. Profesor postukał łyżeczką o szklanę.

– Drodzy i zacni – powiedział. – Ostatnie dni przyniosły nam niestety nowe problemy. O nieszczelności balonetów i kłopotach z lewym silnikiem wiedzą wszyscy. Nie wszystkich informowaliśmy jednak o dodatkowych okolicznościach komplikujących naszą sytuację. Szczerze powiedziawszy, wahałem się, czy ujawniać wszystkie informacje, ale uważam, że skoro jedziemy poniekąd na jednym wózku, nie czas i nie miejsce na niedopowiedzenia i sekrety. Panie poruczniku, proszę zreferować, najwyżej coś uzupełnię.

– Od kilku dni odbieram sygnały radiowe, których nie potrafię zidentyfikować – wyjaśnił Henryk. – Są zaszyfrowane. Co więcej, nadano je z głębi lądu. Możliwości jest kilka. Po pierwsze, nie wykluczamy, że to ci, których śladów szukamy. Druga możliwość jest niewiele lepsza. W tej części świata mało kto zawraca sobie głowę szyfrowaniem. Jest tylko jeden kraj, w którym wszystko jest zakazane, a każda najdrobniejsza nawet bzdura na wszelki wypadek ściśle tajna. To mogą być Sowieci. Nie wiem, czego tu szukają, ale z całą pewnością przebywają w tym rejonie nielegalnie. Trzecia możliwość to jakaś operacja wojskowa, może manewry lub ćwiczenia w wykonaniu duńskiej armii. W zasadzie najlepiej byłoby natychmiast się stąd zabierać. Kłopot w tym, że potrzeba jeszcze sporo pracy, żeby sterowiec był gotów do odlotu.

– Doszliśmy do wniosku, że w zaistniałej sytuacji musimy uzyskać precyzyjniejsze dane odnośnie do położenia źródła sygnałów – uzupełnił profesor. – Najprościej namierzyć je metodą kartograficzną. Sygnał jest

najsilniejszy, gdy odbiornik znajdzie się na wprost nadajnika i zostanie ustawiony równolegle do fali. Pomiar wykonany przy użyciu naszych anten wskazuje, że źródło znajduje się na wschód od nas. Musimy podzielić się na dwa zespoły. Jeden uda się dwadzieścia kilometrów na północ, drugi dwadzieścia kilometrów na południe. Tam powtórzymy pomiary i naniesiemy na mapy linie celujące w nadajnik. Uzyskamy trzy proste. Jeśli pomiary będą wystarczająco precyzyjne, na ich przecięciu znajdzie się punkt, o który nam chodzi.

– To dobry plan – odparł kapitan. – Problem widzę w szczupłości naszych sił. Pogoda się zmienia, sterowiec musi być gotów do odlotu jak najszybciej. Aby uruchomić maszynę, potrzebuję jeszcze ze trzydzieści godzin i co najmniej dwóch ludzi do pomocy.

– Ja mogę iść – zaoferowała się Krystyna. – Miałam w harcerstwie podstawy radionawigacji, myślę, że uda mi się wykonać odczyty. Będę się zatrzymywała co dwa lub trzy kilometry i robiła pomiar.

– Nie możesz iść sama. – Henryk pokręcił głową. – Weź Michaiła i Weronikę. Damy wam broń, zestaw niezbędnego sprzętu i dmuchany ponton na wypadek, gdyby jakiś fiord przeciął wam drogę.

– Weronika jest chyba za młoda... – bąknęła.

– Dam radę! Przydam się! – Najmłodsza uczestniczka ekspedycji aż poderwała się od stołu.

– Niech idzie – zgodził się profesor. – Musicie zabrać strzelby na wypadek spotkania z niedźwiedziami polarnymi. Mapę tej części wybrzeża posiadamy raczej kiepską. Jest tu zaznaczone wzniesienie górujące nad wybrzeżem, o wysokości około trzystu metrów. – Zaznaczył ołówkiem punkt docelowy. – Pamiętacie? Przelatywaliśmy nad nim. Odległość blisko dwadzieścia jeden kilometrów. Dotrzecie tam i spróbujecie złapać ich sygnał. Ustalcie kierunek najdokładniej, jak to możliwe. Jeśli po drodze traficie na dobre warunki, spróbujcie także dokonać odczytów. Im więcej danych będziemy mieli, tym lepiej.

– Ruszamy zaraz po śniadaniu – zaproponowała Krystyna.

Najtrudniej było zrobić pierwszy krok. Cała trójka przeprawiła się łódką na drugą stronę fiordu, wspięła na szczyt wzgórza i ruszyła równolegle do połyskliwej krawędzi lodowca. Zatrzymali się jeszcze na chwilę, by rzucić pożegnalne spojrzenie na sterowiec przycumowany w pobliżu ruin farmy, potem odwrócili się i pomaszerowali przed siebie.

Krajobraz był piękny, ale jednocześnie surowy. Wszędzie widzieli połączenie spękanej skały, wygładzonej przez wiatry, przez tysiące zim i lodowce. W szczelinach i zagłębieniach, gdzie zatrzymywała się woda, rosły drobne krzewy i rachityczne, poskręcane brzoźki. Na wielkich głazach dostrzec można było grube kobierce mchu, rosnącego na warstwie porostów. Czasem czapy takie przyozdabiały dodatkowo smętne krzewy jagód. Widok życia nieustępliwie wdzierającego się w ponury jałowy świat budził mimowolne przygnębienie. Spod topniejącej w słońcu masy lądolodu wyciekały szersze i węższe strumyczki, które szczupła ekspedycja musiała pokonywać, skacząc po kamieniach. Mimo wszelkich środków ostrożności szybko przemoczyli buty.

Wreszcie Krystyna zarządziła postój. Odczytała wyniki wszystkich trzech krokomierzy, wyciągnęła średnią i zaznaczyła położenie na mapie. Następnie, używając kompasu, wyznaczyła kierunek północny. Przez godzinę siedziała ze słuchawkami na uszach, ale zagadkowa stacja nadawcza milczała jak zaklęta.

– Nie ma rady – westchnęła wreszcie, składając anteny. – Musimy iść dalej.

Michaił dociągnął paski plecaka i ruszyli. Dziewczyna obserwowała milczącego Rosjanina spod oka. Stawiał stopy pewnie, co jakiś czas w trudniejszych miejscach patrzył badawczo, czy nie potrzebują pomocy. Narzucił równe, spokojne tempo marszu.

Obcy człowiek w obcym świecie, wśród obcych mu ludzi, pomyślała mimochodem. Przyjazny, dobry towarzysz wędrówki. Kapitan, profesor i porucznik mu ufają. Ale co tak naprawdę dzieje się w jego głowie? Co przeżył, co zobaczył, że stracił zdolność do artykułowanej mowy? Przeniosła teraz spojrzenie na Weronikę. Zabawna mała. Miała swój rozumek mimo bardzo młodego wieku.

Hm... jestem od niej tylko pięć lat starsza. Miła przylepa, kuzynka Henryka i jest też jakoś spokrewniona z profesorem. Ale jak? Nie jest przecież jego wnuczką. Idę przez obcy, groźny skrawek lądu gdzieś na końcu świata, w towarzystwie ludzi, o których życiu nie mam zielonego pojęcia. Oni zaś dla odmiany wiedzą o mnie wszystko. Także to, że tak nie do końca jestem człowiekiem...

Spod ich stóp wyrwał się polarny zając. Pokicał długimi susami i znikł w zagłębieniu terenu.

– Trochę to wszystko beznadziejne – powiedziała Krystyna, gdy podjęli dalszy marsz. – W tym tempie będziemy na miejscu pojutrze.

– Szybciej się nie da – wysapała Weronika. – Mam nadzieję, że was nie opóźniam? Mam krótsze nogi...

– Ależ skąd – uspokoiła ją starsza towarzysza.

Na szczycie wzgórza znów rozłożyli anteny. Przez pół godziny prowadzili nasłuch. Kolejny raz nie udało im się namierzyć zagadkowej radiostacji.

– Przestali nadawać czy co? – zirytowała się młodsza z dziewcząt.

– Najwidoczniej tak. To nie jest Radio Warszawa, nie organizują całodziennego programu. Pewnie wymieniali informacje z okrętem albo grupą zwiadowczą wysłaną w teren. Grupa powróciła do bazy. A może coś knują i dlatego przestrzegają ciszy radiowej? – zadumała się Krystyna. – A jeśli tam w ruinach chaty faktycznie był posterunek obserwacyjny i właśnie nas szpiegowali? Jeśli to faktycznie jetinsyny i, co gorsza, wiedzą, że tu jesteśmy? A już nie daj Boże, wiedzą, po co tu przybyliśmy? – Przeniosła wzrok na Michaiła.

Ten kiwnął głową i rozchylił usta, najwyraźniej próbując coś powiedzieć. Ale znów nie zdołał wydać żadnego dźwięku.

– Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, to nie mamy jak ostrzec pozostałych... – rozważała Krystyna. – Z drugiej strony, ze sterowca przecież prowadzą regularny nasłuch, więc zauważyli lub zaraz zauważą, że tamci

przestali nadawać. Ruszajmy dalej.

Niebawem drogę przegrodziło im wysokie na kilka metrów urwisko. Nie dysponowali żadnym sprzętem przydatnym do wspinaczki, musieli przejść niemal dwa kilometry, zanim znaleźli wyłom umożliwiający pokonanie przeszkody. Pogoda, do tej pory ładna, popsua się. Od morza nasunął się wał chmur burzowych. Na otwartym terenie fieldu porywisty wiatr był bardzo dokuczliwy. Zanosilo się na deszcz, więc musieli poszukać jakiegoś schronienia. Pierwsze miejsce, które wydało im się obiecujące – niewielka łączka osłonięta skalnym ostańcem – okazało się fatalne. Soczysta trawa podeszła wodą, rozmiękla gleba kłaskała przy każdym kroku.

Wreszcie znaleźli coś lepszego – zaciszną kotlinkę pomiędzy dwoma skalnymi garbami. Rozłożyli stelaż z bambusowych żerde, rozciągnęli brezent i przygnietli jego krawędzie większymi kamieniami. Zrobili to w ostatniej niemal chwili, bo wał czarnych, burzowych chmur był już blisko. Michaił zniknął z rondelkiem, niebawem powrócił, niosąc kilka brył lodu. Krystyna rozłożyła antenę, zorientowała za pomocą kompasu. Wpięła kable, podłączyła akumulator i uruchomiła radio.

– Chcę spróbować przed burzą – wyjaśniła, napotkawszy pytający wzrok młodszej koleżanki.

Siedziała długą chwilę ze słuchawkami na uszach, gdy nieoczekiwanie pasmo ożyło. Zagadkowa radiostacja znów nadawała swoje zaszyfrowane komunikaty. Dziewczyna zaczęła kręcić anteną i w chwili, gdy sygnał był najczystszy, wykonała pomiar.

Weronika wyjęła mapę. Odnalazła ich obecną pozycję. Przyłożyła ekierkę, kątomierz i dobrze zaostrzonym ołówkiem poprowadziła linię w głąb grenlandzkiego lądolodu. Linia przecięła granatową kreskę, nakreśloną przez profesora.

– To nie jest sygnał ze wschodniego wybrzeża Grenlandii ani Spitsbergenu. Nadano go z serca wyspy. Z obliczeń wynika, że źródło jest prawie dwieście kilometrów od miejsca, w którym prowadziliśmy badania – powiedziała Krystyna. – O ile odczyt jest prawidłowy. Ale to by się zgadzało. Henryk wyliczył podobną odległość innymi metodami.

– Tylko że wedle mapy tam nie ma nic – zauważyła Weronika. – Lód, zapewne gruby na kilometr, i tyle.

– Nie możemy mieć tej pewności – mruknęła Krystyna. – To taka, nomen omen, biała plama na mapach. Nansen w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym przeszedł Grenlandię na nartach. Znalazł tylko lód. Ale wewnątrz wyspy jest bardzo słabo zbadane. Kto wie czy nie ma tam pasm górskich wystających ponad lodową czapę? Może tam być wszystko. Nawet ciepłe źródła. Jules Verne w swoich fantazjach umieszczał w sferze polarnej nawet wulkany. Dużo się nie pomylił, bo jest przecież jeden na wyspie Jan Mayen.

– Sądzisz, że to może być kryjówka tych, których szukamy? – zapytała Weronika z przejęciem. – Profesor dopuszcza taką możliwość.

– Wolę myśleć, że to tylko nielegalna ekspedycja polarna Sowietów – powiedziała studentka. – Niemniej jednak nie podoba mi się to.

Spojrzała na chłopca okrętowego, ale siedział z nieobecną miną, wpatrzony w coś, co dostrzegał tylko on... Krople zabębniły o tropik. Weronika zwinęła się w kłębek jak kot i drzemała. Michaił nakrył ją pledem i dał znak Krystynie, żeby też się zdrzemnęła. Poklepał kolbę strzelby na znak, że sam będzie czuwał.

To w sumie dobry pomysł, pomyślała. W deszczu nie będziemy maszerowali, a nie ma nic innego do roboty.

Oparła się o skrzynkę z radiostacją, położyła głowę na ramieniu i zapadła w płytką drzemkę. Deszcz padał może przez dwie godziny. Zagrzmiało kilka razy, potem znów wyszło słońce. Gdy studentka otworzyła oczy, Rosjanin siedział oparty o kamień, ze strzelbą na kolanach i szkicował coś w notesie ołówkiem.

Widząc, że się obudziła, odwrócił brulion w jej stronę. Jak się okazało, narysował ją i Weronikę śpiące w namiocie. Odrobinę zgubił perspektywę i nie do końca wyszło mu cieniowanie, ale podobieństwo uchwycił perfekcyjnie.

– Pora w drogę. – Krystyna trąciła towarzyszkę w ramię.

Michaił wyszedł na chwilę i wrócił z trzema kubkami gorącej kawy. Widocznie, gdy spały, rozpalili ognisko i zagrzał wodę. Piły w pośpiechu, potem zagryzły kanapkami. On zwinął wilgotny jeszcze tropik. Ruszyli dalej. Po deszczu na skałach stały kałuże. Ochłodziło się, mimo to szło się przyjemnie. Drzemka dodała im sił do dalszego marszu. Zegarek pokazywał dwudziestą pierwszą, gdy wreszcie stanęli na miejscu.

Góra była faktycznie wyższa niż otaczające ją skalne garby. Podejście było dość strome, ale spękana skała dawała dobre oparcie dla nóg. Wreszcie zatrzymali się na rozległym nagim szczycie. Od morza wiała chłodna bryza. Widok był piękny. Od wschodu języki lodowców spływały jak szare rzeki, żłobiąc sobie z trudem drogę przez granitowe wzgórza. Dalej, w odległości kilku kilometrów, widać było wyraźnie wysoką na kilkadziesiąt metrów krawędź wielkiego lądolodu, a za nią rozległą pustą przestrzeń zasypaną śniegiem. Od zachodu poszarpana skała opadała urwiskiem do oceanu. Przy brzegu leżały dziesiątki mniejszych i większych skalistych wysepek. Na południe ciągnęły się wzgórza poprzecinane fiordami, a nad horyzontem majaczył wierzchołek kolejnego wzniesienia.

Michaił uniósł do oczu lornetkę i długo badał otoczenie. Szczególnie dużo czasu poświęcił na zbadanie widocznych stąd pól lodowych. Wreszcie wzruszył ramionami. Nigdzie wokoło nie było śladu człowieka. Najwyraźniej nie wypatrzył też niedźwiedzi polarnych ani innych groźnych zwierząt. Rozłożyli mapę. Szczytali dane z krokomierzy.

– Jesteśmy w przybliżeniu dwadzieścia kilometrów od bazy – powiedziała Krystyna. – Teraz trzeba rozstawić anteny i cierpliwie czekać, aż tamci zaczną nadawać.

Zasiadła ze słuchawkami na uszach. Michaił i Weronika nie tracili czasu. Rozłożyli obozowisko na płaskim plateau opodal szczytu, rozpakowali plecak. Stok zasłaniał ich od morza. Chłopak rozstawił namiot, ułożył pośłania, potem zagrzał w rondelku wodę, otworzył puszkę z mięsem, rozłożył suchary i posmarował masłem z blaszanej maselnicy.

Krystyna w tym czasie przeszukiwała eter. Posłuchała przez chwilę odległych, zagłuszanych zakłóceniami rozmów w różnych językach, melodii rozmaitych ludów, ale szybko skupiła się na tym jednym, konkretnym

paśmie. W słuchawkach miała biały szum, przerywany z rzadka trzaskami.

Weronika przyniosła jej miskę pełną makaronu i gęstego sosu z kawałkami gulaszu. Krystyna podziękowała i nie zdejmując słuchawek z uszu, puściła widelec w ruch. Michał siadł nieopodal. Jadł pospiesznie, nachylony nad miską, skulony, jakby odruchowo osłaniał jedzenie własnym ciałem.

Nawyk z łagru, pomyślała. Tyle czasu minęło, a to, co przeżył, nadal siedzi w nim wbite głęboko jak zadra... Szkoda chłopaka.

Nad ich stanowiskiem przeciągnął klucz kaczek. Spomiędzy płożących się brzoźek wyrzwał na chwilę jasny łebek zająca polarnego. Zwierzątko przez chwilę obserwowało ją z zaciekawione, po czym znikło cicho i bez śladu. Weronika buszowała wśród krzewów z młotkiem geologicznym, potem wyciągnęła z plecaka książkę i ułożona na nagrzaną skałę oddała się lekturze. Nie mieli kompletnie nic do roboty. Dochodziła północ, gdy nieoczekiwanie pasmo ożyło. Wszyscy uczestnicy małej ekspedycji zebrali się w jednej chwili przy odbiorniku. Krystyna, kręcąc antenami, ustaliła kierunek, Weronika dokonała odczytu i naniosła na mapę. Powtórzyli pomiar kilka razy.

– To są dwa źródła fal radiowych – oceniła studentka. – Pierwsze z punktu, który namierzyliśmy, drugie z innego miejsca.

Pół minuty później we trójkę wpatrywali się w mapę. Niebieska kreska, wyrysowana przez profesora, celowała niemal dokładnie na zachód – ku sercu Grenlandii. Druga, narysowana przez nich na poprzednim postoju, przecinała ją w odległości około dwustu kilometrów od wybrzeża. Kreska narysowana przez Weronikę przed chwilą celowała z grubsza w ten sam punkt. Natomiast czwarta, ta z najświeższego pomiaru, przecinała błękitną linię około siedemdziesięciu kilometrów od oceanu.

– Mają dwie bazy? – zdziwiła się Weronika.

Studentka wpatrywała się dłuższą chwilę w mapę. Przymknęła oczy.

– Oni... – nabrała powietrza – oni wysłali drugą grupę, która maszeruje ku wybrzeżu! Ku obozowi naszej ekspedycji! Składają po drodze meldunki...

Weronika spojrzała na nią przestraszona. Michaił wydał z siebie ochrypły skrzek. Odwróciły się i spojrzały na niego. Widać było, że chłopak usilnie stara się coś powiedzieć. Wreszcie, zrezygnowany, sięgnął po ołówek i naskrobał na marginesie mapy rząderek kulfonów. Łaciński alfabet nie był jego mocną stroną...

– „Wracajmy natychmiast ostrzec” – odcyfrowała Krystyna napis po polsku.

– Masz rację, i tak właśnie musimy zrobić.

Kiwnął energicznie głową.

– Jesteśmy dwadzieścia kilometrów od obozowiska! – Młodsza dziewczyna pobladła. – Jeśli mają psie zaprzęgi, będą na miejscu grubo przed nami.

– Żadne psy nie są w stanie przebiec na raz siedemdziesięciu kilometrów – uspokoiła ją studentka. – Będą musieli zrobić co najmniej jeden postój i dać im solidnie wypocząć przez wiele godzin. Jeśli tylko nie mają sań motorowych czy czegoś podobnego, zdążymy!

Nic więcej nie musieli mówić. Michaił zbiegł do obozowiska, zaczął wyrywać śledzie trzymające tropik namiotu. Dziewczyny zwinęły śpiwory. Nagle studentkę uderzył bezsens tego, co robią.

– Zabieramy tylko tropik i ponton! – rozkazała. – Oraz broń. Żadnego zbędnego obciążenia! Będzie dobrze, to się przyleci tutaj sterowcem. Będzie źle, to już się nam i tak nie przyda.

Posłuchali jej. Rzucili plecaki i śpiwory na jeden stos, przykryli rezerwowym płatem brezentu. Rosjanin zarzucił sobie na plecy wór z pontonem. Krystyna przewiesiła przez ramię pudło z radiostacją. Sprawdzili broń i cała trójka ruszyła szybkim marszem na północ.

– Czy nie byłoby szybciej popłynąć pontonem wzdłuż wybrzeża? – zapytała Weronika.

– Nie. Obozowisko jest w głębi fiordu. Poza tym fale przyboju dałyby się nam we znaki. – Krystyna pokręciła głową. – Pieszko dotrzemy w jakieś

dwanaście... no może dziesięć godzin. Pytanie tylko, jak szybko oni się poruszają.

Marsz po kamieniach i bezdrożach był trudny. Z pozoru szli tą samą trasą co na południe, jednak kilka razy nieoczekiwanie drogę przegrodziły im rozpadliny i uskoki.

Krystyna dwa razy zarządziła postój i ze szczytów kolejnych pagórków próbowała namierzyć radiostację potencjalnego wroga, ale bez skutku. W eterze na feralnym paśmie panowała nieznośna, niepokojąca cisza.

To oczywiste, dumiała, maszerując po kobiercach porostów. Jeśli chcą zaskoczyć naszych, zapewne przestrzegają ciszy radiowej. Obserwator śledził nas jakiś czas, potem wycofał się chyłkiem, przypiął narty i pomknął przez lodowiec w głąb wyspy. Teraz wraca na czele większej grupy. Że też nie mamy własnego nadajnika!

Posuwali się nieznacznie szybciej, niż idąc na południe, ale i tak mieli wrażenie, że poruszają o wiele za wolno. Zmęczenie dawało się we znaki. Wyruszyli po śniadaniu, teraz było dobrze po północy. Pomijając drzemkę, maszerowali od przeszło osiemnastu godzin.

– Boję się... Bardzo się boję – powiedziała Weronika. – A jak wrócimy i zastaniemy naszych martwych lub uprowadzonych?

– Nie da się zastać uprowadzonego – Krystyna popisała się wisielczym humorem. – Bardziej martwi mnie, ilu ich będzie i czy sterowiec jest już gotów do lotu.

– Nie odlecą bez nas.

– Jeśli zajdzie konieczność, poderwą aerostat i pomkną w naszą stronę, wiedzą przecież z grubsza, gdzie jesteśmy.

– A jeśli to jetinsyny i ich zaskoczą? Zabiją lub uprowadzą. Zginiemy tu. Jesteśmy tysiące kilometrów od... – Weronika wyglądała na roztrzęsioną.

– Nie panikuj. W najgorszym wypadku pójdziemy znów na południe.

Odszukamy obozowisko tych przyjaznych Eskimosów. Poprosimy o podrzucenie do duńskiej placówki handlowej, możemy dać im broń jako wynagrodzenie. Z pewnością się zgodzą.

Szli i szli. Coraz wolniej i wolniej. Dziewczyny potykały się o kamienie. Co jakiś czas robili krótkie postoje na szczytach kolejnych pagórków. Krystyna rozkładała wtedy anteny i próbowała namierzyć transmisję wroga. Ale w eterze panowała cisza. Niekiedy brali lornetki i lustrowali widoczne po prawej stronie pola lodowe. Nie spostrzegli jednak żadnego zagrożenia. Michaił rozdał im dwukrotnie po odrobinie ziaren kawy. Przeżuwali je w marszu, ale kofeina w tej postaci działała słabo. Zegarki pokazały piątą rano. Weronika słabła, potykała się co chwila, więc Krystyna zarządziła kolejny postój.

– Zostawcie mnie – poprosiła młodsza z dziewcząt. – Pędźcie przodem, ostrzeżcie naszych. A ja sobie powoli doczłapię...

Tak by trzeba zrobić, pomyślała studentka. Ma strzelbę, nic jej tu nie grozi. Białych niedźwiedzi nie widzieliśmy ani razu. Z drugiej strony, to tylko dziecko. I jest wykończona. Zaśnie i coś ją zje.

Michaił trząsł się jak osika.

– Zostawić nie wolno – wycharczał prawie zrozumiałe zdanie po polsku. – Nigdy nikogo nie wolno zostawić.

Spojrzały po sobie zaskoczone. Jego mina wskazywała, że i on jest zdumiony. Próbował powiedzieć coś jeszcze, ale po chwili poddał się.

– Zostaniesz z nią! – poleciła studentka. – Ja pobiegnę przodem.

Pokręcił głową i klepnął worek z pontonem. Zrozumiała. Ten pakunek był najcięższy, ważył przeszło szesnaście kilo. Mogłaby go nieść, ale...

– Idź ty! – poleciła. – Znasz alfabet Morse’a?

Kiwnął głową.

– Gdy będziesz na wzgórzu, tam gdzie była strażnica wikingów, puść naszym

zajaczka. – Podała mu lusterko ze swojej torebki. – Zauważą chyba, a zaoszczędzisz dobre dwie godziny. Biegnij.

Kiwnął głową, a potem zrobił gest, jakby płynął.

– Puścisz im zajaczkę sygnał, przeprawia się po ciebie, a jak to będzie niemożliwe, chcesz przepłynąć fiord... – domyśliła się. – Nie dasz chyba rady. Ta woda jest lodowata.

Poruszał ustami, powtarzając wiele razy ten sam wyraz.

– Sołowki – zrozumiała wreszcie. – Uciekłeś z łagru wpław?

Pokiwał energicznie głową i znów zamarkował ruch, jakby płynął.

– Ma to sens. Chyba. Biegnij.

– Czekać tu... – wycharczał. – Wrócimy.

Słowa były bardziej zrozumiałe niż poprzednio.

– Nie. Gdy tylko Weronika odpocznie i choć trochę odzyska siły, ruszymy naprzód – zdecydowała.

Kiwnął głową. Przeżegnał się, odwrócił na pięcie i ruszył truchtem. Bez obciążenia pontonem na pewno było mu znacznie łatwiej.

– Przepraszam – bąknęła Weronika. – To moja wina.

– Nie masz za co przepraszać – wzruszyła ramionami jej towarzysza. – Każdy ma inną wytrzymałość. Przeszliśmy ponad trzydzieści kilometrów prawie bez odpoczynku i po bardzo trudnym terenie.

– To ja uparłam się iść z wami. Ale przecież byłam w harcerstwie. Chodziłyśmy na rajdy i wycieczki... Po górach też.

– Chodziłyście po ścieżkach i szlakach. Nie po luźnych kamieniach, gdzie trzeba uważać na każdy krok. Zdrzemnij się teraz godzinę – poleciła studentka. – Odpoczniesz i ruszymy dalej.

Rozwiesiły wśród skał tropik namiotu, starając się w miarę możliwości ukryć go przed wzrokiem niepożądanych obserwatorów. Weronika wpełzła pod brezent, zarzuciła kurtkę na głowę i zasnęła natychmiast kamiennym snem. Krystyna rozstawiła antenę i jeszcze dobrą godzinę przeszukiwała eter. Oczywiście, jakby ktoś sypnął w nie garść piasku. Wpełzła pod brezent, położyła strzelbę na podorędziu i po chwili też spała jak zabita...

Budzik wyrwał ją ze snu trzydzieści minut później. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było uruchomienie radia. W eterze nadal panowała cisza. Spojrzała na zegarek. Z Rosjaninem rozstały się ponad dwie godziny temu. Michaił już z pewnością dochodzi na miejsce.

Zagryzła wargi. Tym razem nic jej się nie śniło, ale przypomniła sobie tamte koszmary o ucieczce na nartach. A jeśli to nie była pamięć wrodzona, tylko prorocze sny? Jeśli to właśnie jest jej pisane? Samotna ucieczka przez lodową pustynię? Wzdrygnęła się mimowolnie. Jakiś szmer wyrwał ją z niewesołej zadumy. Weronika też się obudziła, tarła zaczerwienione oczy.

– Zbierajmy się – poleciła Krystyna. – Przykro mi, ale nie ma kawy. Chcesz wody? Mam jeszcze pół manierki.

Prymus został w miejscu, gdzie obozowali poprzednio. Ziarna zabrał ich towarzysz. Krystyna spojrzała na ponton.

– Nie damy rady tachać tego i radiostacji... – mruknęła. – Albo jedno, albo drugie...

– Zostawmy...

Studentka zagryzła wargi. Michaił był w stanie przepłynąć fiord. A one? Wreszcie podjęła decyzję.

– Zabieramy tylko broń!

Weronika wciągnęła buty, westchnęła ciężko i ruszyły. Sen pozwolił odrobinę odzyskać siły. Szły i szły, aż wreszcie za kolejnym wzgórzem ich oczom ukazało się wzniesienie z ruinami strażnicy. Krystyna zdjęła z ramienia dubeltówkę.

– Teraz musimy zachować szczególną ostrożność – poleciła.

Weronika zacisnęła usta w kreskę i za jej przykładem ujęła broń. Podkładały się ostrożnie, starając się niezauważone podejść jak najbliżej, gdy nieoczekiwanie od strony ruin błysnął zajaczek puszczonego lusterkiem. Ktoś stanął na koronie murów. Krystyna podniosła lornetkę do oczu.

– To Henryk – odetchnęła z ulgą.

Teraz już szybkim marszem podążyły po kamieniach pod górę, na spotkanie porucznika. Uściskał je mocno na powitanie. Studentkę zaskoczyła ta wylewność.

– Jesteście cali? – bąknęła. – Bałam się, że...

– Miałas rację, ze wszystkim. Zaraz opowiem.

Wyjął lusterko i dla odmiany puścił zajaczka w stronę obozu. Sterowiec stał na dwóch cumach kotwicznych, gondola chybotwała się jakieś pięć metrów nad ziemią. Drabina była wciągnięta. Kapitan i profesor najwyraźniej obawiali się ataku także od tamtej strony. Teraz zrzucili drabinkę linową. Dziewczęta zauważyły, że profesor zszedł na dół i zdejmuje cumy z pachołków. Kapitan zapuścił silniki i maszyna powoli oderwała się od ziemi.

– Uszczelnione balonety napełniliśmy w siedemdziesięciu procentach, ale musi nam to wystarczyć – wyjaśnił Henryk. – Uzupełnimy gaz w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

– A to? – wykrztusiła Weronika, wskazując niewielkie usypisko głazów na stoku wzgórza.

Wcześniej go tu nie było. Pomiędzy kamienie wetknięto niewielki krzyż, wykonany z gałęzi, najprawdopodobniej znalezionych na brzegu.

– Zwiadowcy – wyjaśnił Henryk. – Znów nas obserwowali. Michaił wpadł na nich przypadkiem, wracając. Wywiązała się walka. Paskudnie go zranili, ale na szczęście miał sztucer, czterech zdołał zabić, dwóm rozwalił głowy kolbą,

jednego zadźgał, a pozostali uciekli, dwóch lub trzech. Gdy usłyszeliśmy strzały, czym prędzej przybyliśmy mu z odsieczą, ale nie było jak ich ścigać.

– Czy oni...

– Mieli dziwaczne uniformy, ale do tego sowieckie buty, karabiny, lornetki i inne wyposażenie. W tym karabiny strzelców wyborowych z celownikami optycznymi. Widać handlują na całego. Ale wiem, o co chcesz zapytać. Wszystko się potwierdziło.

To nie byli ludzie. W każdym razie nie tacy jak my. Bardzo silne cechy recesywne. Profesor zastanawia się teraz, czy to potomkowie neandertalczyków, czy może nawet *homo habilis*.

– Michaił... co z nim? – zapytała Weronika.

Henryk spoważniał.

– Paskudna szarpana rana na udzie, dostał także postrzał w ramię, ale kula przeszła czysto. Opatrzyliśmy go i wygląda na to, że nie będzie problemów.

– On miał... – zaczęła studentka.

– Przekazał twoje obserwacje. Miałaś rację. Prawdopodobnie posuwa się w naszą stronę jakaś większa banda tych bydlaków. Od momentu, gdy dostaliśmy informacje o zbliżającym się zagrożeniu, prowadziliśmy nieustanny nasłuch radiowy. Złapaliśmy tylko jedną bardzo krótką transmisję. Prawdopodobnie z hipotetycznej bazy wyszły dwie grupy. Zwiadowcy dotarli jako pierwsi i zaczęli nas szpiegować w oczekiwaniu na nadejście większych sił.

– Idą tu...

– Tak. Trudno ocenić odległość, ale przypuszczamy, że są nie dalej niż dwadzieścia, może trzydzieści kilometrów. Maszerują po lodzie, zapewne nie mają psich zaprzęgów, ale też nie możemy tego wykluczyć.

– Z tego, co czytałam, psy po lodzie, jeśli jest ich kilkanaście przy jednej uprzęży, potrafią biec nawet trzydzieści kilometrów na godzinę...

– Wiem. W każdym razie spodziewamy się ich tu w każdej chwili. Sterowiec był już niemal gotów do odlotu. Wyszła jeszcze jedna usterka, źle działał system przeciwwag, potrzebny przy nabieraniu wysokości. Usunęliśmy ją niedawno. Gdyby nie to, polecilibyśmy po was. Kapitan zrobił próbny rozruch silników. Wysłali mnie, żebym obserwował lodowiec i zarazem patrzył, czy nie wracacie. Gdybyście nie pojawiły się w ciągu pół godziny, planowaliśmy startować i lecieć wam naprzeciw.

Maszyna wolno podeszła do stoku wzgórza. Profesor zrzucił im drabinę linową, porucznik dociążył dolny koniec.

– Na górę – polecił.

Weronika wdrapywała się pierwsza, uda drżały jej ze zmęczenia, ale widok sterowca najwyraźniej pozwolił wykrzesać ostatek sił. Krystyna też czuła narastające zmęczenie, te kilka metrów drabinki okazało się długie, ale już była na górze, a profesor wyciągnął pomocną dłoń i jednym mocnym szarpnięciem pomógł jej dostać się do gondoli. Porucznik jako ostatni znalazł się na pokładzie. Wciągnął drabinę, zatrzasnął luk, zaryglował. Studentka usłyszała, jak silniki zwiększają obroty. Uciekali. Na południe.

Nie wrócę tu nigdy, pomyślała z odrobiną melancholii, patrząc, jak ruiny staniczki znikają w oddali.

– Dzielne, mądre, kochane. – Uczony przytulił dziewczętą mocno i pocałował każdą w czoło. – Doskonała interpretacja odczytu. Kto wie, może uratowałyście nam życie? Zmęczone jesteście? A może chcecie coś zjeść?

– Uhum... – mruknęła Weronika, opierając się ciężko o ścianę.

Wznosili się szybko. Kapitan zwiększył moc silników. Profesor, uzbrojony

w potężną lunetę, badał powierzchnię lodowca. Krystyna, choć słała się ze zmęczenia, zaszła jeszcze do kajuty Michaiła. Rosjanin był blady jak ściana, ale równo oddychał przez sen. Dotknęła jego czoła. Było chłodne.

– Zauważyli, że odlatujemy – zameldował Henryk z przedziału radiooperatora. – Nadają komunikat, pewnie do bazy. I są gdzieś blisko, łajdacy, bo bardzo mocny sygnał. Może zwiadowcy dotarli do ekspedycji, która szła nas załatwić, i teraz zawiadamiają bazę, że ptaszki wyfrunęły z klatki.

– Cóż, nie widać drani nigdzie. Musieli się przycząić albo i zamaskować – westchnął uczony, opuszczając lornetkę. – Odbijmy trochę w głąb morza i obierzmy ponownie kurs na południe – polecił kapitanowi. – Miejmy tylko nadzieję, że nie mają w tej okolicy samolotów ani podobnych wynalazków...

Krystyna nie słuchała dłużej. Pokonała opór kłamki. Padła w ubraniu na posłanie. Sen jak wzburzona fala nakrył ją wraz z głową.

*

Obudziła się wczesnym popołudniem. Mięśnie ud i łydek paliły ogniem. Weronika musiała wstać wcześniej, bo górne posłanie było puste. Krystyna zzuła buty i ściągnęła przepocone skarpety. Umyła twarz, umyła nogi, zmieniła bieliznę i koszulę. Zaszła najpierw do kajuty Michaiła. Ranny leżał na pryczy, odzyskał już przytomność. Na jej widok uśmiechnął się lekko.

– Zdążyłem – powiedział. – Zdążyłem na czas, ostrzegłem...

Głos miał chropawy, składał sylaby powoli, ale najwyraźniej umiejętność mówienia wracała mu na dobre.

– Prawie dałem im radę... Nie żał umierać, gdy walka była tak piękna... A ja wygrałem i chyba nawet przeżyję – wypowiadał wyrazy z wysiłkiem.

– Byłeś dzielny, dotarłeś z meldunkiem, pokonałeś wroga i uratowałeś ekspedycję. Może order jakiś za to dostaniesz? Odpoczywaj, przyjdę do ciebie później – powiedziała i wyszła na korytarzyk.

Nadal chciało jej się spać, oczy, choć przemyte zimną wodą, piekły, ale poszła na mostek. Lecieli wzdłuż lądu, na znacznej wysokości. Widziała fale rozbijające się o nabrzeżne skały, wąski pas ziemi wolnej od lodu, a dalej śnieżną, białą pustkę, ciągnącą się po horyzont.

– Przybyli gdzieś ze wschodu – powiedziała, patrząc na smagane wiatrem pagórki i szeroką połąć lodowca. – Czy ta ich hipotetyczna główna kryjówka może być tam, gdzie wyliczyliśmy? Dwieście kilometrów w głąb wyspy?

– To raczej mało prawdopodobne – powiedział profesor. – Myślę, że nie. To już nie są czasy wikingów. Wyspa jest znacznie gęściej zaludniona. Funkcjonują tu bazy dla rybaków i wielorybników. Co rusz wzdłuż wybrzeża przepływają też duńskie okręty. Ale jedno wydaje mi się pewne. Yeti trzymają się naprawdę daleko od osiedli ludzkich. Byli tu, na Grenlandii, w jakimś celu, ale ich prawdziwe siedziby ukryte są dużo dalej na północy. Tu mogli mieć kopalnię, może fabrykę albo coś takiego.

– Rok po roku lepiej poznajemy Arktykę – dodał Henryk. – To już nie są czasy pionierskich wypraw Nansena, psich zaprzęgów i samotnych wędrówek po polach lodowych. Nikt już nie pływa setek czy tysięcy kilometrów kajakiem obitym impregnowanym brezentem. Odchodzi w niepamięć epoka drewnianych okrętów wielorybnych, zapuszczających się między góry lodowe. Dziś po morzach arktycznych pływają lodołamacze i statki badawcze. Wyprawy naukowe liczą po kilkadziesiąt osób. Nad tym terenem coraz śmielej i częściej zaczynają latać samoloty. Krok po kroku i rok po roku ludzie wydzierają sekrety tych niegościnnych sfer. Uczeń mierzą pole magnetyczne, skład powietrza, znajdują skamieliny, węgiel tam, gdzie nikt się go nie spodziewał, nieznane nauce ptaki, zwierzęta. Yeti zapewne zwijają swoje interesy, zacierają ślady, odchodzą. Znów ich spychamy, zmuszamy do ucieczki gdzieś poza skraj naszej ekumeny... Fakt, że doszło do kontaktu, to po prostu przypadek, może łut szczęścia.

Zaskoczyliśmy ich. Nie spodziewali się nas tutaj, może początkowo w ogóle wzięli nas za archeologów. Ale chyba szybko zorientowali się, czego szukamy. Tylko że zwiadowcy nie zdecydowali się nas zaatakować, przekazali informacje, czekali na posiłki. I dlatego żyjemy.

– Czy to możliwe, że mają gdzieś tam nie obozowisko lub kopalnię, ale stałą kolonię? Osadę istniejącą od czasów wikingów? – zapaliła się Weronika.

– Nie da się tego wykluczyć. – Profesor kiwnął głową.

– Może powinniśmy polecieć i to sprawdzić! Zrobić zdjęcia lotnicze. A potem możemy je przeanalizować. Jak polecimy na wysokości kilometra, nic nam nie grozi. Bo skoro oni wiedzą, że my wiemy, zadbają, by kolejna wyprawa już ich tam nie zastała. Zatrą ślady, wysadzą w powietrze, co tylko się da.

Na twarzy profesora odmalowało się wahanie.

– To nie jest zły pomysł – powiedział wreszcie. – Ryzyko jest trwale wpisane w dzieje nauki. Ale nie polecimy tam. Nie wiemy, czym dysponują. Mogą mieć artylerię przeciwlotniczą, mogą mieć samoloty. Własnej konstrukcji albo kupione od Sowietów.

– A gdybym podkradł się na nartach? – zaproponował Henryk. – Dwieście kilometrów to kilka dni marszu. Moglibyśmy spotkać się potem w Godthåb.

– Ślad na śniegu przy bezwietrznej pogodzie jest widoczny przez wiele dni. Nawet gdyby udało ci się cokolwiek zaobserwować, wytropią cię i zabiją.

– No tak...

– W każdym razie wracamy z konkretnymi wynikami... Zrobiliście zdjęcia tych zwiadowców? Pomiary i tak dalej? – zapytała Krystyna.

– Więcej, odcięliśmy im głowy i zapakowaliśmy do zbiornika z formaliną. Zostaną dokładnie przebadane w Warszawie. Nie rób takiej zgorszonej miny. To jest wojna. Na razie można powiedzieć, że nieznacznie uchyliliśmy rąbka tajemnicy – powiedział uczony. – Ale doszło do zetknięcia z wrogiem

i zdobyliśmy twarde dowody istnienia tych istot. Potwierdziła się też ich agresywna, wroga ludziom natura. Oraz jakaś forma kolaboracji z Sowietami. Jest więc szansa, że dostaniemy niezbędne fundusze. Tak czy inaczej, prawdziwa praca dopiero się zaczyna...

Studentka, milcząc, patrzyła przez bulaj. Uciekali na południe, umykali przed istotami wcześniej znanymi tylko z legend. W głowie kołatały jej się różne terminy, poznane podczas przeszkolenia wojskowego.

Przeprowadziliśmy rozpoznanie bojem. Nie darują nam tego, pomyślała. Ani tego, że nie daliśmy się zaskoczyć, ani zabitych współplemieńców, ani tego, że zdobyliśmy dowód, niepodważalny dowód na ich istnienie... Profesor powiedział, że prawdziwa praca dopiero się zaczyna. To nie praca. To wojna. A ja... Zagryzła wargi, przypomniawszy sobie zawartość teczek. A ja, kimkolwiek jestem, znajduję się po właściwej stronie.

*Wszystkich jetinsynów zapożyczonych z koncepcji antropologicznych
Stanisława Szukalskiego z wyrazami wdzięczności zwraca*

– Autor

Zły las

Wczesny listopadowy wieczór zbliżał się wielkimi krokami. Rozklekotana furmanka toczyła się między drzewami. Koń parskał i strzygł uszami. Ojciec, jakby zaniepokojony, przełożył siekiere, by móc w każdej chwili złapać za

trzonek. Nieoczekiwanie po lewej stronie otworzyła się polana, zarastająca już samosiejkami brzoź. Pośrodku stały ruiny sporego budynku. Białe kolumny i ściany były osmolone, tynk odpadał płatami, odsłaniając mur z czerwonej cegły. Z dachu została tylko kratownica zwęglonych belek.

– No, do cholery! – syknął ojciec.

– Co się stało, tato?

– Nie planowałem tędy przejeżdżać. Musieliśmy przy refugium skręcić w złą drogę.

– Ale jak to?

– Nawet nie pytaj. – Ojciec ściągnął lejce. – Wio! – ponaglił konia.

Zwierzak parsknął i kładł uszy po sobie. Przez chwilę tańczył w miejscu, ale gdy sołtys wyjął z kieszeni różaniec, posłusznie ruszył.

– Koń się płoszy. Wyczuł wilki, tato?

– Tu nie ma teraz wilków... Tak mi się zdaje. Konie wiele czują. Więcej niż ludzie. Jak koń się płoszy, choć niczego wokoło nie widać, lepiej uważać.

– Tato, a co to za miejsce? Co tu było?

– To złe miejsce – uciął ojciec. – Tak zwany Czarny Dworek – dodał niechętnie. – Pałacyk myśliwski naszego dawnego dziedzica. Przyjeżdżał tu na polowania ze swoimi przyjaciółmi. Teraz to już tylko ruina...

– Ale czemu złe miejsce?

– Hrabia był złym człowiekiem. Powiadają, że tu straszy... albo nawet jeszcze gorzej. Zapamiętaj, że tu lepiej się nie zapuszczać. Zło ma to do siebie, że jest jak smoła, wszystko przenika, do wszystkiego się lepi i trudno się go pozbyć raz na zawsze.

Obejrzał się przez ramię i zaciął konia batem.

Osiem lat później

Sławek posypał ścieżkę popiołem. Założył łańcuch na furtkę i rozejrzał się po obejściu. Chyba wszystko było w porządku. Zaszedł do obory. Pora nakarmić resztki inwentarza. Kury siedziały na grzędzie. Przeliczył je wzrokiem, czternaście. Zgadza się. Pstrokata padła w zeszłym miesiącu, gęś zabili na święta. Jałówka popatrzyła na niego i potrząsnęła łbem. Dwa prosiaki znów przewróciły koryto.

– Wy huncwoty! – Pogroził im pięścią.

Zwierzęta wręcz gubiły się w rozległym, niemal pustym wnętrzu... Patrzył w milczeniu na pięć zasnutych pajęczyną żłobów, łańcuchy smętnie wiszące na ścianie. Trzy konie, dwie krowy. Gdy był mały, narzekał, wyrzucając gnój spod wielu zwierząt. Teraz polepa była czysta, roboty zresztą też znacznie mniej, a on czuł tylko smutek.

Tak pusto, pomyślał. Wojna jak nienasycona bestia pochłania wszystko. Ludzi, pieniądze, zwierzęta...

Wybrał ciepłe jeszcze jajka z gniazd, ułożył je ostrożnie w koszyku wymoszczonym sianem. Ustawił z powrotem koryto i wrzucił prosiakom kartofli gotowanych w parniku, zmieszanych z buraczną kiszonką i śrutą. Kartofle dla zwierząt, rzecz jasna, wybierali najgorsze, przemrożone, nadpsute, pomarszczone. Dodawali obierki z tego, co sami jedli. Prosiaki nie grymasiły. Wcinały na wyścigi, aż im się różowe uszy trzęsły.

Źrą za sześciu, a ciągle chude, pomyślał. Tyle dobrze, że za dwa miesiące będzie już młoda pokrzywa, to im się z tego karmy nagotuje. W dodatku jeden pójdzie na kontyngent... – skonstatował ze smutkiem. Szkoda, że nie mamy maciory, jakby się tak prosiła, to za cztery świnię oddane Niemcy pozwalają jedną ubić na własne potrzeby. No i daliby za nie więcej tych becugszejnów, toby się nakupiło różnych towarów.

Popatrzył na jałówkę i znów westchnął. Mleko będzie za rok. Na razie dla bliźniaków dostawali od sąsiadów, ale tęsknił za serami i masłem. Kóz ani owiec w miasteczku nikt nie trzymał, w okolicy nie było zwyczaju. Na koniec zajrzał jeszcze do klatek z królikami i wrzucił im siana. Zwierzątka śmiesznie poruszały noskami. Za dwa tygodnie pięć sztuk pójdzie na pasztet. Żał mu się ich robiło, bo były milutkie, puchate i tak pociesznie kicały... Ale dzięki tej hodowli nie zapomnieli jeszcze, jak smakuje mięso, a dla młodszych dzieci ojciec uszył na zimę ciepłe kurteczki.

Dorzucił zwierzętom więcej słomy, żeby miały się w czym umościć na noc. W pomieszczeniu było chłodno, znacznie zimniej niż zazwyczaj. Budynek był wprawdzie dobrze ogacony, drzwi obili starym wołłokiem, na strychu leżała gruba warstwa słomy, ale to wszystko było za mało.

Za duża przestrzeń, dumął. Wcześniej mnogość krów i koni nagrzewała całość... Pięć dużych zwierzaków. A gdyby tak odciąć ten kąt przepierzeniem z desek? Zmniejszy się kubatura. Tylko skąd wziąć tyle drewna!?

Sławek obszedł jeszcze oborę wokoło, pilnie przypatrując się śnieżnej pokrywie. Ludzie w miasteczku, trzymający jeszcze żywy inwentarz, obawiali się, że lisy, kuny albo nawet wilki mogą się podkopać i wdrzeć do środka. Wprawdzie dopóki trzymały mrozy, gleba miała twardość granitu, ale chłopak uznał, że odrobina przezorności nie zawadzi. Ojciec przed lisami zabezpieczał się starym sposobem. Od fryzjera wyprosił worek ściętych włosów, powiązał w zwitki i przyszpilił do ściany. Lis, czując człowieka, omijał takie miejsce. Ale na wilki czy szczury ta metoda nie działała.

Chłopak raz jeszcze rzucił okiem do wnętrza. Zwierzaki pałaszowały karmę. Zdmuchnął świeczkę w latarce i na wszelki wypadek poślinionymi palcami dodusił knot. Zamknął drzwi i zawiesił kłódkę. Szarpnął kontrolnie. Jeszcze drugi skobel. Małe wywietrzniki też zaopatrzone w klapki. Złodziei obawiano się nie mniej niż pożaru i drapieżnych zwierząt.

Trzeba od sąsiadów dobrego koguta pożyczyć, pomyślał. Będą kurczęta, przez lato się je odchowa. Jałówkę zacielimy dopiero późną jesienią, jak skończy dwa lata. To mleko też będzie jesienią, tylko że za półtora roku. No i cieleta... Jak się trafi jałowiczka, to ją zatrzymamy. Gorzej, jeśli byczek. Byle tylko szwaby nie zabrali.

Raz jeszcze obrzucił wzrokiem podwórze i ruszył do chaty. Dom został na zimę dobrze ogacony. Zrobili to sposobem, który ojciec pamiętał z wczesnego dzieciństwa. Jeszcze jesienią nabili wokoło długich żerdzi ciętych z leszczyny i wepchnęli między tyczki a ścianę snopki słomy. Ubili je ciasno, sięgnęły pod okap dachu. Dzięki temu jakoś przetrzymali bez węgla, paląc tylko drewnem, a i to bardzo oszczędnie. Wszedł do sieni, zasunął skobel i dołożył belkę ryglującą drzwi. Ściągnął zeszywniałe od mrozu rękawice. Zzuł saboty i założył łapcie. Kot otarł mu się o nogi, miauknął. Chciał do kuchni.

– Zmykaj na strych, stary łobuzie, myszy łapać. – Chłopak pogłaskał zwierzę.
– Tam twoje miejsce.

Kot fuknął obrażony, ale podsadzony do klapy znikł w ciemności. Chłopak odwiesił jesionkę na hak i przeszedł do kuchni. Zaraz rozpiął serdak i sweter. Pozwolił, by ciepło przeniknęło go na wskroś. Pod płytą pieca zostało jeszcze trochę żaru. Jedno grube bukowe polano wsunięte w palenisko musiało wystarczyć do rana. Okna uszczelnili kitem, mimo to chwilami przez kuchnię przeciągał chłodny podmuch. Początek roku czterdziestego trzeciego dokuczył ludziom siarczystymi mrozami i śnieżycami. Mieszkańcy miasteczka klęli w żywy kamień, pocieszając się jedynie myślą, że Niemcom, nieprzywykłym do takiego klimatu, zima dokucza jeszcze bardziej.

Zegar wybił ósmą. Ojciec siedział przy stole, kulę oparł o ścianę. Czytał gazetę.

Sławek nie mógł się jakoś do tego przyzwyczaić. Pamiętał tamten sierpień, gdy tata osiodłał ich najlepszego konia i pojechał zgłosić się na punkt mobilizacyjny. Miał przydział do piechoty, ale wiedział, że koń przyda się wojsku i tak. Założył najlepsze siodło. Wojna miała być krótka i zwycięska, żartował, że zdąży wrócić na wykopki. Wyszło zupełnie inaczej. Jeszcze pod koniec września do miasteczka wkroczyli Sowieci, a zaraz w listopadzie odeszli za Bug, oddając teren Niemcom. Z tych, którzy poszli na wojnę, wrócili nieliczni. Przedarli się dziesiątki kilometrów przez okupowany kraj. Szli lasami, czasem w zniszczonych mundurach, częściej w podarowanych przez chłopów cywilnych łachach. Wieści, jakie przynieśli, były przynębiające. Opowiadali o wielkiej klęsce, o zagładzie całych oddziałów. A także o tym, że Niemcy bez litości wymordowali całe tysiące poddających

się polskich żołnierzy. Jednak o losie byłego sołtysa nikt nie umiał powiedzieć nic konkretnego.

Długo nie mieli żadnych wieści, wreszcie przyszedł list wysłany ze stalagu gdzieś w Meklemburgii. Na szczęście mieli dobry atlas geograficzny i po długich poszukiwaniach odnaleźli to miejsce. Ojciec pisał, że ranny dostał się do niewoli. Mijały miesiące, aż wreszcie wrócił, zwolniony wraz z partią więźniów chorych na gruźlicę lub tak okaleczonych, że zostali uznani za niegroźnych dla zwycięskiej Trzeciej Rzeszy. Ostatni odcinek ze stacji kolejowej przykuśtykał na jednej nodze, opierając się na kulach. Przyniósł w parciej torbie tylko trzy rzeczy: pokwitowanie za konia, wydane przez kwatermistrzostwo, niemiecki dokument o zwolnieniu z obozu i Krzyż Walecznych, który otrzymał jeszcze, zanim jego rozbity oddział został otoczony i zmuszony do poddania. Order pokazał bliskim i zamurował w kominie. Pokwitowanie włożył do Biblii. Był przekonany, że gdy wojna kiedyś się skończy, odrodzony kraj konia im odkupi. Dokument o zwolnieniu z obozu zarejestrował w gminie.

O tym, żeby znów został sołtysem, nie było mowy. Folksdojcz Kurtz wszystkie stanowiska obsadził swoimi ludźmi. Na szczęście tata dobrze znał niemiecki, wyuczył się go jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, gdy pracował kilka lat w Zagłębiu Ruhry, ciuając pieniądze na zakup ziemi. Zahaczył się zatem w garbarni jako księgowy, tłumacz i specjalista od usuwania ze skór resztek sierści lub szczeciny. Przy tej robocie jego kalectwo nie miało znaczenia.

Świeca w lichtarzu zapalała i przygasała. Chłopak zręcznie podmienił ją na nową. Spojrzał przelotnie na bezużyteczną żarówkę wiszącą pod sufitem. Przed wojną młynarz kupił generator i podczepił do koła młyńskiego. Postawiono drewniane słupy, załśniły szklane izolatory. Pociągnięto kable. Mocy wystarczyło, by w dziesięciu najbliższych gospodarstwach zabłyśły pięciowatowe żarówki. Generator nadal działał, tylko Niemcy pociągnęli druty inaczej. Elektryczność stała się luksusem zarezerwowanym dla rasy panów. *Nur für Deutsche.*

Sławek zdjął z etażerki książkę do historii i przysunął się bliżej światła. Otworzył w założonym miejscu, przewrócił kartkę i zagłębił się w lekturze. Czytał podręcznik już kolejny raz, niektóre akapity znał niemal na pamięć.

Ojciec doczytał stronę, złożył gazetę, wyciągnął z kąta dużą tekturową walizkę i worek skórek. Położył walizkę na ławie i otworzył. Wyjął małe stalowe kopytko, naszykował wykrojniki i kawałki skóry. Sławek oderwał wzrok od książki, patrzył w milczeniu na dziesiątki szydeł, kleszczy i innych narzędzi, których nazw nawet nie znał, a przeznaczenia tylko się domyślał. Ojciec jeszcze jesienią zeszłego roku sporo myszkował w pożydowskich domach. Podczas gdy inni szabrownicy rozbijali piece i zrywali podłogi w poszukiwaniu złota, on skupił się na przedmiotach bardziej użytecznych. Przeszedł się po opuszczonych warsztatach szewców, dekarzy, rymarzy. Pewnej nocy przywlekli wraz z sąsiadami wielkie kowadło, nasmarowali je towotem i zakopali w stodole. Syn trochę się zżymał na te poczynania, ale szybko zrozumiał, że wojna ma swoje prawa. I że Żydzi już po swoje rzeczy nie wrócą.

Tata ujął w dłoń nóż, przesunął go nad świecą. Dotknął złożonymi palcami płomienia, a następnie czoła i serca, jak praktykowali to kiedyś żydowscy szewcy przed przystąpieniem do pracy. Naszykował szablony i ołówek kopiowy. Zręczne wycinał ze skóry odpowiednie kawałki. Przejechał po krawędziach radełkiem, zaznaczając miejsca pod dziurki, i zaczął wykluwać je grubym szydłem.

– Będiesz szył wierzchy – polecił synowi. – Wiosna idzie, bliźniaki potrzebują dobrych butów... W ogóle butów. – Uśmiechnął się smutno, krytycznie oceniając swoje umiejętności. – W tym świetle i tak lepiej nie czytaj, zepsujesz oczy. Jutro masz cały dzień.

Sławek zamknął podręcznik. Zagryzł wargi. Usiadł naprzeciw taty, ujął szydło w dłoń. Przed wojną miasteczko słynęło z szewców. Pamiętał, jak na jarmarkach chłopci oglądali dziesiątki par butów, przymierzali, marudzili, wybrzydzali, targowali się, wreszcie kupowali. Pamiętał gwar, gdy w powietrzu mieszały się języki – polski, jidysz, ruski... Pamiętał, jak szewcy w jarmułkach i z dyndającymi przy uszach pejsami uwijali się, odrysowując stopy i zdejmując pomiary. Pamiętał, jak do późnej nocy z okien warsztatów sączył się blask świec i lamp naftowych. A dziś? Warsztaty stały puste, wszystkich fachowców wywieziono. Nikt nie wiedział, czy zamknęci w jakimś obozie szyją buty dla Niemców, czy może wszyscy już nie żyją.

– Rolnik powinien umieć po trosze wszystko – mruczał ojciec, nakładając

świeżo wyciętą podeszwę na drewniane kopyto i przybijając ją zręcznie ćwiekami. – Musi być cieślą, stolarzem, szewcem, kowalem, krawcem...

Matka wyjrzała na chwilę z sypialni, uśmiechnęła się blado, widząc, co robią, po czym wróciła do dzieci. Nawoskowana dratwa stawiała opór, ale chłopak łapał szydło cążkami i przeciągał przez dziurki. Szew wychodził w miarę równy.

– Szkoda, że nie mamy najmniejszej choćby łaciarki – powiedział ojciec. – Ale zdaje się, że szwaby ukradły co ciekawsze maszyny, zaraz po tym, jak ich żołnierze zgonili Żydów na plac.

Chłopak obejrzał krytycznie nieforemny kapeć, zszyty wedle wskazówek taty.

– To tak ma być?

– No to patrz. – Były sołtys założył pozszywane skórki na kopyto i zaczął dociągać je kleszczami, w niemal magiczny sposób formując całkiem zgrabny wierzch.

Przybijał naciągnięty materiał gwoździkami. Mały młoteczek niemal nikł w jego ciężkiej, spracowanej dłoni. Zmienił szydło na grubsze i zabrał się do przesywania podeszwy.

– Kto by pomyślał, że kiedyś mi się przyda to, co podpatrywałem jako dzieciak – mruknął. – Widać nie należy lekceważyć żadnego okruchu wiedzy.

– To na swój sposób poniżające – odparł Sławek. – Zamiast kupić buty w sklepie albo na targu, musimy robić je sami. Jak za króla Ćwieka.

– Młody jesteś, nie wiesz, jak dawniej bywało. Byłem w twoim wieku, to masa dzieciaków musiała pleść sobie łapcie z brzozowego łyka – gderał ojciec. – Raz jest lepiej, raz pod górkę. Ty się ciesz, że coś tam człowiek umie i sobie poradzi. Docień, co masz. Napełniłeś brzuch, śpisz we własnym łóżku, rodzice żyją i są w domu. Nawet mięso się na stole pojawia i kawa. Inni mają gorzej. Deportowani, na tułaczce, w gettach, w więzieniach,

w obozach. Pomyśl też, ilu z tych, których znaliśmy, już nie żyje. A wojna kiedy się skończy. Da Bóg, że dotrwamy.

Spojrzał na kule oparte o ścianę, przeniósł spojrzenie na syna i zadumał się głęboko. Nic nie powiedział, ale Sławek wiedział, o czym myśli.

Na razie ziemia w dzierzawie u stryja. Ale zaraz po wojnie będę musiał przejąć gospodarkę, pomyślał chłopak, zagryzając wargi. Ojciec bez nogi pola nie obrobi. A ja? To ciężka praca, wymaga siły mężczyzny, nie chłopca, nie wiem, czy podołam. Chyba nie ma wyjścia... Byle tylko zdobyć choćby najmarniejszego konia.

– Odwilż przyszła – odezwał się tata, patrząc w ciemne okno. – Zastanawiam się... Szkoła i tak zamknięta. Może jutro z rana pójdziesz do lasu? To i owo byś zaniósł.

– W lesie będzie jeszcze śnieg, ale mogę spróbować. – Sławek kiwnął głową.

– Weźmiesz kij, wiesz który. I szwedzką siekierkę. Różnie może być – westchnął. – Sam powinienem pójść, ale... – Zagryzł wargi i bezsilnie uderzył dłonią w ścianę. – Z drugiej strony dobrze, że chociaż jedna noga została – pocieszył sam siebie. – No i zobacz. – Szczęknęły nożyczki, gdy odcinał zbędną już nitkę. – Daleko mi do umiejętności jednookiego Majzla, ale wstydu nie będzie.

Pierwszy bucik był prawie skończony. Nie miał jeszcze drugiej warstwy podeszwy ani obcasa, ale prezentował się naprawdę nieźle.

*

Wiatr hulał ponad polami. Luty dobiegał końca, trzeci dzień odwilży wytopił

w pokrywie śnieżnej liczne przetainy. Sławek przystanął, oskrobał cholewki kirzowych sapogów z błota i wciągnął powietrze nosem. Długą chwilę smakował woń... Szukał zapachu wiosny, rozmięklej ziemi i budzącego się życia, ale czuł tylko ostre igiełki mrozu. Rozejrzał się wokoło. Ani żywego ducha. I dobrze. Cztery lata okupacji nauczyły go ostrożności. Na wszelki wypadek spojrzał w stronę miasteczka. Tam też panował spokój, nad kominami unosiły się dymy, ludzie już wstali, palili w piecach. Tylko pożydowskie domy przy rynku stały puste, ciche i martwe. Zagryzł wargi. Zakutał się dokładniej w jesionkę, poprawił wełniany szalik i podjął marsz. Czuł, jak mu marzną łydki. Mimo ruchu, mimo skarpet do kolan, kalesonów, spodni i wiązanych na wierzch skórzanych sztylpów.

To od tego wiatru, przewiewa na wskroś, pomyślał.

Miał za pazuchą manierkę samogonu, ale wiedział, że to ostateczność, gdy już naprawdę opadnie z sił i przemarznie na kość. Gdy trzeba będzie jeszcze na chwilę pobudzić słabnące ciało. Na razie takiej potrzeby nie było.

Las wyrósł przed nim. Bezlistne drzewa stały, rozczapierzając nagie gałęzie. Wzdrygnął się. Wyobraził sobie szkielety wyciągające ku niemu kościste palce, obdarte z mięsa... Zły las, tak go nazywano. Nawet za dnia wydawał się dziwnie ciemny i ponury. Chłopak zagryzł wargi. Gdy był mały, bał się jeszcze bardziej. Babka opowiadała różne straszne historie. Pogłodził obuch siekierki. Ojciec dostał ją przed wojną w nagrodę na zawodach strażackich, organizowanych przez powiat. Była produktem jakiejś szwedzkiej fabryki. Miała wytłoczony herb z trzema koronami, a raz naostrzona, służyła bardzo długo.

– Jedyne, co może mi tu grozić, to Niemcy i wilki – burknął pod nosem i podjął marsz.

Wreszcie przystanął na skraju zagajnika. Wśród drzew leżało więcej śniegu. Przewidział to. Przejdzie po prostu lasem i zobaczy. Jeśli będzie okazja, by nie zostawiając śladów, podejść do skrytki, zostawi, co przyniósł. Jeśli nie, dostarczy wiktuały za tydzień.

Zimą był tam tylko dwa razy, podczas śnieżycy. Podeszedł na rakietach, zadymka w kilka chwil zasypywała każdy trop. Pobłądził wtedy trochę, ale miał kompas, więc wrócił już bez problemu.

Pomiędzy drzewami śniegu było znacznie więcej, ale uznał, że da radę przemknąć tak, by nie zostawiać śladów. Powędrował brzegiem głębokiej debry. Pomiędzy drzewami wiatr już nie dokuczał. Gdzieś w oddali trzasnęła gałązka. Chłopak odruchowo położył dłoń na trzonku, ale to tylko spłoszona sarna przedzierała się przez krzaki. Odprowadził ją spojrzeniem. Po zimie była dość chuda, ale na myśl o takiej ilości mięsa aż ślinka napłynęła mu do ust. Gdyby tak mieć dubeltówkę... Chociaż nie. Strzał słychać z daleka, a przecież nie ubije sarny z łuku jak Indianin. Przypomniawszy sobie ilustrację z podręcznika. Rycerze i oblegany zamek... A gdyby zrobić kuszę? Tylko raz widział takie coś, gdy przed wojną był z ojcem w Chełmie i zaszli do muzeum, które zorganizował pan Ambroziewicz. No i na obrazkach w książce. Nie wyglądała na skomplikowaną. Trzeba zdobyć kawałek sprężystej stali na łuczysko i pokombinować nad naciągiem. Bełty się wystruga. Strzelanie może poćwiczyć w stodole. Mięso trzeba będzie dobrze ukryć, bo Niemcy nie mieli litości dla kłusowników.

Ruszył dalej. Śnieg leżał płatami, mniejszymi i większymi, ziemia była bardziej zmrożona niż na polach, praktycznie nie zostawiał śladów. No i dobrze. Był już solidnie zmęczony, gdy między drzewami spostrzegł przejaśnienie. Stary wojenny cmentarzyk okazał się prawie wolny od śniegu. Ogrodzenie pierwotnie wypleciono z chrustu, pozostały po nim już tylko smętne resztki palików. Krzyże spróchniały, poprzeczylały się, przewracały, niektóre poziome belki spadły. Na kilkunastu nadal wisały kompletnie przerdzewiałe hełmy. Z tabliczek czas, deszcze i korozja ścierały już nazwiska poległych. Garby zbiorowych mogił pokrywały gnijące jesienne liście. Pomiędzy nimi było tylko trochę topniejącej śnieżnej kaszy.

Zły las, pomyślał chłopak. Tysiące ludzi tu padło. Przybyli z daleka, żeby znaleźć śmierć od carskiej kuli w miejscu, o którym wcześniej nawet nie słyszeli. I teraz leżą polegli za obce sprawy, w obcej ziemi, zapomniani.

Ćwierć wieku minęło i znów przyszli Niemcy, ale nie myślą o tym, by za wujków i stryjków zamówić mszę albo żeby im choć świeczkę zapalić. Może my powinniśmy? A może nie?...

Lęk napłynął jakby znikąd. Może to tylko wyobraźnia buzowała, ale czuł niemal fizycznie czyjąś obecność. Jakby spomiędzy drzew obserwowały go cienie tych, którzy odeszli. Rozejrzał się strwożony, ale niczego nie zobaczył. Zaciśnął dłonie na sękatym kosturze. W kij ojciec wmontował stary czworograniasty bagniet od carskiego karabinu Mosina. Wystarczyło zluzować uchwyt, by wyciągnąć klingę. Tylko co pomoże kawałek stali przeciw duchom?

Nie ma tu żadnych zjaw! – zrugął sam siebie. Nocą wiadomo, lepiej tu nie łązić, ale przecież jest środek dnia!

Przemógł się i przeszedł pomiędzy grobami. Jeszcze kawałek. Minął kapliczkę przy mogile powstańców styczniowych. Stare, częściowo uschnięte drzewo stało na pagórku. Otaczał je rozległy płat nagiej ziemi. Sławek przystanął i długo się rozglądał. Nasłuchiwał, ale las był cichy i spokojny. Wreszcie chłopak podszedł i wsunął kawał kija w dziurę pod pniem. Postukał na wszelki wypadek. Jama była zbyt odsłonięta, jednak zawsze istniało ryzyko, że zajmie ją jakiś zwierzak. Nic nie wyskoczyło, nie usłyszał żadnych dźwięków mogących wskazywać na obecność żywej istoty. Wsunął dłoń, odgarnął kupę liści, które specjalnie tu upchnął. Były suche, szeleściły głośno. Wyciągnął nieco zardzewiałą blaszaną skrzynkę i otworzył. Nie mylił się. Skrytka była pusta. Paczka z wiktuałami, którą zostawił poprzednio, znikła bez śladu. Czyli w styczniu Fryderyk odebrał przesyłkę. Chłopak odetchnął z ulgą. Ukrywający się w lesie przyjaciel przeżył jakoś te najgorsze zimowe miesiące.

Rozejrzał się ponownie. Rozpiął jesionkę i wyciągnął brezentowe woreczki, które miał upchane za pazuchą. Największy pakunek był ciężki i przyjemnie pękaty. Chłopak wkładał do dziury wszelakie skarby. Cztery puszk tuszonki, kawał dobrze uwędzonego sera, zawinięty w nawoskowaną rogożę, dwa kilkukilogramowe woreczki pęczaku, cienkie i długie, podobne do lasek kiełbasy krakowskiej, dwa słoiki smalcu, blaszankę pełną mąki, półlitrową butelkę nafty i trzy pudełka świec. Kosztowały te skarby niemało, niełatwo też było je zdobyć, ale nie czuł żalu, rozstając się z nimi.

„Inni mają znacznie gorzej” – słowa ojca nadal dźwięczały mu w głowie.

Dołożył zwitek gazet. Informacje nie były wiele warte, ale lepsze takie niż żadne. Zamknął skrzynkę i zabezpieczył skobelek przetyczką. Lepiej, żeby żadne leśne zwierzaki nie dobrały się do wnętrza. Namacał zagłębienie. Pod kawałkiem kamienia ukryto przedwojenną aluminiową mydelniczkę. Kartka włożona do środka jeszcze szeleściła w palcach, nie zdążyła zawilgnąć. Najwidoczniej zostawiono ją niedawno, może trzy dni wcześniej. Westchnął. Chętnie spotkałby się z drużynowym, pogadał o świecie, o życiu. O harcerstwie. O tym, jak było przed wojną. Jednak szansa, że się spotkają przy skrytce, była minimalna, a gdzie znajduje się kryjówka Fryderyka, tego Sławek nie wiedział i wolał nie wiedzieć. Wyczuł, że w papier wetknięto też coś okrągłego, zapewne niewielką monetę. Ukrył to wszystko w kieszeni. List od przyjaciela przeczyta później. Teraz trzeba jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie daj Boże, żeby ktoś znalazł skrytkę...

Wracając do miasteczka, nazbierał ochapkę chrustu i obwiązawszy rzemieniem, zarzucił na plecy. Jeśli zatrzymają go Niemcy, najwyżej trochę pobiją i zabiorą drewno, ale na tym poprzestaną. No i gdyby ktoś „życzliwy” przyuważył, że wraca z lasu, będzie miał wiarygodne wyjaśnienie, po co tam chodził. A jeśli zdoła przemknąć się niepostrzeżenie, chrust przecież się przyda.

Uczono mnie, że nie wolno kłamać, dumał, wlokąc się noga za nogą. A tymczasem, żeby przetrwać, kłamać trzeba na każdym kroku.

Na polach hulał wiatr. Znów szło ochłodzenie. Sławek spojrzał z nadzieją na niebo. Gdyby tak sypnęło śniegiem. W zady mce łatwiej się przemknąć. Niestety...

Maszerował, planując trasę. Najprościej byłoby podejść do miasteczka ścieżką od wschodu, tylko że wtedy musiałyby paradować przez pół osady z wiązką opału na plecach. Można od północy, przez sad i obok opuszczonej chaty starego Iwaszki, ale wtedy dla odmiany musiałyby przejść niedaleko urzędu gminy, gdzie zawsze było pełno Niemców. Mógłby rzucić to drewno, zaraz gdy znajdzie się między domami, ale przecież żal.

Parszywa wojna, parszywa okupacja, myślał. Ileż to jeszcze może potrwać?

Świat postawiony na głowie. Trzeba uważać, gdy się idzie do lasu. Trzeba przemykać się do własnej wsi jak na podchodach. Trzeba zezwolenia, żeby jechać do miasta. Okupanci mogą ot tak zabrać człowiekowi konia czy krowę. Ludzie boją się własnych sąsiadów.

Przypomniawszy sobie dziewiąte urodziny. I te urządzone w domu, i późniejsze skromne przyjęcie w harcówce. Łamana czekolada Wedla, lody przyniesione w dużym blaszanym termosie, pomarańcze... Od czterech lat nie jadł pomarańczy, zapomniał już prawie, jaki mają smak. Lodów też już nie było, cukiernia splajtowała jesienią czterdziestego. Po czekoladzie zostało wspomnienie, a sklepik gajzerowski w zamian za pokwitowania oferował tylko marnej jakości ersatze, i to po paskarskich cenach. Harcerstwo Niemcy zlikwidowali. Szkołę to otwierano, to znów zamykano na całe tygodnie. Kilkoro nauczycieli aresztowano i przepadli bez śladu. Polonistkę rozstrzelano w jarze za pocztą, bo ukrywała dwie przedwojenne uczennice Żydówki. Drużynowy Fryderyk wyparował wraz ze swoim ojcem, byłym kierownikiem placówki. Ludzie sądzili, że obaj zostali schwytani i zabici albo w najlepszym wypadku wysłani do obozu koncentracyjnego. Tylko Sławek wiedział, że były drużynowy zamieszkał w lesie.

Gdy wrócił do domu, już zmierzchało. Zzuł przemoczone buty i starannie oczyścił je z resztek błota. Postawił się je przy piecu, żeby przeschły, a rano napuścił skórę tłuszczem. Spodnie do kolan miał zachłapane gliną. Wyprał same nogawki i dopiero wtedy w kałesonach przeszedł do kuchni. Dym trochę szczypał w oczy, ale przyjemne ciepło otuliło go jak płaszcz. Ojciec siedział w nieużywany obecnie pokoju od strony sadu. Miał gościa. Choć nie był już sołtysem, ludzie jak dawniej przychodzili do niego po radę. W dodatku, ponieważ znał dobrze niemiecki, nieraz prosili, żeby tłumaczył pisma urzędowe lub rozporządzenia. Sławek zajrzał przez uchylone drzwi. Ksiądz proboszcz? Duchowny nie założył sutanny, ubrał się w marynarkę, tylko do koszuli założył spłowiałą koloratkę, dlatego chłopak w pierwszej chwili go nie poznał. Siedział przy stole, blade i przygarbiony. Trzymał szklankę z herbatą w lewej ręce, prawa – okaleczona – dłoń spoczywała na blacie. Felczer zrobił, co mógł, nastawiając połamane kości i naciągając wyrwane stawy, ale kiepsko to wyglądało.

– Robię, co mogę, żeby przywrócić czucie chociaż w niektórych palcach,

bym mógł coś dobrze złapać – tłumaczył duchowny byłemu sołtysowi. – Bez tego nijak mszy odprawiać. Nawet wcześniej nie myślałem, do ilu czynności przy ołtarzu trzeba obu rąk. Pobłogosławić lewą ręką niby można, ale starszym parafianom się to nie podoba.

– Jak nerwy uszkodzone, to na nic.

– Jak nakłuwam opuszki szpilką, czuję ból. Trochę zaczynają się już ruszać. Myślę, że jest szansa i to się cofnie. Ale co tam ręka. Ważne, że nic ze mnie nie wycisnęli.

– A co tam ksiądz wie? – uśmiechnął się ojciec.

– Zdziwiłbyś się, synu... Ludzie spowiadają się z różnych rzeczy, w dodatku parafianie, starsi zwłaszcza, nieraz zachodzą i pytają o rady. W bardzo różnych sprawach. Z samych pytań wiele można wywnioskować – westchnął duchowny. – Ale to też traktuję jako tajemnicę spowiedzi. Kamień w wodę. I staram się nie zapamiętywać zbyt wiele.

– To bardzo rozsądnie. Swoją drogą, i mnie czasem zachodzą pytać o rady...

– Zatem sam rozumiesz.

Ojciec nalał do kieliszków odrobinę śliwkowego wina. Wypili.

– Mój dziadek mawiał, że alkohol nie odbiera ludziom rozumu, tylko pokazuje, czy się go w ogóle posiada – westchnął były sołtys. – Coś w tym jest. Podobnie wojna. W jednych budzi bestie, w innych anioły.

– Budzi w nas to, co najlepsze lub najgorsze. – Duchowny odstawił opróżniony do połowy kieliszek. – Jedni okazują serce nawet zaprzysięgłym wrogom, bo wobec perspektywy śmierci dawne spory bledną. Nawet te o podoraną przed laty miedzę. Dobro zaczynają czynić ci, których nigdy byśmy o to nie podejrzewali. I odwrotnie, z tych, którzy wydawali się porządni, nagle wychodzi uśpione latami skarlenie duszy. Dla jednych to okazja, by się pogodzić i podać bliźnim pomocną dłoń, dla drugih sposobność, aby się odegrać na tych, których nienawidzili. Albo i wzbogacić. Niemcy konfidentów hojnie nagradzają.

– Mogą być szczodrzy, przecież i tak dają nie ze swojego, tylko z tego, co nam ukradną – zauważył trzeźwo ojciec.

– To za to cię ludzie lubią, Michale. Skomplikowany problem umiesz wyjaśnić jednym zdaniem. W każdym razie, jak mówiłem, wojna to przy wszystkich tragediach, jakie ze sobą niesie, świetna okazja dla człowieka, by stać się lepszym lub by stać się gorszym. Powtarzam moim parafianom: „wybierzcie mądrze, wybierajcie świadomie, czyńcie dobro”. Nawet małe okruchy dobra są w tych strasznych czasach jak samorodki złota. Trzeba sobie też wzajemnie pomagać. Nie patrzeć, kto żyd, kto prawosławny. Nie patrzeć, kto z jakiej wsi. To, co dzieliło nas przed wojną, nie ma dziś już żadnego znaczenia.

– Ludzie pomagają sobie wzajemnie. Zobaczysz ksiądz, tam na skrzyni, ile ubranek nam naznosili po swoich dzieciach. W czasie pokoju też by przynieśli, ale raczej zrobiliby to nasi krewni i przyjaciele. Inni oddaliby zbędne rzeczy pachciarzowi, żeby odzyskać choć kilka groszy. A tu z daleka ludzie przynoszą, z drugiego końca miasteczka.

– Lubią was i szanują. Wojna się skończy, zobaczymy, jak pójdzie dalej. Będzie trzeba wybrać wójta gminy. Nadawałbyś się, Michale. Twój pradziadek też był przecież wójtem, jeszcze w czas powstania styczniowego. Ano nic, zobaczymy... – Ksiądz dopił wino i dźwignął się z krzesła. – Czas na mnie, zbliża się pora wieczornej modlitwy.

Gdy wyszedł, Sławek założył zapasowe, niedzielne spodnie i usiadł przy stole. Matka ucieszyła się z chrustu. Bliźnięta w kojcu gaworzyły po swojemu. Zjedli kolację – kartofle obsmażone na odrobinie smalcu, ozdobione nielicznymi skwarkami i krążkami cebuli. Ojciec zaparzył herbaty z szyszek olchowych. Wreszcie matka zabrała młodsze dzieci i poszła je usypiać. Chłopak zamknął starannie drzwi.

– Tato... – zaczął.

– No, co tam?

– Musimy porozmawiać. Chyba stało się coś niedobrego.

Ojciec oderwał spojrzenie od gazety.

– Znalazłem kartkę w skrytce...

– To chyba dobrze. O co tym razem Fryderyk prosi?

Sławek przez chwilę próbował ubrać myśli w słowa.

– Pokaż! – Zniecierpliwiony ojciec wyjął mu papier z dłoni. – Świece, nafta, kasza, chleb, smalec – odcyfrował. – Coś do czytania... Nie widzę tu nic dziwnego. – Podniósł pytające spojrzenie na syna.

– Tato, to nie jest pismo Fryderyka. No i pieniądze są na sprawunki. W kartkę włożone było to!

Położył na blacie złotą pięciorublowkę. Ojciec gwizdnął cicho, ujął monetę, położył na palcu i stuknął o nią kluczem. Pieniądz zabrzmiał jak mały dzwoneczek. Były sołtys wsłuchał się w dźwięk z miną znawcy.

– Złoto. Wygląda na to, że jest prawdziwa – mruknął. – Powiadasz zatem, że to nie pismo twojego drużynowego?

– Z całą pewnością. On ładnie pisał, ale to już istna kaligrafia. W dodatku tak równiutko, pedantycznie niemal. Jakby to pisała dziewczyna... Poza tym on zawsze dorzucał kilka zdań, co u niego słyszeć, a na końcu pisał po harcersku: „czuwaj”. No i pieniądze przecież całe nam oddał jeszcze w czterdziestym roku. Nie miał nic. Chyba że trzymał złoto na czarną godzinę. Ale ten list nie jest od niego.

Pan Michał zamyślił się głęboko. Wreszcie zdjął okulary i rozmasował kąciki oczu.

– Myślę, że twój kolega nie ukrywa się już sam – powiedział wreszcie. – O ile w ogóle żyje i przebywa w naszej okolicy. Wydaje mi się, że zostawił komuś kryjówkę i informację o tym, jak można zamówić zaopatrzenie.

Obejrzał kartkę, potem w zadumie potoczył monetą po stole. Chłopak odprowadził pieniążek wzrokiem. Wiedział, że od początku wojny ceny złota zwariowały. Wiedział też, że za handel kruszcem Niemcy rozstrzelują bez

litości.

– Co robimy? – zapytał niepewnie.

– To samo, co dotąd – uciął ojciec. – Nie wiemy, kim są ci, którzy się ukrywają, ale skoro się ukrywają, mają ze szwabami na pieńku. A jak ktoś ma ze szwabami na pieńku, musi być dobrym człowiekiem i pomóc mu trzeba. W dodatku skoro zapłacili, i to bardzo dobrze zapłacili... – Zważył monetkę w palcach. – A nawet jakby nie zapłacili, mamy obowiązek wesprzeć bliźnich w potrzebie. Sami niewiele mamy, ale czasy są takie, że niejeden umiera z głodu.

Spojrzał w okno.

– Myślę, że wiem – powiedział wreszcie. – Pamiętasz, jak na jesieni wywieźli Żydów?

– Pamiętam.

Zagryzł wargi. Tamten koszmary dzień... Krzyki, strzały, szczekanie psów. Kilku Żydów ukryło się w domach, na strychach i w piwnicach. Wywleczono ich z kryjówek i zastrzelono na postrach. Wieczorem Kurtz zgonił chłopów, bo na rynku zostało kilka trupów. Brakło ludzi, więc i Sławek musiał pomóc. Zawieźli zwłoki na kirkut i pogrzebali. Bez zawinięcia w całun, bez położenia skorupki z glinianych naczyń na oczach. Nakryli tylko głowy nieboszczyków derkami, by nie sypać ziemi bezpośrednio na twarze. Tyle dobrze, że ktoś miał na furze starą kłódkę. Nie pamiętali, czy do grobu Żydzi kładą otwartą, czy zamkniętą. Na mogile nikt nie odmówił kadiszu, bo rabina Niemcy już zabrali. Głupio im było zmówić chrześcijańskie modlitwy, przeżegnali się tylko. Chłopak zapisał nazwiska tych, których znał, jak kto po kolei leży, choć wątpił, czy ta informacja komukolwiek się kiedyś przyda. Następnego dnia Niemcy kazali jeszcze ściągnąć z drogi obok leśniczówki zwłoki nosiwody. Może garbaty Icek był wariatem, ale na pewno nie idiotą. Domyślał się, że są pędzeni na śmierć, więc próbował uciekać w las.

Ojciec milczał, chyba myślał o tym samym.

– Wydaje mi się, że poszło tak – odezwał się wreszcie. – Wśród nich było

trochę myślących ludzi. Wiedzieli, że w getcie nic dobrego ich nie czeka. Może ten i ów zdołał w porę drapnąć do lasu. Albo dał szwabom w łapę, żeby przez chwilę patrzyli w inną stronę. Może uciekł potem z getta albo transportu i wrócił w te okolice. Fryderyk spotkał kogoś w lesie i się nim zaopiekował. Druga możliwość jest gorsza. W zeszłym tygodniu rozlepili okólniki, że z obozu w Chełmie wydostało się trochę sowieckich żołdatów. Ponoć też zapadli po lasach. Ale oni nie pisaliby po naszymu, a zwłaszcza nie tak ładnie.

– Kobiecte pismo? Albo dziecięce...

– Nie nasza rzecz, kto się ukrywa. Może dowiemy się po wojnie, może nigdy. W każdym razie robimy swoje i nikomu ani słowa. Zwłaszcza matce. I tak jest zestrachana.

– Ja też się boję – przyznał Sławek.

– To dobrze. Chojracy zawsze giną pierwsi. Dobrze czuć strach i zachowywać czujność. Ale nie jest też dobrze, gdy człowieka opanuje, odbierze wolę działania...

Popatrzył w okno.

– Tak szybko tego nie sprzedamy – mruknął, dociskając monetę palcem. – Ale tak do tygodnia myślę, że zbierzemy, co trzeba. Wiosna idzie. Łatwiej będzie chodzić do skrytki. Aha, jutro mają zajęcie w garbarni, dla ciebie też. Dorobimy parę groszy.

*

Sławek szedł z ojcem przez miasteczko. Dzień był pogodny, niemal

wiosenny, choć w powietrzu wisiał lekki mrozek. Pożydowskie domy stały puste, ciche, martwe. W niektórych wyrwano okna i rozebrano piece, wyniesiono meble. Większość nie miała już nawet podłóg, ukradzione deski poszły na opał. Na ścianach czerwieniały nalepione obwieszczenia grożące śmiercią każdemu, kto zawłaszcza mienie Trzeciej Rzeszy.

– Jak na pośmiewisko – powiedział chłopak z nietajoną satysfakcją. – Szwabry sobie nalepiły, a ludzie i tak zrobili, co chcieli, i wszystko rozszabrowali.

– Tylko co będzie, jak Niemcy zrozumieją, że tak jawne zlekceważenie zarządzeń kompletnie ich ośmiesza? Jeszcze zechcą przypomnieć nam, kto tu rządzi – westchnął ojciec.

Minęli opuszczony i zdewastowany „dwór” kupca Bergera. Sławek przypomniawszy sobie, jak przed wojną przywozili tu zboże. Berger uchodził za porządnego Żyda, zawsze dawał w miarę przyzwoitą cenę, choć oczywiście i tak gdy sprzedawał ziarno wiosną, zarabiał krocie. Za to jego żonę przezywano po cichu pijawką.

– No i nie ma już Bergerów. – Ojciec widocznie myślał o tym samym. – Ciekawe, czy wróca? Ale szczerze powiedziawszy, nie liczyłbym na to. A pamiętasz śledzie od Natana? – Spojrzał na leżący opodał opuszczony sklepik. – Nie jest łatwo, gdy w jednym miejscu żyją dwa ludy, z których każdy zadziera nosa, bo uważa się za naród wybrany. Nie zawsze było nam z Żydami lekko, nie zawsze po drodze... W wielu sprawach nam przeszkadzali jak kamień w bucie. A w innych, nie powiem, wspierali. Ci ich cholerni lichwiarze brali w zastaw cielaka, który był jeszcze w krowie, zboże, które się jeszcze nie wykłosiło, jabłka, które istniały jako zawiązki. Dojrzewało wszystko, rosło, ale gospodarz patrzył na to i wiedział, że to już nie jego. To nie było w porządku. Za łajdactwa lichwiarzy niechęć spadała na wszystkich. Ale i z drugiej strony rabin jakoś nigdy ich nie wyklął i nie wykluczył z gminy. I patrząc z trzeciej strony, tym, którym kasa spółkowa odmówiła kredytu, lichwiarz pożyczył zawsze. Niejednego to uratowało. Zresztą, co im będziemy wypominać grzechy i łajdactwa nielicznych. Przecież i wśród naszych żyją kanalie... Było, jak było, i tego już nie zmienimy. Jednak bez nich jakoś tak rozpaczliwie pusto. Jakby zabrakło czegoś ważnego. No i co by nie mówić, obrotni byli, załatwili mi zawsze

wszystko, co było potrzebne.

– W ogóle jest pusto – bąknął syn. – Na targ w środę mało kto już przychodzi. Z sąsiednich wiosek też nie przyjeżdżają... Nie ma czym handlować, a i nie wszystkim wolno. Zresztą ludzie nie mają ani pieniędzy, ani towaru.

Zagryzł wargi. Czuł tę pustkę. Trzy lata siedział w ławce z Ajzykiem. Jego kolega miał ładniutką siostrę, nieraz gadali o przeczytanych książkach. A teraz? Nie ma Ajzyka, nie ma Miriam, nie ma jeszcze z piętnastu rówieśników, których znał. Polaków też ubyło. Niemcy jeszcze w czterdziestym roku wykryli konspiracyjną organizację, rozstrzelali na postrach kilkunastu jej członków. A i potem bywało nielekkko. Gdyby dobrze policzyć, do obozów koncentracyjnych i robót przymusowych trafiła już dobrze ponad setka mieszkańców. Niewielu wróciło.

Przed dawną synagogą stał niemiecki żandarm, znudzony jak mops wodził wokoło ciężkim spojrzeniem. W budynku Niemcy zrobili magazyn łupów i towarów zdzieranych w ramach kontyngentu. W zeszłym tygodniu był termin, przez osadę kilka razy przejeżdżały ciężarówki z cielećkami i prosiakami. Teraz też jacyś ludzie wnosili do wnętrza bożnicy pękate worki ze zbożem.

– Na targu mówili, że szkopy spieszą się, by ukraść i wywieźć, co tylko się da – zauważył półgłosem Sławek. – Niektórzy twierdzą, że to znak. Śniegi zejda, drogi obeschną, wiosną ruszy wielka ofensywa Sowietów i do lata zajmą te tereny. Może to już ostatni rok wojny.

Ojciec skrzywił się.

– Głupie gadki. Jeszcze ktoś doniesie szwabom i napytają sobie ludzkie biedy przez to pytlowanie. Sowietci wzięli straszne baty, ale główny teatr wojenny rozgrywa się nadal na wielkich przestrzeniach środkowej Rosji, tysiące kilometrów od granic dawnej Polski. Stalingrad, Kursk... Jedyne pociecha, że Ruskich są miliony, wszystkich nie da się zabić. Napoleon już próbował, i kajzer Wilhelm. W dawnych czasach Polacy Kreml siłą brali. I co z tego przyszło? Nic.

– Moskwa daleko...

– Owszem. Tam gdzieś na przedpolach ich stolicy Niemcy dostaną w tyłek, wytracą ludzi i wtedy dopiero zaczną się cofać. Jeszcze dwa, może trzy lata, zanim zostaną pobici. Albo i dłużej zejdzie, bo Sowieci to taka swołocz, że jak trzeba, to i z diabłem się dogada. Może i się pogodzą, Hitler zatrzyma Ukrainę i Białoruś, Stalin resztę. A co potem będzie, trudno powiedzieć. Zobaczmy, co nam pisane.

– A gdyby Niemcy zajęli Moskwę i Leningrad?

– To Ruskie cofną się za Ural i stamtąd wyprowadzą kontrofensywę. Szwaby nawet tyle ropy nie mają, żeby tam czołgami dojechać. Przestrzenie i zima to dla Stalina najcenniejsi sprzymierzeńcy. No, ale dość już o tym.

Dochodzili na miejsce. Garbarnia – przed wojną własność kupca Erelbauma – nadal działała, choć po prawdzie już tylko na ćwierć gwizdka. Niemcy przysyłali czasem trochę skór świńskich albo wołowych do wygarbowania. Niemiecki zarządca, stary Kurt, stał w drzwiach. Był jowialnym grubasem po sześćdziesiątce. W spranym i pogniecionym mundurze, z trudem opinającym wielki kałdun, wyglądał groteskowo. Wśród mieszkańców miasteczka uchodził za niegroźnego pocziwinę, obżartucha, opoja i fajtlapę. W żaden sposób nie budził respektu czy lęku. W niedzielę nawet przychodził do kościoła, mówiono, że jest katolikiem z Bawarii. Ale pracownicy garbarni wiedzieli, że to pozory i nie należy go lekceważyć. Nie był świnią, jak towarzystwo, które zbierało się dawniej u Kurtza, jednak spraw produkcji pilnował bardzo sumiennie. Co gorsza, trochę się na tym znał.

Ojciec często powtarzał, że dobrze by było podmienić gotowy produkt i zamiast skór krowich oddać Niemcom końskie. Ale nie mógł wymyślić, jak rzecz przeprowadzić, a w dodatku na każdym płacie tłoczono suchą pieczęć z nazwą zakładu. Gdyby sprawa się ryła, okupanci szybko dojdą, kto im wyciął tego psikusa, zaczną szukać winnych.

– O, pan Michał... No jeszt i chopak. – Na powitanie uścisnął Sławkowi dłoń.
– Jak sze masz.

– *Guten Tag*. – Chłopak szurnął nogami. – *Fertig zur Arbeit!*

– *Gut, gut...* – Niemiec pokiwał głową. – *Sze dzisz pszydasz...*

Poprzedniego dnia Niemcy zwieźli ogromną ilość krowich i świńskich skór, trzeba było je oczyścić i wyprawić, zanim się zepsują. Wszyscy pracownicy garbarni harowali niemal dzień i noc. Za to obiecano im większe przydziały. Sławek przez kolejne godziny czyścił skóry z resztek tkanek, przesypywał solą, wrzucał do kadzi z garbnikami. Robota była w sumie dość prosta, ale brudna i śmierdząca.

Obiad jedli na ławkach ustawionych pod ścianą szopy na podwórku. Było z osiem stopni mrozu, cienka herbata parowała w kubkach. Mogliby zjeść w środku, ale odór odbierał apetyt. Kurt usiadł obok robotników, też miał kanapkę zawiniętą byle jak w woskowany papier.

Sławek obserwował go spod oka.

Tyle się mówi o niemieckim porządku, dumał. A temu chyba się nie chce. Nie chce mu się pastować butów, odprasować koszuli. Jest tak zmęczony, że nawet nie dba o zachowanie pozorów. Siedzi tu jak na zesłaniu i liczy dni, kiedy będzie mógł wrócić do domu. Bo pewnie gdzieś tam ma swój dom...

– Szami widzicze, ile roboty. Ja pisałem do ghetta w Chełmie, szeby mi odeszłali tu do pomocy kilku Szydów z tych, co tu pszed wojna robili i w szesłym roku jeszcze – powiedział, osadzając papierosa w szklanej fifce. – Ale cosz mi się zdaje, sze one wszystkie jusz... – Przesunął dłonią po gardle.

Wyglądał na autentycznie zmartwionego. Może żal mu było zabitych, może tylko ubolewał nad brakiem fachowych rąk do pracy? Polacy pokiwali w zadumie głowami. Kurt był prostym człowiekiem, raczej niezdolnym do wyrafinowanych prowokacji. Ale mimo to nie próbowali podjąć tak ryzykownego tematu. Większość świadków jesiennej deportacji domyślała się, że żydowskich sąsiadów już raczej nigdy nie zobaczą.

– Wy dopsze pracujecie, tylko skóry kradniecze... Ja ni wim, jak to rhobicze, ale szem dowiem jeszcze. – Pogroził im papierosem.

Wymienili zaskoczone spojrzenia, ten i ów wzruszył ramionami. Niemiec

groził im od dawna, obiecywał, że jak tylko dorwie ich na gorącym uczynku, wyśle do obozu koncentracyjnego. Ale chyba sam raczej nie wierzył w to, co mówi. W każdym razie, ile razy robił spis kontrolny, wszystko było w idealnym porządku.

– No co też pan – zirytował się ojciec. Mówił po niemiecku. – Jak niby mielibyśmy to robić? Pan przecież liczy każdą sztukę przed garbowaniem i po garbowaniu. A potem po suszeniu. Wszystko się zawsze zgadza co do sztuki. Ile przyszło, tyle idzie dalej. A co wybrakowane czy zniszczone w produkcji, też przecież w protokole, zanim pójdzie do zniszczenia.

– *Gut, gut* – mruknął Niemiec i jakby uspokojony przymknął oczy, zasłuchany w ojczysty język.

Sławek wiedział, że kontrola na każdym etapie produkcji była naprawdę drobiazgową. I że ojciec cały czas kombinował, jak by tu obejść zabezpieczenia i uszczuplić tak zwany majątek Trzeciej Rzeszy. Widocznie Niemiec wyczuwał, że coś knują...

Spojrzał na kolegów ojca. Wyłącznie proste, chłopskie twarze. Tylko tata nosił okulary. Jeśli on nie wymyślił żadnego sposobu, to tamci nie mają szans.

*

Dopiero pod koniec tygodnia ojcu udało się spieniężyć złotą „świnę”. Kupili cukru, herbaty, parę kłębków wełny. Nafty nie było. Jeśli nawet ktoś miał zapas, oszczędzał na czarną godzinę. Zdobyli tylko odrobinę. Matka zrobiła na drutach kilka par grubych skarpet i rękawiczki do łokcia. Przygotowali wszystko według listy. Wędzonkę, słoik cukru, świece, słoik gęsiego smalcu.

Chłopak usiłował sobie wyobrazić, czego jeszcze może potrzebować nieznajomy ukrywający się w norze wykopanej gdzieś w lesie. Pewnie przydałaby się też odzież albo i buty, ale nie znali rozmiaru, a i po prawdzie nie mieli też niczego na zbyciu.

W każdym razie był gotów. Tylko pogoda płatała figle. Nocami sypał śnieżek, rano wszędzie leżała warstewka białego puchu. Każdy ślad byłby natychmiast widoczny. Musieli czekać na odwilż.

W niedzielę poszli całą rodziną na sumę do kościoła. Proboszcz odprawiał mszę z asystą wikarego. Widać było, że jakoś już sobie radzi, choć używał głównie lewej ręki. Niektórzy staruszkowie mieli jakby zgorszone miny, ale nikt nie odważył się protestować. Po mszy, drepcząc do domów, ludzie komentowali wydarzenie.

– W Krakowie jest w kościele piękny witraż Wyspiańskiego, na którym Bóg Ojciec stwarza świat lewą ręką – mitygował ojciec sąsiadów. – Biblia ani katechizm nie zabraniają. A ksiądz odprawia nam jak może, pamiętajcie też, kto mu to zrobił i dlaczego – dodał ostrzej.

Jedni pokiwali głowami, inni pokręcili z powątpiewaniem, ale pytowanie ustało.

Zjedli obiad. Po południu, gdy Sławek kończył oporządzać zwierzęta, a ojciec porządkował coś na podwórzu, zaszedł do nich niespodziewanie sam wójt gminy. Stał przy furtce, jakby niepewny, czy może wejść na podwórze.

– *Heil Hitler, Herr Johann Koller.* – Ojciec wyrzucił ramię, parodiując hitlerowskie pozdrowienie.

– Michale, daj proszę spokój, chcę z tobą pogadać – powiedział gość po polsku. – Może nawet pogadać jak przyjaciel. Jak za dawnych czasów.

– Jak za dawnych czasów? – ojciec odezwał się po niemiecku.

– Tyle lat razem. I krowy pasaliśmy, i potem...

– Z tego, co pamiętam, miałem kiedyś przyjaciela który nazywał się Janusz Koler, z twarzy był nawet trochę podobny do pana – głos dawnego sołtysa ciął jak brzytwa, po niemiecku mówił swobodnie i z dobrym akcentem, znacznie lepiej niż folksdojcz. – Ale mój przyjaciel umarł przed kilku laty, jakoś tak jesienią chyba. Nie wiem, co mu się przytrafiło, spędzałem akurat miło czas, najpierw na długich marszach przełajowych gdzieś na Pomorzu, a potem we wzorcowym ośrodku wczasowym, w takich drewnianych barakach nad morzem w pięknej Meklemburgii. Nie bardzo już pamiętam, bo trochę czasu wszak minęło, ale to, zdaje się, były wczasy zdrowotne, w każdym razie dużo gimnastyki na świeżym powietrzu i chyba wszyscy byliśmy na diecie, bo solidnie schudłem – szydził bezlitośnie, a słowa w języku Goethego lekko spływały mu z warg.

Kto inny po takiej tyradzie pewnie położyłby uszy po sobie i wyniósł się w diabły, ale Koller tylko westchnął.

– Przyszedłem do ciebie po radę. Byłeś sołtysem, zakładałeś tu wolną Polskę w osiemnastym roku. Ludzie ci ufają.

Ojciec łypnął okiem i z ociąganiem wskazał niechcianemu gościowi ławkę przed domem.

– No to gadaj, czego chcesz? – dalej mówił po niemiecku, wprawiając tym dawnego przyjaciela w wyraźne zakłopotanie.

– Zginął Niemiec. Esesman. Jechał na motorze i nie dojechał. Wczoraj koło cmentarza znaleźliśmy zwłoki.

Były sołtys gwizdnął cicho przez zęby i pobladł.

– Nie słyszałem. No to szykuje się grubsza afera. Ktoś go zabił? Będzie pacyfikacja? Czy inne represje?

– Nie... Raczej nie – poprawił się wójt. – Miał rozszarpane gardło, mundur wręcz pocięty, szramy od pazurów na ciele. Gestapo z Chełma zabrało zwłoki. Orzekli, że zrobiło to zwierzę. Ten ich lekarz, z którym gadałem, twierdził, że nie ma pojęcia jakie. Wyglądało mu to na tygrysa. Ale przecież i on, i ja wiemy, że to bzdura.

– Może tak, a może i nie – zadumał się ojciec. – W końcu we wrześniu bombardowali jak leci, więc ogrody zoologiczne i cyrki też z pewnością ucierpiały. Może jakiś tygrys skorzystał z okazji i wyrwał się na wolność?

– Tobo przecież zdechł od mrozów zimą, w końcu to zwierzę egzotyczne.

– Niekoniecznie, są przecież tygrysy syberyjskie. One żyją i w surowszych warunkach. A powiadają, że jak tygrys raz skosztuje ludzkiego mięsa, to koniec. Rozsmakuje się i będzie zabijał, aż sam zostanie utłuczony. Są też irbisy, śnieżne pantery z Mandżurii. Ale Bogiem a prawdą, sądzę raczej, że to mógł być ryś. Zwierzę duże, głodne albo rozdrażnione może być dla człowieka niebezpieczne.

– Nigdy nie widziałem rysia w naszych lasach.

– Ja też nie, ale jest wojna, coś go mogło wypłoszyć z matecznika. Partyzanci po lasach, Niemcy, ktokolwiek. Coś mogło zmusić zwierząka do wędrówki w poszukiwaniu nowego leża. Znaleźliście jakieś ślady?

– Nic. Śnieg wydmuchało, a ziemia na kość zmarznięta. Niemcy próbowali psy tropiące puścić, ale te obwąchały glebę i podwinęły ogony. To by pasowało, że to groźna bestia. Mogą nie znać zapachu tygrysa, ale z pewnością budzi grozę... Ryś? Hmm...

– Ryś jest najbardziej prawdopodobny.

– Nie śpi zimą?

– Nie.

– A nie jest za mały, żeby zabić człowieka?

– Dorodny okaz może ważyć i trzydzieści kilo. Tylko czemu zaatakował tak daleko od lasu? Chyba że siedział na którymś z cmentarnych drzew i skoczył z góry. Cholera wie, na tym to ja się nie znam.

– Ludzie gadają, że w tych lasach czai się jakieś zło. – Koller dobierał niemieckie słowa z wyraźnym wysiłkiem. – Może to bajania starych bab, może coś jest na rzeczy. Słyszałem opowieści o Czarnym Dworku. O tym, że

to ludzie z miasteczka go spalili z dziedzicem w środku. Że to twój ojciec zrobił.

– Koło cmentarza znaleźliście trupa, powiadasz? Moja matka powiedziała by, że strzyga siedzi w którymś z grobów. Wszystko się zgadza, pazury jak brzytwy, zęby, wielki apetyt na ludzką krew. Zwłaszcza gdy pełnia idzie. Albo ze starą Grzesiuczką pogadaj, to opowie bez liku makabrycznych historii. Tylko się potem nie sfajdaj ze strachu, jak nocą żarówka zacznie migać...

– Nie błaznuj, to poważna prawda.

– Sam zacząłeś – zakpił ojciec. – Przecież dwudziesty wiek mamy!

– Wiem.

– I tak mało kto chodzi do lasu, zwłaszcza od kiedy ogłosiliście, że chrust i grzyby stanowią własność Rzeszy.

– Michale – Koller spoważniał – pomyśl, co robi gestapo, jeśli dojdzie do wniosku, że to nie zwierzęta rozszarpują Niemców. A od razu powiem, że te bydlaki z Chełma raczej nie uwierzą w wilkołaki, strzygi ani wampiry. Ja nie zdołam was obronić. Kto wie, może razem z wami pod ścianę pójde?

– No nie żartuj, swojaka przecież nie rozstrzelają.

– Dla nich to ciągle jestem mieszańcem, który nie dość gorliwie stara się zasłużyć na miano prawdziwego Niemca. Kurtz bardziej się starał, pamiętamy wszyscy. Wracając zaś do tematu...

– Myślisz, że to człowiek? – Ojciec też spoważniał i nawet zaczął mówić po polsku.

– Musiałby przygotować sobie narzędzie. Jakies stalowe haki, coś w rodzaju szponów. Albo do trzymania w dłoni, albo na jakimś kiju.

Ojciec zamyślił się głęboko.

– To możliwe – powiedział wreszcie. – Weterani wojny mandżurskiej

opowiadali, że gdy służyli w carskiej armii, widywali podobną broń. Kozacy czasem zabijali japońskich zwiadowców, zwanych ninja. Różności przy trupach znajdowano. Metalowe gwiazdki z bardzo ostrymi kolcami, służące do rzucania. Bambusowe flety, które mogły też służyć do wydmuchiwania zatrutych strzałek. Różne haki do wspinaczki i rozrywania ciała. Może ktoś przywiózł coś podobnego, a teraz jego wnuk używa? Dwa miecze samurajskie widziałem kiedyś, lata temu, u starego Mikołaja. Powiadali, że był Kozakiem, walczył w obronie chutoru gdzieś na Kamczatce.

– Pogadaj, proszę, z ludźmi. Ciebie szanują. Nieważne, kto to zrobił ani jak. Trzeba, żeby przestał.

– A niby dlaczego miałbym tego kogoś powstrzymywać? – Ojciec uśmiechnął się krzywo. – Bo po tym, co przeszedłem w obozie i czego się we własnym miasteczku naoglądałem, dla mnie dobry Niemiec to martwy Niemiec. A rozszarpany stalowymi pazurami to nawet jeszcze lepiej niż zastrzelony.

– Dlaczego? – westchnął Koller. – Michale, nie udawaj głupiego. Widziałeś kiedyś wieś po pacyfikacji? Ja widziałem. Jak zrobili mnie tu zarządcą, miałem specjalne szkolenie dla niemieckich wójtów. Żebyśmy wiedzieli, co i jak. Szkoliło nas kripo, gestapo, SS. Zawieźli nas wtedy na Białoruś, tam była wieś, która pomagała sowieckim partyzantom. Chcieli dać innym odstraszący przykład. Zobaczyłem tamtego dnia straszne rzeczy. Nie do uwierzenia, nie do opowiedzenia... Do dziś, jak wracają te obrazy, budzę się w nocy z krzykiem. A co do obozów, Michale, to z całym szacunkiem, ale w dupie byłeś i gówno widziałeś. W jenieckim siedziałeś. To naprawdę wczasy w porównaniu z Majdankiem czy Auschwitz. Tyle ci powiem.

Ojciec łypnął na niego, zaskoczony.

– Tak, takie rzeczy też mi pokazali – rzekł wójt. – Zresztą pogadaj choćby z młodym Malinowskim. On robił przy budowie drogi za Krasnymstawem. Wrócił ledwo żywy. I też ci powiem, że ta budowa to była wycieczka w porównaniu z Majdankiem, a są i takie obozy – przyciszył głos – że ich więźniom Majdanek wydałby się sanatorium! W każdym razie powiedzieli, żebym was dobrze pilnował, bo jak nie upilnuję, to i moje miasteczko może tak skończyć.

– No to pilnuj.

– Mogę na ciebie liczyć? Ty wiesz, co się dzieje?

– Nic nie wiem – odburknął ojciec. – Wiem tyle, żeby się nie szlajać bez potrzeby nocą poza domem. A może jest, jak zapisano w jednej waszej ulotce. Umknęli Sowieci, jeńcy z obozu w Chełmie. Nie mają nic do stracenia, nie mają broni ani żywności, Niemcy traktowali ich gorzej niż zwierzęta, no to teraz chcą wziąć odwet i zabijają was jak zwierzęta, zagryzają zębami i rozszarpują pazurami. Mają powody do zemsty. I raczej wolą nie zostawiać wyraźnych śladów.

Folksdojcz łypnął na niego.

– To chyba niemożliwe.

– Wolisz powiedzieć, że wierzysz w strzygi i wilkołaki? – zakpił ojciec.

– W wilkołaki to raczej nie. Ale mówią, że jest w tych naszych lasach jakieś zło. – Koller wrócił do poprzedniej myśli. – Opowiadają, że wasz dziadek, a potem ojciec... Powiadali, że...

– Ludzie gadają różne rzeczy. To był rok tysiąc dziewięćset piąty. Burzyli się fornale jak Lubelszczyzna długa i szeroka. Bili ekonomów, bili urzędników. Było i tak, że kilku panów życie postradało. A u nas, można rzec, prawie spokojnie przeszło. Dworek myśliwski z dymem poszedł. Nie słyszałem, aby ktoś przy tym zginął. Ale zapamiętaj: chłop to chłop, zwykle jest spokojny i pokorny, ale z nim jak z koniem i jeśli narzucisz mu ciężar ponad siły, to się zbiesi. A wtedy nie ma zmiłuj. Widziałeś kiedyś głowę rozbitą kopytem? Ja dwa razy. Dobrze, porozmawiam z sąsiadami. Jeśli to ktoś od nas biega po lesie z zaostrzonymi grabiami, może odpuści. Rozpuść pogłoskę, że za tego esesmana miała być pacyfikacja, ale ubłagałeś Niemców, żeby odpuścili. To da ludziom do myślenia. Ale jak to Sowieci robią, sami ich musicie wytropić i wyłapać. Na wilkołaki, obawiam się, nie mam wpływu.

– Hm... no tak. Pójdę już – westchnął Koller. – Bywaj i nie myśl o mnie aż tak źle. Ktoś musiał wziąć na siebie odpowiedzialność. Gdyby nie ja, Niemcy przysłaliby znowu jakąś kanalię w rodzaju Kurtza.

– Pewnie tak, ale ty miałbyś wówczas może pusto w brzuchu, lecz za to czyste ręce i sumienie – rzucił ojciec. – I z pewnością nie oliwiłbyś się tak bimbrem. Przejrzyj się w lustrze! Te plamy na twarzy i rękach to znak, że wątroba się buntuje.

Folksdojcz chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką i odszedł. Sławek rozrząbał kilka pniaczków i z naręczem bierwion ruszył do sieni.

– I tak to jest, synu. Tak jak ksiądz proboszcz mówi. Wojna to taki czas, że budzi w ludziach ich naturę. Tę najprawdziwszą. To, czego na co dzień nie dopuszczamy nawet do myśli. W złych budzi zło i daje okazję do jego czynienia. Albo przeciwnie, zły człowiek, widząc zło jeszcze gorsze, doznaje olśnienia, inaczej już patrzy na swoje życie. W dobrych budzi dobro, czasem szaleńcze, czasem wręcz nie do uwierzenia... A czasem z dobrego człowieka wychodzi bydlę, którego on sam w sobie nawet nie podejrzewał. W tchórzach wojna potrafi obudzić odwagę, widziałem to we wrześniu. A w chojrakach, którzy zawsze uważali się za wielce mocnych, prawdziwe zagrożenie budzi demony lęku. To taki czas, po którym nikt z nas nie będzie już taki jak dawniej. Napatrzyłem się. W okopach, w czasie odwrotu, potem w obozie. A Niemcy przegrają. Wiesz dlaczego?

– Bo Sowietów ich pobiją?

– To swoją drogą. Ale głównie dlatego, że nie mają odpowiednich ludzi... Ani do walki, ani do administrowania. Popatrz na niego. Niby taki ważny, zarządza, chla z Niemcami i może sam już trochę wierzy, że jest Niemcem, jak jego dziadek. Ale w rzeczywistości jest nikim i zawsze będzie nikim. Pojawił się poważny problem, to przybiegł do mnie jak sarenka do wodopoju. A żeby trzymać ludzi w ryzach, nie trzeba terroru, wystarczy kilka prostych sztuczek. Trzeba ich podejść tak, żeby robili, co się każe, przekonani, że sami tego chcą, a najlepiej, że sami to wymyślili. A jak nie ma innego wyjścia, napuścić trzeba jednych na drugich, a samemu udawać zatroskanego rozjemcę... Żadna filozofia.

– Co on mówił o tym, że w tych lasach czai się zło?

– Coś, widzę, zrozumiałeś z naszej rozmowy? – Ojciec uśmiechnął się i zaczął nabijać fajkę.

– Wszystko zrozumiałem. – Sławek prawie się obraził. – Uczysz mnie niemieckiego, od kiedy wróciłeś z niewoli...

– Niemiecki trzeba znać – westchnął ojciec. – Nauczyciel w szkole pewnie by powiedział, że to język naszych sąsiadów, że to przepustka do wspaniałej, ponadczasowej kultury. Że narodowy socjalizm to tylko paradoks historii. Że to wszystko minie, że jeszcze będziemy się przyjaźnili. Że Niemcy to nie tylko Hitler, Goebbels i Göring, ale też Mozart, Goethe, Beethoven. Tak właśnie powinniśmy mówić dzieciom. Ale jesteś już prawie dorosły, więc powiem wprost i bez owijania w bawełnę. Trzeba znać język odwiecznego wroga. Trzeba mówić w języku tych skurwysynów, żeby rozumieć, o czym szwargoczą między sobą, podsłuchać, co łajdacy knują, ale także móc się wyłgać i zwiększyć szanse przeżycia. A jak Bóg da, żeby ich po wojnie przesłuchiwać, gdy staną przed naszymi sądami.

Sławek widział, że ojciec ucieka od tematu.

– Wilki jesienią rozszarpały Kurtza... I leśniczego Kurzydłę...

– Wilk syty nie jest groźny. Chyba że wleziesz na wilczycę z małymi. Ale nawet wtedy raczej nie zaatakuje pierwsza. Było kiedyś tak, że poszedłem w grudniu do lasu zrąbać choinkę do domu. Byłem na polanie, gdy obskoczyły mnie nagle wilki. Myślałem, że już po mnie. Te zwierzęta są szybkie, trudno obronić się siekierą choćby przed jednym... a tam były trzy. Ale osaczyły mnie, obiegły, popatrzyły tylko i umknęły w krzaki. Potem, wracając, znalazłem zagryzioną sarnę. Były syte, dlatego mi odpuściły. Ukraińcy mają nawet piosenkę na odegnanie wilków. Klękają, patrzą bestii w oczy i śpiewają, aż poczuje strach i odejdzie. Pogadaj z tym Czarnym Fiedką, może cię nauczy.

– Tato!

– Niedobrze o tym gadać. – Ojciec spoważniał. – Ale są na świecie złe miejsca. Czasem działka, na której od pokoleń nikt się nie buduje... Czasem dom, którego kolejni właściciele przedwcześnie umierają. Bywa i tak, że da się to wytłumaczyć. Pamiętasz, jak się Sołtysiuk chciał budować na Kozakówce? Ładny kawałek ziemi, nasłoneczniony. Ludzie mówili, że nie wolno, ale nikt nie wiedział dlaczego. Zaczął kopać pod fundament, znalazł

szkielety, obok resztkę bardzo grubego muru spojonego z białych kamieni i grubą warstwę spalenizny, jakby po dawnym pożarze. Widać stała tam kiedyś cerkiewka albo kościółek, a wokoło leżeli snem wiecznym dawni parafianie. Może Tatarzy to spalili, może Szwedzi, jak tu podczas potopu wtargnęli. Nikt już nie pamiętał, że tam coś takiego było, tylko jak echo powtarzano „nie ruszaj tej ziemi”. Co miał zrobić? Opuścił.

– Dziś tam krzyż stoi.

– I dobrze. Co do naszych lasów... Masa ludzi tam zginęła. I w powstaniu styczniowym, i potem, podczas Wielkiej Wojny. Sporo ludzi tam leży i na cmentarzu, i koło kapliczki, i zapewne w różnych wykrotach. Nie pogrzebano ich jak trzeba. Mówi się, że jak nieboszczyk porządnego pogrzebu się nie doczeka, doskwiera mu to, dusza wraca na ziemię, błąka się. Mówi się też, że jak kto bez spowiedzi gwałtowną śmiercią umrze, może powrócić jako upiór. Coś jest na rzeczy, bo leśniczy przy drodze mieszkał. Blisko lasu tylko stodoły zawsze były, nikt się tam na stałe nie osiedlił. I nie znam w miasteczku odważnego, co by został w tych lasach na noc. Sam się dziwiłem, jak kierownik szkoły tuż przed wojną prosił o pomoc w budowie kryjóWKi.

– A Czarny Dworek?

– Dziedzic Leopold był głupi, ale też opowiadali o nim, że był złym człowiekiem. Że parał się magią, czcił szatana. Nie wiem, czy to prawda. Ale może być i tak, że zło ciągnie do zła i wzajemnie krzywdy sobie nie robi. Zresztą opowieści o nim jest bez liku. W poprzednią wojnę mówiono też, że przelana krew jest jak ofiara dla złych duchów. Rosną od tego, nabierają krzepy, odwagi i tam, gdzie zginęło wielu ludzi, dzieją się potem złe rzeczy, bo granica między tym, co żywe, i tym, co martwe, ulega zatarciu. Inna była tamta wojna... Straszliwe starcie na naszej ziemi, jakby się zderzyły dwie rozpędzone lokomotywy. Tysiące trupów. Więcej ludzi na polach poległo, niż mieszkało w naszej gminie. I zniszczenia były ogromne. Spalone domy, połamane drzewa w sadzie. W rynku tylko las kominów nad zgłiszczami. Mury kościoła spękały i dach zerwało. O zbiorach szkoda gadać, wszystko stratowane. Teraz mamy tyle szczęścia, że Sowieci we wrześniu trzydziestego dziewiątego zajęli nas z marszu i nie było walk w tej okolicy. Ale kto wie, co będzie, jak przyjdą Niemcy wypierać?

– Złe duchy się budzą... – podchwycił chłopak.

– Ludzie gadają rozmaite głupoty – odezwała się matka z sieni. – Wszelakie bajdy durne i niedorzeczne. Dwudziesty wiek mamy, radio, żarówki, gazety. Czasy rozumu. Nie mąć dzieciakowi w głowie zabobonami.

– Niby tak. – Ojciec kiwnął głową. – Ale ja bym nie odrzucał wszystkiego, co pochodzi z dawnych wierzeń. Starzy ludzie wiele przeżyli, wiele widzieli, czasem może nam się zdawać...

– Że niby co? – prychnęła matka.

– Że jest w tym coś dziwnego i niepokojącego. Jakiś przebłysk celowego działania. Od lat nie słyszałem, żeby wilki kogokolwiek zaatakowały. A tu zagryzły kilku naraz, uzbrojonych i w grupie. I to akurat tych, którzy siedzieli nam na karku jak czyrak. Nikogo innego nie ruszyły. No i potem tego Niemca jeszcze. Ludzie gadali, że nawet one wyczuły, kto jest wrogiem tej ziemi.

– Bo pewnie ten cały leśniczy, jak mu było? A, wiem już, Kurzydło. Polował na nie, latał po lasach z psami i strzelał do nich. No to go znienawidziły. Zapamiętały zapach kanalii, a zdarzyła się sposobność, to go dopadły i tyle. Matka znalazła wyjaśnienie.

Ojciec zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał.

– A jak starego Olega duch lekarza laską obił? – przypomniał Sławek. – Gadali ludzie, żeby groblą przez łąki po nocy nie chodzić, a zwłaszcza nie wracać tamtędy z knajpy. A on nie usłuchał, pijany był, a poszedł. Spotkał czarno odzianego pana z laską i tą laską oberwał po grzbiecie.

– Kto by tam wierzył w pijackie opowieści – westchnęła kobieta. – Może spotkał kogoś, kto miał do niego żal?

– Mówił, że poznał lekarza z twarzy... Tak być mogło, bo to już ze trzydzieści lat, jak doktor umarł. To Oleg go z młodości zapamiętał – zadumał się ojciec.

Matka chciała coś powiedzieć, ale jedno z bliźniąt zagaworzyło, więc pobięła do sypialni.

– No i sam widzisz – mruknął ojciec. – Kobiecie z miasta, nauczycielce w dodatku, pewnych rzeczy nie wytłumaczysz. A uważać trzeba. Świat żywych i świat umarłych to dwie różne rzeczy. Nie powinny się mieszać. Może tego esesmana faktycznie zabił ktoś z miasteczka albo pobliskiej wsi? Nie chce Niemców prowokować do zemsty, więc przygotował taką dziwną broń i zabija ich tak, żeby wyglądało na atak zwierzęcia? A może i coś jest na rzeczy.

– Strzyga?

– Oby nie.

Sławka zmroziła ta odpowiedź. Wyglądało na to, że ojciec zupełnie poważnie dopuszcza taką możliwość...

*

Zbliżał się już marzec, lecz zima nie odpuszczała. Ojciec miał dużo pracy, Sławek dorabiał w garbarni, czasem trzy dni w tygodniu, czasem pięć. Kilka razy udało się nawet kumpla wkręcić. Nowy pracownik spodobał się niemieckiemu zarządcy, ale co z tego, skoro dostawy surowca były nieregularne i obaj chłopcy nie mieli szans na stałe zatrudnienie. Jednak dodatkowe parę gorszy bardzo się w obu domach przydało. Wreszcie przyszła odwilż. W sobotę rankiem chłopak zapakował plecak wiktuałów i ruszył do lasu. Na polach znów dokuczył mu wiatr.

Maszerował naprzód, patrzył pod nogi. Niespełna trzydzieści lat temu rozegrała się tu bitwa. Od południa nadeszły jednostki pruskie. Rosjanie trzeźwo ocenili, że w miasteczku zbudowanym głównie z drewna nie ma sensu stawiać oporu nowoczesnej armii. Okopali się na wzgórzach i w lesie na północ od osiedla. Atakujących okładali ogniem szrapneli i kulami z karabinów maszynowych. Osada spłonęła, kościół też poważnie ucierpiał. Ale i tamci byli dobrze wyposażeni. Zaścielili pola trupami i rannymi, jednak po dwunastu dniach ataków przełamali opór. Jeszcze kilka dni broniło się refugium – wzgórze w lesie, które Rosjanie przygotowali jako ostatni punkt oporu.

Do dziś ziemia przy każdej orce wyrzucała pamiątki tamtego starcia. W bruzdach wyraźnie odznaczały się szare kuleczki – ołowiane „lotki” szrapneli. Czasem zieleniała łuska albo guzik z wojskowej kurtki mundurowej. Gdy Sławek był mały, znalazł tu dwie klamry do pasów, jedną z carskim orłem, drugą z koroną. Teraz też patrzył pod nogi. Znalazł guzik z dwugłowym orłem, po chwili jeszcze drugi. Marzyła mu się carska piątka albo austriacka dziesięciokoronówka. W końcu w takiej bitwie żołnierze przebiegają po kilka metrów i padają. Czołgają się chwilę i znów zrywają na nogi. Komuś mogło się coś wysypać z kieszeni.

Wreszcie dotarł na skraj lasu. Usiadł na pniu i chwilę odpoczywał. Nie był

właściwie zmęczony, po prostu odwlekał chwilę, zanim zagłębi się między drzewa. Na polach dwie sarny skubały jakieś zeszłoroczne badyle. Słońce nawet trochę grzało.

– Nie ma się co rozsiadać – mruknął.

Wszedł między drzewa. Las był cichy, ciemny, straszny. Sławek przeskoczył stary okop. Rozglądał się za wspomnianymi przez ojca stanowiskami artylerii. Powinny być tu prostokątne zagłębienia, oszańcowane, skierowane na południe. Ale nie wypatrzył nic takiego. Jeszcze kilometr i dotarł do cmentarzyka. Przeżegnał się. Teraz kawałek ścieżką, kapliczka... Podchodził ostrożnie. Już widział konary. Nagle coś mu mignęło obok wielkiego drzewa. Ktoś spieszenie skrył się za jałowcami. Poznał brązowo-popielatą jesionkę przyjaciela.

– Fryderyk! – zawołał ucieszony.

Nie! To nie był on. Jakaś... dziewczyna? Chyba go spostrzegła albo usłyszała, bo rzuciła się głębiej między krzaki.

– Hej! Zaczekaj proszę! – zawołał. – Nie bój się. Jestem przyjacielem Fryderyka! To ja dostarczam rzeczy, które zamawiacie! – Zdjął plecak i trzymał go w wyciągniętej ręce, jakby na dowód, że mówi prawdę.

Zatrzymała się, obejrzała. Sławek był raczej drobny, jak na swoje niemal piętnaście lat, nawet z siekierką zatknietą za pas nie wyglądał groźnie. Zawahała się, ale wreszcie ruszyła w jego stronę. Faktycznie dziewczyna, a może raczej już kobieta? Jej twarz wydała mu się znajoma. Wyglądała źle. Była bardzo blada, rysy miała jakby obrzęknięte. Także włosy straciły połysk. Zarazem widział, że wyszczotkowała je i zaplotła ładnie w warkocz. Faktycznie, miała na sobie grubą wełnianą jesionkę Fryderyka. Spódnica była sprana, ale w miarę czysta. Podobnie jak szal, którym nakryła głowę i ramiona. Poprawiła okulary o grubych mocnych szklach i wtedy nagle ją poznał.

– Ja cię... eee... ja panią znam – rzucił odkrywczo. – Pracowała pani u starego Bergera! Jak przywieźliśmy zboże, pokazywała nam pani, gdzie stanąć furą.

Kiwnęła spokojnie głową.

– Co z Fryderykiem? – zapytał. – To jego skrytka.

– Nie żyje – posmutniała.

Poczuł, jakby dostał obuchem w głowę. Długą chwilę milczał. Od wybuchu wojny stracił niejednego przyjaciela, ale Fryderyk był kimś więcej niż zwykłym kumplem. Drużynowy był trochę jak starszy brat, mentor, przewodnik. I mieli przecież plany, by po wojnie popłynąć kajakiem aż do ujścia Wisły. I rozmyślali o założeniu spółdzielni harcerskiej. I jeszcze... Otarł łzę, która pojawiła się w kącie oka.

– A jego ojciec, pan Stefan? Kierownik szkoły? Wie coś pani o nim? – z trudem zapanował nad głosem.

– Chyba nie powinnam o tym mówić... – zaczęła. – Spotkałam go tylko raz, jesienią. Nie wiem, czy jeszcze żyje, czy zawędruje znów w nasze okolice, ani kiedy.

– Ludzie gadają, że jest w partyzantce. I chyba faktycznie, bo szwaby listy gończe rozlepili i za jego głowę wyznaczono ogromną nagrodę. Gdyby się pojawił, proszę go ostrzec.

Kiwnęła głową. Zakasłała.

Suchy, „psi” kaszel, ocenił. Siedzi w kryjówce. Ojciec wspomniał, że to dobrze zamaskowany schron, pod ziemią. Życie w piwnicy czy w ziemiance nie jest zdrowe. Ona wychodzi pewnie sporadycznie i raczej nocami. Dlatego taka błąda. Oddycha wilgotnym, zatęchłym powietrzem, z tego mogą się rozwijać suchoty i inne choroby, nie mniej poważne. Człowiek nie powinien żyć w norze. Człowiek nie powinien żyć w lesie. Do tego wszystkiego jeszcze strach i głód... Milczeli, dwójka w zasadzie obcych sobie ludzi. Przemógł się pierwszy.

– Dostarczałem Fryderykowi wszystko, co zamówił. Oczywiście pani też dostarczę. Proszę tylko pisać na kartce, co potrzeba. Często tu nie mogę zajrzeć, ale tak raz na dwa, trzy tygodnie podejść. Jeśli pani...

Uśmiechnęła się blado.

– Mów mi, proszę, po imieniu. Nie jestem przecież dużo starsza.

– Eee... Rachela? – przypomniał sobie.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Ja jestem... – zaczął, ale uciszyła go gestem.

– Nie mów – powiedziała. – Ani imienia, ani nazwiska. Im mniej o sobie wiemy, tym lepiej. Chyba nie powinniśmy się spotykać.

Przechylił głowę w niemym pytaniu.

– Nie jestem silna. Bardzo boję się bólu. Jeśli Niemcy mnie złapią, będą torturować, żebym powiedziała, kto mi pomagał – wyjaśniła. – Zawsze tak robią. Lepiej, żebym nie zapamiętała twojej twarzy, żebym nie znała twojego imienia... – mówiła ładnie, „po miastowemu”, bez żydowskiego akcentu czy kresowego zaśpiewu.

Jak spikerka w radio, pomyślał.

Słyszał od ludzi, że przyjechała do miasteczka aż z Warszawy, ojciec wspomniał, że to sierota z przytułku tego słynnego pisarza, doktora Korczaka.

– No rzeczywiście, tak chyba będzie lepiej – przyznał. – Pisz, proszę, czego potrzeba, i zostawiaj kartkę w skrytce. Co tylko dam radę zdobyć, dostarczę.

– Dziękuję. Apteka w miasteczku jeszcze funkcjonuje?

– Tak. Tylko z zaopatrzeniem w leki, rzekłbym, nienadzwyczajnie.

– Fatalnie. Trzeci tydzień nie mogę pozbyć się kaszlu – wyjaśniła. – Nie pluje krwią, ale nie wiem, co to za draństwo. Muszę się jakoś wykurować. Napar z lipy piję, ale aspiryna mi się kończy. Zimne leśne powietrze też powinno pomóc, ale nie widzę poprawy. To wszystko może być za mało. W domu sierot u doktora Korczaka, jak kiedyś tak miałam, podawali mi

przez miesiąc salwarsan i hematogen. Wtedy pomogło. Boję się – powiedziała bezradnym tonem. – Rady dla gruźlików przed wojną były takie: jedź w góry, dobrze się odżywiaj, pij żętycę, unikaj przemarznięcia i przemoczenia, a wtedy jest szansa, że organizm przezwycięży chorobę. A ja boję się palić w piecyku, bo ktoś może poczuć dym. Nafty nam mało. Siedzę w wilgotnej norze pod ziemią. Tyle dobrze, że dzięki pomocy przyjaciół nie chodzę głodna.

– Zapisz mi nazwy leków, postaram się je kupić. Wojna się skończy, może wtedy pojedziesz do sanatorium? – zasugerował.

– Czasem myślę, że wojna nie skończy się nigdy. Że Hitler dojdzie aż na Syberię, że tu już zawsze będzie Rzesza. Wykończą Żydów, wykończą was... Jak wtedy przetrwać samotnie w lesie, gdy wokoło będą już tylko oni?

– Niemcy wzięli straszliwe baty pod Stalingradem i utknęli pod Moskwą – powiedział. – Leningradu nie mogą zdobyć, choć oblężenie trwa już wiele miesięcy. Z ich gazet oczywiście wynika, że bohatersko prą do przodu, walcząc z bolszewikami, ale mój ojciec mówi, że skoro żądają od nas dostaw nie tylko złomu i metali kolorowych, ale nawet szmat i stłuczki szklanej, to znaczy, że ich gospodarka kompletnie już robi bokami, a koniec wojny jest blisko. Trzeba przecierpieć jeszcze może kilka lat i Hitlera diabli wezmą.

– Chyba że znów się dogada ze Stalinem – westchnęła. – Wojna kosztuje obydwie strony. Nie macie jakichś konkretnych informacji?

– Gazety przyniosłem, ale są diabła warte, bo niemieckie. Pewnie niektórzy mieszkańcy miasteczka mają radia, ale za to jest obóz koncentracyjny, więc nawet jak ktoś potajemnie przechowuje odbiornik i słucha audycji z Anglii, to nikomu nie piśnie ani słowa.

Nie wspomniał, że ojciec na strychu sąsiedniej opuszczonej chaty pod oblużowaną deską też trzyma małe radjko kryształkowe. Po prawdzie niewiele dało się na nim usłyszeć. Gdy rozciągali kawał drutu wzdłuż kalenicy, łapali sowieckie stacje. Ale ich przekaz był jedynie propagandowym bełkotem. Armia Czerwona miała dzień w dzień gromić faszystów, ale brakowało w tym konkretów. Gdy czasem padała nazwa jakiejś miejscowości, szukali jej w atlasie. Niektóre leżały nieomal pod

Moskwą. Audycje nadawane przez rząd londyński łapali znacznie rzadziej i też niewiele z nich wynikało.

– Czy wiesz może, co się stało z Żydami z miasteczka? – Widać było, że to pytanie przyszło jej z trudem.

– Kurtz mówił, że pojechali do getta w Chełmie, a potem będą przesiedlani do środkowej Rosji, do prac w polu. Ale znajomi, którzy wrócili z miasta, mówili jesienią, że getta już prawie nie ma. Że Niemcy wszystkich wywieźli, ale nie na wschód, a gdzieś na północ. Zostało tylko trochę rzemieślników, a oni z kolei byli przesiedlani do obozu na obrzeżach miasta... Ci nasi Żydzi, z miasteczka, podobno od razu trafili na stację przeładunkową przy Rampie Brzeskiej, a co potem, nie wie nikt. Chociaż – zniżył głos – mówi się, że z tą Rosją to kłamstwo. Podobno jest wielki obóz w lasach, blisko Włodawy. Nikt żywy stamtąd już nie wychodzi, tylko gdy wiatr zawieje w stronę wiosek, czuć smród tysięcy palonych ciał... Z tego, co wiem, z wywiezionych nikt nie zdołał uciec i nie wrócił w nasze strony. Chyba że się ukrywa. To też możliwe. Namnożyło się donosicieli, jak ktoś komuś pomaga, to na pewno się tym nie chwali.

– Zeszłego roku widziałam w lesie miejsce, gdzie ktoś obozował. Ale najwyraźniej Niemcy go dopadli. Śniła mi się też Bergerowa, powiedziała, że już nie żyją... Zmierzcha się pomału. – Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.
– Miło spotkać kogokolwiek i pogadać, ale pora się żegnać...

– Przykro mi, że nie mogłem przynieść żadnych dobrych wieści. Na mnie też już pora. Mówią, że ten las to złe miejsce. I wilki ostatnio znów się pojawiły w naszej okolicy. Lepiej po ciemku tu nie chodzić. Pewnie się już nie spotkamy, ale zaopatrzenie będę przynosił.

– Dziękuję. Będzie możliwość, to się po wojnie jakoś odwzięczę. Uważaj na siebie.

Kiwnął głową. Schował kartkę z nazwami leków i pożegnali się. Przez chwilę patrzył, jak dziewczyna znika między drzewami, zakutana w jesionkę i szal. Nawet teraz, wychudzona i w zszarganym odzieniu, wydała mu się jakaś elegancka.

Panienka z miasta, pomyślał. Ulepiona trochę z innej gliny, ale fajna dziewczyna. I ładna. Gdyby była kilka lat młodsza... albo ja kilka lat starszy. Ot, tak w wieku Fryderyka. Ukrywali się razem. Może chociaż przed śmiercią drużynowy przeżył płomienny romans? E, to chyba niemożliwe. Zganił się za idiotyczne myśli.

Przypomniawszy sobie, jak przed wojną spotkał ją kiedyś w cukierni. Siedziały z Esterą, córką Bergera. Wystrojone wyglądały jak z żurnala, niczym dwie młode eleganki z dużego miasta, nie jak pani i służąca. I Kaśka, ta blondyna, służąca od aptekarza, siedziała z nimi. Uśmiechnął się mimowolnie na to wspomnienie. A potem zacisnął ze złością wargi. Przedwojenny świat... Nie minęły nawet cztery lata, a wszystko się zmieniło. Nie ma cukierni. Nie ma lodów. Nie ma Estery. Nie ma Ajzyka ani Miriam. Nie ma jarmarków. W środy miasteczka nie budzi gwar targu. Nie słychać nawoływań w jidysz. Nie ma kupców, sklepikarzy, szewców. Zabrakło tego wszystkiego, co wyznaczało puls przedwojennego życia.

Jakby po wiosnie nagle przyszła zima, pomyślał. Przymrozek ścinający wyklaszające się już zboże.

Ruszył leśnym duktem, potem wyszedł na drogę przez pola. Gdy tylko drzewa pozostały z tyłu, od razu poczuł ulgę, jakby spadł mu z piersi ciężar. Dziewczyna nie myliła się. Słońce stało już nisko. Wiatr przetaczał po niebie wał ciemnych chmur.

Sławek ruszył przez błoto. Nie uszedł daleko, gdy nadciągnęła zadymka. Wszystko utonęło w białych płatkach. Ale znał drogę przez pola, nie sposób było zabłądzić nawet wtedy, gdy widział cokolwiek najwyżej na parę kroków. Śnieg był mokry, wielkie płatki osiadały na ubraniu. Nie strącał ich.

To jak naturalny kamuflaż, pokpiwał w myślach.

Do miasteczka przedostał się bez przygód. Obok zamkniętej szkoły spotkał Pawła, kolegę z klasy. Śnieg tajał mu na ramionach i starym dziurawym parasolu. Wpadli na siebie niczym dwa śnieżne bałwany, ledwo się rozpoznali. Przywitali się mocnym męskim uściskiem. Obaj mieli szorstkie, spracowane dłonie. Dłonie nie chłopców, ale dorosłych ludzi... Zaszli na ganek, by choć chwilę pogadać. Przyjaciel wracał znad rzeczki, niósł

w drucianym koszyku garść marnych rybek. Przez ramię przerzucił wierszę, wyplecioną z leszczynowych witek. Dlaczego nie zastawił jej ponownie? Stracił nadzieję, że coś zdoła złapać?

– Nieszczególnie udany ten połów – zauważył Sławek.

– Szkoda gadać, od miesiący nie było tak źle – westchnął kolega. – Tu nigdy nie było dużo ryb, a teraz to już kompletna bryndza. Leszczy jak na lekarstwo, płotki pojawiają się rzadko. Co, mamy cierniki jeść i żaby? Za dużo ludzi łowi – dodał po chwili. – Narąbali przerębli, w życiu tyłu nie widziałem. No i widać przetrzebili. Tyle dobrze, że mamy kawałek pola, tam zawsze coś wyrośnie. Zima się skończy, to można naciąć na miedzy trawy dla królików. Lasy wokoło... Ci w miastach mają gorzej. Co u ciebie?

W pierwszej chwili Sławek chciał powiedzieć o śmierci drużynowego, ale zmilczał. Po pierwsze, musiałby wymyślić jakieś łgarstwo, żeby ukryć źródło informacji. Po drugie, nie chciał dobijać kumpla kolejną złą wieścią.

– Stara bieda. Tyle dobrze, że ojciec w garbarni pracuje, ja czasem pomagam. Jest z tego jakiś marny grosz, ale Niemcy bardzo potrzebują skór, więc dają też i talony do sklepu. Bez tego naprawdę cienko byśmy przędli – westchnął.

– Stryjek nie pomaga?

– O tyle, o ile. Czasem obcy ludzie więcej nam dają niż rodzina. Ostrzy sobie zęby na naszą ziemię, na razie spisana umowa o dzierżawie.

– Bywa i tak. On raczej z takich, co to lubią drzeć pod siebie. Sołtys... daje sobie radę jakoś? Bez nogi trudno żyć.

– Twardo drepta o kuli. Ale zawsze był wesoły, a teraz spowaźniał.

– Nikomu dziś nie jest do śmiechu. Wojna się skończy, zobaczysz, dostanie twój tato robotę w gminie, może i wójtem go zrobią. To łebski człowiek, jeden z najmądrzejszych, jakich znam. Jeszcze wasze będzie na wierzchu.

– Może i tak.

– Słyszałeś o tym nowym zarządzeniu? – Paweł zmienił temat.

– Nie bardzo... Chyba nie.

– Podobno mamy znów zbierać złom, makulaturę i inne takie, ale obowiązkowe kontyngenty podnoszą i będą teraz nałożone na wszystkich. Od gospodarstwa co miesiąc. W Chełmie już to ogłosili, wujek mi mówił, jak z miasta wrócił. I jeszcze ponoć ma być kontraktowana uprawa ziół leczniczych, tak jak z tytoniem.

– Co rusz coś wymyślają sukinsyny...

– A, i jeszcze wujek mi mówił, że w gminie jest jakiś plan z nadleśnictwa, będą cięli wzdłuż dróg sosnę na słupy czy na coś. Może robota będzie też dla nas?

– Przy ścinie?

– Gdzie by tam takich łebków wzięli do ścinki, ale może korowanie pni czy coś? Jakbym wiedział, dam ci zaraz znać.

– Dziękuję, zawsze można na ciebie liczyć. Jakby w garbarni potrzebowali pomocy, to też ci powiem. Ale na razie nie zanosi się. Zwierzęta wywożą do Rzeszy, bardzo niewiele szlachtują tutaj.

– Trzeba sobie pomagać. Wy nam przecież nieraz przed wojną rękę podaliście. Pamiętamy.

– Wujek mówił coś o Żydach?

– Nie, nie wspominał. Tyle wiem, że getta już nie ma. Wszystkich wywieźli i mówi się, że już po nich. Część domów powalona, część Niemcy podobno mają sprzedawać. O Ajzyku myślisz? Chyba już po nim. – Paweł westchnął.

– Chyba że w obozie go do czegoś zatrudnili. Na szewca się uczył po lekcjach u rzemieślników w rynku. Kto wie. Da Bóg, może przeżyje i wróci.

Sądząc po minie, sam w to nie wierzył.

– Gadają też, że za Alojzowem partyzanci rozstrzelali jednego gospodarza. Ponoć ukrywał Żydów za pieniądze w stodole, a jak nie mieli już czym

płacić, wydał Niemcom.

– To prawda?

– Tak gadają, ale chyba nie. Raz, że Niemcy by mu tak łatwo nie wybaczyli. Dwa, że złapanych Żydów na pewno by na postrach rozstrzelali pośrodku wsi. Ale coś tam miał na sumieniu, skoro od leśnych kulkę zarobił. U nas pewnie też są partyzanci... – zadumał się Paweł.

– Dlaczego tak przypuszczasz? – zdziwił się Sławek. – Lasy mamy takie sobie. A zaraz za nimi pola i wioski.

– Toż jasne, że nie siedzą w lasach, tylko udają zwykłych chłopów. Ale tak myślę, że konspiracja działa i że karabinów trochę też mają ukrytych. Przyjdzie czas, to się odezwą...

– Kto wie? Boję się jednego. Że te karabiny odezwą się, gdy Niemcy zaczną nas wywozić na śmierć jak Żydów. Bo mi się tak wydaje, że jak się już z nimi do końca rozprawią, będziemy następni.

Pożegnali się i Sławek ruszył w stronę domu. Zastanawiał się nad słowami przyjaciela. Czy w miasteczku jest konspiracja? Zaraz na początku wojny kilkanaście osób rozstrzelano, innych aresztowano i już nie wrócili. Czyli ktoś coś organizował. A przynajmniej próbował. Czy ludzie dali się całkiem zastraszyć? Niektórzy pewnie tak, ale wielu tylko zacięło się w uporze. No cóż, dorośli mieli swoje sekrety. Chłopców, takich jak on, raczej nie wtajemniczali. Ojciec? Bez nogi, z karabinem nie dałby rady biegać. Ale znał niemiecki, z pewnością mógłby być dla hipotetycznej organizacji bardzo użyteczny.

Nie będę go pytał, postanowił. Zechce, to mnie wtajemniczy. Mam swoje poniekąd konspiracyjne zadanie: muszę zdobyć leki i żywność dla Racheli. I nie mówić matce, dokąd chodzę i po co. Czasy takie, że lepiej wiedzieć jak najmniej...

Naraz złapał się na tym, że nawet zamyślony co chwila przystaje i trwożliwie rozgląda się wokoło. Zadymka już się kończyła.

Jestem jak dzikie zwierzę w lesie, pomyślał. Wypatruję zewsząd zagrożenia. We własnym miasteczku. Jakbym był obcy na własnej ziemi. Do tego nas ścierwa doprowadzili...

Echa rozmowy ciągle tłukły mu się pod czaszką.

– Będziemy następni – powtórzył półgłosem.

Jeden ze znajomych ojca wspominał o fali wysiedleń na pobliskiej Zamojszczyźnie. Partyzanci robili tam, co mogli. Palili urzędy gminne, niszcząc listy ludzi przeznaczonych do wywózki. Zabijali członków komisji przesiedleńczych. Walczyli z oddziałami pacyfikacyjnymi. Wyrzynali też, gdy tylko mogli, niemieckich kolonistów. Hitlerowcy nie spodziewali się takiej skali oporu, spacyfikowali wiele wsi, ale potem odpuścili. Jednak co będzie dalej? Zapewne nic dobrego.

Zatrzymał się na chwilę przed „dworem” Bergera. Westchnął. Budynek strasznie zniszczyli szabrownicy. Przez pierwsze tygodnie po wywózce buszowali tam w poszukiwaniu złota Kurtz ze swoimi ludźmi. Potem ruszyli do akcji inni. Ale chyba niczego nie znaleziono, a w każdym razie nikt się łupem nie pochwalił.

Bergerowie mieli dużo pieniędzy, pomyślał Sławek. Rzeczywiście mogli to gdzieś zakopać czy zamurować. Albo część zabrali ze sobą, a resztę ukryli? Tak też mogło być. Gdzie to schowali?

A może Rachela wie? Zaufana służąca. Zaraz w trzydziestym dziewiątym wszystkich zwolnili, ale ona została. Chyba jakoś tuż przed deportacją uciekła. Nie, raczej nie wie. A nawet jeśli, ma za zadanie zachować to w tajemnicy. Jeśli państwo nie wróca, dopiero może pomyśleć, co dalej. Teraz z pewnością wiąże ją przysięga.

Westchnął znowu, patrząc na ruderę.

Berger... Po śmierci córki podobno zapadł w katatonię. Jego żona umiała głównie liczyć pieniądze. Jeśli trafili do getta czy obozu, ich los był przesądzony. Zbyt starzy do pracy i bez umiejętności, które hitlerowcy cenili. Rozmawiając z Rachelą, wołał nie podawać zbyt wielu szczegółów, ale

wieści, które dotarły od ludzi zamieszkujących obrzeża sobiborskich lasów, były raczej jednoznaczne. Pociągi w jedną stronę jechały pełne ludzi, wracały po pewnym czasie puste. Nie zauważono, by ktokolwiek dowoził tam żywność. A woń palonych zwłok trudno pomylić z czymkolwiek. Poczuł, że zbyt długo stoi na widoku z wiązką trefnego chrustu na plecach. Ruszył dalej szybkim krokiem.

A może odszukać polanę niedaleko kapliczki, gdzie było obozowisko powstańców? Myśl o złocie wróciła, chociaż teraz nie dotyczyła Bergerów. Gdyby pomacać trochę ziemię drutem? A może będzie jakiś ślad po ziemiankach? Wiedziałbym wtedy, gdzie kopać. Może znalazłoby się coś cennego? Taki oddział mógł mieć własną kasę. W powstaniu walczyło wielu szlachciców.

Wyobraził sobie, jak wykopuje na leśnej polance masywną złotą tabakierkę albo papierośnicę. Gdyby znaleźć coś takiego... Rozmarzył się, ale zaraz wzruszył ramionami. Próżne nadzieje. Rosjanie z pewnością ograbili zwłoki, przeryli teren kryjówek i przetrząsnęli, co się dało.

Gdybym tak znalazł chociaż kilka carskich piątek albo podobnych monetek, wrócił jednak do myśli o skarbach. Po wojnie trzeba będzie kupić konika. Bez chudoby to żadna gospodarka. Z drugiej strony, jak wejdą tu ruskie i przyłączą nas do Sowdeprii, to nie będzie żadnej gospodarki, tylko kołchoz.

Przed wojną znajomi ojca opowiadali o tym, jak na Wołyniu przedzierają się uciekinierzy z sowieckiego „raju”. Wieści, jakie przynosili, były potworne... Głód zabijający całe wioski, nędza, masowe aresztowania Polaków na terenie autonomicznych polskich okręgów – Marchlewszczyzny i Dzierżowszczyzny. Po uderzeniu Niemców na ZSRR napłynęło trochę przesiedleńców z Kresów. Poznali wówczas pełne grozy dzieje masowych wywózek Polaków, którzy zamieszkiwali ziemie zagarnięte przez Stalina.

Tkwimy między młotem a kowadłem. Jak nie jedni, to drudzy... „Będziemy następni” – słowa tłukły mu się w głowie, jakby powtarzało je jakieś złośliwe echo. Porzucić swoją ziemię? Uciekać? Jak niby? I co więcej: dokąd?

*

Matka kręciła się po domu, Sławek nie mógł rozmówić się z ojcem na osobności. Ale były sołtys bezbłędnie wyczuł sytuację. Zarządził obchód gospodarstwa.

– No to opowiadaj – polecił, gdy tylko znaleźli się w oborze.

– Fryderyk nie żyje, jego ojciec się ukrywa. Skrytkę przejęła dziewczyna o imieniu Rachela. Znasz ją.

– Rachela? Znam...? A, już wiem, służąca od Bergerów?

– Tak.

– Taka mała, niebrzydka, z zadartym noskiem i w okularach. Z warkoczem. Z Warszawy przyjechała, przygarnęli ją do pracy z domu sierot Korczaka. Miła taka.

– No już nie taka mała...

– No rzeczywiście, jak do nas przyjechała, była po siódmej klasie, to teraz będzie miała z osiemnaście albo i dwadzieścia lat. Myślałem, że ją szwabcy zgarnęli razem z resztą. Uratowała się, to doskonale. Raz na dwa, trzy tygodnie dostarczymy zaopatrzenie, jak wcześniej Fryderykowi. Matce ani słowa, dość ma zmartwień.

– Dziewczyna potrzebuje lekarstw. Zapisała mi na kartce.

Wygrzebał papier z kieszeni.

– Pokaż... Aspiryna – odczytał w świetle świeczki ojciec. – Salwarsan. Oj, o to będzie ciężko. Zapytam felczera, ale szczerze powiedziawszy, wątpię, by

udało się to szybko zdobyć. Najwyżej dostarczysz następnym razem.

– A co to takiego? – zaciekawił się chłopak.

– Bardzo silny środek, stosowany przeciw najpoważniejszym zakażeniom bakteryjnym – wyjaśnił ojciec. – Teoretycznie używa się go przeciw pewnym wstydliwym chorobom, które przytrafiają się dziwkarzom.

– Ktoś ją zgwałcił i zaraził?! – wzdrygnął się chłopak.

– To całkiem prawdopodobne w obecnych parszywych czasach. Ale niekoniecznie musiało tak być. Niektórzy lekarze próbują to stosować przeciw gruźlicy.

– A rzeczywiście, mówiła, że jej to dawali u Korczaka z hematogenem razem. Profilaktycznie albo jakoś tak. Przez miesiąc – przypomniał sobie.

– Jest jeszcze na liście terpentyna – powiedział ojciec. – O to już łatwiej. Osiem buteleczek.

– Po co terpentyna? – zastanowił się. – I to aż tyle?

– Zapewne do nacierania piersi na noc. Ale jest też drugie zastosowanie. Jeśli weźmiesz trochę na gałganek, przetrzesz buty i skropisz nogawki spodni, pies straci trop. Dziewczyna ukrywa się w lesie i gdy czasem wychodzi z kryjówki, musi zabezpieczać się przed psami. Jeśli siedzi w ziemiance... – Zadumał się i nie dokończył myśli. – Hematogen? Oj, od dawna go już nie widziałem. Zapytasz jutro w aptecce. Aspiryna jest do zdobycia od ręki, ale tylko ta nasza. Daleko jej do przedwojennej, ale działa.

Apteka w miasteczku od początku wojny zaopatrzona była marnie. Stary aptekarz wyciągnął receptariusze pamiętające jeszcze carskie czasy, popołudniami chodził po łąkach, lasach i polach, szukając ziół leczniczych, a nocami w małym laboratorium na zapleczu dokonywał ich maceracji, ewaporacji, sublimacji i ekstrakcji, pozyskując rozmaite substancje przydatne do produkcji choćby podstawowych leków. Gdy Sławek zimą chorował, ojciec przyniósł od aptekarza aspirynę. Farmaceuta pozyskał ją z kory wierzbowej. W polowych warunkach nie zdołał jej dokładnie oczyścić, była

jasnobrązowa, a nie biała i miała upiornie gorzki posmak. Ale działała jak „sklepowa”. Wywołała zlewne poty i w dwa dni postawiła chłopaka na nogi.

*

Sławek leżał na swoim pościeli. Żar rzucał słaby poblask do popielnika. W izbie panował półmrok. Okiennice zostały na noc zamknięte. Drzwi pokoju też zabezpieczali belką. W zasięgu ręki leżały siekiery i widły. Gdyby ktoś ich napadł, będą stawiać zaciekle opór przynajmniej tak długo, żeby matka z mniejszymi dziećmi znikła w kłapie prowadzącej do bunkra wykopanego pod chatą. Nikłe światło odbijało się w szkłe świętych obrazów. Matka Boża Częstochowska, Matka Boża Lewiczyńska, Matka Boża Chełmska... Na drugiej ścianie złożyły się prastare, spękane i poczerniałe ikony świętego Onufrego i Matki Bożej Kazańskiej, uratowane przez dziadka, gdy w trzydziestym ósmym burzono cerkiewkę.

Chłopak nawet już nie pamiętał, ile różańców przed nimi odmówił. Najpierw prosił, żeby ojciec wrócił do domu. Potem, żeby bliźniaki zdrowo przyszły na świat. I wreszcie, żeby było im wszystkim dane przetrwać wojnę. Jak na razie modlitwy pomagały.

Ojciec poświstywał przez sen. Gdzieś daleko zawył pies. Zawtórował mu drugi. Chłopak przypominał sobie przedwojenne czasy. Zajechali ze zbożem na dziedziniec dworu Bergera. Rachela... Najlepiej zapamiętał jej piękny warkocz. Wskazała im miejsce, gdzie mają stanąć. Ważna, pobrękująca kluczami, ale zarazem miła, uczynna, życzliwa i uśmiechnięta. Zaraz przyszli dwaj młodzi, dobrze zbudowani Żydzi, pracownicy kupca. Razem z ojcem Sławka łapali ciężkie worki z pszenicą i kładli w stos na wagę. Zmachali się przy tym i spocili, a ona już stała obok z wiadrem wody dla konia. Zaraz też nadeszła Estera, córka gospodarza, z emaliowanym dzbankiem piwa

i kubkami. Połała mężczyznom i zajęła się odważnikami. Patrzył na nie obie okiem dorastającego chłopca, który przekracza granicę między dzieciństwem a młodością i właśnie odkrywa, że przyjemnie jest choć popatrzeć na ładne dziewczyny.

Wojna... Parszywa wojna. Wiedział, że Esterę zamordowali jeszcze w czterdziestym albo czterdziestym pierwszym roku. I nie ją jedną. Niemcy i folksdojczy Kurtza niejedną noc spędzili, gwałcąc i rabując. Stary Berger potem zwariował. Wreszcie wszystkich Żydów wywieziono. Mieszkańcy już wtedy przeczuwali, że pojechali na śmierć. Zniknął Ajzyk i zniknęła Miriam. Zniknął pachciarz Szulc i meszugene Icek nosiwoda. I Edelberg, u którego ojciec kupował gwoździe. I tylu innych... Szewca Majzla zastrzelili w jego warsztacie. Szył but i podobno nawet z lufą przystawioną do głowy nie chciał przerwać pracy. Była w tym jakaś zagadka, mówiono, że szkop, który go zastrzelił, nie wiadomo po co pozbierał narzędzia ze stołu.

Ale Racheli nie zabijecie, wy gnidy. Zacisnął zęby i pięści.

Co dziewczyna robi w tej chwili? Na pewno śpi, jest przecież środek nocy. Ukryta w jakiejś norze, zakutana w koce... Ciekawe, jak wygląda taka kryjówka. Może to ta sama, którą ojciec pomagał budować zaraz przed wojną?

Pamiętał, że jakoś rok wcześniej Fryderyk pojechał na lato odbyć kurs przysposobienia wojskowego. Wrócił z odznaką wpiętą obok krzyża harcerek. Pokazywał im notatki, rysunki. Zabezpieczenie studni, budowa schronów i szczelin przeciwlotniczych. Tłumaczył, co robić w razie ataku gazowego. Jak walczyć z pożarem. Jak kryć się podczas ostrzału artyleryjskiego i bombardowania. Wszystko to było bardzo ciekawe, ale nikt nie sądził, że te informacje mogą okazać się naprawdę przydatne. Dzieciarnia postrzegała wojnę jak przygodę, która z racji wieku ją ominie. Dorośli podchodzili do problemu trochę bardziej realistycznie. Ale tak po prawdzie, jedni nie wierzyli w wybuch wojny, inni ufali liczebności i sile polskiej armii.

Najwięcej realizmu w ocenie sytuacji wykazali drużynowy i jego ojciec – kierownik szkoły. Przygotowali się na najgorszy możliwy scenariusz. Na konieczność nagłej ucieczki, ukrywania się w lesie, na długotrwałą i ciężką

okupację. Przygotowali wszystko metodycznie. Kryjówkę, schowki rezerwowe, zgromadzili zapas żywności, ustalili punkty kontaktowe.

Z pewnością zbudowali solidny i bezpieczny schron, pomyślał Sławek. Fryderyk znał się na tym. Co mu się przytrafiło? Jak to się stało? Powiedziała tylko, że nie żyje... Zapewne jeszcze jesienią dopadli go Kurtz i jego ludzie albo leśniczy Kurzydło. A może ją ratował i dlatego zginął? Mogło tak być, że ich ścigali i został, żeby osłaniać jej ucieczkę. Tak, to do niego podobne. Albo zrobił zamach na leśniczego i powinęła mu się noga.

Muszę ją dokładniej wypytać, postanowił. O ile się jeszcze spotkamy. Chyba lepiej nie kusić losu. Byle tylko było jej ciepło. To teraz najważniejsze. Chorobę trzeba wygrzać. Otwartego ognia nie może palić, bo ktoś mógłby poczuć dym. Nafta jest bezpieczniejsza. A najlepsze świece, tylko żeby ogrzać kryjówkę świecami, trzeba by ich palić ogromne ilości. Ale z drugiej strony, nikt przecież nie chodzi nocą po lesie. To nawet dobrze, że ludzie sądzą, iż to złe miejsce i lepiej się tam nie zapuszczać, rozważał. Gorzej, jeśli to nie są zabobony i faktycznie tam straszy. Mógłbym iść do stryja w odwiedzin, babcia zna masę strasznych historii. Mogłaby opowiedzieć mi, jak to było z tym Czarnym Dworkiem, pamięta przecież...

Wstał, nakrył pledem bliźniaki. Zajrzał, czy nie trzeba dorzucić do pieca. W izbie było ciepło. No, prawie ciepło. Okno mama zasłaniała na noc dodatkowo grubym kocem, żeby nie ciągnęło od szyb. Zresztą, okiennice też dobrze chroniły przed ucieczką ciepła. Układali również szmaty, żeby nie wiało spod drzwi.

Jest mi zimno, ale to chyba tylko wyobraźnia, rozmyślał. Trzęsie mnie, bo wiem, jak jest na zewnątrz, i myślę o dziewczynie, która żyje w znacznie gorszych warunkach. Ale musi tam zostać i próbować jakoś sobie poradzić. Nie możemy jej przecież zabrać tutaj, to sam środek wsi. Gdyby się wydało, Niemcy rozstrzelają wszystkich. A pewnie i sąsiadów. Pomóc możemy jej tylko tam. Trzeba zdobyć naftę, świece, coś, czym można ogrzać kryjówkę, ale co nie dymi... Swoją drogą, jak bardzo ta okupacja przypomina zimą. Życie zamarło, każdy ukrył się w swojej małej ciepłej norze i stara się za wszelką cenę doczekać wiosny. Mróz, taki mocniejszy, budzi w nas zwierzęta. Myślimy, jak się ukryć. I wojna budzi w nas zwierzęta... A z niektórych to wręcz wychodzą wilki, hieny i szakale.

Wracają echa rozmów. Ojciec prognozował, że to Sowieci pobiją Hitlera. Że wermacht rozproszy się po ogromnych obszarach Rosji. Wytraci ludzi i paliwo, ścigając po stepach nieuchwytne konne oddziały kozackie. A potem przyjdzie wielka ofensywa Armii Czerwonej. I znów będzie jak za zaborów, jak za cara, tylko tym razem Rosji przypadnie już cała Polska. Wróciły myśli, które miał, stojąc koło dworu Bergera. Kołchozy, głód, nędza, rusyfikacja, poniewierka. Dziadek opowiadał mu o dawnych czasach, o zwyczajach panujących w carskiej szkole.

Z drugiej strony, w Rosji Żydzi spokojnie sobie żyją, pomyślał. Wystarczy, że Rachela zdoła przetrwać w kryjówce do nadejścia armii ze wschodu. Tylko żeby nikt jej nie znalazł. Ludzie są różni. Nie wiadomo, komu dziś można ufać. Najlepiej nikomu... Nikomu ani słowa, tak samo jak z Fryderykiem. Najlepiej, jeśli ludzie są przekonani, że ktoś umarł. Wtedy nikt nie szuka.

Przewrócił się na drugi bok. Nie mógł zasnąć. Czuł obawę, chodząc do tego lasu, a Rachela musiała tam żyć od kilku miesięcy. I zaraz pomyślał o Niemcu rozszarpanym koło cmentarza. Babka... Opowiadała straszne historie. O duchach, utopcach, wampirach. Mieszała w nich folklor polski, ukraiński, żydowski, tworząc iście piekielne fabuły. Zazwyczaj twierdziła, że to wszystko wydarzyło się w bliższej i dalszej okolicy oraz przytrafiło ludziom, których znała osobiście. Lubowała się przy tym w tragicznych i krwawych zakończeniach. Strzygi żyjące w starych grobach były jej ulubionym tematem. Opowiadała też, jak zło zagnieździło się na uroczysku zwanym Wyręby, o Czarnym Wygonie, o wsi Starzyzna, leżącej gdzieś na południu, która miała zniknąć z powierzchni ziemi wraz z kościołem i proboszczem, nagle i na amen, jak gdyby nigdy jej nie było...

Teraz pewnie opowiada te koszmary moim kuzynom do poduszki, pomyślał i poweselał. I dobrze tak huncwotom. Niech się poszczają ze strachu.

Nie przepadał za stryjecznym rodzeństwem, podobnie jak ojciec nie przepadał za swoim bratem... Ale babcię trzeba odwiedzić, już ze dwa tygodnie do niej nie zachodził.

*

Poranek był jasny i świetlisty. Słońce stało wysoko, ale znów mróz szczypał w policzki. Zima nie odpuszczała.

Przyjdzie w końcu wiosna, rozmyślał Sławek, lejąc z wiaderka karmę dla prosiaków. Wszystko się zazieleni, będzie cieplej, weselej. Może Niemcy dostaną wreszcie solidniejsze baty i zamajaczy nam jakoś koniec tej parszywej wojny? Może szkołę też wreszcie otworzą?

Wyrzucił obornik spod jałówki. Odmeldował się mamie i poszedł do apteki. W miasteczku od kilku dni kwaterowali niemieccy żołnierze. Był to oddział wycofany na odpoczynek z frontu wschodniego. Zajęli kilka pożydowskich domów, które urządzili na swoje potrzeby. Nawet jeśli brak podłóg ich zaskoczył, nie okazali zdumienia, tylko zabrali się do ułożenia ich na nowo. Sławek obserwował ich spod oka, idąc drugą stroną uliczki. Byli inni niż żandarmi zaprowadzający *ordnung* w miasteczku. Widać było po nich zmęczenie walką. Gdy snuli się po osadzie, nie sprawiali wrażenia groźnych. Na ich twarzach malowała się przeważnie ciężka melancholia albo smutek. Czasem wieczorami słyszać było z ich kwater dźwięki akordeonu. Chłopak słyszał, że pili bardzo dużo bimbrowu, i niejeden wioskowy kombinator nieoczekiwanie napchał portfel, korzystając z tej słabości okupanta.

Walczyli z Sowietami na froncie wschodnim, a to jak walczyć z samym diabłem, ocenił. Wzięli tam straszne baty, napatrzyli się na śmierć swoich kamratów i sami cudem uniknęli kulki. Takie doświadczenie zmienia człowieka. A do tego musieli robić rzeczy, do których trudno się przyzwyczaić... Co innego zabijać ludzi w walce, a co innego rozstrzeliwać kobiety i dzieci albo palić białoruskie i ukraińskie wioski. Nawet jak przeżyją wojnę, sumienie ich wcześniej czy później dopadnie. Niektórych pewnie bierze w obroty już teraz.

Minął dwór Bergera. Przystanął na chwilę, a potem przez uchyloną bramę wszedł na dziedziniec. Rozejrzał się. Drzwi i okna znikły. Widocznie komuś to dobro się przydało... Zaglądał do pomieszczeń na parterze. Na prawo od dziedzińca były stajnie, na lewo magazyny. Obecnie walały się tu tylko jakieś śmieci. Wszedł po skrzypiących schodkach na piętro.

W pomieszczeniach, gdzie kiedyś mieszkali pracownicy kupca lub nocowali kontrahenci, poniewierały się tylko resztki połamanych mebli, jakieś potargane gałgany i strzępy papieru. Wszystko, co przydatne, ukradziono. Nie było nawet klamek w tych nielicznych drzwiach, które jeszcze tkwiły we framugach.

To bez sensu, pomyślał. Jedyne, co jeszcze można tu znaleźć, to pluskwy. Wszystko pozostałe rozkradziono. Złoto?

W tynkach ziały dziesiątki dziur. Widać było belkowanie, przybite ukośnie listwy podtrzymujące maty z trzciny. Widocznie szabrownicy opukiwali ściany i w podejrzanych miejscach porozbijali zaprawę. Przeszedł do głównej części domu. Tu także wszystko było kompletnie splądrowane. W pokojach kupiectwa wyrwano kominek, rozmontowano piece kaflowe. Na ścianach widniały ślady wskazujące, że ktoś próbował nawet poodrywać i zabrać wzorzyste tapety. Z parkietu pozostały tylko dwie zapomniane klepki.

Bergerowie już pewnie nie żyją, pomyślał. Ich synowie uciekli do ZSRR. Najcenniejsze rzeczy zabrali Niemcy. Czy mieliśmy prawo zagrabić resztę? Czy wszystko, co stąd wyniesiono, było cudze, czy już niczyje? Mnóstwo mieszkańców żyje biednie. To chyba trochę ich usprawiedliwia... Ale jest w tym coś niegodnego, obrzydliwego. Z drugiej strony ojciec dzięki zebranych pożydowskim narzędziom zrobił buty dla bliźniaków i jeszcze inne przydatne w domu rzeczy. A im to już niepotrzebne. Chyba że ktoś przeżyje i po wojnie wróci, wtedy się odda...

Wyszedł ze zrujnowanego budynku zamyślony i przygnębiony. Przeciął rynek i zaszedł do apteki. Prowizor akurat rozmawiał z Nowakiem, wioskowym handlarzem, prowadzącym drogerię.

– Do niczego to moje mydło – ocenił ze smutkiem sklepikarz. – Sam zobacz, co mi wyszło. Kruszy się, śmierdzi, a jakby tego było mało, zostawia tłusty

ślad na rękach.

Aptekarz oglądał kostkę z wyraźnym frasunkiem.

– Reakcja chemiczna nie zaszła do końca tak, jak powinna. Powiedz, jak je robiłeś?

– Tak jak mój dziadek. Całą zimę po paleniu zbierałem popiół i wsypywałem do beczki z wodą, która stała w sieni. Potem zebrałem z powierzchni wody ług. Zagotowałem w kotle trzydzieści kilogramów smalcu, zaprawiłem ługiem, jak przestygło, zlałem w foremki. Popiół miałem tylko z drzew liściastych rzecz jasna.

– Dziwne. Myślę, że albo zostały zakłócone proporcje, albo może ług wyszedł nie taki, jak trzeba, z niską zawartością zasady.

– Produkowałem to pierwszy raz w życiu. Dziadek robił ług i mydło ostatni raz tuż po poprzedniej wojnie. Nawet nie wiem, czy dobrze zapamiętałem, jak go pozyskiwał. Zapomnieliśmy wielu przydatnych umiejętności... Tak myślę, że może by to przetopić raz jeszcze, dodać sody kaustycznej.

– Można spróbować na kilku kawałkach. Kto wie. Sodę chyba dam radę zdobyć – zadumał się aptekarz. – Co do zapachu, może gdyby dodać olejek lawendowy?

– To jakbym mógł prosić... Zajdę w poniedziałek.

– Jasne, do zobaczenia.

Teraz dopiero aptekarz spostrzegł Sławka.

– Dzień dobry. – Chłopak uklonił się, szurając nogami.

– Dobry. Co potrzeba? – Farmaceuta poprawił okulary.

– Potrzebuję aspirynę, syrop na kaszel, terpentynę... Czy jest może... – rzucił okiem na kartkę – hematogen?

– Hematogen? – zdumiał się prowizor. – Nie widziałem go w handlu chyba

od trzydziestego drugiego roku. Wcześniej dostawaliśmy trochę z Sowietów, w zamian za nasze preparaty farmaceutyczne. Ale potem coś się tam popsuło i figa z makiem. U nas się tego w ogóle nie produkuje. A do czego ci to potrzebne?

– Ojciec mnie wysłał, to dla jakiegoś znajomego ze wsi – zełgał gładko chłopak.

– Powiem to tak. Jak ten znajomy się u was zjawi, to lepiej trzymaj się z daleka. Gruźlica jest obecnie praktycznie nieuleczalna – westchnął. – Czy zagnieździ się w płucach, czy wejdzie w kości, czy utworzy skrofuły, koniec jest podobny. Wyniszcza strasznie. Wczesne stadia, wkrótce po zarażeniu, da się jeszcze pokonać. Zwłaszcza gdy jest to dziecko albo młody człowiek. Trzeba tylko jechać do sanatorium albo w góry. Pół roku, rok dobrego odżywiania i przyjmowania leków. Gdy ktoś pluje krwią, to już przepadł. Pożyje może kilka lat, płuca zgniją do końca i umrze. Jedyna rada to unikać chorych, często myć ręce, a mleko pić od własnej zdrowej i badanej krowy. A jak się kupuje, to każdorazowo zagotować. W surowym mleku można wypić własną śmierć!

– Mówi się o coraz to nowych lekarstwach. Kilkadziesiąt lat temu nieuleczalny był przecież syfilis. Wyspiański na to umarł, a nie miał jeszcze czterdziestu lat. A teraz zdołano nad nim zapanować. Przyjdzie czas, to i gruźlica, która odebrała nam Chopina, też przestanie być zagrożeniem. – Chłopak błysnął wiedzą wyczytaną w starej gazecie.

– Przyjdzie czas, to i raka pokonamy, a ludzie będą w dobrym zdrowiu żyli i po sto dwadzieścia lat. Zepsuje się ręka czy noga, to metalową doczepią i będzie działała nawet lepiej niż naturalna. Starcy odrzucą laski i kule. I sztuczne serca będą biły im w piersi, a sztuczne oczy o mocy lornetek zaślnią w oczodołach. Tylko żeby dożyć tych wspaniałych czasów, musimy zadbać o swoje zdrowie tu i teraz. Czego się nie da wyleczyć, tego trzeba unikać jak ognia.

– Będę ostrożny – obiecał Sławek.

– Hematogen wymyślili jeszcze za cara – wrócił do tematu aptekarz. – Robi się to z krwi bydlęcej. Albo jako prasowaną tabliczkę, coś jakby czekolada,

albo w syropie z melasą. Dobra rzecz. Odbudowuje odporność, poprawia ukrwienie, leczy skutki anemii albo ciężkich ran jak kto stracił naprawdę dużo krwi. Ruscy dają go dzieciom, bo to bardzo pożywne, a tam z dobrym odżywianiem kuso... Ale najczęściej, jak wspomniałem, zażywają go gruźlicy. Leczyć nie leczy wprawdzie, ale poprawia stan organizmu. Pozwala nabrać sił do walki.

– Czy da się go czymś zastąpić?

– Zastąpić? – zadumał się mężczyzna. – Nie bardzo. Tran trochę podobnie działa. Wspomaga ciało, odżywia, a i witamin w nim bardzo dużo. Ale w tworzeniu się nowych krwinek pomaga znacznie słabiej. Tu by trzeba sok z buraków, jarmuż, szpinak, jabłka...

– Tran? – podchwycił chłopak. – Można kupić u pana tran?

– Niełatwo o ten towar – westchnął aptekarz. – Ale wam sprzedam. Tylko nikomu ani słowa, że to ode mnie! Po starej znajomości, no i trzysta złotych muszę policzyć za butelkę ćwierć litra... I będzie to jedna z ostatnich butelek w miasteczku.

Spojrzał pytająco. Sławek przełknął ślinę. Cena była zawrotna. Za trzy setki mógłby kupić ponad dziesięć kilo rąbanki albo ze trzy kilo słoniny. Na szczęście po sprzedaży złotej piątki mieli sporo pieniędzy.

– Stoi.

– To chodź, pomożesz.

Prowizor zamknął drzwi apteki na skobelek, wywiesił kartkę „zaraz wracam” i gestem zaprosił Sławka na zaplecze. Przeszli przez ciasne pomieszczenie zastawione szafami. Zapachy leków i chemikaliów zakręciły w nosie. Niepozorne drzwiczki w kącie prowadziły do małej pakamery.

– Niemcy mają tran, bo po tym, jak zdobyli Norwegię, nie jest trudno o wieloryby. Tylko że Polakom i innym podludziom nie sprzedają. Chyba że po cichu i spod lady, ale to trzeba mieć znajomości wśród ich farmaceutów – gderał mężczyzna. – Poświecisz mi.

Zapalił świeczkę i osadziwszy ją w lichtarzu, podał chłopakowi. Sławek ustawił się tak, by możliwie jak najlepiej oświetlić kąt pomieszczenia. Aptekarz przykląkł odsunął kawał starego marmurowego blatu. W ceglanej podłodze wybito niewielki otwór. Prowizor położył się na podłodze i zapuścił rękę aż po ramię. Cicho zabrzęczało szkło. Szukał najwidoczniej po omacku odpowiedniej butelki. Chłopak przesunął się, by dać więcej światła do dziury. Wreszcie mężczyzna wydobył niedużą flaszkę z ciemnobrązowego szkła.

– Magister Klawe, jeszcze przedwojenny zapas. Ale nie martw się, stoją w zimnie, zakorkowane i zalakowane. Nie zepsuło się. Jak do tej pory nikt nie narzekał.

– Dziękuję!

Wracali już, gdy wzrok chłopaka spoczął na kilku obrazach opartych o ścianę. Podeszedł i oświetlił je świeczką. Nieco spłowiałe portrety spoglądały na niego malowanymi oczyma. Poblask płomyka odbijał się w obłazących z pozłoty ramach.

– To z pałacu – wyjaśnił mężczyzna. – W piętnastym roku, jak front się przewalił, przeszukiwałem z kolegami ruiny. Osada była wypalona, z naszego domu niewiele zostało. Przeczekiwalismy w lesie, cały dobytek tatko na jedną furę spakował. Nie sądziliśmy, że to aż taka pożoga będzie. Wracamy, a tu nic. Przepadło wszystko. Pałac został ostrzelany przez artylerię, ale na szczęście nie spłonął. Oczywiście służba rozszabrowała wszystko, co cenne. Porcelanę, srebra, dywany, lepsze meble, które przetrwały bombardowanie. Ale była masa rzeczy, które zlekceważyli. Firanki, zasłonki, dywaniki. Braliśmy, co się dało. Nawet szyby w oknach. Duże mieli okna w pałacu, jak szyba była na pół pęknięta, nie szkodziło, dalej można było z niej wyciąć mniejszą, dla nas jak znalazł. To wszystko było na wagę złota. Ze stajni końskie czapraki zabralismy. Kilka razy praliśmy je w ługu, żeby się choć trochę smrodu pozbyć, a potem całą zimę pod nimi spaliliśmy, taka nędza panowała... Trzy lata chodziłem w kurtce uszytej z hrabiowskiej narzuty na łóżko.

Sławek przypomniał sobie rozgrabione pożydowskie domy. Zatem pokolenie wcześniej robiono to samo...

– Portrety zabrałem, nikt ich nie chciał, a w końcu ten tu hrabia Maksymilian kiedyś zafundował mojemu ojcu naukę w Lublinie. Rzekłbym, że to poniekąd nasz dobroczyńca, choć inni mieszkańcy mają tu swoje zdanie.

– A dziedzice? – zapytał Sławek. – Nie zabrali tego? W końcu to ich przodkowie.

– W pierwszym roku wojny wyjechali do Włoch i już nie wrócili. Stary hrabia pewnie tam umarł. A młody? Kto wie... Może jeszcze żyje gdzieś na świecie. Ale majątek bank zajął za długi i niespłacone kredyty. Dziedzic nie miał już po co wracać. Może i lepiej. Nie byli to dobrzy ludzie. Oj nie... O tym Aleksandrze Leopoldzie – pokazał portret bladego bruneta o krzaczastych brwiach – naprawdę dziwne rzeczy gadali. To on postawił w lesie Czarny Dworek. Choć wszyscy odradzali.

– Mówią, że ten las to złe miejsce.

– Ludzie gadają różne rzeczy. – Aptekarz spoważniał. – Z drugiej strony powtarzają je tak często, że coś może być na rzeczy. Może niekoniecznie mamy tu do czynienia z przyczynami ponadnaturalnymi, ale kto wie... Co ciekawe, złe mają być te lasy na północ od osady. Bo te na południe już nie. Faktycznie, nieprzyjemne są. Dużo wąwozów, można pobłądzić. Ciemno nawet w dzień, gęstwina taka. Grzyby też w nich byle jakie, masa szatanów i muchomorów, a tych jadalnych co kot napłakał. Różne historie krążą. W powstanie styczniowe tam był obóz naszych.

– To wiem. Na polanie. Nie byle jaki, ziemianki, chatki, można było i zimą mieszkać. Ale którejś zimowej nocy Rosjanie go otoczyli i wszystkich wymordowali, a ich chaty i szałaszy spalili. Kości zabronili grzebać, całe lata leżały na polanie i tam, gdzie je dzikie zwierzęta rozwlekły.

– Tak właśnie było – potwierdził farmaceuta. – Dopiero po latach leśniczy wybierał szczątki, zakopał w jeden dół, a parafianie wystawili kapliczkę. Potem w wojnę Prusacy natarli. Okopy były w polu wzdłuż lasu, niewiele z nich dziś zostało, bo orka zaciera wszystko. Ale w głębi, między drzewami... Wiesz, gdzie znajduje się tak zwane refugium?

– Takie wzgórze niedaleko leśniczówki, z pokopanymi dziurami i śladem

okopów.

– Ostatni punkt oporu. Wiedzieli, że natarcia są zbyt silne i nie utrzymają całej linii, więc okopali się właśnie tam, żeby związać walką możliwie dużą liczbę wrogów i tym samym umożliwić swoim odwrót. Kilka dni walczyli i czekali na odsiecz, tylko że ona nigdy nie nadeszła. Teraz już niewiele widać, deszcze rozmyły glebę. To były takie doły, w których siedzieli strzelcy wyborowi. Nijak podejść. Niemcy kilka razy szli do ataku i za każdym razem to samo. Wreszcie rozpylili chlor. Kto nie umarł, a tylko oślepl, tego bagnietami dobili. I gdzieś tam ciała pewnie zakopali, bo cmentarz dla swoich żołnierzy urządzili, ale dla wroga już nie. Te trupy Ruskich do dziś tam leżą w jakichś dziurach, przysypane ziemią, jak psy. Bez pogrzebu, bez popa, bez krzyża na mogile. A to niedobrze.

– Masa ludzi tam zginęła, dlatego pewnie te opowieści. Cały las jest jak wielki cmentarz.

– Nie, nie. To było złe miejsce jeszcze grubo wcześniej. Może w średniowieczu nawet. Rozmawiałem z profesorem Janczykowskim z Chełma, przyjeżdżał tu kiedyś na wycieczki z tymi swoimi regionalistami i krajoznawcami. On podejrzewał, że nazwa Wzgórze Wisielców wzięła się stąd, że w średniowieczu stała tam szubienica, na której wieszano złoczyńców. Ale czy to prawda? Miasteczko duże nie było, to i rzezimieszków nie kręciło się zbyt wielu, no bo gdzie i jak mogliby się ukrywać? Z drugiej strony lasy i wąwozy były wówczas takie, że i pułk wojska by ukryły. Może jacyś zbóje napadali podróżnych, aż przyszła na nich kryśka? No i jeszcze ta sprawa z Czarnym Dworkiem...

Ktoś zastukał do drzwi. Chłopak pospiesznie ukrył butelkę w torbie, aptekarz poszedł otworzyć. W drzwiach stał Koller w towarzystwie jakiegoś Niemca. Przedstawiciel rasy panów był bardzo blady i słał się na nogach. Trzymał się za brzuch.

– Masz krople żołądkowe? Mleka od krowy się napił, a nienawykły do surowego i coś mu widać zaszkodziło – rzucił wójt.

Sławek pożegnał się skinieniem głowy i wyszedł. Dwaj Niemcy siedzieli na ławeczce przed apteką, palili papierosy. Odprowadzili go obojętnymi

spojrzeniami.

Zmęczeni są już tą wojną, pomyślał chłopak. I dobrze. Im większe baty biorą, tym mniej są chętni do szukania zaczepki. Ale omijać łukiem i tak trzeba. Swoją drogą, takiego Kollera to można by zatłuc bez problemu. Kurtz wszędzie łąził z obstawą, a ten w ogóle się nie przejmuje. Wystarczy zasadzić się i przywalić mu w głowę orczykiem. Tylko że jak go zabijemy, Niemcy z pewnością ukarzą mieszkańców. Za jednego swojego konfidenta gotowi zabić i kilkunastu Polaków. A zaczną pewnie od ludzi znanych, lubianych i szanowanych. Pomyślał mimowolnie o ojcu. Może i lepiej zostawić to, jak jest? W porównaniu z Kurtzem rzeczywiście nie jest zły...

*

Kolejny dzień dobiegł końca. Sławek patrzył na chmury, które zakrywały zachodzące słońce. Wietrzył, smakując powietrze. Niestety, nie zapowiadało się, że jutro będzie ładna pogoda. Teraz, gdy miał skompletowane leki i pozostałe wiktuały, wypatrywał pierwszej okazji, by je dostarczyć do lasu. Westchnął i pchnął drzwi obory. Oporządził zwierzaki, zebrał jajka, zaniósł je do sieni i przełożył do koszyka. Ojciec siedział w kuchni na zydlu i smarował tłuszczem uprzęż.

– Nieużywana skóra wyschnie i będzie pękać – mruknął. – A tak, jeśli kiedyś uda się zdobyć konia, będziemy gotowi.

– Zostaw, tato, jutro się tym zajmę. Spać już pora. – Chłopak chciał iść do kuchni, ale ojciec powstrzymał go gestem.

– Gdzie ja to rzuciłem? – Zaczął grzebać w szufladzie kredensu, wypełnionej papierami. – O, jest. Zobacz – westchnął, pokazując mu okólnik. –

Kontyngent nowy nałożyli. Każde gospodarstwo ma dostarczyć co miesiąc większą partię złomu i metali kolorowych, do tego szmat, odpadków gumowych i stłuczki szklanej. Widać szkopom brak już żelaza na czołgi i mosiądzu na łuski pocisków.

– Złom to złom, coś się w szopie nazbiera – westchnął Sławek. – Gorzej z tymi kolorowymi. Chyba, żeby... – Zmarszczył czoło. – Jak śniegi na dobre stopnieją, mogę przejść po polach pod lasem, tam do dziś się walają łuski z piętnastego roku.

– Łuski karabinowe są leciutkie. – Ojciec pokręcił głową. – Trzeba by ich zebrać bardzo dużo. Ale gdyby poszukać dawnych stanowisk artyleryjskich, tam mogą leżeć miedziane albo mosiężne łuski od carskich armat. Wtedy pewnie jedna sztuka starczy na miesięczną normę. Artyleria w piętnastym tak bardziej na zachód stała, za łąkami od Zarzecza... Na skraju lasu poszukaj wykrotów. Jak będą prostokątne i tak ze trzy na sześć metrów, to po armatach. Weź długi drut i macaj nim ziemię. Tylko z kopaniem ostrożnie! Bo, nie daj Boże, w zapalnik niewypału trafisz i po tobie.

– E, po tylu latach to już chyba niegroźne...

– Wiem, co mówię. Jak zapalnik z dobrego brązu, to zapiekł się, zaśniedział, ale wilgoci do środka nie puścił. To i dziś wybuchnąć może. Starczy jednego nieszczęścia, że ja kaleką zostałem. – Westchnął i zamilkł.

*

Nadal spali w jednej izbie, bo tak było cieplej, no i opalali tylko jeden piec. Sławek wcisnął się w swój kąt przy komodzie. Na podłodze miał rozłożony siennik, posłanie na noc nakrywał starym wytartym kozuchem po dziadku.

Ocknął się nieco przed świtem. Rodzice pochrapywali, bliźnięta też spały. Widział słaby poblask, a do popielnika od czasu do czasu padała jakaś iskierka.

Można jeszcze godzinę pospać, pomyślał. A rano pójdzie się na pola szukać łusek.

Przymknął oczy. Prawie już zasypiał, gdy pamięć podsunęła mu obraz... To musiało być kilka ładnych lat przed wojną. Pojechali z ojcem do lasu, pobłądzili i wywiodło ich na polanę, gdzie kiedyś stał Czarny Dworek. Przypominał sobie ruiny. Nie sprawiały wrażenia groźnych, choć ojciec się wyraźnie zaniepokoił. Pamięć podsuwała chłopakowi coś ważnego.

Tam były miedziane rynny i parapety, uświadomił sobie. Kto wie, może cały spalony dach był kryty miedzią. To przecież dziesiątki kilogramów!

Kiedy się obudził, dniało już. Wygrzebał się z ciepłego legowiska, podszedł do piecyka i wsunął w żar kolejne polano. Przypomniawszy sobie myśli, które naszły go w środku nocy.

Czarny Dworek... Miedziana rynna, kołatało mu się w głowie. Nawet jak jest cieniutka niczym papier, i tak z pewnością waży dobre kilka kilogramów. Porąbamy ją siekierką na mniejsze kawałki, żeby szkopom co miesiąc oddawać, ile kazali... Byle tylko te rynny nadal tam były. Byle nikt inny nie wpadł na ten sam pomysł. Byle nikt mnie nie ubiegł. Trzeba się tam wybrać jak najszybciej. Może dzisiaj? Tylko ojcu ani słowa, bo się wystraszy i zabroni. A przecież nawet jak jest „złe miejsce”, to za dnia nic mi nie grozi!

Niestety, nie zdążył jeszcze zjeść śniadania, gdy usłyszał bębnienie kropli na dachu. Niebo zasnuły chmury. Śnieg z deszczem. Ojciec zaklął. Zarzucił na ramiona płaszcz, pod pachy wetknął kule i pokuśtykał do roboty. Sławek wyciągnął podręczniki i zabrał się do nauki. Może matka znajdzie później chwilę i zechce go przepytac?

Następne dwa dni były podobne. Za dnia plucha, wieczorami przymrozek. Na uliczkach miasteczka robiła się szklanka. Niemcy zarządzili, by każdy gospodarz domu posypywał chodnik mieszaniną popiołu i piasku. Ludzie sarkali, ale ten i ów przyznawał półgębkiem, że część szkopskich zarządzeń

ma jednak sens. Tak samo było i z drogą. Przed wojną budowano ją w systemie szarwarków, więc roboty wlekły się w nieskończoność, kto tylko mógł, migał się od powinności, zagonieni do pracy wykonywali ją byle jak. Niemcy wydali rozkaz, opornym zagrozili wysyłką do obozu, jakości prac dopilnowali osobiście i w miesiąc drogę skończono. Podobnie było z melioracją. Stary, dworski jeszcze kanał odwadniający był od dawna zamulony. Co wiosną woda stała na łąkach. Ludzie deliberowali na zebraniach sołectwa, planowali, sprzecali się. Pod batem okupanta nie mieli wyjścia, klęli w żywy kamień, ale poszli i nakazane prace wykonali.

Pod koniec tygodnia pogoda wreszcie się poprawiła. Dni stały się dłuższe, śnieg na polach topniał. Matka skorzystała z okazji i wraz z bliźniętami pojechała do ciotki, do Chełma. Jechała niby to z wizytą, ale chodziło głównie o to, żeby zawieźć staruszce trochę zaopatrzenia. Na wsi było biednie, ale w miastach, zwłaszcza na przednówku, ludzie po prostu głodowali. Nocami w lasach słychać było wilczy zew. A potem ucichł, widocznie wataha pociągnęła w inne strony. Wreszcie przyszedł dzień, w którym ojciec przed wyjściem do pracy obudził go żartobliwym kuksańcem.

– Pójdiesz dziś do lasu – polecił. – Weźmiesz, co naszykowaliśmy, a do tego odsypiesz jeszcze w woreczki tak po trzy kilo kaszy i mąki. Będzie miała na jakiś czas. Tylko uważaj i wróć przed zmrokiem. Niepokoją mnie te wilki.

– Ostatnio nikt ich nie słyszał. Odeszły parę dni temu.

– Że czegoś nie słychać i nie widać, to nie znaczy, że tego nie ma! Może to tylko przeczucie i bajanie starych wioskowych dziadów, ale jest w tym wszystkim coś niepokojącego. Musisz mieć oczy dookoła głowy.

– A jeśli to faktycznie tygrys? Jeśli drapieżniki umknęły przed jeszcze groźniejszym drapieżnikiem? – zadumał się syn.

– E, w tygrysa raczej nie wierzę. To wielkie zwierzę i bardzo charakterystyczne. Ktoś by zauważył. Zaniesiesz jej jeszcze koc, ten srebrny ze skrzyni. Jej bardziej się przyda niż nam.

– Dobrze, tato.

Ojciec zebrał się i powędrował do garbarni. Sławek wyciągnął lepsze buty i natłuścił skórę odrobiną smalcu. Istniała szansa, że nie przemiękną, nawet gdy będzie musiał brodzić w mokrym śniegu. Spakował wszystkie wiktuały. Salwarsanu wciąż nie zdobyli, ale mama miała popytać w chełmskich aptekach. Wyciągnął ze skrzyni koc. Ojciec dostał go jeszcze przed wojną, podobno używali takich marynarze. Srebrnoszara wełna z drugiej strony obszyta była cienkim, mocnym brezentem.

Ciepły i odporny na wilgoć, pomyślał. Idealny na jesienny biwak w lesie. Ale dziewczynie przyda się teraz, a ja... No cóż, nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś dane mi będzie wędrować z harcerzami.

Zaplanował, że pójdzie szosą, minie leśniczówkę. Tam obecnie nikt nie mieszka. Odbije w las za starą porębą, przejdzie obok wzgórza, gdzie Rosjanie mieli w piętnastym roku swoje ostatnie refugium, i znajdzie ruiny Czarnego Dworku. Urwie rynnę, o ile jeszcze jakieś tam zostały, a jak nie, to poszuka klamek, rur, czegokolwiek z miedzi lub mosiądzu. Potem przejdzie wzdłuż pól za lasem, przetnie brzeziniak, znajdzie ścieżkę i od północy dotrze do cmentarza. Zostawi produkty w norze pod drzewem i po łuku wróci przez pola do miasteczka.

Osiem kilometrów, może dziewięć. Przy okazji zobaczy, co słychać za lasem. Co może mu grozić? Niemcy? Wehrmacht siedzi na kwaterach i zalewa wyrzuty sumienia, żandarmi co najwyżej spacerują po miasteczku, tak pro forma, niby że patrolują i pilnują porządku. W taką pogodę do lasu nikt nie chodzi. Może co najwyżej złodzieje drewna, ale ich będzie słychać z daleka. No tak, jeszcze te cholerne wilki. Ale one z reguły nie atakują ludzi. Chyba że są bardzo głodne. Wzdrygnął się. Raz jeszcze przypomniał sobie zeszłą jesień, gdy rozszarpały niemieckiego zarządcę i kilku jego ludzi. Ależ Niemcy wtedy szaleli. Początkowo nijak nie mogli uwierzyć, że to dzieło dzikich zwierząt. Sprowadzili weterynarza i śledczych z krypto, długo deliberowali nad trupami. Ale zaraz potem wilk w biały dzień wtargnął przez okno do leśniczówki i rozszarpał nogę kolejnemu niemieckiemu leśnikowi.

Zima była ciężka, teraz nastał przednówek. Wilczyce urodzą małe dopiero za jakiś czas, pod koniec marca albo i w kwietniu. Wtedy lepiej im się nie

pokazywać.

A zresztą tropów widziałem masę, na pewno w lesie jest sporo zwierzyny, uspokoił się.

Zatknął za pas naostrzoną jak brzytwa szwedzką siekierkę. Wziął też kostur z ukrytym bagnetem. Aż do cmentarza mógł dojść zupełnie spokojnie. Gdyby ktoś go zaczepił, powiedziałaby, że idzie zobaczyć, czy zima nie poczyniła żadnych szkód na grobach rodzinnych. Potem trochę gorzej, otwarta przestrzeń i szosa. Ale z drugiej strony tam już nie ma domów. A Niemcy od dawna nie trzymali w tym miejscu posterunku. Wypił jeszcze szklanę gorącej herbaty, założył rękawice i zamknąwszy dom na wszystkie zamki, ruszył w drogę.

Na cmentarzu parafialnym leżało nieco śniegu, ale ludzie wydeptali całe labirynty ścieżek. Przekroczył bramę, przystanął nad mogiłami krewnych. Dębowy krzyż na grobie dziadka Antoniego już szerniał.

– Może i lepiej, że odszedł wtedy, wiosną, jeszcze zanim wybuchła wojna. Był mądrym człowiekiem. Przydałyby się nam dziś jego rady... – szepnął do siebie. – Ojciec i stryjek też go słuchali. Nakazałby zgodę i byłby spokój.

Odmówił modlitwę. Westchnął. Trzeba w drogę... Nagle gdzieś za nim trzasnęła gałązka. Obejrzał się przestraszony, ale nie spostrzegł żywego ducha. Przypomniał sobie rozmowę ojca z Kollerem i rzucone jakby dla żartu zdanie o strzygach. Przypomniał też sobie sprawę Niemca, którego ciało znaleziono gdzieś nieopodal cmentarza. Poczuł strumyczek potu między łopatkami. Rozejrzał się nerwowo z dłonią na obuchu siekierki. Ponownie rozległ się trzask, a po chwili łopot skrzydeł. Chłopak odetchnął z ulgą. To tylko dorodny gawron wyłamywał w konarach drzewa gałązki, zapewne przeszkadzające mu w budowie gniazda.

Westchnął, patrząc na ciemną kreskę lasu zamykającą horyzont. Latem lubił posiedzieć w lesie, wśród drzew panował cień i miły chłód. Zimą? Zasy po pas, nagie drzewa, mróz jak wszędzie i daleko do domu... I jeszcze musi spenetrować ruiny owiane niejedną złą legendą. Ale jak trzeba, to trzeba. Wiatr wydmuchał śnieg z nasypu drogi. Szosa wyłożona była na tym odcinku trylinką, zresztą przed wojną jej fragment sam zbudował, bo kilka razy

harcerze w czynie społecznym pomagali chłopom.

Pomaszerował. Minął oparzelisko, potem skarpe, z której wybierano kiedyś kamień. Wreszcie wszedł pomiędzy pierwsze drzewa. Stała tu porzucona wiele miesięcy temu niemiecka budka wartownicza. Nawet szlaban był już zdemontowany, a może ktoś go ukradł? Odetchnął z ulgą. Jeszcze niecały kilometr prosto i zaraz za leśniczówką skręci w prawo. Potem prosto jak strzelił i odrobinę w bok do ruin Czarnego Dworku. Urwie miedzi ile się da, upcha do plecaka i dalej... Na poboczu wypatrzył miejsce, gdzie pod dębem dziki zryły ściółkę w poszukiwaniu żołądź.

Sarny, dziki, zające. Las jest pełen zwierzyny, myślał. Trzeba przygotować tę kuszę i zabrać się poważnie za kłusownictwo. Drewno dam takie grube jak na orczyk, a łuczysko ze starego resoru. Leśniczego nie ma, nikt mnie nie nakryje. A mięso jest potrzebne dla dzieciaków.

Leśniczówka pojawiła się po prawej. Spory budynek w typie dworku stał odrobinę cofnięty od drogi. Sławek maszerował równym, spokojnym krokiem i po chwili minął wrota. I nagle spostrzegł coś, co go zmroziło. Brama była otwarta. Podjazd wokół budynku ktoś odśnieżył, a co gorsza, z komina unosił się obłoczek dymu. Chłopak zrobił jeszcze kilka kroków i spostrzegł zaparkowany pod wiatą niemiecki motocykl z bocznym koszem. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć i umykać w stronę wsi. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że to byłby błąd. Największe okna budynku wychodziły właśnie na południe. Do tej pory najwidoczniej miał szczęście, nie spostrzegli, że tu idzie. Ale jeśli zechce wracać tą samą drogą, może się zdarzyć, że go zauważą. Zaczną ścigać, od tej strony las nie jest gęsty, nijak się ukryć. Aż do cmentarza teren płaski jak patelnia, żadnej kryjówki. W dawnym wyrobisku stoi woda. Dogonią go... Albo i zastrzelą z daleka, karabin przecież niesie na kilkaset metrów.

Bąłem się urojonych strachów, a tymczasem zlekceważyłem realne niebezpieczeństwo! – pomyślał ze zgrozą. Teraz tylko spokojnie. Zapytają, to powiem, że idę do lasu. Wolno chodzić do lasu... Teoretycznie. To szosa na Chełm. Żeby udać się do miasta, potrzebna przepustka. Ale Chełm daleko, kto by szedł tyle kilometrów pieszo w trzaskający mróz? Kolejna wioska kawał drogi, zatem uwierzą, że idę do lasu. Problem w tym, że chodzić do lasu to też podejrzané. Mógłbym powiedzieć, że po chrust, pewnie

przymknęliby oko i tylko przegonili. Ale na pewno zechcą mnie obszukać, a mam pełny plecak...

Rozejrzał się dyskretnie. Nie. Krzaki rosły zbyt daleko od drogi. Gdyby ściągnął plecak i rzucił w bok, Niemcy zaraz go znajdą. A gdyby skrócić już tutaj? Kiepska sprawa, wzdłuż drogi ciągnął się głęboki rów. Tylko że teraz... wcale nie był głęboki! Sławek przyjrzał mu się uważnie i w jednej chwili rozumiał, o co chodzi. Widocznie po odwilży zagłębienie wypełniła woda, obecnie ścięta po wierzchu słabym lodem. Ten z kolei pokrywała cienka warstewka śniegu.

Chrupnie mi pod nogami i wpadnę po pas albo i głębiej, pomyślał chłopak. A przeskoczyć nie dam rady. Za szeroko. Trzeba przejść jeszcze kilkadziesiąt metrów...

Zacisnął zęby, tłumiąc narastający wewnątrz ciała dygot.

Na razie maszeruję i nic się nie dzieje, uspokajał się. Niemcy siedzą w cieple, piją herbatę, może coś mocniejszego, nie mają powodów, żeby wyglądać przez okna. Nie zauważą mnie. Gdy tylko dojdę za brzeziniak, drzewka mnie zasłonią, a ja w prawo i wyrwę przez las!

Szedł spokojnym, równym krokiem, z największym trudem zmuszając się, by nie zacząć biec. Brzozy zbliżały się bardzo powoli, ale był już niedaleko. Jeszcze trzydzieści metrów. Jeszcze dwadzieścia. Jeszcze piętnaście. Dziesięć. Minie tylko jałowce, tam jest ścieżka...

Tego, że mogą nadchodzić od strony lasu, nie przewidział. Na widok dwóch szkopów z dobermanem na smyczy stanął w pierwszej chwili jak wryty. Oni też przystanęli, chyba nie mniej zaskoczeni niż on.

– Guten Tag. – Uśmiechnął się niepewnie i zdjął czapkę.

Wyższy puścił smycz i rzucił jakiś rozkaz. Pies wyrwał do przodu. Sławek zadziałał instynktownie. Gdy zwierzę skoczyło, zasłonił ramieniem gardło i kopnął z całej siły. Nie trafił. Zębata paszcza złapała go za łokieć. Nawet przez kurtkę i kilka warstw odzieży ból był oszałamiający. Sławek wyrwał siekierkę zza pasa. Uderzył obuchem, celując w kręgosłup zwierzęcia.

Poczuł, jak bydlę wiotczeje, paszcza rozluźniła chwyt. Niemiec już dobiegał. Chłopak uwolnił rękę, przełożył trzonek do drugiej ręki i uniósł do ciosu, ale szkop widać był dobrze wyszkolony, bo jednym ruchem przerzucił karabin i walnął dzieciaka kolbą w pierś. Wszystko wokoło rozbłysło i zgasło.

Doszedł do siebie pod wpływem nagłego bólu. Przez chwilę zgięty wpół nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Potem uświadomił sobie, że Niemiec, by go ocucić, kopnął go w brzuch. Sławek rozejrzał się, z trudem ogniskując wzrok. Nie znał tego pomieszczenia, ale za oknem widział rozłożyste świerki ubrane w czapy śniegu. W kącie siedział owczarek alzacki. Patrzył na chłopaka i bezgłośnie obnażał kły.

Jestem w leśniczówce, uświadomił sobie. Szwaby zrobiły zasadzkę przy drodze! Jestem skończonym durniem, powinienem to przewidzieć.

Odetchnął i poczuł tępy ból w prawym boku. Połamane żebra? Na to wygląda... Pogryziony łokieć też rwał. Hitlerowiec stał nad nim i patrzył spokojnie, jak dochodzi do siebie. Drugi w tym czasie wyłożył wszystkie rzeczy z plecaka na stół. Trzeci zajrzał tylko na chwilę i wyszedł.

– Dha khogo to nioshłeś? – warknął po polsku ten stojący przy stole.

Obmacywał paluchami zrolowany koc. Sławek zmartwiał. Pierwszy szwab ciężkim butem kopnął chłopaka w nerkę. Ból przeszył na wylot, odebrał na chwilę dech.

– Masz odpofiać nachychmiast – ostrzegł pierwszy. – Gcie szę ukhrywają? Szy to Szydzi, szy Sowieci? Gadaj!

– Do Chełma niosłem, sprzedać na targu chciałem – wymyślił kłamstwo.

Znów dostał kopniaka, po którym pociemniało mu w oczach.

Zabiją mnie, pomyślał. Niezależnie od wszystkiego. Nawet gdybym ich zaprowadził do kryjówki Racheli, zastrzelał mnie natychmiast, gdy przestanę być potrzebny...

– Gcie!?! – zapytał ten stojący przy stole, a jego kompan znów kopnął, aż

chłopakowi trzasnęło żebro, tym razem po lewej stronie.

Udał, że traci przytomność.

Zmyślić coś? – rozważał rozpaczliwie. Wyprowadzić ich w las, pokłuczyć po debrach, wyczuć moment i wyrwać w młodnik? Nie. Nie ma szans. Zastrzelą. I jeszcze ten cholerny pies. Nie, psa chyba załatwiłem. A ten w kącie? No tak, pewnie mają dwa...

Kolejny kopniak sprawił, że otworzył oczy. Przez drzwi zajrzał ten trzeci. Powiedział coś po niemiecku, więzień zrozumiał tylko, że dobermana trzeba będzie dobić. Poczuł nikłą satysfakcję. Znowu dostał w nerkę.

– Zostaw – polecił drugi szkop po niemiecku. – Musi mieć siłę, żeby iść. Poznają tę polską gnidę, jest z miasteczka. To zapasy dla kogoś, kto ukrywa się w lesie. Zmusimy go, żeby zaprowadził nas do ich kryjówki. – Przeszedł na polski i pochylił się na jeńcem – Chcesz szyć? Ty nam powiesz, gdzie siedzą.

Sławek udał, że znowu traci przytomność. Rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjścia z tej kabały. Nie znajdował. Nikt mu nie pomoże, nikt nawet nie wie, że wpadł w łapy szwabów. Czyli przepadł. Jeśli nie zabiją go na miejscu, czeka go więzienie w Chełmie, potem egzekucja w lesie Borek lub w najlepszym razie obóz koncentracyjny.

– Bez sensu, Freder za mocno go walnął tą kolbą – odezwał się po niemiecku rudy. – Wywlecmy go w krzaki, zastrzelę bydlę. Ściągniemy więcej ludzi, psy i tyralierą przeszukamy las. Jeśli tu jest jakaś kryjówka, znajdziemy sami.

– Strata czasu. Nie wiemy, jak daleko chciał iść. To jest kilka, może kilkanaście kilometrów kwadratowych do przeszukania. Trzeba go docucić, jeśli będzie rozsądny, to nas zaprowadzi. Potem kula w łeb.

– A jeśli to kryjówka bandy partyzanckiej? Trzech nas tylko.

– Partyzantom niósłby więcej. Żydki się pewnie załęgły. Gdzieś tu siedzą, tuż pod naszym nosem, jak wszy za kołnierzem – w głosie szkopa pobrzmiwały nutki odpychającej pogardy.

Sławek lekko rozchylił powieki. I naraz spostrzegł coś dziwnego. W najciemniejszym kącie za plecami hitlerowców cień stał się o kilka tonów głębszy. W powietrzu pojawiło się coś jakby tuman szarej mgły. W pomieszczeniu nieoczekiwanie zrobiło się o wiele chłodniej. Jeden z Niemców chuchnął i zaskoczony patrzył, jak jego oddech objawia się w postaci chmurki. Spojrzał na blaszaną kozę stojącą w kącie. Polana płonęła spokojnym, równym płomieniem.

– Hans, dorzuć do pieca – polecił towarzyszowi.

A potem obejrzał się i zamarł.

– *Wer ist das!?*

Przy oknie stał elegancko ubrany starszy mężczyzna we fraku i meloniku. W ręce trzymał laseczkę. Gałka w kształcie trupiej czaszki była wyrzeźbiona z kości słoniowej. Pies zawarczał głucho i z podkulonym ogonem wbił się w swój kąt. Nieznajomy strzelił palcami. Zwierzę z łomotem przewróciło się na bok, wierzgnęło, a potem znieruchomiało.

Rudy Niemiec automatycznie sięgnął do kabury, ale nieznajomy przyskoczył i jednym błyskawicznym ruchem uderzył go główką laseczki w skroń. Szkop padł jak podcięty. Drugi ruszył na obcego, przyjmując postawę bokerską, ale zadany jakby od niechcenia lewy sierpowy odrzucił go dobre dwa metry. Mężczyzna uderzył plecami w ścianę i padł na twarz, bezwładny jak szmaciana lalka.

Sławek patrzył na to, nic nie rozumiejąc. Obcy musiał być nie tylko bardzo szybki, ale też potwornie, niewyobrażalnie wręcz silny. I wysportowany, bo nawet się nie zasapał. I nagle chłopak rozpoznał tę twarz. Poczuł chłód w żołądku.

Przecież dziedzic nie żyje od co najmniej czterdziestu lat, a gdyby nawet wtedy ocalał, to miałby grubo ponad setkę na karku, pomyślał. Chyba że to ten młody, co pojechał do Włoch. Bo jeśli nie... to musi być... wampir, uświadomił sobie ze zgrozą.

– Tak, wampir. – Obcy najwyraźniej usłyszał jego myśli. – Hrabia Aleksander Leopold de Mathieu, do usług. A ty jak się nazywasz? – Dосkoczył i pochylił się nad chłopakiem.

Miał straszne oczy, żółto-czerwonawe, o tęczówce przypominającej kwiat, a za to całkowicie pozbawione źrenic. Nozdrza zadrgały mu, jakby węszył.

– Sławek... – wykrztusił przerażony chłopak.

– Sławek jak?

– Kazimierczuk.

– Syn starego Antoniego Kazimierczuka? – zdziwił się nieznajomy. – Kto by pomyślał? Jaaaki ten świat jest maaały. – Uśmiechnął się drapieżnie, prezentując zębiska.

– Wnuk... – sprostował odruchowo Sławek.

Oczy łypnęły pytająco.

– Antoni był moim dziadkiem.

Wampir podniósł go jedną ręką. Był potwornie silny. Ostre jak brzytwa pazury musnęły szyję chłopaka.

– Przekaż dziadkowi, że lubię mój dom – syknął hrabia.

Zmarszczył brwi. Sławek poczuł ból w skroniach i doznał wrażenia, jakby coś pochwyciło jego mózg i teraz przeczesywało go brudnymi paluchami, rozplatając zwój po zwoju.

– Nie żyje? – Upiór zmarszczył brwi. – Widać minęło więcej czasu, niż myślałem. Gdy się znajdzie po tamtej stronie rzeczywistości, wiele rzeczy

odczuwa się inaczej. W każdym razie bardzo nieładnie, że mi spalił własność. To było dla mnie bardzo... przykre. Tak, wyjątkowo przykre. A ty jeszcze chciałeś miedzianą rynnę ukraść? Bezczelna z was rodzinka. Podpalacze i złodziejaszki, rzekłbym.

Puścił chłopaka i jakby pieszczotliwie poklepał go po policzku. Miał lodowate dłonie trupa. Sławek omal nie zemdlał z przerażenia. Nie upadł tylko dlatego, że kompletnie zeszytniały mu mięśnie.

Czyta mi w myślach, uświadomił sobie ze zgrozą.

– Czytam, czytam. No już dobrze, nie bój się. To, co między nami... między mną a twoim dziadkiem sołtysem... Swoją drogą, odważny idiota! A jak sobie przypominę jeszcze tę bandę wiejskich ćwoków z pochodniami, widłami i cepami, których na mnie poprowadził! Scena jak z powieści zeszytowej. Ale ten zatarg to była sprawa między dwoma Polakami. Jak kłótnia w rodzinie, rzekłbym. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. To natomiast zupełnie coś innego. – Trącił Niemca czubkiem buta. – Wojna... Znacznie gorsza niż wszystkie, jakie pamiętam. Niemcy, też znacznie gorsi niż ci, którzy przyszli tu przed dwudziestu paru laty.

– Jest jeszcze jeden – wyjąkał Sławek. – Na zewnątrz. Trzech ich było, jak mnie pochwycili.

– Był, ale... już go nie ma – uciął wampir. – W każdym razie miło, że ostrzegasz. Twój dziadek też był w sumie porządny człowiek. Honorny ćwok, rzekłbym. I miał mir wśród ludzi. Tylko... – Odwrócił się do przerażonego chłopca i znów świdrował go spojrzeniem swoich nieludzkich oczu. – Zabieraj, co twoje, i wynocha – warknął, wskazując plecak i wiktuały. – Ona naprawdę jest głodna i chora. Pomóż jej. Wy i Żydki na jednym wózku teraz jedziecie. A wojna kiedyś się skończy, będziesz sołtysem, jak twoi przodkowie... – urwał zadumany. – Wtedy się policzymy. – Pogroził palcem.

Miał przerażające szpony, długie na kilka centymetrów, grube i spiczasto zakończone. Brązowe zacieki znaczące zrogowaciałą tkankę musiały być śladami krwi.

– Dziękuję panu, uratował mi pan życie – bąknął Sławek, zezując na obu Niemców. Znokautowany chyba zaczynał dochodzić do siebie. Drugi nadal leżał jak martwy.

– Uratowałem to uratowałem, moja rzecz. Kto pan, ten musi dbać o swój lud.
– Hrabia wydał pogardliwie wargi. – Nawet jak chłopci okoniem czasem staną... Co do nich, są jak łajno na moich butach. – Drugi Niemiec mrugnął i uniósł powieki, ale spojrzenie miał jeszcze błędne.

Wampir nieoczekiwanie uśmiechnął się. Miał usta znacznie szersze niż zwykli ludzie, a gdy rozchylił wargi, błysnął rząd paskudnych kłów. W półotwartej paszczy nie było widać języka ani podniebienia, ziała tam pustka czarna jak otchłań. Pstryknął ponownie palcami i Sławek poczuł, że ból połamanych żeber i zmiażdżonego przez psie zęby łokcia nieoczekiwanie zelżał. Nie minął bez śladu, ale już lżej się oddychało i był w stanie poruszyć ręką bez zaciskania zębów.

– Wracając zaś do meritum... – Arystokrata łypnął okiem na powalonych okupantów. – Jak to przed wojną mawiali endecy, jestem Polakiem i mam obowiązki polskie – warknął. – Poczuję się do obrony ojczyzny. I mojego ludu. Jak przodkowie, co poszli z Sobieskim pod Wiedeń. A oni? – Spojrzał na Niemców. – Są jak złodzieje złapani na gumnie. Mój dziadek nie raz kazał takich kijami zatłuc i tyle. Wyrwanie podobnych chwastów stanowi dla mnie poniekąd tradycję rodzinną. Zmykaj, bo to nie będzie przyjemny widok.

Hitlerowiec, ten uderzony w skroń, potrząsnął głową i otworzył oczy. Chyba tylko udawał zamroczonego, bo jego palce powolutku zaczęły sunąć w kierunku kabury. Wampir doskoczył, szybki jak błyskawica. Kopnął ze straszliwą siłą, łamiąc rękę Niemca w łokciu. Następnie złapał go za rude włosy i bez wysiłku uniósł. Odchylił głowę ofiary do tyłu i wbił kły w szyję. Przerażony, półprzytomny szwab wydał dźwięk, jakby tonął. A potem zaczął miotać się niczym ryba złowiona na haczyku.

Sławek wołał na to nie patrzeć, podszedł do stołu. Szkop wybebeszył jego plecak, ale niczego chyba nie brakowało. Butelka z tranem na szczęście była cała.

Skupić się na robocie, to, co z tyłu, mnie już nie dotyczy! – rozkazał sobie.

Ale słyszał rżenie, słabnące staccato, wybijane przez obcasy na dechach podłogi, i obrzydliwe odgłosy chleptania. Mrowiło go w karku, sama świadomość, że ma tę niehumanitarną istotę za plecami, przyprawiała o rozpaczliwe bicie serca. Dłonie drżały mu jak w febrze. Pozbierał pospiesznie wszystko ze stołu, upchnął w plecaku, przytoczył zrolowany koc i ruszył do drzwi.

– Do widzenia i raz jeszcze dziękuję. – W progu obejrzał się na chwilę i omal nie zwymiotował.

Zamknął oczy, by nie patrzeć na jatkę...

– Nie ma za co, można rzec, że połączyłem przyjemne z pożytecznym – odburknął wampir, ocierając wargi z krwi. – Jak to powiadają, nie proszę Niemca w gości, goń go z Polski bez litości. Z drugiej strony, po co od razu wszystkich przeganiać, skoro można mieć z nich jakiś pożytek... albo chociaż kolację. Znikaj, mały, i zapomnij, co tu widziałeś.

Zapomnieć?! Jak niby można zapomnieć taki widok? Sławek cicho zamknął drzwi. Od razu poczuł ulgę, choć od potwora dzieliły go tylko cienkie deski. W sieni znalazł ciało trzeciego Niemca. Wampir skrzył mu kark. Chłopak przystanął na chwilę. Kabura, w niej parabelka... Pistolet kusił. Poczuł, że trzeba skorzystać z okazji.

Broń zawsze może się przydać, pomyślał. W lesie przeciw wilkom, potem może przeciw Niemcom. Z drugiej strony, hrabia pewnie zrobi tak jak poprzednio. Porzuci trupy na drodze i poszarpie, by wyglądało to na robotę dzikich zwierząt. Niemiecki felczer robiący obdukcję będzie myślał, że to robota tygrysa... Ale jeśli broń zniknie, będą wiedzieli, że to jednak robota człowieka. Szkoda, ale trzeba spluwę zostawić.

Minął niemiecki motocykl. Zajrzał do kosza. Skoro Niemcy trzymali tu posterunek, to zapewne dostali prowiant. Gdyby tak zakosić skrzynkę konserw... Niestety, wszystkie zapasy przenieśli już chyba do leśniczówki, a tam zdecydowanie nie miał ochoty wracać. Przyspieszył kroku, prawie biegł. W pień przed domem wbito jego szwedzką siekierkę. Ucieszył się na jej widok. Złapał za stylisko i mocnym szarpnięciem wyrwał narzędzie. Wsadził je za pasek. Znowu poczuł się jakby pewniej. Minął miejsce, gdzie go

dopadli. Rozglądał się za swoim kosturem, ale nigdzie nie mógł go wypatrzeć.

– Szkoda – mruknął. – Ale ważne, że żyję, a kijaszek wystruga się nowy.

Znikał już w lesie, gdy z leśniczówki dobiegł go dziki, nieludzki skowyt. Zapewne hrabia zabrał się do ostatniego Niemca...

Było chyba około piętnastej. Między drzewami gęsto snuły się cienie. Znów się zachmurzyło. Powoli nadciągał wczesny zmierzch. Ale Sławek nie bał się. Najstraszniejsza istota żyjąca w nawiedzonym lesie miała właśnie ręce pełne roboty... Maszerował tak szybko, jak tylko był w stanie. Magia hrabiego przestawała już działać, ból połamanych żeber powoli wracał. Chłopak minął pocięte okopami refugium. Ścieżki rozwidlały się. Mógł skręcić do Czarnego Dworku i poszukać w ruinach miedzianej rynny, ale kolejny raz tylko przyspieszył kroku. Koszmarne obrazy wracały. Szok mijał, Sławek zaczął drżeć. Zagryzł wargi. Znów czuł, że jest obserwowany.

Wampir skończył posiłek, ale nadal jest głodny, pomyślał. Albo się rozochocił zabijaniem i zmienił zdanie, nie puści mnie wolno. Teraz mnie ściga. Wampiry to przecież bezwzględne drapieżniki... Nie. Hrabia ma swój honor. Uratował mnie z łap szwabów. Powiedział, że policzymy się kiedy indziej. Nie wyssał Racheli, choć najwyraźniej o niej wie. Dorośli gadali, że wojna budzi w ludziach to, co najlepsze, lub to, co najgorsze. Prawdziwą naturę. Widocznie nawet w wampirze na chwilę obudziła człowieka. Normalnego, wrażliwego na krzywdę, nienawidzącego okupanta, który niszczy jego ziemię.

Bał się obejrzeć. Wiedział, że za chwilę ogarnie go zwierzęce przerażenie. Trzeba pozbyć się z głowy tych obrazów. Zapomnieć ile się da. Wmówić sobie, że to był tylko sen. Nie wracać już do tych chwil...

– Leśniczówka została daleko – powiedział sobie twardo. – Czarny Dvorek jest jeszcze dalej. W tej części lasu chyba nic mi nie grozi.

Trochę pomogło. Zmusił się, żeby stanąć i spojrzeć na przebytą drogę. Las był pusty i cichy. I tylko pośrodku przecinki siedział wielki płowy basior. Musiał dłuższą chwilę podkradać się, idąc tropem chłopca. Dzieliło ich może

piętnaście kroków. Sławek wyszarpnął siekierę zza paska i rozejrzał się w panice. Słyszał, że wilki czasem atakują w ten sposób – jeden nagania zwierzynę, a reszta czatuje gdzieś z boku... Ale żadne bestie nie kryły się wśród drzew.

„Niełatwo zarąbać wilka siekierą” – przypomniawszy sobie słowa ojca. Gdybym tylko miał swój kij! Dźgnąć bagnetem... Ale nie mam. Ukraińskiej piosenki na odstraszenie wilków też nie znam. Uciekać na drzewo?

Jak na złość wokół rosły tylko dorodne buki o gładkich pniach... Wilk nie atakował. Po prostu siedział i patrzył, przechylając łeb w lewo. Ich spojrzenia spotkały się. Chłopak odniósł dziwne wrażenie, jak gdyby znał skądś to bydło, nie mógł tylko uświadomić sobie skąd. Wilk widział zaledwie kilka razy w życiu, i to z daleka. Był kiedyś w zoo w Zamościu, ale bardziej interesowały go inne egzotyczne zwierzęta. Spojrzał. Bestia przechyliła łeb w drugą stronę. Znow to spojrzenie... Wydawało mu się, że basior też usiłuje coś sobie przypomnieć... Nieoczekiwanie wilk po psim zamerdał ogonem i odwróciwszy się bezszelestnie, znikł w lesie. Sławek otarł pot z czoła. Poczuł, że trzęsie się jak w febrze. Najpierw tamto, teraz to. Przeklęty las...

Teraz trzeba skupić myśli na czymś innym. Na czymś dobrym. Na zadaniu, które mam wykonać, rozkazał sobie.

Policzył powoli do dziesięciu i zaczął planować.

Trzeba najdalej za trzy godziny być już w domu. Ojciec od biedy poradziłby sobie z wieczornym obrządkiem, ale jest sam, strasznie się umęczy, nosząc zwierzętom siano o kulach. A wcześniej trzeba w skrytce pod drzewem zostawić ładunek z plecaka. To w tej chwili najważniejsze. Dziewczyna czeka, a ja niosę jej skarby. Żywność potrzebną do przetrwania kolejnych tygodni. Świece. Świeżą gazetę. Ciepły koc.

Pomogło. Po chwili myślał już tylko o Racheli, o lekach, które miał w torbie, i o butelce tranu, która postawi ją na nogi...

Rozczochrana kochanka

Kraków 1936

Piwnica była głęboka i zaciszna, wapienne mury i poczerniałe ceglane sklepienia pamiętały szesnaste stulecie. Restaurator wstawił tu stoły i dębowe ławy, na podłodze położono klinkierową posadzkę. Elektryczności jeszcze nie dociągnięto, ale dwanaście grubych świec w lichtarzach wystarczająco rozświetlało wnętrze głównego pomieszczenia. Dochodziła północ.

– Panowie – Stanisław Szukalski był już lekko podchmielony – dzień dzisiejszy przejdzie do historii jako dzień triumfu Szczepu Rogate Serce. Rzuciliśmy śmiało i zdecydowane wyzwanie wychowankom krakowskiej akademii. Nasza wystawa ugodziła ich prosto w małe, robaczywe serduszka. Od dziś to my wyznaczymy nowy szlak dla kultury naszego kraju. I nikt, powiadam, nikt nie będzie w stanie zdewaluować naszych osiągnięć. Nikt nie dotrzyma nam kroku, gdy deptać będziemy...

– Ja! Ja dotrzymam wam kroku! – rozległ się nieoczekiwany okrzyk. –
A potem prześcignę.

Członkowie bractwa zamarli z kuflami i kielichami w dłoniach. Rozejrzeli się, skonsternowani. Zza kolumny podpierającej strop wysunął się niepozorny człowiek w niemodnym płaszczu. Był mikrej postury, a oczy lśniły mu gorączką. Dobiegał zapewne pięćdziesiątki, lecz wyglądał starzej. W półmroku jego twarz odznaczała się bladością suchotnika. Pod pachą trzymał rysownicę.

– Co powiedziałeś, nieproszony gościu? – Stach z Warty kpiącym spojrzeniem ogarnął przybysza. – Zresztą to nieistotne. Siadaj z nami do stołu, wędrowcze, oblewamy właśnie nasz triumf. Piwa, miodu, wina lub gorzałki nie zabraknie dziś dla nikogo.

– Za wcześnie świętujecie – odezwał się obcy. – Podwójnie za wcześnie, rzekłbym. Po pierwsze, kierownictwo Zachęty nie daruje wam dzisiejszej przemowy i wasza wystawa zostanie zamknięta jutro, najdalej pojutrze. Po drugie, poczuliście oto, że chwytaacie ster sztuki w swoje ręce. Ale sądzę, że jest ktoś, kto chwyci go równie mocno, a kto wie, może i mocniej...

– Niby kto taki?! – zdumiał się siedzący po prawicy mistrza szczepowy ruchu Marian Konarski. – Że niby pan?

– Ja.

– To mocne słowa. Masz jakieś imię, nieznajomy? – zainteresował się gospodarz przyjęcia. – I skąd przybywasz?

– Nazywam się Henryk Zosowski, a przybywam z Zosowa.

Podchmielone bractwo wymieniło zaskoczone spojrzenia. Nikt z nich nie słyszał o tym człowieku. Nikt też nie słyszał nazwy miejscowości.

– Zatem powiadasz, nieoczekiwany gościu, że ukazesz nam naszą małość. – Szukalski uśmiechnął się kpiąco i protekcyjnie poklepał go po ramieniu. – Jak zamierzasz tego dokonać?

– Na mój triumf przyjdzie czas, dziś chcę tylko pokazać, że umiem dotrzymać wam kroku.

– Prosimy zatem... – Wódz spoważniał.

Przybysz bez słowa wręczył mu rysownicę. Zapadła głucha cisza. Wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w papier, pokryty szybko naniesionymi kreskami ołówka. Nieznajomy musiał podpatrywać ich już jakiś czas. Szkic był doskonały. Wszystkie twarze odwzorowane zostały z fotograficzną dokładnością, zarazem rysownik odział postacie w stroje siedemnastowieczne. Bogactwem oddanych detali onieśmieliłby samego Matejkę... a przy tym musiał naszkicować to błyskawicznie i niemal na ślepo, siedząc w ciemnym kącie lochu.

Szukalski odłożył rysunek, podszedł do przybysza, złapał go za kłapy i pas

u spodni, dźwignął i bez wysiłku postawił na stole. Następnie zza pazuchy wydobył swoje etui z ołówkami. Otworzył i wyjąwszy jeden, podniósł, by pokazać towarzyszom. Wreszcie przełamał go uroczyście na dwie połowy, aby z głębokim ukłonem złożyć u stóp przybysza.

– Drogi panie Zosowski – odezwał się – przekonany byłem, że moja twórcownia zgromadziła najlepszych w tym kraju adeptów sztuk plastycznych. Pan jednak okazałeś kunszt rysownika godzien najwyższej pochwały. Nie chcemy z panem wojny. A jeśli pan chcesz wojny z nami, gotów jestem od razu zwycięstwo oddać walkowerem i uznać, że tę bitwę pan wygrałeś. Zostań pan z nami jako nasz brat, jako członek Szczepu Rogate Serce i mój uczeń.

– Uczeń? – Błada twarz uśmiechnęła się kpiąco.

– Hmmm... No tak. Istotnie, twórcownia nasza w tym przypadku niczego już nie nauczy. – Stach z Warty zasępił się. – Zostań pan zatem z nami jako towarzysz naszego trudu. Po co walczyć, gdy możemy iść ramię w ramię?

– Dziękuję za to wyróżnienie. – Gość ukłonił się. – Sztuka, którą wszyscy uprawiamy, wymaga jednak nieustannego dążenia ku absolutowi. Przed nami wszystkimi jeszcze długa droga. To tylko bezwartościowy śmieć, dzieło znudzonego piwosza. – Zbliżył szkic od jednej ze świec, krawędź zajęła się ogniem.

Z kilkunastu gardeł wyrwały się okrzyki gorącego protestu. Zosowski, jakby zaskoczony, zdmuchnął płomień i obojętnie podał rysunek najbliższemu uczestnikowi biesiady.

– Weź, faktycznie szkoda papieru, skoro śledzie można w to zawinąć...

– To dobry rysunek – zganił go Szukalski.

– To śmieć, który naszkicowałem, by mieć pretekst do rozmowy. Chcę dokonać czegoś nieporównanie większego. Pozostanę z wami do rana, a potem odejdę. Wrócę, gdy dokonam w sztuce czegoś naprawdę ponadczasowego. Wtedy dopiero pozostanę z wami jako przyjaciel, towarzysz, a może i nauczyciel.

– Poczytamy sobie za zaszczyt, jeśli od dziś przyjmiesz pan, naszym obyczajem, artystyczne miano. – Szukalski uniósł kielich miodu. – Przeważnie szukamy dla siebie imion słowiańskich lub – uśmiechnął się – ich wariacji.

– Przybieram zatem imię Alchemik z Zosowa. – Gość dumnie uniósł brodę.

Stach z Warty zamyślił się. Chciał w jakiś sposób uhonorować nowego przyjaciela, podkreślić doniosłość tej chwili... Sięgnął i odpiął swój szeroki skórzany pas z indiańską klamrą, ozdobioną wielkim turkusem. Wręczył go przybyszowi, a ten uklonił się i przepasał, zaciągając na przedostatnią dziurkę.

Zabawa rozkręciła się na nowo. Było około trzeciej, gdy Konarski ocknął się na swoim fotelu. Czuł się przyjemnie podchmielony miodem, lecz to nie alkohol, ale zmęczenie go zmoгло. Uchylił powieki. Jego mistrz siedział po drugiej stronie stołu i rozmawiał z przybyszem.

– To naprawdę niesamowity pomysł. – Szukalski kręcił głową. – Zdumiewający, poruszający i istotnie wyznaczający zupełnie nowe horyzonty sztuki. Ale czy w ogóle możliwy do zrealizowania?

– Przyszedłem tu, bo jestem pewien, bo wręcz wiem, że to możliwe. Od śmierci Jana Szczepanika prowadzę doświadczenia. Problem w tym, że efekt, jaki uzyskałem, jest chwilowo zbyt nietrwały. To jeszcze nie to, co chcę osiągnąć. Potrzebuję co najmniej kilku lat na dalsze badania i eksperymenty.

– A potem zadziwisz świat...

– Nie chcę trzymać tego dla siebie. To nie są czasy samotnych wojowników. Chcę iść na wyprawę po przygodę z drużyną wiernych towarzyszy. Będę pierwszy i to mi wystarczy. Później podzielę się z wami. Niech to będzie sekret całego naszego Szczepu.

Stanisław Szukalski nieczęsto się uśmiechał. Wyraz twarzy mistrza sprawił, że Marian Konarski zapamiętał tę chwilę i tę wymianę zdań na zawsze. Przez kolejne lata, a potem dekady czekał, aż zagadkowy przybysz powróci i spełni obietnicę. Po drugiej stronie Atlantyku, w dalekiej Kalifornii Stach z Warty

także wyczekiwał. Na próżno. Nie wiedzieli, że Alchemik z Zosowa padł od niemieckiej kuli jeszcze we wrześniu. Wszystko też mogło wskazywać, że nie zdążył zrealizować swojego planu lub że swój sekret zabrał do grobu. Aż nadszedł dzień...

Wiele lat później

Galeria nie była specjalnie duża. Składała się z niewielkiego holu, sporej prostokątnej sali i przyległej do niej drugiej, trochę mniejszej. Pomieszczenie wygospodarowano w sąsiedniej kamienicy – było położone półtora metra wyżej. Łączyły je szerokie schody elegancko wyłożone marmurem. Tłum w holu nie był przesadnie gęsty. Wziąłem sobie kieliszek wina z tacy. Dyrektor stał już przy taśmie z nożyczkami w ręce. W zasadzie to nawet lubiłem tego kolesia. Znał się na malarstwie jak kura na pieprzu, a dzieła sztuki klasyfikował po swojemu na „ładne” i „nieładne”, ale zarazem uważałem, że jest w porządku. Odziedziczył jakąś straszliwą kasę i zamiast przepuścić ją na głupoty, bawił się w mecenasa sztuki. Kupował obrazy dla muzeów, urządzał wystawy i minisesje naukowe. Tacy jak my potrzebowali kogoś takiego jak on. I oto był. Zadzwoił nożyczkami w kieliszek.

– Drodzy państwo – zaczął – z największą przyjemnością ogłaszam, że na rozpoczęcie jesiennej sezonu otwieram skromną wystawę prac członków Szczepu Rogate Serce, uczniów Stacha z Warty, czyli Stanisława Szukalskiego. Dzięki uprzejmości licznych prywatnych kolekcjonerów zgromadziliśmy przeszło setkę grafik, szkiców, drzeworytów i obrazów wykonanych w tym kręgu. Jednak gwoździem naszej wystawy jest dzieło absolutnie unikalne. Jedyny zachowany obraz olejny, który wyszedł spod ręki Henryka Zosowskiego, zwanego Alchemikiem z Zosowa. Portret kobiety, noszący nazwę „Zadumana żona”, zapewne stanowił pierwotnie część tryptyku czy może serii, na którą składały się zaginione w pomroce dzieł „Rozczochrana kochanka” i znany nam tylko z przedwojennego opisu akt „Przestraszona służąca”. Postać artysty, dziś już mocno zapomnianego, owiewa mgłą tajemnicy. Wiemy, że był laborantem u słynnego wynalazcy

Jana Szczepanika, a rysunek i malarstwo stanowiły jego hobby. Prac po nim zachowało się niewiele, gdyż był perfekcjonistą i z reguły niszczył dzieła, uznając je za nieudane... Serdecznie zapraszam.

Przeciął wstęgę. Część tłumu rozproszyła się po pierwszej sali, ale większość uległa ciekawości i podążyła do płótna Zosowskiego. Poszedłem i ja. Obraz nie był szczególnie ciekawy. Przedstawiał damę w szlafroku. Stała tyłem do widza, odwracając lekko głowę tak, że widoczny był profil. Zdecydowanie wolałem szkice tego autora, fantastycznie dynamiczne, a zarazem wzbogacone niewyobrażalną mnogością ozdóbników.

Widzowie półgłosem wymieniali uwagi. Właściciel, który udostępnił obraz, stał obok z dumną miną. Znałem go z widzenia, bo dobiegający osiemdziesiątki mężczyzna był stałym bywalcem aukcji dzieł sztuki. Nieoczekiwanie przez tłum przepchnął się niewiele młodszy staruszek w brązowym garniturze.

– Ten obraz stanowi moją własność. – Uniósł zaciśniętą pięść. – Poznaję go! To jest „Rozczochrana kochanka”! Przepadł mi w trakcie ubeckiej rewizji w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim.

– Wybacz pan – zauważył właściciel – kupiłem to dzieło na Kole pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Jego pochodzenie nie jest wprawdzie znane, ale jak powszechnie wiemy, „Rozczochrana kochanka” była niemal naga, nakryta jedynie przejrzystym szalem, ta zaś dama ubrana jest w szlafrok, no i nie jest rozczochrana... – zakpił.

– Obraz jest ten sam, ale został przemalowany! – syknął przybyły.

Zapadła cisza, a potem ludzie zaczęli szeptać. Kierownik galerii omiół towarzystwo wzrokiem i nieoczekiwanie spostrzegł mnie.

– Panowie – odezwał się polubownym tonem – zapewne na sali oprócz miłośników piękna jest kilku historyków sztuki, i właśnie widzę wśród nas znajomą twarz. Pan Robert Storm, ekspert pracujący czasem dla słynnego Grona Jarzębiny.

Zgrzytnąłem zębami. Nasze stowarzyszenie było w zasadzie tajne...

Wprawdzie wiedziała o nim już masa ludzi, ale mimo wszystko poczułem się paskudnie zdekonspirowany.

– Myślę, że dla takiego fachowca ustalenie prawdy będzie kwestią jednego rzutu oka.

Odstawiłem kieliszek i podszedłem do płótna.

– Mogę spróbować – bąknąłem.

Wyjąłem z teczki cyfrowy mikroskop. Podpiąłem go do tabletu i przyjrzałem się kilku miejscom. Zebrani milczeli w oczekiwaniu na werdykt.

– Nie widzę tu śladów przemalowania... – zacząłem.

– Pieprzeni złodzieje! – wydarł się staruszek w brązowym garniturze i rzucił się na właściciela, próbując go chyba udusić.

Zrobił to z takim impetem, że obaj runęli na posadzkę i stoczyli się ze schodów do większej sali. Wszyscy usłyszeli paskudne chrupnięcie jakiejś kości.

– Wezwijcie pogotowie! – wrzasnął szef galerii.

Goście rzucili się na ratunek adwersarzom, ja też wyjąłem z kieszeni komórkę. I zaraz schowałem, bo ktoś już dzwonił, gdzie trzeba, ktoś rozdzielał splecionych.

– Byłem ratownikiem medycznym! – usłyszałem.

Czyli jest na miejscu fachowiec, a pogotowie nie ma daleko. Sytuacja pod kontrolą. W tym momencie poczułem na plecach dziwny podmuch gorąca. Obejrzałem się i zdębiałem. Obraz płonął jak pochodnia, paliły się też kotary za nim. Obok stała, chichocząc dziko, starsza kobieta z butelką po denaturacie w dłoni.

– Teraz pójdziesz do piekła, ty wiedźmo! – warknęła, patrząc z nienawiścią

na płótno.

To był odruch. Odepchnąłem babsko, zdarłem z siebie marynarkę, zerwałem palący się obraz ze ściany i parząc palce, zdusiłem płomienie. Ryknął alarm, część ludzi odwróciła głowy, patrząc, co się dzieje.

– Pożar! Ratujcie grafiki! – krzyknąłem.

Płomień skakał już po kolejnych draperiach... A chwilę potem rozpętało się istne piekło.

*

– No to zeznawaj – polecił Piotrek.

– Dwaj panowie weszli ze sobą w spór i zamiast grzecznie sobie rzecz wyjaśnić, postanowili rozstrzygnąć go na pięści – burknąłem. – Co zasadniczo nie jest takie rzadkie, ale biorąc pod uwagę ich wiek i to, jak się wzajemnie sponiewierali, każdy może zaskarżyć tego drugiego o odszkodowanie i zapewne rentę.

– W efekcie bójki jeden staruszek ma uszkodzoną szczękę, drugi rozbity łeb – westchnął mój kumpel. – Obaj nie są chwilowo w stanie składać zeznań. Nie gadaj o rzeczach, które już mam w protokołach. Gdzie jest obraz?

– Po raz ostatni widziałem płótno, gdy odstawiałem je pod ścianą na zewnątrz galerii. Potem pobiegłem do środka spróbować uratować coś jeszcze... Straż pożarna przyjechała po dziesięciu minutach. Byłoby za późno, ale w porę wynieśliśmy wszystko – dodałem z dumą.

– Bohatersko ratowaliście przedwojenne grafiki, rysunki, obrazki. Cudownie. Sześciu ludzi doznało poparzeń, ale uratowano absolutnie wszystko. Nic nie spłonęło i nic nie zginęło, z wyjątkiem najcenniejszego eksponatu – burknął.

– W sumie to logiczne – zauważyłem. – Złodziej skusił się na konkretny łup...

Piotrek przeszedł się po pomieszczeniu.

– Robert?

– Taaa...?

– Znamy się od lat. Od... eee... dwudziestu dwóch lat.

– No jakoś tak – przyznałem. – Skoro mam dwadzieścia dziewięć...

– Moim zdaniem jesteś totalnym świrem, idiotą i geniuszem zarazem, ale nigdy nie miałem powodów, by wątpić w twoją uczciwość.

– Eeeee... To chyba miłe?

– Zamknij ryj. Mam zeznania piętnastu uczestników wernisażu, którzy widzieli, jak wybiegasz z wnętrza z obrazem zawiniętym w swoją kapotę. Nikt poza tobą nie widział kobiety podpalającej galerię. Ogień na podeście wybuchł w chwili, gdy wszyscy poza tobą zajęci byli udzielaniem pomocy starszkom. Tak przynajmniej twierdzą. Monitoring sfajczył się razem z lokalem. Nasi technicy usiłują coś odczytać ze stopionych kart pamięci.

– Odczytają i potwierdzi, się że jestem niewinny. – Wzruszyłem ramionami.

– A jak nie odczytają?

– Hmm... eee... Nadal będę niewinny?

– Wyniosłeś obraz?

– Tak.

– Podpaliłeś galerię?

– Nie.

– Ukradłeś obraz?

– Nie.

Zabębnił palcami po stole.

– A co zrobiłeś, kiedy przyjechali strażacy?

– Nie byłem już do niczego potrzebny, wystawy też już nie było, więc złożyłem właścicielowi galerii wyrazy współczucia i poszedłem do domu.

– W tej chwili jesteś podejrzany o podpalenie i kradzież. Nagranie być może oczyści cię z zarzutu podpalenia. Świadkowie zeznali, że wyniosłeś obraz, a potem wyparowałeś. Obraz też wyparował. Nikt wprawdzie nie zeznał, żebyście znikali razem, ale brzydko to wygląda.

Przespacerował się ponownie.

– Robert, wybaczone, ale zapytam wprost: czy ty to ukradłeś?

– Nie. Już mnie o to pytałeś...

– Na pewno?

– Na pewno.

– I nie przyświecały ci żadne wyższe cele uświęcające środki, na przykład chęć wyrwania bezcennego dzieła sztuki z łap profanów niegodnych z nim obcować?

– Wyglądali na godnych – odparłem, znów wzruszając ramionami.

– A nie dostałeś od kogoś zlecenia, żeby to dzieło odszukać i odzyskać?

– Nie. Uratowałem obraz. Pobiegłem wraz z innymi ratować pozostałe

eksponaty. W tym czasie ktoś go rąbnął, zresztą wraz z moją marynarką. Przepadły mi dokumenty, karty, telefon... Tyle dobrze, że klucze od mieszkania miałem w kieszeni spodni. Sam zostałem okradziony, a teraz w dodatku robię za głównego podejrzanego – rozżaliłem się.

– Ale kradzież marynarki zauważyłeś później.

– Wrzesień mamy bardzo ciepły. Nie było mi zimno, myślałem o czym innym. Gdy wróciłem do domu, chciałem zadzwonić, wtedy przypomniałem sobie, że telefon jest w kieszeni, a marynarka została z obrazem pod galerią. Wróciłem po nią i wtedy dowiedziałem się, że portret rąbnięto.

– I nie wiesz, kto mógł tej kradzieży dokonać?

– Ktoś z uczestników – zawyrokowałem. – Może nawet przyszedł z tym zamiarem.

– Ta kobieta, której poza tobą nikt nie widział, a może tylko nie zapamiętał?

– Chyba nie. – Pokręciłem głową. – Ona przyszła go zniszczyć. Chyba że widząc, jak go ratuję, wyczekała chwilę, by capnąć obraz i dokończyć dzieła.

– Mój partner ci nie wierzy. Wystąpił o nakaz rewizji.

– Proszę bardzo. – Położyłem klucze na stole. – Chcesz, to napiszę oświadczenie, że zgadzam się na przeszukanie mojego domu.

– Schowaj – burknął. – Ja ci wierzę. Jesteś świrem, ale nie złodziejem. Będzie trzeba, to się twoją chałupę zrewiduje, choć to bez sensu. Wprawdzie jesteś idiotą, ale jakbyś to rąbnął, to oczywiście nie schowałbyś fantu we własnym mieszkaniu.

Zaniepokoił mnie tymi słowami o rewizji. Szczerze powiedziawszy, wolałbym nie musieć otwierać wszystkich szafek...

– Telefon... – zadumał się.

– Był wyładowany, nie zdołacie go namierzyć. Chyba że teorie spiskowe mówią prawdę.

– Dlaczego ten obraz jest tak cholernie ważny? – zapytał. – Kim był autor? Niczego o nim nie znalazłem.

– Henryk Zosowski był chemikiem, pracował nad projektem polskiej fotografii kolorowej. Chciał udoskonalić patent Szczepanika. Ale był też genialnym grafikiem samoukiem – wyjaśniłem. – Do tego był pierońskim perfekcjonistą, zachowało się tylko kilkanaście jego rysunków, głównie tych, które ludzie wyblągali od niego zaraz po tym, jak je stworzył. Oceniał swe dzieła chyba zbyt surowo. W każdym razie wszystko, co ocalało, to perełki. Czy w tuszu, czy w ołówku, tworzył arcydzieła kreski. Przed wojną miał kilka wystaw. Generalnie nic z nich nie ocalało, mamy tylko recenzje pełne zachwytów. Z reguły, zażenowany tym, co stworzył, zaraz po wernisażach pakował wszystkie dzieła do pieca. Badacze zgłębiający dzieje Szczepu Rogate Serce odnotowali, że w trzydziestym szóstym roku przedstawił Stanisławowi Szukalskiemu jakąś kompletnie szaloną koncepcję artystyczną. Szukalski sam był wariatem, ale koncepcja Zosowskiego dogłębnie nim wstrząsnęła.

– Co to było?

– Nie wiadomo. W dodatku nie ma kogo zapytać. Szukalski już, niestety, nie żyje. Konarski, który był świadkiem tej rozmowy, nie znał szczegółów i też zmarł. Zosowski poległ we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Cały jego dorobek przepadł lub rozproszył się po zbiorach prywatnych.

– Czyli są tylko rysunki?

– Sądzone, że namalował w życiu tylko jeden obraz olejny, akt kobiety zatytułowany „Przestraszona służąca”. Miał przedstawiać dziewczynę widzianą od tyłu, stojącą nago w miednicy z wodą. Obraz przepadł w czasie wojny. W latach siedemdziesiątych pojawił się drugi, właściciel nazwał go „Rozczochrana kochanka”. Wydaje się, że to wariant tego pierwszego. Też dziewczyna, ale już trochę przyodziana...

– A ta „Kochanka” to mogła być przemalowana „Służąca”? – przerwał mi Piotrek.

– E, nie wydaje mi się. To nie takie proste przemalować obraz olejny. No

i zawsze widać ślady takiej ingerencji. I zdecydowanie „Zadumana żona” też nie może być przemalowaną wersją któregoś z wcześniejszych portretów.

– Ile może być wart obraz Zosowskiego?

– Tak per analogiam z innymi podobnymi dziełami malarzy tego okresu, sądzę, że kilka, może kilkanaście tysięcy. Widzisz, z dziełami sztuki jest tak, że niektórzy twórcy stają się modni i ceny dzieł wówczas rosną. Ale żeby powstała moda, musi istnieć choćby minimalna podaż. Ten artysta jest bardzo ciekawy, ale znany tylko wąskiemu kręgowi koneserów, a tacy często nie śmierzdzą groszem. Ceny nabijają bogaci nuworysze, którzy chcą sobie powiesić dzieło modnego malarza na ścianie.

– Okej. Masz jakiś pomysł, kto mógł to ukraść?

– Nie. Ale w Warszawie wisi więcej kamer, niż się Orwellowi przyśniło. Sprawdźcie nagrania z różnych sklepów przy tej ulicy.

– Nasi ludzie już je zbierają. Jeszcze jedno. Jak sądzisz, dlaczego ta kobieta chciała zniszczyć obraz?

– Nie wiem. Słyszałem o gościu, który skupuje obrazy Hitlera, żeby je uroczyście palić... Ale niszczyć obraz autorstwa mało komu znanego człowieka? Zaraz. – Zmarszczyłem brwi. – Kobieta mówiła coś o wiedźmie, która pójdzie do piekła.

– Czy wiesz, kto posłużył jako modelka do portretu? – zaskoczył mnie kolejnym pytaniem.

– Nie wiem nawet, czy autor malował z natury. I to raczej nie był przypadek wnuczki niszczącej portret rozpustnej babci.

– Podpisz protokół i jesteś na razie wolny.

Począpiałem do domu.

*

Nie wiem, jak toczyło się śledztwo, mnie w każdym razie na kolejne przesłuchania nie zapraszali. Minął niemal tydzień i byłem już bliski zapomnienia o całej sprawie, gdy dostałem maila z prośbą o spotkanie. Nazwisko klienta nic mi nie mówiło, dlatego też przeżyłem lekkie zaskoczenie na widok staruszka w brązowym garniturze. Miał jeszcze ciągle opatrunek na czole, ale najwyraźniej doszedł już do siebie po upadku ze schodów. Byłem ciekaw, po co przyszedł, ale na szczęście nie wyglądało na to, żeby chciał mnie bić. Zresztą chyba bym się obronił.

– Panie Storm, nie będę owijał w bawełnę. Był pan obecny na spotkaniu, ja też byłem i słyszałem, co pan powiedział. Pan uważa, że portret nie był przemalowany, ale ja jestem pewien na sto procent, że to jest mój obraz, „Rozczochrana kochanka” – wypalił, nie bawiąc się we wstępy.

– Hmm...

– Nawet rama się zgadza! Pamiętam, bo sam podklejałem na rogu. Kiedyś mi upadł i odskoczyła listewka. Moja żona też najwyraźniej jest przekonana, że to ten sam. Nienawidziła go...

– Zaraz, zaraz... Żona?

– Też się zdziwiłem, jak ją zobaczyłem. I jestem pewien, że to ona podłożyła ogień. Ale niech pan o tym nikomu nie mówi.

– Mój Boże, ale dlaczego to zrobiła!? – zdumiałem się.

– Bo ma kuku na muniu. Nie znosiła tego obrazu i zarazem miała na jego punkcie obsesję. Wisiał w pokoiku na poddaszu. Zachodziła tam czasem na niego popatrzeć. Twierdziła, że jest zaczarowany. I że powinniśmy się go pozbyć. Ściągnęła nawet jakiegoś mnicha, żeby go wyegzorcyzował. Fachura, nie powiem. Chyba godzinę modlił się, śpiewał, wody święconej

i kadzidła też użył obficie, ale żaden diabeł ze środka nie wyskoczył. Kompletnie nic się nie wydarzyło, nawet żarówka nie zamigotała. Zresztą on od razu uczciwie powiedział, że nic nie wyczuwa. I po wszystkim nie chciał pieniędzy, tłumacząc, że nie był do niczego potrzebny.

– Ten obraz panu przepadł...

– Działo się trochę w KPN – wyjaśnił. – Milicja mnie aresztowała, dwa tygodnie trzymali. Jak wyszedłem, dom był obrobiony i zdewastowany. Znikły dwa obrazy Kossaka i szkic Gierymskiego. No i ten Zosowski. Do tego srebra, pamiątki rodzinne i tak dalej... Oczywiście sprawcy nigdy nie zostali ustaleni. Żony nie podejrzewam. – Uniósł rękę. – Chętnie by się tego płótna pozbyła, ale była wtedy u rodziny w Anglii.

– Rozumiem. W czym mogę panu pomóc?

– Słyszałem o panu wiele ciekawych opinii. A tak się składa, że nie znam żadnego detektywa, więc postanowiłem przyjść do pana.

– Nie wiem, czy jestem wystarczająco kompetentny. Zgaduję, że chodzi o obraz?

– Jak go pan wyniósł z galerii, ktoś go ukradł. Policja z pewnością już prowadzi dochodzenie, szuka. Chodzi o to, żeby pan znalazł go pierwszy. Potem przekazemy go do ekspertyzy. Jeśli to „Kochanka”, zabiorę go i tak schowam, że sam diabeł nie znajdzie. Jeśli nie, oddam tamtemu frajerowi i może nawet go przeproszę. W obu przypadkach ma pan zapewnione honorarium.

Cóż, brzmiało to całkiem niegłupio. Byłem tylko ciekaw, co robi Piotrek, jeśli się zorientuje, że obaj szukamy tego samego.

– W zasadzie nie jestem specem od takich współczesnych spraw – bąknąłem.

– Ale mogę spróbować. Czy kogoś pan podejrzewa?

– Nie.

Nie wiem czemu, ale wydało mi się, że kłamię.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy ma pan może jakieś zdjęcia „Rozczochranej kochanki”?

– Coś się znajdzie. Podeślę mailem.

Dziwny człowiek, dumałem, gdy wyszedł. Coś ma na sumieniu... Ale co? I jeszcze ta jego żona. Zamiast się cieszyć, że obraz, którego nie lubiła, wyparował, przeszło trzydzieści lat po „rozstaniu” decyduje się zniszczyć jego, hm... inną wersję? A jeśli wtedy w galerii po prostu się pomyliłem? Jeśli obraz jest ten sam, ale przemalowano wszystko, z tłem włącznie? Przecież nie jestem rzeczoznawcą. A jeśli „Kochanka” to faktycznie przemalowana „Służąca”?

*

Od rana siedziałem w Bibliotece Narodowej. Przeglądałem ilustrowane czasopisma międzywojenne, szczególnie te poświęcone sztuce.

– Że niby nie wiadomo, jak wyglądała „Przestraszona służąca”? A może tylko nikomu nie chciało się dobrze poszukać? – mruczałem.

I oczywiście znalazłem zdjęcie. Nie jedno nawet, lecz trzy. I informację, kto udostępnił obraz na wystawę, tę ostatnią, w czerwcu trzydziestego dziewiątego. Teraz potrzebowałem już tylko przedwojennej książki teleadresowej. I paru minut dostępu do Internetu.

Podjechałem na Ochotę i zaparkowałem. Stare przedwojenne domy, obrabowane i spalone przez Niemców podczas powstania warszawskiego, po wojnie przechodziły różne koleje losu. Zagłębiłem się w płataninę uliczek, odnalazłem adres. Zatrzymałem się po drugiej stronie ulicy i wlepiłem wzrok w szarą, nieciekawą elewację. Tu przed wojną mieszkał farmaceuta Eligiusz

Kramer, któremu Zosowski sprezentował obraz „Przestraszona służąca”. Zapukać czy najpierw zebrać więcej informacji?

Trzej policjanci wyszli zza rogu i nie wdając się w pogawędkę, od razu „przystąpili do czynności”. Po chwili leżałem na chodniku, skuty kajdankami. A nie minęło kolejne dwadzieścia minut, jak siedziałem na twardym zydłu w znajomym biurze.

– Cześć, Robert. – Piotrek westchnął ciężko. – Wszystko zgodnie z moimi przewidywaniami – burknął, patrząc na zegarek. – Czułem, że nie minie piętnasta i będziesz tu dzisiaj siedział. Proszę bardzo, pomyliłem się raptem o osiem minut.

– Podpiąłeś mi pluskwę pod auto! – syknąłem oburzony.

– Yhym... Nie ja podpiąłem, tylko dział techniczny. I nie masz powodu się złościć. Nie zapominaj, że przecież jesteś podejrzany o kradzież i podpalenie. W dodatku domyślałem się, że właściciel obrazu „Rozczochrana kochanka” wynajął cię do jego odzyskania. Wczoraj po południu wyszedł ze szpitala, pojechał do ciebie, złożył propozycję...

– Podśluch też mi założyliście!?

– A po co, jak wystarczy elementarna dedukcja? Wczoraj było już za późno, żeby sprawę ruszyć, za to dziś od rana siedziałeś w bibliotece. Ustaliłeś przedwojennego właściciela płótna, sprawdziłeś jego adres, też przedwojenny. Potem ustaliłeś online w hipotece, że dom nadal jest własnością tej samej rodziny, i poszedłeś powęszyć.

– A ta zasadzka?

– Ano widzisz, drogi i zacny, policja nie jest taką bandą ćwoków, za jaką nas uważają. Sprawdziliśmy nagrania ze wszystkich kamer przy ulicy. Wyizolowaliśmy ze sfilmowanego tłumu człowieka niosącego pod pachą obraz. Ustaliliśmy, do jakiego auta wsiadł. Z innego nagrania odczytaliśmy jego numer. A potem jak po sznurku poszliśmy do jego domu. Grupa dochodzeniowa zrewidowała mieszkanie. Mamy właśnie na dołku szanowanego lekarza, który był łaskaw skorzystać z okazji, jaką dawał pożar,

i rąbnął portret. Szkoda, że nie bardzo ma ochotę na szczere zeznania. Upiera się, że odzyskał tylko swoją prawowitą własność.

– Odzyskaliście obraz? – zaciekałem się.

– Teoretycznie tak. Powiedz mi teraz taką rzecz: ile czasu trwa przemaalowanie olejnego płótna?

– Kilka tygodni, czasem kilka miesięcy. Taki portret, gdzie nakładano wiele warstw, to kupa roboty, farby muszą dobrze wyschnąć, czasem są problemy z wiązaniem się warstw malarskich z podłożem.

– W cztery albo pięć dni się nie da?

– Nie.

– A gdyby użyć lakierów szybkoschnących, akrylu i tak dalej?

– Nijak...

Zamyślił się.

– Co odzyskaliście? – spytałem.

– Mamy jakiś obraz. Jest nadpalony, śmierdzi denaturatem, rama i tabliczka są w porządku. Teoretycznie wszystko się zgadza, ale kierownik galerii stwierdził, że to nie ten eksponat, który u niego wisiał. A i twoja kapota się znalazła, w piwnicy, w kotłowni była, chyba doktorrek chciał ją puścić z dymem.

– Powiedziałeś „jakiś obraz”. Mogę go zobaczyć?

– Robert, jesteś tu w charakterze podejrzanego, a zważywszy miejsce twojego zatrzymania, można dorzucić jeszcze zarzut o współudział w kradzieży, planowanie kolejnej lub co najmniej o próbę mataczenia w śledztwie. Nic ci nie pokażę i przestań mnie wkurzać.

– Ale chcesz rozwiązać tę sprawę? – warknąłem. – To znaczy inaczej: samodzielnie też ją rozwiążesz. Dwa tygodnie ci to zajmie. Może miesiąc.

Ale jak się potwierdzi moja teoria, wynik masz za dziesięć minut.

Łypnął na mnie wrogo.

– Gadaj...

– Mam hipotezę, ale muszę zobaczyć płótno.

Westchnął ciężko, a potem sięgnął po słuchawkę.

Spędziłem nad obrazem kilkanaście minut. Faktycznie, nie do końca pasował do tego, co zapamiętałem z otwarcia wystawy. Kobieta upozowana była identycznie, ale na pierwszy rzut oka widziałem, że przybyło jej ze dwadzieścia lat, a szlafrok zamienił się w płaszcz. Zrobiłem zdjęcie, zgrałem na tablet i nałożyłem na obrazy przedstawiające służącą i kochankę.

– To jest ten sam portret – zameldowałem. – To ten, który zniknął z galerii, a zarazem zaginiony przedwojenny akt „Przestraszona służąca” i obraz „Rozczochrana kochanka”, też zaginiona. Odzyskałeś fant. Pytanie tylko, w czyje ręce powinien wrócić...

– Przepraszam, ale to, co gadasz, to jakaś kompletna paranoja – parsknął Piotrek. – Przecież na pierwszy rzut oka widać, że to zupełnie różne malowidła!

– „Przestraszona służąca” była naga. „Rozczochrana kochanka” była prawie goła, nakryta tylko zwiewnym jak pajęczyna szalem. Obie stały na tle okna, przez które widać było jasny, górzysty krajobraz. „Żona” okno miała zasłonięte kotarami, a sama była w szlafroku, ta zaś, nazwijmy ją „babcia”, ma płaszcz... Ale to ten sam obraz.

– Przemalowali? Gadałeś, że się nie da tak szybko.

– Nie do końca... Muszę zdemontować ramę – rzuciłem, wyjmując z torby cyfrowy mikroskop, tablet i multitool.

– Nie wolno... No dobra, ale wnioski podasz mi do protokołu i podpiszesz jako rzeczoznawca – zaczął, a ja już wyciągałem gwoźdźniki. – Siedzą głęboko, nikt ich nie ruszał przez ostatnie miesiące – zauważył.

– Albo i lata.

Obluzowałem blejtram i wyjąłem. Wzdłuż krawędzi, gdzie płótno wpuszczone było głęboko w felc ramy, zachowało pierwotne kolory.

– Mamy dowód – zameldowałem.

– Na co? – burknął.

– Zobacz na kolory tam, gdzie na farbę nie oddziaływało światło.

– Śliczne. Jaskrawe, rzekłbym: jarmarczne. A teraz gadaj, o co biega.

– Zosowski był geniuszem – szepnąłem. – Geniuszem absolutnym. Wykonał obraz, który żyje, portret, który się starzeje. To początkowo był typowy akt, obraz młodej nagiej dziewczyny. W ciągu kilku dekad pojawił się na jej ciele zwiewny szal. Potem szal zmienił się w szlafrok, szlafrok w płaszcz. Sama twarz nabrała dojrzałości. Żona mojego klienta zwróciła na to uwagę, przestraszyła się, ściągnęła egzorcystę, ale w tym nie ma żadnej magii, więc nie pomógł.

– To ona oblała obraz denaturatem i podpaliła?

– W każdym razie denaturat jest lotny i palił się zbyt krótko, żeby zajęła się osnowa, zabezpieczona wieloma warstwami zeschniętej farby olejnej. Temperatura spowodowała jednak przyspieszenie procesu i transformację dojrzałej kobiety w staruszkę. Teraz mamy efekt finalny... Obraz ma lat przeszło siedemdziesiąt, a kobieta na nim zestarzała się odrobinę wolniej.

– Robert, co ty pierdolisz!? Jak niby...

– Zosowski był z zawodu inżynierem chemikiem. Specem od kolorowej fotografii. Zrobił własne farby, takie, które powolutku zmieniają kolor. Lakierzy z pozoru bezbarwne, które jednak z czasem w zaplanowany sposób tracą przejrzystość. Idę o zakład, że w tych powłokach znajdziemy związki srebra – wyjaśniłem. – Zostały bardzo umiejętnie dodane do pigmentu. Latami utleniały się, następował ich barwny rozpad, a dobrano je tak, by uzyskać odpowiedni efekt. Obraz zmieniał kolory, pojawiały się na nim

detale wcześniej niewidoczne, a te już widoczne stopniowo zanikały. Postać dojrzewała, obraz „wygrzeczniał”. Potomek Kramera, ten lekarz, chyba o tym wiedział. Poszedł się więc upewnić... Pożar dał mu okazję odzyskać to, co uważał za swoje. Mój klient domyślał się chyba czegoś, aktualny właściciel zaś tylko cieszył się, że za psi pieniądz kupił od jakiegoś ubeckiego synka cenny unikat.

– Czyli to nie były trzy obrazy, ale jeden w, nazwijmy to, trzech fazach istnienia!? A po podgrzaniu w pożarze transformował i mamy przed sobą jego czwarte wcielenie!?

– Tak. Chcę powiedzieć, że jest to genialne, ponadczasowe dzieło nie tylko artysty malarza, ale także wytrawnego chemika i fotografa. Obiecał Szukalskiemu, że wróci, gdy dokona czegoś genialnego i ponadczasowego. Dokonał. Tylko że już nie wrócił...

Kumpel patrzył na mnie bardzo długo.

– I co ja mam teraz zrobić? – burknął.

– Nie wiem. Protokół napisać? Zawsze twierdziłeś, że nikt tego nie czyta. A właściciele niech idą do sądu, tam ustalą, kto ma największe prawa do obrazu.

*

Zapadał jesienny zmierzch. Nie zapalałem jeszcze światła. Lepiej myślało mi się w półmroku. Siedziałem ze szklanką herbaty doprawionej winem. Patrzyłem na obraz Zosowskiego, wiszący nad wejściem do sypialni. Niewielki pejzaż, kupiony kilka lat temu od chłopca, przedstawiał przecinkę w sosnowym lesie. Na obrazie, gdy go zdobyłem, panowała jesień. I nadal

była to jesień. Zmiany, które zaszły w ciągu dwóch lat, były na tyle nieznaczne, że wyłapałem je dopiero teraz, godzinę wcześniej porównując zdjęcia wykonane cyfrowym aparatem.

Gdyby udało się odwrócić ten proces... – myślałem, skrobiąc kolejne wzory chemiczne w notesie. Czy mógłbym zobaczyć, jak ten las wyglądał latem i wiosną? Albo czy zdołałbym powstrzymać nadejście zimy?

Tak, to chyba możliwe. Tylko właściwie po co?

Zemsta Śmieciarzy

Marzec dobiegał końca. Śniegi stopniały już dawno, na drzewach niebawem miały się pojawić pierwsze pączki. Słońce coraz śmieiej wyglądało zza szarych chmur. Czułem już w powietrzu wiosenną gorączkę. Ale na koncie nadal panowała sroga zima... Zlecenia pojawiały się sporadycznie. W dodatku te, które przychodziły, nie wymagały może szczególnego pomysłu, ale też nie przynosiły specjalnie dochodów. Magda pojechała na wymianę studencką do USA, miała wrócić dopiero w czerwcu, przez co dysponowałem dużą ilością wolnego czasu, z którym nie wiedziałem, co robić. Oprawiałem książki, dłubałem, przywracając różnym przedmiotom dawny blask, czytałem, włóczyłem się po targowiskach, usiłując wypatrzeć w stosach szmelcu rzeczy cenne, acz niepozorne, przegapione przez innych szperaczy. Ale to wszystko nie rozpraszało nudy i apatii. Zestarzałem się czy co? W końcu trzydziestka na karku to nie w kij dmuchał... Trzeba się ustatkować, założyć rodzinę. Jednocześnie nie mogłem pozbyć się dziwnego przecucia, że coś się kończy. Nawet grzebanie w starych gazetach już mnie nie cieszyło.

To już nie jest moje miasto, myślałem, patrząc przez okno tramwaju.

Warszawa umiera, rok po roku... Zarasta ją pleśń, nowe budynki, nowi ludzie, nowe problemy. W miejsce warsztatów, antykwariatów i księgarni – lumpeksy i sklepy sieciowe. Tam, gdzie kiedyś kupowałem skórę do oprawy książek, dziś mieści się lokal dla hipsterów o debilno-fikuśnej nazwie. W miejsce zburzonych fabryk i fabryczek wzniesiono biurowce dla japiszonów. Nie ma już różnicy, czy to centrum Berlina, czy Warszawy. Takie same sklepy, taki sam chłam, wszędzie taka sama niklowana stal i szkło. Nawet Praga Północ traci zęby i pazury. Starzy fachowcy zamykają ostatnie zakłady. Za kilka lat po prostu nie będzie gdzie kupić pędzla do golenia z prawdziwego borsuczego włosia albo porządnej szczotki ryżowej. Już dziś trudno o szare mydło czy bejcę w proszku do samodzielnego rozrobienia. Sklepiki zostają pożarte przez sieci handlowe. Od lat nie widziałem fury z węglem... Wymarli wąsaci ciecie kręcący się w bramach, nikt nie używa mioteł z brzoźowych witek. Któregoś dnia obudzę się w zupełnie obcym miejscu, nienawistnym i co gorsza, kompletnie niezrozumiałym... Wyjechać? Dokąd? Walczyć? Niby jak?

Wysiadłem przed Biblioteką Narodową. Ostre, wiosenne słońce wydawało się wręcz nie na miejscu. Zapach wilgotnej ziemi i zgniłych liści wiercił w nosie. Zrudziała trawa jeszcze nie zabierała się do wypuszczenia zielonych pędów. Przez gałęzie nagich drzew widziałem zarys potężnego gmachu. Począłem do wejścia. Namacałem w kieszeni plastikową kartę, wyjąłem ją i obejrzałem po raz setny. Ładna, biała, z wdrukowanym zdjęciem. Ale wołałem poprzednią, sporządzoną na bazie żółtej tekturki. Papier powstaje z drewna. Przyjazny, naturalny surowiec. Odnawialny, biodegradowalny. A plastik? Robi się go z ropy naftowej, czyli maceratu martwych od milionów lat dinozaurów. Dinozaury lubiłem jako dziecko. Potem mi przeszło...

– Niby to lepiej, wygodniej, szybciej. Zamawiam sobie książki z domu przez Internet, w czytelni tylko odbieram, ale to też zmiana... – burknąłem pod nosem. – A gdzie rzeczy stałe, uświęcone tradycją, nienaruszalne?

W przerwie zaszedłem do barku napić się kawy. Przy jednym ze stolików z zaskoczeniem spostrzegłem dwóch znajomych kolekcjonerów – pana Hieronima i jego brata, mechanika Piotra. Obaj starszycy deliberowali o czymś nad filiżankami z kawą. Grube szkła połyskiwały w identycznych oprawkach, udających szylkret. W niemodnych marynarkach i zaprasowanych w kant spodniach wyglądali jak dwaj emerytowani profesorowie, którzy zaszli zapoznać się z najcenniejszymi okazami księgozbioru.

– Telepatia – mruknął stary inżynier, wskazując mi wolne siedzenie. – Właśnie rano gadaliśmy, że trzeba by do ciebie zadzwonić, ale włączała się poczta głosowa.

– Siedziałem od ósmej trzydzieści w czytelni, dlatego wyłączyłem telefon – wyjaśniłem.

– Dobrze, że się widzimy. Jest sprawa – odezwał się pan Piotr.

– Zamieniam się w słuch. – Zająłem miejsce i postawiłem swoją filiżankę na blacie.

– Słyszałeś na pewno o monetach łódzkiego getta?

– Owszem. Trudny temat – westchnąłem. – Kolekcjonerzy pożądamy przede wszystkim egzemplarzy w idealnym stanie, a o takie bardzo trudno. Były bite przeważnie ze stopu aluminium z magnezem, czasem w czystym magnezie, ten metal jest bardzo reagentny, powierzchnia z reguły ulegała kompletnie dzikim przemianom chemicznym. Te, które trafiły do ziemi, są w zasadzie nieczytelne. Korozja je zżarła. Przetrwało ich niewiele, bo inflacja pozbawiła je większej wartości, ale zarazem ten metal się pali jak złoto, więc Żydzi w getcie używali ich jako rozpałki w piecach. Do tego oryginalne klocki przetrwały likwidację getta i posłużyły po wojnie do licznych fałszerstw, często bardzo trudnych do identyfikacji. Ostatnio pojawiły się też egzemplarze monet o nominale pięćdziesięciu marek, choć uznano je za

falsyfikaty. Nie ma dowodów, żeby takowe kiedykolwiek istniały.

– Ha! Czyli znasz temat! – ucieszył się pan Hieronim.

– O tyle o ile. A dlaczego pan pyta?

– Czy słyszałeś o egzemplarzach monet z getta wybitych w innych metalach? Nie w aluminium, nie w magnezie, nie w fosforobrazie – zagadnął jego brat.

– Istnieją egzemplarze wybite w srebrze, badali je fachowcy. Prawdopodobnie to monety próbne albo wybite na pamiątkę przez mincerzy z getta. Z USA ostatnio dotarło na nasz rynek kilka egzemplarzy miedzianych, ale uznano je za fałszerstwa.

– A w złocie? – w głosie mechanika wyczułem napięcie.

– Złote? No cóż... To takie yeti... Słyszał o nich każdy, kto się interesował tematem, nieliczni twierdzą, że widzieli je na własne oczy, ale żaden poważny badacz numizmatyk nie miał czegoś podobnego w ręce. Nie zostały opisane w fachowej literaturze. Jednak jest wysoce prawdopodobne, że istniały naprawdę, gdyż wspominają o nich źródła z epoki. Szef judenratu w łódzkim getcie, Rumkowski, miał zlecić ich wybicie, aby z ich pomocą pozyskiwać przychylność zakumplowanych esesmanów. Kiepsko mu to kumplowanie się wyszło, bo w którymś momencie „przyjaciele” uznali, że nie potrzebują już jego usług. Zapakowali go do wagonu i wysłali do Auschwitz. A tam miał pecha, bo trafił wśród funkcyjnych więźniów na swoich z Łodzi. Wedle zachowanych relacji za to, co nawywijał w getcie, byli poddani wsadzili go żywcem do pieca krematoryjnego. – Wzdrygnąłem się mimowolnie.

– Te monety... Mam na myśli złote. Ile mogą być warte, jeśli istnieją? – dociekał pan Piotr.

– Jedyny znany egzemplarz monety dwudziestomarkowej wybitej w złocie pojawił się na aukcji w Monachium w połowie lat osiemdziesiątych, uzyskując cenę niemal stu tysięcy marek zachodnioniemieckich, czyli wedle ówczesnego kursu ponad czterdziestu tysięcy dolarów. Problem w tym, że gdy dwie dekady później właściciel usiłował go sprzedać w Nowym Jorku,

eksperci uznali monetę za fałszerstwo – powiedziałem.

Zapadła cisza. Oni układali sobie w głowach to, co powiedziałem, a ja czekałem podekscytowany. Parę razy zlecali mi różne zadania. Za każdym razem ich zlecenia były naprawdę fajne. I pomyśleć nad nimi musiałem, i przygód nie brakowało... No i płacili naprawdę przyzwoicie, niezależnie od efektów.

– Wyobraź sobie, że jest pewien człowiek, który zaoferował do sprzedaży siedem sztuk. Chce za nie pół miliona złotych – odezwał się pan Hieronim.

– Za sztukę?

– Za zestaw.

Zamyśliłem się. To zabrzmiało cokolwiek zbyt fantastycznie.

– Powiedziałbym, że cena jest niezwykle okazjna – zawyrokowałem wreszcie. – O ile są prawdziwe i o ile nie wypłynie ich więcej. Gdyby był pan monopolistą, wystarczy sprzedawać jedną na pięć lat, żeby spokojnie za to żyć. Kolekcjonerzy dadzą za każdą kilkaset tysięcy dolarów. Może i milion. Cena wszelakich judaików w ostatnich dekadach znacząco wzrosła. Pod warunkiem oczywiście, że to autentyki.

– Pod warunkiem – westchnął pan Piotr. – W dodatku sama transakcja jest, jak by to powiedzieć...

– Za gotówkę, płatne z ręki do ręki? – domyśliłem się.

– Tak. Do tego tożsamość sprzedawcy nie zostanie ujawniona.

– A możliwość sprawdzenia towaru przed transakcją?

– Owszem, ale wyłącznie na miejscu – wyjaśnił pan Hieronim. – Możemy zabrać ze sobą fachowca. Możemy mieć laptopa, mikroskop, tego typu sprzęt. Żadnych telefonów, żadnego dostępu do netu. Finalizujemy i rozchodzimy się w dwie strony. Pomyślałem o tobie. Pojechałbyś z nami jako rzeczoznawca?

– Nie jestem numizmatykiem. – Rozłożyłem ręce.

– Wiemy. Ale masz łeb na karku. I to łeb pracujący jak komputer kwantowy. W dodatku powszechnie znany jesteś z żelaznej uczciwości i ogromnej fachowości. Oraz sprzyja ci szczęście. A to też może mieć znaczenie – skomplementował mnie pan Piotr.

– Moneta może być prawdziwa albo fałszywa... Ale jest jeszcze trzecia możliwość. Co zrobimy, jeśli nie będę pewien? – Wzruszyłem bezradnie ramionami.

– To po prostu nie kupimy – uciął mechanik. – Za to, jeśli monety okażą się prawdziwe, zamierzamy sprzedać je kilku bogatym instytucjom, a tobie odpalimy jako wspólnikowi dziesięć procent. To chyba uczciwa propozycja?

– Oczywiście. Jednak zważywszy na unikatowość zbioru oraz ogólne zainteresowanie tematem, zastanawia mnie jedna kwestia. – Pociągnąłem łyk kawy.

– Tylko jedna? – Pan Hieronim uśmiechnął się kpiąco.

– Szczególnie jedna – uściśliłem. – Dlaczego ten człowiek sam nie chce ich sprzedać bogatym Żydom czy Amerykańcom. Podejrzewam tu grubszą aferę.

– Myślałem nad tym – odezwał się jego brat. – Wydaje mi się, że ich pochodzenie jest trefne jak cholera...

– To mamy raczej jak w banku – westchnąłem. – W realnym świecie nie ma czystych interesów dających czterdziestokrotne przebicie.

– Może sprzedający dostał je od dziadka szmalcownika albo i esesmana. Może ukradł komuś? Jakiemuś staremu naziście albo przysłowiowemu wnuczku wermachtowca. W każdym razie to on wyznaczył cenę. Z jakiegoś powodu nie chce tego osobiście wprowadzać do obiegu.

– I my, próbując sprzedać to dalej, możemy ściągnąć na siebie kłopoty. A gdy wystawimy pierwszą, wieści rozejdą się szybko. Wolałbym uniknąć procesu o paserstwo – mruknąłem.

- My też – zgodził się pan Hieronim.
- W dodatku, jeśli ukradł to starym nazistom lub ich wnukom, może być i tak, że na policję wprawdzie nie zadzwonią, ale mogą zechcieć przestrzelić nam kolana albo i potylice... Nie da się wykluczyć, że dziadek z SS zostawił im na przykład ulubionego lugera.
- Skalkuluj ryzyko.
- Wiemy, kim jest ten człowiek?
- Nie bardzo. Mamy adres e-mail. Przedstawił się jako mistrz Igor.
- Mistrz... – Poczułem ukłucie niepokoju. – Tak po prostu mistrz? Jakiegoś cechu? Czy może artysta z przerostem ego? Albo szef łoży masońskiej?
- Cholera go wie. W każdym razie nawiązał z nami kontakt, wiedział o istnieniu Grona Jarzębiny. I wiedział, że jesteśmy jego członkami.
- A to już zupełnie mi się nie podoba.
- Nam też. Ale obejrzyć ciekawy fant nic nie kosztuje i do niczego nie zobowiązuje – zauważył pan Piotr. – Może nam się poszczęści i kupimy cenne unikaty.
- Albo dostaniemy w łeb.
- Wymyśl coś.

Nie podobało mi się to zlecenie. Cholernie mi się nie podobało. Ale pomyślałem o przyszłości. Dobiegałem trzydziestki. Cały mój majątek stanowiło mieszkanie i zebrana w nim kolekcja rzeczy kuriozalnych, ale w sumie niewiele wartych. Magda wróci za pół roku z Ameryki. Trzeba kupić pierścionek, oświadczyć się, założyć rodzinę, zapewnić jej byt i tak dalej. Zanim pojawią się na świecie dzieci, warto by wyrwać się gdzieś na kilka dni, pozwiedzać, zobaczyć coś ciekawego. Wstyd przyznać, ale nie widziałem nigdy Galerii Uffizi we Florencji ani wczesnochrześcijańskich bazylik w Rawennie. Warto też mieć cokolwiek odłożone na koncie. Tak żeby comiesięczny czynsz nie stawał się małą katastrofą.

– Pojadę.

*

Półciężarówka pozbawiona bocznych okien parkowała w umówionym miejscu, na parkingu przed galerią handlową. Kierowca na nasz widok wysiadł z szoferki. Nie spodobał mi się ten typek. Wyglądał dziwnie. Gładko ogolony, nijaka gębusia drobnego cwaniaczka. Ubrał się niby normalnie, ale czułem, że swobodniej poruszałby się w dresiku. Byłem niemal pewien, że nigdy nie widziałem wcześniej tej twarzy.

– Panowie, zapraszam. – Odsunął boczne drzwi.

Na dłoni, u nasady kciuka miał niewielką bliznę. Zaciął się kozikiem czy może usunął bandziorski tatuaż w postaci kropki?

Zapakowaliśmy się do wnętrza.

– Zgodnie z umową żadnej broni, żadnych telefonów. – Wyjął mały wykrywacz metali. Obszukał nas szybko i sprawnie. Pan Hieronim otworzył neseser, pokazując ułożone starannie paczki banknotów. Ja uniosłem wieko swojej walizki. Laptop, mikroskop, zasilacz. Koleś kiwnął głową i zatrzasnął drzwi.

Wewnątrz pojazdu było ciemno, ale zapalono dla nas małą lampkę. Siedzenia były mocno zużyte i każde z innego kompletu. Woził nas może dwadzieścia minut, często zmieniając kierunki. Milczeliśmy, bo o czym niby mieliśmy gadać? Wreszcie zjechaliśmy po jakiejś pochylni i furgonetka się zatrzymała. Koleś otworzył drzwi.

Byliśmy w typowym garażu pod jakimś domem. Sądząc po szarych bloczkach żużlobetonowych, budynek wzniesiono w latach siedemdziesiątych. Po wąskich schodkach weszliśmy na piętro. Czułem narastającą irytację. Od dziecka lubiłem umieć zlokalizować swoje położenie na mapie i bardzo źle czułem się, nie wiedząc, gdzie znajduje się północ. Właściciel przyjął nas w salonie. Przed naszym przyjściem zasunął rolety i zapalił lampy. Najwyraźniej nie chciał, żebyśmy wyglądali przez okna. Rozejrzałem się. Wnętrze umeblowano antykami, i to nie byle jakimi. Meble, jeśli nie były mistrzowsko wykonanymi kopiami, pochodziły z początku dziewiętnastego wieku. Na ścianie wisiały cztery obrazy w masywnych ramach. Wszystkie cztery zasłonił starymi obrusami, najwyraźniej nie chciał, żebyśmy je zobaczyli. Pośrodku pomieszczenia stał masywny stół i sześć krzeseł. Gospodarz stał przy nim właśnie.

– Mistrz Igor – przedstawił się.

Wymieniliśmy nasze imiona. Miałem na końcu języka pytanie, jakiej też organizacji jest mistrzem, ale zmilczałem. Nie podał nam ręki, a gdy odruchowo przeczesał ciemne, krótko obcięte włosy, zobaczyłem jego dłonie, pokryte bliznami, przebarwieniami i liszajami. Co mogło je tak zniszczyć? Rozległe zakażenie jakimś paskudztwem i zgorzel gazowa? Nie podobał mi się ten facet... Cholernie mi się nie podobał. Gęba jak gęba, podłużna twarz, twarde ostre rysy, wyraźne bruzdy wokół zaciśniętych ust. Był opalony jak człowiek, który dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. Nie potrafiłem określić jego wieku, mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Nie budził swoim wyglądem zaufania, wręcz przeciwnie, czułem, jak wszystko we mnie się napina. Dużo bym dał, żeby dowiedzieć się, kim jest. A także kim był jego dziadek i co robił w czasie wojny. I skąd, u licha, ma te monety?

Usiedliśmy. Przeanalizowałem spostrzeżenia. Po pierwsze, w tym domu nikt od dawna nie mieszkał. Nie było czuć zapachu gotowanego jedzenia, nie było czuć woni kawy. Ba, nawet petami tu nie śmierdziało. Po drugie, w kącie wypatrzyłem klimatyzator, a na meblach aż trzy różne higrometry. Kto trzyma w domu urządzenie do mierzenia wilgotności powietrza? No dobra, sam takie miałem... Po trzecie, pomieszczenie przed naszym przyjściem odkurzono, ale po łebkach. Na gzymsie szafy leżała szara kołderka kurzu,

gruba na pół centymetra. Po czwarte, co za kretyn ustawia w kątach mieszkania pułapki na szczury?

Magazyn, uświadomiłem sobie. Ten dom to magazyn antyków, raczej rzadko odwiedzany. Rzeczy tu stoją i czekają na lepsze czasy. Raczej nie jest to zaplecze pracowni konserwacji, bo nie czuć w powietrzu świeżej woni chemikaliów. Na potrzeby spotkania posprzątano tu pospiesznie, a wnętrze zaaranżowano tak, by wyglądało jak zwykły salonik.

Samo w sobie nie było to jeszcze bardzo podejrzane. Facet oferował cenny skarb. Zapewne bał się ujawnienia swojej tożsamości i adresu. Ale mogło być też tak, że chce zrobić przekręt i z tego powodu stara się zachować incognito. Bo przecież mógł z tym przyjść i spotkać się na naszym terenie.

– Panowie – odezwał się wreszcie gospodarz – oto przedmiot mojej oferty.

Z szuflady pod blatem stołu wyjął nieduże drewniane pudełko. Na wierzchu wyrzeźbiony był góral palący fajkę. Znałem takie skrzyneczki. Wewnątrz zazwyczaj kryły lustro i schowek na utensylia do golenia. Taka przedwojenna przenośna toaletka dla mężczyzn. Otworzył. Na deseczce obitej czarnym aksamitem, w zagłębieniach zrobionych na wymiar, leżało siedem złotych krążków.

– Dlaczego pan to sprzedaje? – zagadnąłem.

– Nie chcę mieć ich w domu.

Odniosłem wrażenie, że kłamie. Coś z tym kołesiem stanowczo było nie tak. Nie potrafiłem dokładnie tego zdefiniować, ale czułem narastające napięcie.

– Okupione krwią – westchnąłem niby to domyślnie. – W getcie działały się straszne rzeczy. Rumkowski był złym człowiekiem...

– I tak, i nie – mruknął mężczyzna. – Pragnął przeżyć i przy okazji uratować jak największą liczbę swoich podwładnych. Przekształcił getto w świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, pracujące na rzecz wermachtu. Robili dla Niemców buty, szyli mundury. Byli zbyt potrzebni, żeby opłacało się ich zgładzić. Dzięki temu wielu dotrwało do końca wojny.

– Potrzebni byli tylko do czasu. No i problem z ceną tego przetrwania – zauważyłem. – Są sytuacje, w których sprawdza się nasze człowieczeństwo. Wie pan, czym była tak zwana Wielka Szpera? Wywieziono do obozów zagłady wszystkie dzieci, starców, chorych i kaleki. I to Rumkowski zażądał od Żydów z getta, by dobrowolnie odstawili swoich krewnych na rampę. Jego przemówienie o ociosywaniu gałęzi dla ratowania pnia to jeden z najohydniejszych tekstów, jakie czytałem. Gdy ludzie się zbuntowali i odmówili, służba porządkowa do spółki z Niemcami przeczesła kamienicę po kamienicy.

– Może po prostu nie było innego wyjścia? – Spojrzał na mnie obojętnie.

Miał zimne oczy gada.

– Ale gdzie honor, empatia, elementarne poczucie przyzwoitości? Przecież ten człowiek przed wojną był powszechnie znanym i szanowanym działaczem syjonistycznym! Żydzi bardzo długo mu ufali. A wyjście miał. I to niejedno. Mógł odmówić, mógł uciec na stronę aryjską, mógł honorowo strzelić sobie w łeb.

Moja wypowiedź zawisała jakby w powietrzu, gospodarz nie podjął tematu.

– Panowie? – Przechylił pytająco głowę.

Pan Hieronim otworzył aktówkę, pokazując pieniądze.

– Pan Robert wykona dla nas ekspertyzę – odezwał się Piotr.

Gospodarz nie zgłaszał obiekcji. Rozstawiłem mikroskop i laptop, podłączyłem. Założyłem niciane rękawiczki. Powierzchnia jednej z monet nie była idealnie gładka, widziałem nikłe ślady jakichś wcześniejszych rysunków i napisów. Amerykańska dziesięciodolarówka z Indianinem najwyraźniej posłużyła do wykonania próby technicznej klocków. Serce uderzyło mi nieco mocniej. W przedwojennej Polsce istniał zwyczaj, że pierwszą próbną partię nowych monet wykonywano w złocie. Znałem też pięciozłotówkę odbitą nie na przygotowanym krążku metalu, ale w srebrnej carskiej monecie jednorublowej. Czyżbym miał do czynienia z próbną partią dwudziestomarkówek?

Zacząłem od najprostszego testu. Gdy byłem mały, dziadek zabrał mnie do swojego przyjaciela, przedwojennego jubilera. Żyda. Ten nauczył mnie rozpoznawania złotych i srebrnych monet „na słuch”. Długie to były lekcje, wiązali mi oczy i kazali rozpoznawać monety po brzęknięciu, jakie wydawały trącane metalem lub rzucone na marmurowy blat. Położyłem krążek na opuszcze palca wskazującego i stuknąłem w rant krawędzią drugiej monety. W powietrzu rozległ się ładny, czysty dźwięk.

– Tłoczona pod prasą balansową – mruknąłem do siebie.

Te bite maszynowo dźwięczały ślicznie jak dzwoneczki. W zasadzie miałem już pewność, że to złoto przyzwoitej próby, ale – jak to mówią – „na oko chłop w szpitalu umarł”... Wyjąłem bardzo czuły mikrofon, podpiąłem go do laptopa. Uruchomiłem aplikację. Uderzałem po kolei monety, obserwując falę dźwiękową, prezentowaną na ekranie. Próba 900. Czyli zgodnie z przekazami.

Podłożyłem monetę pod obiektyw mikroskopu i wywołałem obraz na monitorze. Dobry nastrój prysł w jednej chwili. Oglądałem po kolei wszystkie. Sprzedawca śledził każdy mój ruch, jakby bał się, że którąś monetę ukradnę albo podmienię. Wreszcie odłożyłem ostatnią na miejsce i zdjąłem rękawiczki.

– Czy potrzebujesz więcej czasu? – zapytał pan Hieronim.

– Nie. – Pokręciłem głową, zapisując obraz w pamięci komputera.

– Zatem słuchamy – odezwał się jego brat.

Chyba odgadli po mojej minie, co chcę powiedzieć.

– Zaprezentowane egzemplarze zostały wykonane w technice tłoczenia, z uczciwego złota próby dwudziestu dwóch karatów, ale to falsyfikaty.

– Że niby co?! – zapienił się gospodarz.

Moi towarzysze uciszyli go syknięciami. Otworzyłem zdjęcia spod mikroskopu na ekranie monitora.

– Wiadomo, że matryce do bicia monet zostały ukryte pod koniec okupacji. Po wojnie walory pieniężne z getta łódzkiego były poszukiwane przez kolekcjonerów. Pokusa ich fałszowania rosła wraz ze wzrostem cen. Pierwsza większa partia trafiła na łódzkie bazy pod koniec lat pięćdziesiątych. Wedle legendy monety znaleziono w magazynie łódzkiej wytwórni filmów. Były wykonane dość starannie, ale fachowcy szybko je zidentyfikowali. Prawdopodobnie w połowie lat sześćdziesiątych ktoś odnalazł oryginalne sztance. Falsyfikaty nimi wykonane, czasem bardzo trudne do odróżnienia od prawdziwych emisji, pojawiały się sporadycznie aż do początku lat osiemdziesiątych. Nie było ich wiele, wytwórca postępował bardzo ostrożnie. Robił je w krótkich partiach, rozprowadzał przez łańcuszki pośredników. Potem ich dopływ ustał. Producenta nigdy nie namierzono. W tym przypadku, sądząc po ostrości szczegółów rysunku, śladach wyoblen materiału i widocznych na tle pozytywów mikropęknięć, te monety wykonano mocno już zużytymi oryginalnymi matrycami z getta. Proszę zwrócić uwagę na ten ślad uszkodzenia na cyfrze 2. – Wskazałem punkt na ekranie. – Nie ma go na monetach o potwierdzonej autentyczności, znajdujących się w zbiorach instytutu Yad Vashem i muzeum Polin w Warszawie. Nie ma go też na monetach zidentyfikowanych po czasie jako fałszerstwa, a nabytych przez muzeum w Łodzi na początku lat sześćdziesiątych. Uszkodzenie matrycy musiało nastąpić jeszcze później. Jak sądzę, metal pękł nie wcześniej niż w latach siedemdziesiątych, może osiemdziesiątych. Monety te ktoś przechowywał dłuższy czas, zapewne traktując jako lokatę kapitału.

– Chcesz powiedzieć, że to fałszerstwo!? – Sprzedawca spiorunował mnie wzrokiem.

– Bardzo finezyjne i wykonane przez dobrej klasy fachowca. Oryginalnymi klockami z getta. Ale według mnie nie ulega wątpliwości, że to falsyfikaty, które zapewne powstały w schyłkowym okresie istnienia Peerelu. Obecne podróbki, te notowane od początku lat dziewięćdziesiątych, w ogóle nie są już wykonywane prawdziwymi matrycami.

– No cóż, obawiam się zatem, że nie ubijemy interesu – westchnął pan Hieronim.

– Panowie wierzą słowom tego szczeniaka?! – Sprzedawca aż się zapluł.

– Pan Storm nieraz dał dowody wybitnej fachowości. Możemy oczywiście iść z tym do innego eksperta. Na przykład profesor Suchodolski, numizmatyk. Wprawdzie jest specem od średniowiecza, ale myślę, że poradzi sobie z tym zadaniem.

Propozycja zawisła w powietrzu. Spojrzałem na sprzedawcę i poczułem strach. Pół miliona złotych leżące na stole... Niejeden byłby gotów zabić za takie pieniądze, a ten wyglądał na twardego, ostrego dziada. No i jeszcze ten jego kierowca.

– No cóż, zatem pożegnam panów – warknął gospodarz.

Łypnął na mnie i zmrużył oczy. Znałem to spojrzenie. Mówiło wyraźnie: „jeszcze się policzymy”.

– Tak będzie najlepiej. Jeszcze jedno – mruknąłem. – Wychodzimy przez drzwi. Żadnego idiotycznego wiązania oczu i jazdy w kółko po mieście furgonetką. W końcu w tej walizce jest trochę grosza...

Jego spojrzenie stwardniało. Uśmiechnąłem się przepaszająco i docisnąłem boki rzekomego zasilacza. Obudowa otworzyła się z trzaskiem. Wyjąłem dwa malutkie belgijskie rewolwery Gatlinga. Jeden od razu wręczyłem panu Hieronimowi, drugi wsunąłem do kieszeni spodni. Rewolwery wyglądały jak zabawki, strzelały nabojami do kbks-u, jednak dzięki ołowianym czubkom, przy prowadzeniu ognia z bliska, a zwłaszcza z przyłożenia, działały jak zakazane kule dum-dum. Wyrywały w ciele dziury, które trudno by nakryć czapką...

– Gdybym chciał was zabić, to... – Facet wydał wargi i wzruszył ramionami.
– Ale jak sobie chcecie. Pies was trącał. Znajdę innych chętnych.

Wyszliśmy. Przodem pan Piotr z walizkami, my za nim, ubezpieczając. Widok Targówka zaskoczył mnie tylko trochę. Odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem, gdzie jestem. Umialem już określić strony świata. Jeśli oferent coś knuł, walka odbędzie się na otwartej przestrzeni. Zgodnie z umową żaden z nas nie miał telefonu, ale niebawem znaleźliśmy przystanek, a przy nim postój taksówek. Pół godziny później siedzieliśmy już bezpiecznie w willi na Ochocie, a walizka z kasą spoczywała w sejfie. Nalaliśmy sobie po kieliszku

koniaku. Kolekcjonerzy nakroili twardego włoskiego sera. Pod taką zagrychą grzech nie wypić. Kawa też dobrze nam zrobiła, napięcie powoli spłynęło.

– To na pewno były fałszy? – zagadnął pan Hieronim pro forma.

– Przykro mi, ale na sto procent. Dam sobie rękę uciąć.

– Szkoda.

– Ja też żałuję.

– Sądysz, że wiedział, co nam wciska? – zadumał się pan Piotr.

Zamyśliłem się. Przeanalizowałem raz jeszcze minuta po minucie całą wizytę. Zastanowiłem się nad zachowaniem sprzedawcy.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że albo wiedział, albo był tego prawie pewien. Raczej próbował nas zrobić w bambuko. Bardzo okazjna cena, pośpiech przy transakcji. Nie przewidział tylko, że się połapiemy. Nie miał planu awaryjnego, jak przechwycić forszę. Bo faktycznie monетки wykonano po mistrzowsku. Zwykle porównanie z oryginałami nic by nie dało. Zidentyfikowałem kant tylko na podstawie mikrouszkodzeń i stopnia zużycia stempla. Pewnie dobry fachowiec wyczytałby z nich znacznie więcej, ale diagnoza byłaby podobna. Moim zdaniem facet jest oszustem, ale generalnie zna się na antykach.

– Z czego to wnosisz?

– Meble, które miał w salonie, nie tworzyły kompletu. Każda rzecz z innej parafii, ale dobrane i zestawione w logiczny układ. Większość nosiła ślady mocnego zużycia i bardzo fachowej naprawy. Ma tam magazyn. A dom spory. Kilkadziesiąt, może kilkaset mebelków. To nie w kij dmuchał. Ale to nie jest nikt znany w branży. W każdym razie z twarzy go nie kojarzę.

– Ja też nie. – Pan Hieronim pokręcił głową. – Albo mózg szajki, albo słup. Niepokoi mnie, że zaoferował monетки akurat członkom Grona. Nie dość, że wie o naszym istnieniu, to jeszcze ocenił jakoś nasze możliwości finansowe.

– Czy to może oznaczać, że mamy wśród nas kreta? – zaniepokoiłem się.

– Podejrzewamy to od czasu śmierci pana Waserwagera. Druga kwestia. Jak do tej pory nikt z naszych kontrahentów nie próbował nas przekreślić. Ciekawe, czy to jednorazowa akcja, czy spróbują za jakiś czas ponownie?

– I komu zaoferują teraz te monety? – westchnąłem. – Są za dobre, by je kisić w pudełku. Podejrzewam, że wypłyną. Trzeba ostrzec zaprzyjaźnionych kolekcjonerów. I tych niezaprzyjaźnionych chyba też.

– Szlachetny jak zawsze – podsumował mnie pan Piotr.

– Dobre uczynki zazwyczaj jakoś tam procentują. Wcześniej lub później. A nawet jak nie zaprocentują, to w ten sposób zwiększa się pula dobra w świecie, a ogranicza się możliwości zła – zauważyłem filozoficznie.

– Ciekawe, jakie obrazy miał na ścianach i dlaczego tak bardzo mu zależało, żebyśmy ich nie zobaczyli – zadumał się pan Hieronim. – I czemu tytułował się mistrzem. Sprytnie rozegrałeś z tymi spluwami. Wyglądał na takiego, co gotów jest wywinąć jakiś paskudny numer.

– Ale telefonu już nie wcisnąłem... No nic, ważne, że żyjemy i wszystko dobrze się skończyło – powiedziałem zadowolony. – Pieniążki uratowane i bucowi nosa utarliśmy. Udany dzień, można powiedzieć.

– Zawsze podziwiałem niezmierzone pokłady twojego optymizmu. – Pan Piotr pokręcił głową jakby z naganą. – Bo ja bym na przykład wolał, aby monety okazały się prawdziwe.

– Możemy wrócić, przeprosić i powiedzieć, że się pomyliłem – zaproponowałem. – Na pewno szczerzy żal malujący się na panów szlachetnych obliczach sprawi, że ten koleś zapomni o doznanej zniewadze.

Parsknęli śmiechem tak głośno, że gołębice poderwały się z parapetu.

– Ech ty... – Stary kolekcjoner szturchnął mnie w ramię. – Ale może i masz rację. Nie ma czego żałować. Pieniądz jest okrągły, jeszcze się do wyciągniętej ręki potoczy, jak mawiał mój dziadek.

– Czyli, jak mówiłem, udany dzień – podsumowałem.

Pociągnąłem łyczek koniaku, zagryzłem kawałkiem sera twardego jak podeszwa. Winogrona uśmiechnęły się do mnie z miski. Ciekawe, skąd do nas przyjechały o tej porze roku?

– Za twoją ekspertyzę. – Pan Hieronim przesunął w moją stronę kopertę. Była przyjemnie pękata. Nie została zaklejona. Z wnętrza wystawał rożek tego nowego banknotu o nominale pięćset złotych, a na pewno głębiej było takich więcej. Odsunąłem ją wierzchem dłoni na drugą stronę stołu.

– Nie trzeba.

– Na pewno? – Spojrzał na mnie znad okularów.

– Zaproponowali mi panowie prowizję od sprzedaży łupu, a nie opłatę od oględzin przed transakcją. – Wzruszyłem ramionami. – Umowa jest umowa. Nie wypaliło, szkoda, ale nic mi się nie należy.

– Kto inny zechciałby choć niewielką kwotą osłodzić sobie straty. – Pan Piotr też spojrział na mnie uważnie i przesunął kopertę w moją stronę.

– Przecież niczego nie straciłem – zdziwiłem się i odsunąłem ją ponownie.

– Albo chociaż kupić nowe buty. – Popchnął ją znowu.

– Nie muszę mieć nowych, skoro umiem sam podzelować stare. – Odsunąłem kopertę.

– Jak uważasz. – Gospodarz wrzucił ją do szuflady. – Na drugą nogę?

– Poproszę, ale tylko pół kieliszka...

Przyjemnie było siedzieć w miłym towarzystwie, sączyć koniak i zagryzać

stwardniałym na kamień włoskim serem. Nie przeczuwałem, że niedoszła transakcja to dopiero początek prawdziwych kłopotów.

*

Że coś jest nie tak, zorientowałem się miesiąc później. Zaczęło się od odspojeń politory na blatach biurka i stolika. Gładka powierzchnia nieoczekiwanie pokryła się białymi plamkami w miejscach, gdzie lakier stracił łączność z podłożem. Potem wypaczyły się drzwi barokowej szafy. Tu i ówdzie płytki intarsji zaczęły się odklejać.

– To niemożliwe – mruczałem do siebie, oglądając krawędzie przy użyciu mikroskopu cyfrowego. – Wilgotność ani temperatura w mieszkaniu nie ulegały większym wahaniom. Podłoże jest stabilne, wiązanie na klej kazeinowy, który zastygał przez dwieście pięćdziesiąt lat. Tu nic nie miało prawa się zepsuć.

A jednak się zepsuło. Zaszedłem do lutnika po klej z kości zajęczych i podklejałem płytki. Potem przygniotłem miejsce naprawy dechą, skręciłem mocno ściskami stolarskimi. Za dwa lub trzy tygodnie będzie można ocenić efekt.

Którejś nocy obudziły mnie charakterystyczne trzaski. Wstałem z łóżka i długo szukałem źródła dźwięku. Nie myliłem się, niestety – to korniki dobrały się do starego fotela.

– Jakim cudem? – mruknąłem, oglądając świeże dziurki, szpecące podłokietnik i sypiący się z wnętrza pył. – Przecież te małe gadziny zazwyczaj nie lubią dębiny, jest dla nich za twarda, zbyt gorzka i za kwaśna. A ta została jeszcze zaolejowana, i to zapewne na gorąco!

Zabrałem jednak fotel do szopy, zapakowałem w wór z folii i wpuściłem do środka odpowiednią ilość pewnego preparatu, którego zasadniczo nie zakazano nikomu posiadać, ale tylko dlatego, że ustawodawca nie przewidział istnienia takich świrów jak ja...

Po kornikach przyszła pora na mole. Zaatakowały stary pas słucki i wachlarz. Oba przedmioty miałem od lat, oba znajdowały się w szczelnych gablotach i szczerze powiedziawszy, nie powinny wzbudzić zainteresowania owadów. Lawina drobnych zniszczeń i uszkodzeń narastała powoli. Plamki pleśni na grzbietach książek. Kaszka korozji na lufie rewolweru. Woń stęchlizny w szufladach. Nagłe pojawienie się plamy grzyba ściennego w łazience. Wszystko dawało się oczyścić, ale w którymś momencie uświadomiłem sobie, że nawet dwie godziny dziennie muszę poświęcać na ratowanie kolejnych zabytków.

Czujniki nie wykazywały żadnych anomalii. Zgrałem dane, wydrukowałem. Przeglądałem wykresy ciśnienia, temperatury i wilgotności w pomieszczeniach. Wszystko było w normie. A zarazem nie było.

A potem pękła ściana.

*

Inspektor nadzoru budowlanego uścisnął mi dłoń. Miał twardą, spracowaną rękę człowieka, który na niejednej budowie zarabiał na chleb. Widać było, że to fachowiec. Zlustrował elewację kamieniczki i zasepił się wyraźnie. Gdy wszedł w bramę i ujrzał pęknięcie przy skrzynce na listy, zrobił się jeszcze poważniejszy.

– Zaczniemy od piwnic? – zaproponowałem.

– Myślę, że tak. – Skinął głową.

Otworzyłem drzwi i zapaliłem światło. Przepuściłem go przodem. Zeszliśmy po wąskich, stromych klinkierowych schodkach. Druga para drzwi. Te wstawiłem główne po to, żeby nie budzić sąsiadów, gdy nocami strzelałem w korytarzu. Facet w zadumie rozgarnął stopą chrzęszczące pod nogami łuski, przez chwilę kontemplował tarcze strzelnicze na końcu korytarza, łypnął na Isaure siedzącą w zakratowanej wnęce. Światło żarówki budziło iskierki w szklanych oczach wypchanych szczurów, towarzyszących silikonowej lali. Cholera, chyba powinienem pomyśleć i zasłonić to, zanim przyszedł.

– Pan artysta czy jak? – zapytał jakby z szacunkiem.

– Raczej swego rodzaju historyk – wyjaśniłem. – To eee... rekonstrukcja wyglądu celi podziemnego karceru dziesiątego pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

– Ciekawy model tych okowów.

– To carskie kajdany z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Na zamki sztorcowe, tylko sprężyny musiałem wymienić. Bardzo podobne egzemplarze są w muzeum historycznym – wyjaśniłem machinalnie. – Tylko jeden kłopot mam. Tu, jak pan widzi, ustawiłem wypchane szczury wędrowne, natomiast w okresie, z którego pochodzą łańcuchy i ubranie aresztantki, na naszych ziemiach dominował jeszcze szczur śniady.

Facet spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i poskrobał się po głowie.

– Eeee... To może je pan ufarbuj? – zaproponował.

– Jest to jakiś pomysł! – ucieszyłem się.

No proszę, tyle czasu głowiłem się, co zrobić, a tu obcy facet przyszedł, spojrzał świeżym okiem i od razu podsunął rozwiązanie genialne w swej prostocie. Szybko doszliśmy do fatalnej szczeliny. Mężczyzna długą chwilę oglądał pęknięcia muru, potem zaświecił do wnętrza szpary. Wreszcie wetknął tam zaimprovizowaną sondę z drutu, przesunął w górę i w dół,

wygiął inaczej, znów macał.

– Panie Storm – odezwał się wreszcie bardzo poważnym tonem – czy jest pan właścicielem kamienicy?

– Mam dwadzieścia procent udziałów.

– Mam dla pana i pańskich wspólników bardzo złe wieści. Ten dom się zawali.

– Zawali się bez interwencji? Bez remontu?

– Obawiam się, że niezależnie od wszystkiego. Pęknięcie idzie od ławy fundamentowej, przez ścianę nośną aż do wienca, który podczas remontu wylał pański wujaszek. Wieniec wytrzymał. Pański krewny z tego, co wyczytałem w dokumentacji, zrobił też kolankowe wzmocnienia ścian, dzięki temu wszystko jeszcze stoi. Niestety, szczelina, rozszerzając się, rozerwie podłogi. Tam są ceglane łuki na szynach z dwuteownika. Dobra, carska jeszcze robota. Gdyby nie to, że teowniki biegną równolegle do ściany frontowej, podłogi już by popękały. A tak macie panowie kilka tygodni na wyprowadzkę.

– Przyczyna?

– Prawdopodobnie gdzieś pod nami. – Tupnął w posadzkę. – Meandrujące wody zaskórne wypłukały piach, tworząc podziemną grootę. Część ławy fundamentowej wisi nad pustką. I pęka, bo to setki ton zawieszone nad próżnią i żaden mur nie wytrzyma takich napięć.

– Zapytam wprost – westchnąłem. – Czy da się coś zrobić?

– Dowiercić się do tej dziury. Wpuścić kamerę. Oszacować rozmiar kawerny. Wypompować wodę. Wpompować beton. Gruczę, może dwie... Poczekać, aż zwiąże. Gdy niebezpieczeństwo zawału zniknie, wkuć się w uszkodzoną ścianę i ściągnąć mury szynami. Na wszelki wypadek dałbym jeszcze dolny wieniec, trzeba wwiercić się w mur od zewnątrz i od środka, założyć szyny, skrócić śrubami, zabetonować. A potem, jak Bóg da, to wytrzyma kolejne sto lat. Dodam jeszcze, że może być różnie, bo wody nie znikną. Mogą

stopniowo wypłukać piach wokół czopu albo spod fundamentu sąsiedniej kamienicy.

– Szacunkowy koszt?

– Nie wiadomo, jak duża jest ta pustka. Zazwyczaj mają do kilkunastu metrów sześciennych. Koszt zabezpieczenia i ratowania domu szacuję na jakieś pół miliona, może siedemset tysięcy. Oczywiście jest to kwota, którą pański wujek policzy panu, robiąc po kosztach. Gdyby podjęła się tego zwyczajna firma, trzeba doliczyć jeszcze może i drugie tyle.

– Nie mamy podobnych sum. – Zagryzłem wargi.

– Proponuję męską decyzję. Wyburzyć dom, sprzedać działkę deweloperom. Chętnie łykną taki kąsek. Pańskie dwadzieścia procent udziałów starczy na kawalerkę w bloku. Albo na mały domek pod miastem.

– Nie wcisnę ośmiu tysięcy książek do kawalerki. O innych zbiorach nie wspominając. A pod miasto nie mogę, Warszawa to moje miejsce pracy. U rodziny wolałbym nie mieszkać, moja robota jest dość specyficzna. Różni dziwni ludzie mnie odwiedzają.

– Wyburzyć dom, wziąć kredyt pod zastaw hipoteki gruntu i zbudować od nowa coś mniejszego... Albo dogadać się z deweloperem, panowie wniosą grunt, a on tu postawi pięciopiętrową plombę i rozliczy się gotowymi mieszkaniami – znalazł kolejne rozwiązanie.

– A gdyby tak... pożyczka pod zastaw hipoteki, za nią remont?

– Dobry pomysł – pochwalił. – Za kamienicę z taką usterką żaden bank nie zaryzykuje pożyczyć wam złamanego gorsza, ale pod zastaw działki powinni coś tam dać.

– To też nie do końca rozwiązuje mój problem – westchnąłem. – Pożyczkę trzeba jakoś spłacić. One są droższe niż kredyty hipoteczne i wyżej oprocentowane. Rata wyniesie z sześć, może i osiem tysięcy miesięcznie. Na trzech...

– No, tu już nic nie potrafię doradzić, nie jestem bankowcem. Tu też zaczyna pękać. – Wskazał świeżą rysę na drugiej ścianie.

Byłem pewien, że tydzień temu jej nie widziałem... Pożegnaliśmy się i poszedł. Sąsiadów nie było w domu, nie musiałem przekazywać hiobowych wieści od razu. Poczłapałem do siebie. Stałem przed regałem. Westchnąłem, patrząc na rzędy skórzanych grzbietów uśmiechających się do mnie złożonymi literkami. Ileż godzin pracy spędziłem szyjąc je, klejąc. Jakie stosy łachów z lumpeksu przerobiłem, dając kurtkom, spodniom i spódniczkom nowe, lepsze życie. Pierwsze polskie wydanie „Pana Tadeusza”, toruńskie. W przyzwoitym stanie książka warta około dwudziestu tysięcy złotych. Mój egzemplarz... No cóż, kupiłem go w stanie kompletnej rozsypki. Pouzupełniałem brakujące rogi stron, pokleiłem rozdarcia, wywabiłem te wszystkie plamy, które dało się usunąć. Zszyłem na nowo blok kartek. Oprawiłem. Uratowałem. Tylko że po tych zabiegach dla wytrawnego bibliofila ta książka nie była już wystarczająco autentyczna. Początkujący kolekcjoner dałby może pięć do siedmiu tysięcy złotych, i to pod warunkiem, że trafiłbym na kogoś, kto chce to mieć i nie liczy na dalszą odsprzedaż. Ozdoba mojej kolekcji – pierwsze wydanie „O krasnoludkach i sierotce Marysi” Konopnickiej. Biały kruk, jeszcze niedawno znany jedynie z trzech zachowanych egzemplarzy. Mój jest czwarty. Tylko że ten trzeci w całkiem niezłym – lepszym od mojego – stanie długo szukał nabywcy za niespełna dziesięć tysięcy złotych. Zielnik Syreniusza, kompletny, w stanie dobrym wart około stu pięćdziesięciu tysięcy złotych. W moim brakowało niemal połowy kartek, uzupełniłem je, drukując ze skanów na podobnym papierze. Oprawę też dorobiłem. Oryginalnej książki było w tym czterdzieści procent. Z antykwarycznego punktu widzenia śmieć bez wartości... No chyba żeby pociąć, oprawić poszczególne rysunki i sprzedawać w detalu – ale nie upadłem na głowę, żeby niszczyć kilkusetletnią książkę dla paru stówek.

– I gównie – podsumowałem. – Cały księgozbiór mogę spylić, wyłącznie wystawiając w necie, zajmie mi to rok i nie wyrwę więcej niż siedemdziesiąt tysięcy. A potrzebuję dziesięć razy więcej...

Zegarki? Dwieście trzydzieści sztuk wartych średnio po jakieś trzysta złotych... Miałem kilka ciekawych, ale niewiele wartych, i droższych, ale nieciekawych. I też nikt nie kupi wszystkich naraz. Nie zbiorę swojej części.

A sąsiedzi są splukani. Musiałbym znaleźć skarb... Zamyśliłem się. Skarb? Nie miałem absolutnie żadnego interesującego tropu. Przeszedłem się po mieszkaniu, szacując wartość rzeczy, z którymi mógłbym się rozstać bez wielkiego żalu. Potem otworzyłem jeszcze sejfy. Odrobina złota napłukanego ponad dekadę temu z rzeki na Śląsku. Trochę monet i pierścionków. Stare, ładne, ciekawe, ale nieszczególnie cenne. Pożyczka z funduszy rodziny? Mogłem ją wziąć, ale wypadałoby kiedyś oddać.

Usiadłem na krześle. Zatrzeszczało niepokojąco. Wstałem i obejrzałem je uważnie. Kleje na łączeniu siedzenia i tylnych nóg puściły. Przeniosłem mebel do pracowni i położyłem w kolejce rzeczy do naprawy.

– Co się, do cholery, dzieje!?! – szepnąłem, patrząc, ile ich już się zgromadziło. – To nie jest normalne...

Rozejrzałem się po wnętrzu. Zgarnąłem palcem warstwę kurzu z krawędzi regału. Uchyliłem okno i zauważyłem, że szyby wymagają kolejnego mycia.

– Jakby domowe skrzaty gdzieś sobie poszły – zażartowałem ponuro. – Pewnie dlatego, że nie wystawiałem im spodka z mlekiem.

No dobra, w istnienie skrzatów akurat nie wierzyłem. Posiedziałem jeszcze chwilę, a potem zaciąłem zęby i zadzwoniłem do wujaszka.

*

Wujek przybył uzbrojony w wiertarę z niemal dwumetrowym wiertłem, komputer i zestaw kamer laparoskopowych. Wraz z pracownikiem obejrzel pęknięcia na elewacji. Nakleili plomby – szklane płytki. Gdyby pęknięcie się rozszerzało, to się pokruszą... I dzięki temu będziemy wiedzieli, jak bardzo jest źle oraz w jakim tempie robi się jeszcze gorzej. Potem oświetlili

szczeliny i zapuścili w nie sondy. W kilku miejscach nawiercili też podłogę.

– Z tego, co widać, faktycznie wymyło dziurę pod fundamentem – westchnął wreszcie wujaszek. – Całość trzyma się, bo to dobra cegła klinkierowa i zaprawa z uczciwego wapna, które lasowało się kilkadziesiąt lat. – Zobacz. – Pokazał mi obraz na monitorze.

– Eee... – wyraziłem swoje zdanie.

W gmatwaniu ciemnych plam niewiele widziałem.

– Dziura jak stodoła – ocenił. – Moim zdaniem... Hm, tam niedaleko postavili kilka lat temu budynek... Taki apartamentowiec.

– No postavili.

– Nie zalało im przypadkiem wykopów?

Przymknąłem oczy, usiłując sobie przypomnieć.

– Chyba tak, bo pamiętam pracujące pompy.

– Tu jest zapewne żyła. Woda sączy się przez piach. Normalne w tej części miasta. Przeważnie nie ma kłopotu, bo fundamenty czy piwnice są nieco wyżej. Problem w tym, że oni zapewne wywalili bardzo głęboki dół pod garaż podziemny. Przecięli ciek. Zaczęło im się lać, to odpompowali. Zabetonowali, zabezpieczyli. Ale spod twojej ulicy ubyło nagle tysiące metrów sześciennych wody. A co za tym idzie...

– Ziarnka piasku upakowały się ściślej.

– Tak. Do tego część piachu poszła z wodą i wytrysnęła u nich jako błoto. W przyrodzie nic nie ginie. Tu ubyło, a tam przybyło.

– Co jesteś w stanie zrobić i za ile? – zapytałem.

– Po pierwsze, trzeba zrobić wiercenia w kilku miejscach i ocenić, jak tu cyrkulują wody podskórne. To nie sztuka wpompować pod dom dwie czy trzy gruchy betonu. Co z tego, że tu odetniemy, jak za tydzień wybije

u sąsiadów...

– Wypompować? Podziemną rzekę?

– Na to wychodzi.

– Pozwać tamtych dziadów?

– Niby można, ale to bardzo trudne. Proces na lata z potężnym deweloperem, który ma własnych przekupnych ekspertów, prawników, a że to firma z postkomunistycznym rodowodem, można się spodziewać i innych problemów, rzekłbym: niekonwencjonalnych. Poza tym udowodnić im cokolwiek będzie po tylu latach bardzo trudno.

– Ile by kosztowały takie wiercenia i ekspertyza?

Zamyślił się.

– Rzeczoznawcę trzeba wynająć. Po kosztach jestem w stanie zrobić ci to za dwadzieścia tysięcy. Możesz zapłacić w kilku ratach.

Mimowolnie przypomniałem sobie wypchaną kopertę leżącą na stole. Ile w niej było? Pewnie z pięć tysięcy, może lepiej. Jeden procent od niedoszłej transakcji z monetami. Przydałyby się te pieniądze, oj, przydały. Ale przecież nie mogłem ich wtedy zabrać. Nie tak się umawialiśmy...

– Tu raczej nie ma na co czekać – powiedział wujek. – To jak z bolącym zębem. Im szybciej się wwiercimy, tym lepiej.

– Wiercić. – Zagryzłem zęby i kiwnąłem głową. – Pieniądze zdobędę.

Sąsiedzi siedzieli przy stoliku, czekając na wynik oględzin. Herbata parowała w szklankach. Pomyślałem, jak to dobrze mieć takie podwórko w środku miasta, szopę, stół, trzy krzesła i drzewko. Oazę spokoju, wokół której szaleje gorączkowa bieganina korpuludków. Jak miło mieć szopkę, w której można trzymać przedwojenny rower firmy Kamiński i dziesięć worków starych drobiazgów. No i piwnicę, w której da się strzelać, gdy dopadnie człowieka bezsenność. Albo gdzie można o trzeciej w nocy puścić w ruch tokarkę i dorobić brakującą nóżkę mebla... Dosiadłem się i zreferowałem.

Milczeli długo.

– Panie Robercie... ufam pańskiemu sprytowi i doświadczeniu. Przed dziesięciu laty to dzięki panu uratowałem moją, a właściwie obecnie naszą kamieniczkę – odezwał się wreszcie pan Maciek. – Na te dwadzieścia jakoś się złożymy. Ale remont... Mógłbym sprzedać warsztat.

– Siedemset tysięcy to kwota horrendalna – zadumałem się. – Teoretycznie, gdybym poprosił rodzinę, chyba daliby radę tyle mi pożyczyć. Zrzucamy się, każdy pełnoletni, co miesiąc trzy procent dochodów na taki rodzinny fundusz awaryjny. Są potem z tego stypendia, jak ktoś studiuje, jak pilnie potrzebna kosztowna operacja, też nas stać. Kłopot w tym, że te pieniądze powinienem do kasy zwrócić, a szczerze powiedziawszy... – Powtórzyłem argumenty ze swoich przemyśleń.

– Trzeba by chyba wygrać w totolotka – zaproponował pan Lucjan.

– Ile razy grałem na kumulacje, zawsze jakieś sukinsyny wygrywały moje miliony – zażartowałem ponuro.

– Masz, chłopcze, wyjątkowy fart w życiu – mruknął lutnik.

– I pewnie dlatego żyję. Ale mój życiowy fart nie obejmuje nagłych przyływów gotówki. W grach hazardowych kompletnie się nie sprawdza.

– No to odpada ten totolotek – westchnął pan Maciek. – Chyba że masz jakiś pomysł? Gdyby tak znaleźć skarb...

No proszę, pomyślał o tym samym co ja.

– Co do skarbów, szukałem już kilka razy różnych rzeczy. Tropiłem pod Wałbrzychem złoty pociąg. Jeździłem w okolicy Wielbarka w poszukiwaniu kasy armii Samsonowa. W bagnach na północ od Pułtusza szukałem meteorytów. Wszystko bezskutecznie. Ale znaleźć ot tak, na zawołanie? To się nie zdarza. Nie mam niczego na oku. Żadnego dobrego tropu. Nawet żadnego zlecenia. Nic. – Rozłożyłem bezradnie dłonie.

Pokiwali w zadumie głowami. Najwyraźniej im też nic nie zaświtało.

– A sklepik? – zapytałem. – Ten po drugiej stronie bramy, gdzie był warzywniak. Gdyby wziąć kredyt pod hipotekę gruntu, a po remoncie kamienicy sprzedać tamto pomieszczenie? Jest tego ze dwadzieścia metrów i zaplecze.

– Na to już sam wpadłem. – Zegarmistrz pokręcił głową. – W banku powiedzieli, że nie dadzą kredytu pod zastaw gruntu, jeśli stoi na nim budynek. A na budynek nie dadzą, bo nie dość, że się wali, to jeszcze jest wpisany do rejestru zabytków. Sklepiku nikt nie kupi w warunkach, gdy budynek może runąć. Zresztą nawet gdyby był w idealnym stanie, nie dostałbym za niego więcej niż ćwierć miliona. Gdybym sprzedał sklepik i warsztat... – Zagryzł wargi. – Ale w tym stanie nikt nie zaryzykuje.

Przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie, gdy przyszedłem do jego warsztatu z budzikiem ojca. Wtedy był w podobnej sytuacji. Kamienicy groziło zawalenie, a on nie miał pieniędzy na remont. Dekadę temu zdołałem dom uratować. Z obopólną korzyścią, ba, nawet trójstronną, bo mieszkanie na zaadaptowanym poddaszu kupił sobie pan Lucjan na pracownię. Dziś...

– Nic mi nie świta – westchnąłem.

Lutnik rozłożył ręce.

– Najcenniejsze skrzypce, jakie mam w swojej kolekcji, warte są może trzydzieści tysięcy – powiedział. – Potrzebujemy kwot o rząd wielkości większych. Trafiły mi się ostatnio okazynie piękne, czarne skrzypce roboty Groblicza, ale nie do uratowania, bo jakieś chamidło rozwaliło płytę młotkiem.

– Jesteśmy ugotowani – podsumował zegarmistrz. – Chyba że coś wymyślisz. – Spojrzał na mnie znad okularów.

– Tylko co ja mogę wymyślić?

– Robercie, w mojej ocenie jesteś geniuszem. Wprawdzie nie radzisz sobie w wielu życiowych sprawach, ale masz prawdziwy błysk. Wiem, co mówię, jako że chodzę po tym świecie grubo ponad osiemdziesiąt lat i niejedno widziałem.

– Dziękuję za komplement, ale, z całym szacunkiem, znacznie mnie pan przecenia. Jakbym miał smykałkę do zarabiania pieniędzy, tobym nie jeździł dwudziestoletnim autem podarowanym przez ojca, wakacje spędzałbym w ciepłych krajach... – zacząłem wyliczać.

– Nie miałeś nawet matury, gdy zarobiłeś na poprzedni remont i zostałeś właścicielem trzypokojowego mieszkania. – Zegarmistrz przełamał ciastko na pół.

– Trafiło mi się jak ślepej kurze ziarno. I kupiłem też okazji. To tak nie działa.

– Zamknij drugie oko i dziobnij raz jeszcze – podpuścił mnie pan Lucjan.

– Ba, ale jak?

Dopiłem herbatę i poszedłem do siebie. Postawiłem pustą szklankę na blacie obok zlewu. Odwróciłem się tylko na chwilę. Usłyszałem trzask. Szkło pękło. Kucnąłem i przyjrzałem się uważnie. Pęknięcie poszło od góry w stronę denka. Z pewnością nie było spowodowane uderzeniem przy odstawianiu. Żaden mikrometeoryt nie miał szans wpaść przez zamknięte okno. Chłodne szkło kurczyło się w ciepłym wnętrzu? Bzdura... Wziąłem mikroskop cyfrowy i obejrzałem rysę. Nic podejrzanego.

– Cholera... – warknąłem. – Co to za pieprzona klątwa?!

I naraz zamarłem, uderzony własnymi słowami.

– Klątwa? – powtórzyłem.

*

Siedziałem w sklepiku z „antykami”, prowadzonym przez mojego niechcianego kumpla Cygana o imieniu Tytus. Mój wzrok leniwie błędził po wnętrzu. Pod sufitem wisiały miedziane i mosiężne rondle, wypolerowane na wysoki połysk. W oszklonych regałach zgromadził stare dziadki do orzechów, sztucce, patery obłożące z warstwy posrebrzenia, porcelanowe talerzyki masowo produkowane przez europejskie manufaktury. Kawę podał mi w eleganckiej filiżance, ozdobionej charakterystyczną błękitno-brązową bordiurą i logo w kształcie czerwonej chorągiewki z czerwoną gwiazdką. Oczywiście rozpoznałem wyrób zamówiony przez White Star Line. Filiżanka wyglądała na starą. Miała lekkie przebarwienia, jakby długo leżała na dnie morza, barwy przygaszone, kilka drobnutkich rys. Dobrze podrobiona patyna czasu. Nie przewidział tylko, że gdy stawiałem ją sobie na stoliku ze szklanym blatem, leżące we wbudowanej gablotce lustro zdradziło mistyfikację. Filiżanka wyglądała jak świeżo wyciągnięta z wraku „Titanica”. Ale od spodu miała napis: „made in China”.

„Nalewka”, której mi nalał zaraz po kawie, smakowała trochę jak bałkańska travarica. Wolałem nie zgadywać, jakich ziół do niej dodano. Moc tego zajzajeru była straszliwa, ale w tak pochmurny i zimny dzień nie odmawia się kieliszka czegoś na rozgrzewkę. Gospodarz przed moim przyjściem musiał się uraczyć kilkoma kolejkami, bo czarne oczy lśniły mu jak gwiazdy. Alkohol wprowadził go w nastrój melancholijno-przyjacielski.

– Wy Polacy i my Cyganie jesteście zupełnie różni – perorował. – Wy jesteście jak skała. Da się was rozbić, skruszyć, zniszczyć, ale nawet unicestwieni rozpadacie się na małe ostre okruchy, które ranią stopę każdego najeźdźcy. My zaś jesteśmy jak woda. Nie stawiamy się, tylko pozwalamy odpychać. Czekamy, aż wróg zmęczy się naszym biernym oporem, i wtedy go powolutku topimy... Druga rzecz. Wy niesiecie cały wasz świat ze sobą i my niesiemy cały nasz świat ze sobą. Ale wasz świat jest ogromny i ciężki, nie do ogarnięcia umysłem. Dlatego musicie zapisywać wszystko, co ważne. Tradycję, historię, genealogię, naukę i czort wie co jeszcze. A nasz świat jest mniejszy i prostszy, nie musimy nic zapisywać, bo każdy Cygan pamięta to, co naprawdę istotne. Zabrać wam te książki i w trzy pokolenia was nie ma. A Cyganów trzeba by wszystkich zabić.

Westchnąłem w duchu, słuchając tych faszerowanych patosem idiotyzmów.

Nie považałem szczególnie cygańskiej kultury ani stylu życia. A dorabianie filozofii do zwykłego zapóźnienia cywilizacyjnego byłoby śmieszne, gdyby nie było tak żałosne.

– Czasem warto książkę poczytać – odburknąłem. – Wiedzieć, kim się jest, co stworzyli ci, którzy byli przed nami.

– Twierdzicie, że my pochodzimy z Indii, a nasza tradycja mówi, że z Egiptu. Wy uważacie, że w tej części świata pojawiliśmy się dopiero około roku tysięcznego, a moja babcia opowiadała, że gdy miano ukrzyżować Chrystusa, zakręcił się tam Cygan i ukradł jeden z gwoździ. Jak udowodnisz, który z nas ma rację? Ty czytałeś wasze teorie, ja słyszałem nasze opowieści. Jak sprawdzić, kto mówi prawdę? Ty ufasz temu, co przeczytałeś. A jeśli autorzy się mylą? Albo powiedz: która pieśń jest lepsza? Ta, co tkwi na kartce książki, raz na zawsze zaklęta w literki, martwa i niezmienna od kiedy zapisał ją etnograf przed stu laty, czy żywa, śpiewana przy ognisku, której słowa są inne niż kiedyś, bo każdy wymyśla nowe wersy, wyrzuca stare, dopasowuje do nowych czasów.

Szkoda, że nie zdał matury, bo na wydziale filozofii mieliby z niego pożytek. Może by nawet profesorem został.

– Ale jedna jest cecha wspólna dla was i dla nas – powiedział, polewając mi kolejny kieliszek. – Umiłowanie wolności, przerażające i kompletnie niezrozumiałe dla innych narodów... Ale nie o tym chciałeś gadać. Co cię zatem do mnie sprowadza?

– Wszystko mi się niszczy i brudzi – powiedziałem.

Nagle jakby wytrzeźwiał. Przechylił pytająco głowę. Streściłem pokrótce obserwacje. Tytus milczał dłuższą chwilę.

– I przyszedłeś z tym do mnie, bo sądzisz, że jako naród ciemny posiadamy najwięcej jasnowidzów? – zakpił.

– Już kiedyś ustaliliśmy, że jestem rasistą!

Uśmiechnął się krzywo.

– Gównu z ciebie, nie rasista, przecież pijemy razem. A do tego nalewkę, której receptury nigdy nie pozna żaden gandzi, a którą polewamy tylko nielicznym wypróbowanym przyjaciółom. Rasiście bym takiej w życiu nie nalał. Podejrzewasz, że to jakiś rodzaj magii? – przeszedł do konkretów.

– Tak.

Zamyślił się, zabębnił palcami w blat biurka. Sygnety na grubych paluchach połyskiwały przy tym ruchu. Na trzech miał nawet wygrawerowane herby. Każdy inny.

– Magia... – powiedział wreszcie. – Ćwoki zazwyczaj kpią sobie z tego. Ale dla ludzi naprawdę mądrych, takich jak ty i ja, to nie jest powód do śmiechu. Widziało się przecież to i owo. Słyszało niejedno. Tylko trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że jakaś cena zawsze jest. To nie zabawa. Rachunki są wysokie, bardzo wysokie... Mało kto zdaje sobie sprawę, jak to działa. Ludzie oglądają głupie filmy o magicznych różdżkach, czarownikach i tak dalej. Fajne takie. Cukierkowe. Fałszywe. Magia jest jak smoła. Brudzi i niszczy, ale rozlewa się przeważnie powoli. To jak wdepnięcie w psie łajno. Idziesz i sam nie wiesz, ale zostawiasz ślady na dywanie. Nie powalisz zaklęciem biegnącego osiłka. Możesz jednak sprawić, że zaczniesz chorować i w rok lub dwa trafi do piachu.

– Wiem. Dlatego sędzę, że dzieje się coś podobnego. Powolna, nieubłagana destrukcja. Drobne, z trudem uchwytnie objawy... jakby przyspieszenie entropii.

Nie wiem, czy w ogóle kojarzył, co to jest entropia, ale kiwnął głową, potwierdzając diagnozę.

– Jesteś moherem. Dla ciebie właściwy adres to diecezjalny egzorcysta – zabrzmiało to jak propozycja.

– I co mu powiem? Że szklanka pękła? Nie zaobserwowałem żadnych manifestacji diabłów, demonów czy choćby dusz pokutujących. Mieszkanie poświęcił ksiądz, gdy chodził po kolędzie. Święte obrazki i krzyże wiszą w każdym pomieszczeniu. Sól egzorcyzmowana nie pomogła w żaden widoczny sposób.

– Albo coś tam to wszystko pomogło, bo bez sakramentaliów byłoby jeszcze gorzej – mruknął jakby niepewnie. – Nadepnąłeś komuś solidnie na odcisk? Mam na myśli, czy stało się to ostatnimi czasy – uściślił.

– Bo ja wiem? Nie bardziej chyba niż zwykle. – Zamyśliłem się.

Polął kolejny kieliszek. Powstrzymałem go gestem, więc napełnił tylko do połowy. Szczerze powiedziawszy, ta „nalewka” nie budziła mojego szczególnego entuzjazmu. Wśród fusów pływających we flaszcze rozpoznałem rozmaryn, macierzankę i piołun. Sine kulki były zapewne jagodami łochyni – borówki bagiennej, której Cyganie od wieków używali w celach narkotycznych. Charakterystycznie ząbkowany liść mógł pochodzić z marihuany albo ze zwykłych konopi.

– Mogę poprosić prababkę – powiedział wreszcie. – Ona ma pewne zdolności, dary... Zresztą spotkałeś ją kiedyś. Przepowiedziała ci wtedy pewne rzeczy i chyba sprawdziło się co do joty? Pomaga czasem gandzim w różnych sprawach. I to, powiedziałbym, bardzo niedrogo.

Przypomniałem sobie tę jego prababkę. Raz w życiu spotkałem tę koszmarną staruchę, palącą fajkę z jakimś świństwem. Baba Jaga przy niej mogłaby uchodzić za Miss Polonię.

– Ile to będzie kosztowało? Taka „ekspertyza”?

– Uuuuu... To aż tak pilnie potrzeba? Babka najbardziej lubi złoto – westchnął. – Złota carska piątka będzie pewnie akurat... albo gruba obrączka.

– Załatwione.

– Dopytam i przedzwonię – obiecał.

Wstałem i wtedy naprawdę poczułem moc tego draństwa. Podłoga zatańczyła, ściany zakołysały się. Marszałek Piłsudski spojrzał na mnie z portretu jakby z naganą. Lenin, wiszący na sąsiedniej ścianie, uśmiechał się drwiąco. Bimber jest zdradziecki. Można go pić jak wodę, siedząc, ale idzie w nogi. Niepostrzeżenie. A w tym pływały przecież jeszcze jakieś dodatki.

– Strzemiennego? – chyba zakpił.

– My, rasiści, nie jesteśmy godni waszego świętego eliksiru przyjaźni – wymamrotałem, mocując się z klamką.

– No widzę, że ci gębę wykręca. Ale to nie jest dowód nieszczerości i zdrady, bo z początku każdemu tak wykręca. Przywyknąć trzeba.

No nic, byle do tramwaju... Zimny praski wiatr owiał mi twarz. Wezwać sobie taksówkę? E, chyba nie ma potrzeby. Nabrałem w płuca głęboki haust powietrza i pomaszerowałem. Chodnik tańczył mi pod nogami, ale powoli doszedłem do siebie. Każdy krok wywoływał całą serię podskoków, jakbym szedł po materacu. Patataj, patataj... Piękna jest Warszawa nocą, jeśli podziwia się ją z końskiego grzbietu, nawet gdy się ukradło tę zabiedzoną chabetę węglarzom ze Szmulek. Siedziałem wygodnie w siodle. Nie, to nie siodło. Kanapa? Siedzenie auta. Rozejrzałem się. Radiowóz? Raczej taksówka. Spojrzałem za okno. Kolumnada, a za nią coś jakby kopuły soboru na placu Saskim, zburzonego w latach dwudziestych. Zamrugalem i chciałem przyjrzeć się dokładniej, ale taryfa właśnie zatrzymała się przed moją bramą.

– Ile się należy za kurs? – Szukałem wzrokiem licznika.

– Panie, ocknij się pan, już trzeci raz kupujesz pan bilet – zrugął mnie motorniczy. – To chyba pański przystanek?

Miał przepisowy uniform, a na głowie czapkę podobną do francuskiego kepi. Spojrzałem na emblemat – emaliowana na czerwono tarcza, na niej warszawska syrenka, oparta na uskrzydlonym kole, z którego na lewo i prawo wybiegał pęk błyskawic. Piękny antyk, lata trzydzieste albo i ciut wcześniejszy.

– A tak, dziękuję.

Motorniczy zakręcił korbą i tramwaj odjechał. Odprowadziłem go zdumionym wzrokiem. Ładnie zachowana „berlinka”. Z muzeum czy jak? Pewnie dlatego motorniczy w historycznym stroju. Wszedłem do bramy, odstawiłem szpicrutę obok skrzynki na listy i zacząłem grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Naraz coś mnie tknęło. Zaraz, zaraz, jaki

tramwaj?! Na mojej uliczce tramwaje po raz ostatni jeździły podczas okupacji. Wybiegłem na chodnik. W świetle latarni lśniły zagadkowo znajome szyny tramwajowe. Kawałek długi może na trzy metry, pozostawiony na pamiątkę wraz z kawałkiem przedwojennego bruku. Poczułem, że coś mnę w dłoni. Bilet? Nie, paragon za przejazd taryfą. Potrząsnąłem głową. Co tak capi? Wiatr niósł znajomą woń. Między torami leżała kupka świeżych, parujących jeszcze końskich pączków.

– Nigdy więcej cygańskich eliksirów! – obiecałem sobie.

*

Staruszka z trudem wspięła się po schodach. Nie wiem, ile mogła mieć lat, w świetle dziennym wyglądała na jakieś sto dwadzieścia. Szła o lasce, Tytus podtrzymywał prababkę za łokieć. Widać było, że wejście na pierwsze piętro stanowi dla niej poważny kłopot. Przekręciłem klucz w zamku. Mieszkanie powitało nas intensywnym zapachem stęchlizny. Spod niego przebijała jakby nieco ostrzejsza nuta. Zapach kojarzył się ze zgnilizną, szlamem, rozkładem, starym drewnem wyciągniętym z wody. Nie było tego wczoraj...

– Jakby ktoś zostawił kubek pełen śmieci i wyjechał na miesiąc – burknął Tytus, ale babka uciszyła go gestem.

Usiadła ciężko na fotelu. Wyjęła z kieszeni starą jak świat, przepaloną fajkę. Ile to już lat nie widziałem glinianej fajki? Z kapciucha nabrała jakiegoś suszu, nabiła z wprawą i zapaliła. Dłonie trzęsły się jej jak w febrze. Przez chwilę zaciągała się łapczywie. Na wszelki wypadek wyłączyłem alarm przeciwpożarowy. Dym cuchnął tytoniem, starą szmatą, ziołami, konopiami i jeszcze czymś gorszym.

Dobrze, że mój kumpel Piotrek tego nie widzi, przemknęło mi przez głowę. Wielokrotne złamanie ustaw antynarkotykowych.

Źrenice kobiety powoli rozszerzyły się, rysy jakby zmiękły. Mieszanka najwyraźniej brała ją w obroty. Gdy oderwała ustnik cybucha od szarych, cienkich warg, spojrzenie miała kompletnie szalone. Ale palce już jej nie drżały, poderwała się z fotela nieomal dziarsko.

– Coś tu faktycznie jest, takie cienie w powietrzu... – burknęła. – Niezdrowe miejsce. – Zachichotała upiornie.

Położyła na blacie stolika skórzane zawiniątko. Odplątała rzemyczki i wyjęła grube stare szydło w oprawie z rogu. Spojrzała na mnie zaskakująco bystro. Coś trzasnęło mi w głowie i ni to ujrzałem, ni to wyobraziłem sobie Cyganek szyjącą grubą plandekę na pokrycie podróżnego wozu... Babka zaciągnęła się raz jeszcze i wstała z krzesła. Chodziła po mieszkaniu, w milczeniu celując przed siebie szydłem. Co jakiś czas, jakby na próbę, dźgała nim powietrze. W jej ruchach widziałem niepokojącą, niezrozumiałą celowość. Mruczała coś pod nosem. Liznałem trochę romani, ale nie wyłapałem żadnego znanego mi słowa. Tytus podobnie jak ja wsłuchiwał się przez chwilę w jej monolog, po czym pobladł i zaczął ostentacyjnie gapić się przez okno. Wreszcie starucha zakończyła wędrówkę po pokojach. Siadła w fotelu koło kominka i nabiła faję kolejną porcją jakichś paździerzy. Zapaliła i długą chwilę puszczała kłęby dymu. Tym razem cuchnął inaczej, jakby łagodniej. Może pierwsza fajka była z czymś mocniejszym, a teraz przyjmowała odtrutkę?

– To jest twoje mieszkanie – burknęła. – Bardziej twoje, niż gdybyś je zbudował, bardziej twoje, niż gdybyś je kupił. Bardziej twoje, niż gdybyś odziedziczył je po dziadku czy pradziadku. Zostało ci dane przez cienie tych, którzy odeszli. Dostałeś je w nagrodę... Dokonałeś czynu szlachetnego, nie bacząc na swe własne korzyści, dlatego zostałeś wynagrodzony hojniej, niż gdybyś sam wyznaczył cenę. Było tak? – Łypnęła na mnie.

– Było – potwierdziłem.

– Umarli czasem potrafią wynagrodzić przysługę, choć zazwyczaj nie można na to liczyć. I zawsze lepiej trzymać się od nich z daleka. Należymy do różnych światów. Sprawy żywych i nieboszczyków nie powinny się mieszać.

Spojrzałem, zaskoczony. Nikomu nie mówiłem o wypadkach sprzed dekady.

– Oddałeś wielkie przysługi ludziom, żywym i martwym. Wielu rzeczy dokonałeś, nie myśląc nawet o wynagrodzeniu – wróciła do tematu. – Dlatego los ci sprzyja. Kto rwie do siebie, traci... Nie tylko pieniądze, ale też często honor.

– Czasem bywam bezinteresowny – przyznałem.

– Tylko dzięki temu jeszcze żyjesz. Tylko dzięki temu ten dom jeszcze stoi – ciągnęła. – Złoty punkt. Chroniony... Jak triada. Słyszałeś o triadach?

– Piąte przez dziesiąte. Rozdroża. Rzekome miejsce zetknięcia trzech światów – bąknąłem. – Podobno można je znaleźć także w Warszawie. Dom, w którym jest triada, przetrzyma wszystko, nawet wybuch atomowy... ale to chyba tylko legenda.

Babuszka spojrzała na mnie z jakby szacunkiem.

– Dużo wiesz... A triady istnieją – burknęła. – Ale nie szukaj ich. Nie wiadomo nawet, czy to magia, czy technika jakichś zasranych nieziemców. W każdym razie twój dom ma swoją ochronę, ale wokół trwa straszny sztorm. Fale błota. Lepkie ciemności. Zimne, ale wcale nie martwe. Już duszą, już dławią, już smoła sączy się przez pęknięcia. Miałeś rację. To kłątwa. Subtelna, rzekłabym: wręcz elegancka. – Wydęła pogardliwie wargi. – Działa powoli, ale nieubłagane. Strawi wszystko. Jak kwas.

– Jak to odwrócić?

– Magia jest jak ogień – mruknęła, patrząc w płomienie skaczące za szybą kominka. – By działać, musi coś spopielać. Można się nią posłużyć, ale chwila nieuwagi i oparzy albo nawet spali. Możesz zrobić jedno. Weź jakąś swoją rzecz, nabij szpilkami i zagotuj w mleku. Tu w tym mieszkaniu. On to poczuje... setki ukłuć w ciele. Albo przestraszy się i odpuści, albo trafi go w coś żywotnego i będzie chorował, albo i umrze, może być tak albo siak. Tylko że to wielki grzech i nie będziesz już tym samym człowiekiem. To zło... Jak on umrze, wszystko się rozleje wokół. I przez grzech własny, popełniony świadomie i dobrowolnie, stracisz jakąkolwiek ochronę.

Zostaniesz z tym wszystkim już sam na sam.

Wzdrygnąłem się.

– A metody niemagiczne? – bąknąłem.

– Nie chcesz sięgać po takie sposoby nawet po to, by ratować skórę? – Spojrzała na mnie badawczo. – Cóż, jest w tym pewna głębsza mądrość. Mądrość, której brakuje niejednemu z naszych. – Zamyśliła się, jakby przywołując coś z pamięci.

Milczałem, czekając cierpliwie, co powie. Babuszka pykała z fajki jak stary marynarz. Wreszcie przemówiła.

– Wyśledź, kto to jest, i rozwal mu łeb. Też grzech, ale mniejszego... kalibru.

– Popatrzyła jakby z szacunkiem na flintę Nitro Express zdobiącą ścianę. – Przeciw piątemu przykazaniu, ale już nie przeciw pierwszemu.

– Nie da się tego jakoś zaizolować?

– Mówi się, że dom człowieka chronią anioły. Że zło musi zapytać o zgodę, nim wejdzie. Musisz je sam zaprosić. Wpuścić. Tak się mówi, ale czy to do końca prawda? Myślę, że coś ci podłożyli – zawyrokowała. – Sam musiałeś nanieść tego błota na butach. Podsunęli ci jakiś zły przedmiot. Złą pamiątkę, czarną relikwię ze strasznych miejsc i czasów. Może coś, co trzymał w ręku zły człowiek, gdy umierał. Może coś, co miał w kieszeni, gdy zabijał. Może coś, co trwało, gdy wokoło szalała śmierć.

– Przedmiot pochodzący na przykład z obozu koncentracyjnego? Z getta? – dociekałem.

– Hmmm... To możliwe. Ale nie widzę nic takiego tutaj, wśród tysięcy innych. Wśród tysięcy ludzkich losów, które osiadły na tym wszystkim. – Zatoczyła krąg ręką. – Tu wiele rzeczy szepcze, niektóre jęczą, inne krzyczą. Masz tu przedmioty ludzi umarłych, a nie wszyscy zmarli dobrą śmiercią. Czas nie ze wszystkich przedmiotów starł odciski palców. Oni ciągle tu są... daleko, a zarazem blisko. Dusze uleciały, a jednak coś pozostało. Nie jest zdrowo mieszkać w muzeum.

Zaciągnęła się głęboko i znikła na chwilę w chmurze dymu.

– Ty nam nie ufasz, boisz się Cyganów, więc wiele pochowałeś w szafach, zanim przyszedłszy. – Zarechotała jak wiedźma. – Jakby na wierzchu wszystko leżało, może bym i co wyczuła. My Cyganie często używamy rzeczy, które zostały po innych – burknęła po chwili jakby poirytowana. – Czasem bywało i tak: obudził się człowiek rankiem w wozie na szlaku, spojrzał na coś, co niedawno kupił, dostał albo ukradł, i wiedział, że ten przedmiot nie dla niego. Wyrzucał oknem na pobocze, ciskał do wieczornego ogniska albo sprzedawał przy pierwszej okazji. No i druga rzecz. Mówi się, że narzędzia nie znoszą bezczynności. Lubią pracować. Narzędzia umarłych traktowane z szacunkiem pomagają w pracy. Jakbyś umiał rzeczy, których nigdy się nie uczyłeś. Zresztą wiesz...

– Wiem.

Faktycznie przekonałem się o tym przed laty, tropiąc niemieckiego szewca-nazistę z podberlińskiego Lichtenrade.

– Może nie okazałeś czemuś szacunku? Może masz coś, co powinno ci służyć, ale o tym zapomniałeś. Stary pędzel do golenia, brzytwa, coś, co pragnie ruchu, lubi służyć ludziom, a bez kontaktu z człowiekiem staje się złe i rozdrażnione... Bariera pęka. Pojawiają się rysy, a przez nie leje się więcej smoły.

Brałem oczywiście poprawkę, że to tylko słowa naćpanej jak szpadel świrowatej staruszki, ale mimo wszystko włosy stawały mi dęba.

– Czyli zły przedmiot posłużył za wytrych dla klątwy. Może jak się dowiem, kto ją rzucił, będzie łatwiej zdjąć urok?

– Łatwiej – zgodziła się. – Podejrzewasz kogoś? Opowiedz...

– Facet, z którym próbowaliśmy zrobić interes, a który okazał się oszustem, nie wyglądał na maga, ale przedstawiał się jako „mistrz”. Mistrz Igor.

Rysy stężały jej momentalnie. Zaciśnęła wargi.

– Mistrz Igor – prychnęła, jakby sama rzucała przekleństwo. – Ksywa Spalony.

– Zna go pani? Kto to jest?

– Słyszałeś o Śmieciarzach? – burknęła.

– Śmieciarze! – syknąłem. – Dlaczego od razu o tym nie pomyślałem?

– Bo chociaż nieraz zajrzałeś na tamtą stronę i choć poznałeś wiele sekretów tego miasta, w głębi duszy uważałeś, że to tylko legenda – burknęła babcia jakby z politowaniem. – To do nich pasuje. Przekleństwo powodujące stopniowe niszczenie wszystkiego. Nieubłagane, nieodwracalne, narastające jak fala...

– Śmieciarze? Tacy z MPO? – Mój kumpel patrzył na nas zdezorientowany.

– Opowiedz mu – burknęła starucha.

– Jest taka legenda. Albo i nie legenda... W średniowieczu w pobliżu Starego Miasta, od strony skarpy wiślanej, istniała tak zwana Gnojna Góra, miejsce, gdzie wyrzucano nieczystości i odpadki. Do tej pracy, brudnej, ciężkiej i bardzo marnie płatnej, kierowano ludzi, którzy popełnili jakieś przestępstwa albo narazili się władzy. W czasie tak zwanego „wielkiego powietrza”, zarazy tysiąc sześćset dwudziestego czwartego roku, śmieciarze usuwali trupy. Bardzo się obłowili, plądrując nieboszczykom kieszenie i sakiewki. Ale wielu także marło przy tej robocie. Władze, widząc, że niedługo nie będzie już żadnego, wypuściły z lochów kolejnych rzezimieszków, obiecując im amnestię, jeśli przyłożą się do pracy i dożyją ustąpienia moru. Ale i oni padali jak muchy. Wtedy pojawił się człowiek, przybysz z daleka... Może był magiem, a może alchemikiem. A może tylko lekarzem? Bo wtedy doktorzy zgłębiali magię i astrologię, gdyż wypisując recepty, kierowali się czasem horoskopami pacjentów. Wędrowiec stanął przed burmistrzem powiatowym Łukaszem Drewno i zaproponował, że za odpowiednie wynagrodzenie uratuje miasto. Twierdził, że umie powstrzymać dżumę. Dostał, co chciał, ale nie zdołał tego dokonać. Epidemia szalała nadal. Przybysza zakuto w kajdany i wcielono do brygady śmieciarzy-grabarzy. Nie umiał uchronić miasta, ale coś jednak potrafił, bo jego towarzysze przestali umierać. Zawiazali

konfraternię, a on stanął na jej czele. Gdy zaraza ustąpiła, do ratusza przybyła deputacja złożona ze śmieciarzy i ułaskawionych rzezimieszków. Ci, którzy przeżyli, chcieli otrzymać dodatkową nagrodę. Żądali pieniędzy, prawa zakupu kamienic oraz pozwolenia na stworzenie zwykłego cechu, jak inni rzemieślnicy. Odmówiono. Objęła ich amnestia, ale nikt nie zapomniał, że to złodzieje i bandyci. Domyślano się, że obłowili się solidnie, grabiąc nieboszczyków. Wówczas poprzysięgli wieczną zemstę i wieczną pogardę Warszawie oraz jej mieszkańcom. Od wieków czyszczą śmietniki, wygrzebując co ciekawsze fanty, i sprzedają je przez swoich ludzi. Rzecz jasna, nie wszyscy, którzy jeżdżą śmieciarkami, należą do tego sprzysiężenia. Tylko nieliczni są wtajemniczeni.

– Tajne stowarzyszenie ludzi grzebiących po śmietnikach, istniejące od czasów przed rozbiorami?! – Tytus rozdziawił usta, prezentując klawiaturę zębów, z których niektóre domagały się pilnego remontu, a pozostałe były odlane w złocie.

– Taka legenda... – Rozłożyłem ręce.

– Nie legenda – warknęła staruszka. – Oj nie. Oni byli zawsze i ciągle tu są. Ich obecnego szefa wołają Spalony. Ma ręce w bliznach jak z ognia. Zadarli kiedyś ze ścierwami z Domu Czterech Liści. Wojenka była. Poczęstowali się wzajemnie tym, co jedni i drudzy umieją najlepiej. – Zachichotała złowieszczo. – Liszaj się go czepił i skórę zeżarł. Tak słyszałam.

Tytus pobladł.

– Nic mi nie mówiłaś, babciu.

– Bo ty ćwok straszny jesteś i takie sprawy nie są na twoją głowę. Dorosnąć trzeba... – Poczochrała go żartobliwie po czuprynie. – Na twoją głowę też nie. – Łypnęła na mnie. – Bo ty jesteś idiota, marzyciel i idealista. Takich to oni zgaszą jak świecę. Staniecie im na drodze, to rozdeptują obojętnie i idą dalej. To tacy ludzie, od których trzeba trzymać się z daleka, omijać łukiem jak gniazdo szerszeni. Nie pchać nosa w ich sprawy, a najlepiej udawać, że nie ma się pojęcia o ich istnieniu. Powiedz, nie popsuleś któremuś z nich interesów? Nie wywlokłeś ze stosu bazarowych śmieci czegoś, co kto inny uznał już za swój prawowity łup?

– Wszystko się zgadza. Facet, który miał blizny na dłoniach... – szepnąłem. – I zepsułem mu bardzo podejrzany interes z monetami. Transakcja nie wypaliła, bo zrobiłem ekspertyzę i odkryłem, że oferuje fałszy. Bardzo dobre jakościowo, ale jednak podróbki.

– No i sam widzisz – burknęła. – Zmyliłeś drogę i siedzisz po uszy w trzęsawisku. Wygrzebiesz się lub utoniesz, różnie może być. Ja stawiam, że się wygrzebiesz, bo głupi ma szczęście. Chociaż, z drugiej strony, taki do końca głupi nie jesteś. Tylko naiwny. Zbyt często szukasz w ludziach dobra. Parzysz się i szukasz dalej. – Nabiła ponownie fajkę i zaciągnęła się dymem, który tym razem pachniał już tylko tytoniem i konopiami.

Czułem, że wie coś jeszcze, ale nie bardzo umiałem pociągnąć ją za język. Wręczyłem babci złotą carską piątkę. Chuchnęła na szczęście i umieściła ją troskliwie w kieszeni. Nawet nie obejrzała. Wiedziała, że jej nie oszukam. Moi goście wypili kawę i poszli.

Siedziałem długą chwilę w milczeniu. Potem wziąłem się w garść. Przełożyłem zegarek na właściwą rękę. Przewietrzyłem mieszkanie z oparów babcinej fajeczki i ponownie włączyłem alarm przeciwpożarowy. Przewiesiłem obrazy na właściwe miejsca. Potem wypilem mocną kawę i zrobiłem przegląd kolekcji. Nie do końca wierzyłem w słowa staruszki, ale może gdybym zidentyfikował przedmiot, który mógł narobić szkód...

Miałem różności. Klamry do pasów, wytarte od noszenia, pokryte leciutką patyną upływającego czasu. Trzy najnowsze: carska, przedwojenna harcerska, esesmańska. Carską znalazłem, łażąc po okopach pod Brwinowem. Kiedy żołnierz na wojnie gubi coś takiego? Gdy jest ranny i trzeba rozpiąć mundur, by opatrzyć lub chociaż ocenić stan? Gdy idzie do niewoli i jako jeniec od pierwszych chwil jest tłamszony psychicznie i poniżany? Musi oddać zwycięzcom nie tylko broń i manierkę, ale też odpiąć i rzucić w błoto pas z wytłoczonym godłem swojego kraju.

Niemiecką klamrę dostałem w drodze wymiany za jakiś inny fant. Kto ją nosił? Poborowy Helmut, studenciak w drucianych okularach, zabrany z domu, oderwany od książek i posłany na front niechcianej wojny, przerażony i zamykający oczy przed pociągnięciem za spust? A może fanatyczny hitlerowiec-psychopata strzelający do ludzi jak do kaczek

i czerpiący z tego przyjemność?

Klamrę harcerską wypatrzyłem kiedyś na kupie ziemi wywalonej z wykopów na Nowolipkach. Żydzi przed wojną mieli własne harcerstwo, Haszomer Hacair. Nie nosili krzyży, tylko odznakę z lilijką wpisaną w gwiazdę Dawida i otoczoną wieńcem liści wawrzynu. Ale przecież mógł się trafić harcerz żydowskiego pochodzenia, który od dawna uważał się za Polaka, ale w czasie wojny został przez Niemców uznany za niepożądanego rasowo i przesiedlony do getta. Który nie oddał pasa ani innych elementów umundurowania, kiedy Niemcy delegalizowali polskie organizacje. Trzy przedmioty. Wszystkie trzy mogły widzieć straszliwe rzeczy... ale trafiły do moich rąk przed sprawą z monetami. Czyli to pewnie nie one były przyczyną kłopotów. A może jednak? Może spowodowały wyłom na całe miesiące, zanim ktoś rzucił urok?

Może coś innego? – zadumałem się.

Miałem setki rzeczy niegdyś użytecznych, które u mnie po prostu leżały, naprawione, skatalogowane. Na przykład brzytwy... Nieduży, ale ciekawy zbiorek – około osiemdziesięciu sztuk. Kiedyś używane przez właścicieli codziennie. U mnie wyczyszczone i naostrzone, zawinięte w bibułkę i odłożone do pudełka. Bezczyenne. Kto się nimi kiedyś golił? Czy zawsze służyły tylko do golenia? Na ostrzu jednej były dziwne szczerby, jakby ktoś ciął nią druty. Na innej niedająca się usunąć brązowa plama, wyglądająca jak krew, która wsiąkła w kość słoniową okładziny. A przecież miałem też narzędzia szewskie, dekarские, ciesielskie... I jeszcze dwa worki starych klamek w szopie.

– Dostałem paranoi od tej głupiej gadki – mruknąłem, idąc do kuchni, by zrobić sobie herbaty.

Ale gdy włączyłem czajnik elektryczny, spostrzegłem cieniutką czarną kreseczkę na ścianie – pęknięcie tynku. Przysiągłbym, że rano go nie było.

Potrzebny mi plan, pomyślałem, zalewając w imbryku mieszankę czarnej herbaty, skórki pomarańczowej i yerba mate. Konkretny plan działania. Po pierwsze, muszę ustalić, kim jest koleś z bliznami na rękach. Po drugie, trzeba rozpracować jego organizację, ocenić, na ile jest silna. Pomyśleć, czy da się przejść do kontrataku i dobrać im do tyłka. Bo negocjować z kimś

takim chyba nie ma sensu. Po trzecie, poszukać ludzi, którzy mają odpowiednią wiedzę i zechcą się nią podzielić. Po czwarte, znaleźć sojuszników... i broń.

Broń w sumie już miałem. Wyczyściłem oba pistolety i rewolwer. Wyczyściłem też swoją ulubioną spluwę – bocznopłonowego lefoszaka po generale Ćwieku-Cieszkowskim, bohaterze powstania styczniowego. Spojrzałem na flintę wiszącą na ścianie. Wspomniałem emerytowanego klauna – pana Marco, po którym ją odziedziczyłem. Nie byłby chyba zadowolony, że używam jej przeciw ludziom. Ale chyba by mnie zrozumiał? Wypiłem napar mocny jak siekiera, wyjąłem z sejfu paczki z nabojami i zszedłem do piwnicy. Nie zapalałem światła elektrycznego, zabrałem tylko świece. Zatrzymałem się przed wnęką, otworzyłem kratę. Silikonowe cudo z sex shopu, któremu nadałem imię Isaura, siedziało niewzruszone na starym krześle. Po lali nie było widać żadnej skruchy. Pełgające światło świeczki obudziło iskierki w szklanych oczach, tańczące na policzkach cienie sprawiły, że wyglądała niemal jak żywa istota. Uśmiechała się szelmowsko i jakby zalotnie. W lekko rozchylonych ustach błysnęły porcelanowe zęby. Miała kajdany na rękach i nogach. Oryginalne, carskie. Gdy ją tu zamykałem, uważałem to za dobry pomysł. Teraz moje zachowanie wydało mi się głupie, infantylne...

– Postrzelałem trochę, a potem cię rozkuję – burknąłem do lali. – Ale ponieważ wywinęłaś mi paskudny numer, jeszcze tu posiedzisz... aż zmądrzejesz.

Uśmiechała się nadal, jakby ironicznie, a może po prostu przyjaźnie? W słabym świetle świecy ledwo widziałem tarczę. I dobrze. Trzeba umieć strzelać w różnych warunkach. W ciemnościach piwnic śródmieścia, w półmroku bramy na Szmulkach, na słabo oświetlonej uliczce Woli... Założyłem słuchawki. Strzelałem raz za razem, zmieniałem broń i tarcze. Poszło mi całkiem nieźle. Nie na tyle dobrze, by jechać na olimpiadę, ale na moje potrzeby powinno wystarczyć.

– Na odparcie konwencjonalnego ataku jestem przygotowany – odezwałem się do lali. – Ale co się robi w razie ataku niekonwencjonalnego?

I naraz spostrzegłem zmianę. Isaura jak gdyby spoważniała. Wydawało mi się, że na jej twarzy maluje się obecnie troska. Pochyliłem się i wpatrzyłem

w jej buzię.

– No już dobrze, nie martw się. – Poglądziłem ją wierzchem dłoni po policzku. – Bywało się w gorszych opałach. Będzie, co ma być, a może nic nie będzie?

Pogrzebałem w kieszeni, wyjąłem pęczek kluczy sztorcowych. Łańcuchy cicho brzęczały, gdy niosłem je na górę. Skąd pochodziły? Kto je nosił przed wiekiem? Co widziały? Czy moje kłopoty wzięły się z faktu, że nie okazałem odpowiedniego poszanowania przedmiotom, które mogły być ważną pamiątką nieludzkich czasów? Dom pękać zaczął od fundamentów. Ale czułem, że jednak nie o nie chodzi. A lali trzeba będzie wreszcie udzielić amnestii. Oddam ją do jakiegoś muzeum, niech pracuje jako manekin do prezentacji historycznych strojów.

Gdy wszedłem do mieszkania, poczułem zastarzałą woń tytoniowego dymu z fajki staruszki, ale powietrze paradoksalnie było czystsze, nutka zgnilizny znikła. Założyłem wyjściowe buty i podreptałem na przystanek autobusu. Pojechałem na Targówek.

Gdy po nieudanej transakcji opuściliśmy willę, nie zaprzątałem obie głowy zapamiętaniem adresu czy innych szczegółów. Zajęty byłem rozmową. Ale nieśliśmy pół miliona złotych, zatem zwracałem szczególną uwagę na otoczenie. Zacząłem od przystanku, na którym złapaliśmy taksówkę. Potem na próbę zapuszczałem się w kolejne uliczki. Domy, domki, wille, bloki. Rozpoznawałem nieliczne szczegóły. Aż doszedłem do parceli otoczonej płotem. Tak, to musiało być tutaj. Ale po domu nie pozostał już żaden ślad. Przez te kilka tygodni wyburzono go do fundamentów, a teren ewidentnie przygotowywano pod budowę. Tylko na hałdach gleby leżały kawałki szarych żużlowych bloczków, które zapamiętałem z piwnicy.

– Zburzyli dom, żebyśmy go nie znaleźli? – zadumałem się. – Bzdura. Raczej używali tego budynku już tylko sporadycznie, może jako chwilowy magazyn sprzętów... Po transakcji wywieźli, co swoje, sprzedali nieruchomość i tyle.

Westchnąłem w duchu. To też mnie denerwowało. Ile fajnych budynków pamiętających pierwsze dekady dwudziestego wieku co roku szło pod kilof, bo deweloperzy chcieli stawiać na ich miejscach betonowe paskudztwa.

Chciwość, wielkie pieniądze, mętne układy ze skorumpowaną władzą, brak szacunku dla przeszłości, brak gustu. Fatalne połączenie. Zabójcze dla miasta. Jak złośliwy nowotwór stopniowo przegryzający starą, ale mocną i zdrową tkankę.

– Wszystko w końcu przemielą, zabudują pudełkami z betonu, stali i szkła, a potem zasiedlą najgorszymi burakami z awansu społecznego – burczałem pod nosem, wsiadając do autobusu. – Unifikacja architektoniczna, patrzy potem człowiek przez okno i nie wie, czy to Warszawa, Berlin, czy Oslo. Takie same szyldy sieciowych sklepów, takie same reklamy produktów wytwarzanych przez międzynarodowe koncerny. Identyczne auta. Nawet ludzie ubierają się podobnie. Dlaczego nikt nie bije na alarm, dlaczego tylko mnie to przeraża?

Wróciłem do centrum, odnalazłem działkę na planach, sprawdziłem numer. W hipotece rzuciłem okiem na księgę wieczystą. Niewiele mi to dało. Własność jakiejś spółki akcyjnej, potem sprzedana innej spółce akcyjnej. Wyciągnąłem ich dane z KRS, przestudiowałem. Spółki, jak się okazało, stanowiły współwłasność innych spółek... Korowód rozmaitych podmiotów krajowych i zagranicznych. Część wymienionych firm nie miała nawet fizycznych adresów.

Jak karuzela firm słupów do wyłudzeń zwrotów podatku VAT, podsumowałem po trzech godzinach swoje poszukiwania. Ktokolwiek był właścicielem budynku i gruntu, zamiótł za sobą ślady jak lis ogonem. A od właściciela do użytkownika też czasem jeszcze kawał drogi.

Kimkolwiek byli zagadkowi Śmieciarze, ukryli się starannie. Nie miałem żadnych znajomości w MPO. Za to światek antykwaryczny Warszawy znałem nie najgorzej. Oczywiście pojawiła się masa firm, które handlowały „antykami”, czyli najczęściej przywożonymi z Niemiec przedwojennymi albo i powojennymi meblami. Po niezbyt fachowej konserwacji usiłowano sprzedawać je za bająćskie sumy. Ale takie przedsiębiorstwa rodziły się i zdychały, podczas gdy firmy z tradycją były w stanie przetrwać chwilowe okresy dekonunktury. Pochodziłem po sklepach, rozglądając się, czy przypadkiem nie mignie mi gdzieś któryś z mebelków zapamiętanych podczas próby zakupu monet. Bez skutku. Rzecz jasna, handlarze z reguły nie zdradzają, od kogo kupili dane rzeczy, ale liczyłem, że po starej

znajomości puszcza farbę. Kilku zaprzyjaźnionych antykwariuszy, których zapytałem, coś tam słyszało o Śmieciarzach, ale raczej nic konkretnego. Dwu kojarzyło, że jest taka grupa, a na czele organizacji stoi człowiek o ksywie Spalony, ale nikt nie znał jego prawdziwej tożsamości, nikt nie wiedział, jak się nazywa ani gdzie go szukać... Za to wszyscy, którzy coś wiedzieli, szczerze odradzali mi jakiekolwiek kontakty z tymi ludźmi.

Raczej nie handluję na rynku lokalnym, rozważałem. A w każdym razie nie ze starą antykwaryczną gwardią.

Doświadczenie podpowiadało mi, że być może Śmieciarze pozyskują fanty w Polsce i ekspediuje za granicę. Tylko jak ich namierzyć? Nie miałem żadnych znajomości wśród celników. Wróciłem do domu późnym wieczorem zmęczony, głodny i zły. Wczorajsza zupa już skwaśniała. Gdy ją wylałem, okazało się, że emalię na dnie garnka pokryły wykwyty rdzy. Musiałem z kimś pogadać. Po chwili namysłu zszedłem do piwnicy.

– Zostajesz zwolniona warunkowo – poinformowałem lalkę suchym, urzędowym tonem. – Za dobre sprawowanie i okazaną skruchę.

Nie była taka lekka. Ważyła ze czterdzieści kilo. Zaniósłem ją na górę, przetarłem twarz i ręce, przeczesałem włosy. Trochę się zakurzyła, pokutując w lochu. Ubranie też było do prania. Ale miałem w szafie coś podobnych rozmiarów. Ładna zielona sukienka z delikatnymi falbankami, zapewne na co dzień chodziła w niej jakaś warszawska licealistka około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego. To znaczy chodziła po powrocie ze szkoły. Okulary z kobaltowymi szklami nie pasowały, pochodziły z okresu o jedenaście dekad wcześniejszego, ale znalazłem w swoich zbiorach międzywojenne. Szyldkretowe oprawki o bardzo mocnych szklach, jak się okazało, pasowały niczym wykonane na obstalunek. Wyglądała w nich dwa razy poważniej. Przeczesałem jej włosy wedle mody z epoki i upiąłem fryzurę kłamrą ozdobioną turkusikami. Siadłem przy stole, posadziłem Isaurę na krześle po drugiej stronie. Zapaliłem świece. Zrobiło się miło, może nawet trochę zbyt romantycznie, a płomyk świeczki wystarczająco ożywiał sztuczne oczy.

– Zawsze sądziłem, że już za duży jestem na zabawę lalkami – westchnąłem.
– Pasowałyby ci przedwojenny mundurek harcerski, ale nie mam.

Nie odpowiedziała. Zrobiłem sobie dwie kanapki, zaparzyłem też dwa kubki herbaty.

– Ech, żebyś ty jeszcze gotować umiała – zacytowałem przedpotopowego suchara. – Z drugiej strony z pustym żołądkiem podobno lepiej się myśli...

Jeszcze nie ruszałem kolacji. Nadal głodny, zacząłem się zastanawiać. Był chyba człowiek, który powinien coś wiedzieć... Dlaczego nie pomyślałem o nim wcześniej?

– Jutro niedziela, poszukamy starego znajomego – mruknąłem. – To znaczy ja poszukam, bo ty nie powinnaś wychodzić na miasto.

Lalka nie odpowiedziała. Ale cienie tańczyły jej na twarzy, budząc uśmiech, a blask świecy krzesał figlarne iskierki na żrenicach. Docisnąłem jej palce na kubku z herbatą. Westchnąłem ciężko. Samotność dokuczała mi okropnie. Mógłbym zadzwonić do Magdy, w USA był chyba o tej porze środek dnia, ale nie chciałem jej niepokoić swoimi problemami. Zjadłem kanapki, wypilem herbatę, potem podmieniłem kubki, opróżniony postawiłem na blacie obok Isaury, a pełny zabrałem do sypialni. Wsadziłem w silikonowe dłonie tomik poezji, a dla siebie wyciągnąłem z półki opasłą monografię i zagłębiłem się w tekst. Gdy po godzinie podniosłem głowę, lala nadal siedziała przy stole w salonie, jakby pogrążona w lekturze.

– Pozmywaj, proszę, zanim pójdziesz spać – mruknąłem i zgasilem światło.

Odpływałem już do krainy Morfeusza, gdy do moich uszu doleciał dźwięk włączanej zmywarki. Poderwałem się zaskoczony i zajrzałem do kuchni.

Nie, to nie u mnie...

– I nigdy więcej mnie tak nie strasz – pogroziłem lali palcem.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechała się szelmowsko.

*

Kolesia o ksywie Agent Łubna spotkałem może ze cztery razy w życiu. Facet ustawił się doskonale, zorganizował skup antyków i staroci na największym warszawskim wysypisku śmieci. Ludzie wyrzucają rozmaite rzeczy odziedziczone po przodkach, często nie zdając sobie sprawy z ich wartości. Śmietnisko z dawien dawna penetrowali zbieracze butelek, złomu i tego typu surowców wtórych. Agent po prostu przeszkolił śmietnikowych dziadów i zaczął płacić im gotówką za najciekawsze znaleziska. To, co odkupił, czyścił, czasem naprawiał i puszczał dalej. W powodzi wszelakiego szmelcu czasem błysnął mu okrusz złota, czasem prawdziwy diament. Kto jak kto, ale on akurat powinien znać zagadkowych Śmieciarzy. O ile sam nie był jednym z nich! Parokrotnie oferował członkom Grona różne przedmioty, stąd go kojarzyłem. Gdzie typa szukać? Nie miałem pojęcia. Jednak znałem kogoś, kto mógł coś wiedzieć.

Zazwyczaj na każdym bazarze jest ktoś, wokół kogo wszystko się koncentruje. Każdy go zna, a on zna każdego. Czasem przychodzi się do niego, żeby rozsądził spór albo wydał opinię. Nieformalny przywódca. Tak było zawsze. Bazarem Różyckiego przed laty rządził staruszek podobny do świętego Mikołaja, ale z tatuażami na policzkach. Gdy byłem młody, na Stadionie wszystko trzymał w rękę kolektyw siedmiu kolesiów, reprezentujących siedem różnych narodowości, które tam robiły interesy. Oni decydowali, czy wolno będzie handlować bronią i prochami, oni opłacali się policji i odprowadzali podatki mafii albo wydawali zlecenie likwidacji mafijnych „poborców”. A giełda na Kole miała pana Michała. Był to człowiek starej generacji, z tych pierwszych, którzy pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęli handlować w tym miejscu starociami. Niżej

w hierarchii stali ludzie handlujący tu od lat, a na samym dole rozmaici goście, którzy zakotwiczali na jakiś czas, oferowali szwarc, mydło i powidło, wyprzedając graty po dziadkach, a potem znikali bez śladu. Stary miał oko do wyławiania z powodzi przynieszonego na giełdę chłamu rzeczy interesujących, choć z reguły mało wartych. Miewał niewiele towaru, ale zazwyczaj oferował ciekawe przedmioty. Odnosiłem wrażenie, że podobnie jak ja chyba więcej kupował do własnej kolekcji, niż sprzedawał.

Zastałem go z lupą nad strzępem jakiegoś pożółkłego maszynopisu. Zapukałem we framugę. Oderwał się od lektury i spojrzał na mnie.

– Robert Storm – zidentyfikował. – Właśnie myślałem o tobie. Telepatia... Słuchaj, mam taką sprawę. Twoje nazwisko... Nie jesteś przypadkiem z pochodzenia Żydem?

– Nie. Moi przodkowie byli Natangami.

– Że niby kim!? – Wytrzeszczył oczy.

– Mieszkańcami Natangii, krainy leżącej między Warmią a Sambią. Prusami, których plemię podbili Krzyżacy.

– Cholera. Potrzebuję akurat kogoś, kto zna jidysz – zasępił się.

– Trochę znam.

– Trochę to i ja znam. Ale może ty poradzisz sobie lepiej? Masz chwilę?

– Tak.

Wskazał mi krzesło. Siadłem i zacząłem studiować papier. Maszynopis wykonano hebrajskim alfabetem. Charakterystyczny krój liter... Tylko raz widziałem starego underwooda z taką czcionką. Żeby na poważnie grzebać w dziejach Warszawy, koniecznie trzeba znać języki jej dawnych mieszkańców. Rosyjski i niemiecki były czymś oczywistym. Zajmując się sprawami i zagadkami związanymi z mniejszością żydowską, musiałem poznać choć trochę jeszcze jej mowę. Wyuczyłem się alfabetu, pozostało wykuć tysiąc podstawowych słów, no i trochę posiedzieć nad tekstami, żeby

nabrać wprawy. Żydzi, podobnie jak kilka innych narodów, wymyślili sobie, że będą zapisywali tylko samogłoski, więc znaczenia wielu wyrazów trzeba było się domyślać z kontekstu. Nie powiem, bawiły mnie te rebusy i irytowały zarazem, ale sztukę czytania w jidysz z grubsza opanowałem.

– Recenzja z występu Wiery Gran – zreferowałem.

Pokiwał głową. Przetłumaczyłem mu, o czym jest tekst. Tłumaczenie było raczej kulawe, ale i tak się ucieszył.

– Zapowiadało się ciekawiej, gdy sam czytałem – przyznał.

Cóż, jeśli pierwsza linijka brzmi: „tu znajdziecie najcenniejsze skarby żydowskiej kultury”, można sobie narobić apetytu.

– Czego potrzebujesz? – zapytał konkretnie, gdy odłożyłem papier.

– Szukam namiarów na człowieka przedstawiającego się jako Agent Łubna.

– Spóźniłeś się, on tu już nie bywa. – Pokręcił głową. – Jakiś rok temu ktoś go przegonił z wysypiska i rozgoniono tych jego dziadów. Potem coś mu się tam przytrafiło, dom mu się spalił chyba. Jak widziałem go ostatni raz, kilka tygodni temu, mówił, że chory. I nie mieszka już w Warszawie. Nie wiem, czy żyje. Wyprzedawał się podobno w necie. Może tak go znajdziesz.

– Nie wiem nawet, jak się nazywał.

– Na imię miał chyba Wiktor. Ale faktycznie, zawsze przedstawiał się jako Agent Łubna. W necie tej ksywy nie używał.

– A wie pan, z jakiego nicka korzystał?

– Miał sześć różnych kont na portalach aukcyjnych. To znaczy o tyłu wiem. Zapiszę ci. Jak nie znajdziesz go przez net, rozpuszczę wici po znajomych. Jeśli żyje, odezwie się prędzej czy później. Słyszałeś, że Profesor się przekreślił? – zmienił temat.

– Nie...

– Tydzień temu. Był na odwyku, trzeci miesiąc, ale organizm miał już tak wyniszczony, że nie pomogło. Zgasł jak dogasające ognisko. Parę lat za późno się za to zabrał... Szkoda chłopca, choć chlor nieprzeciętny. Miał ogromną wiedzę, jeszcze zanim zaczął tankować, przeczytał chyba komplet starych warszawskich gazet. Znał historie, które varsavianie dopiero odkryją. Odchodzą ludzie z mojego pokolenia, a następców nie widać. Są tylko nieliczne rodziny, takie jak ty. – Puścił oko. – W ogóle niewielu dziś zbieraczy, szperaczy, kolekcjonerów. Nasz świat się kończy. Na nasze miejsce wpycha się nowe. Z jednej strony ci od militariów, tu niektórzy mają sporą wiedzę. Ale obok często byle dresiarstwo z wykrywkami. Klapki na oczach, znają się tylko na tym, czego szukają, a i to kiepsko. Na drugim biegunie pieprzeni nuworysze, srają forsy. Ktoś im powie, że to modne mieć antyki, zaraz przyłazi taki i chce kupić kolekcję szabli hurtem. Nic o nich nie wie, w dupie ma ich historię, nie ciekawi go nawet, kto tę broń nosił. Zresztą co ci będę gadał, wiesz, jak teraz jest. A przez takich dzianych buców i giełda się psuje. Bogaty ćwok to pokusa. Są tu tacy, co wciskają im barachło. Albo rzeczy oryginalne po cenach z kosmosu, albo reperowane i uzupełniane w cenie oryginałów, a nawet fałszywki. Reputacja bazaru umiera... Dla prawdziwych pasjonatów już u nas za drogo.

Pokiwałem głową.

– Ty jesteś z innej gliny. Jak nasza stara gwardia. Dlatego jedni cię lubią, inni nienawidzą, a jeszcze inni oceniają przez pryzmat swojej własnej małości – filozofował. – Znajdę ci tego Łubnę. Czekaj cierpliwie, bo pewnie trochę zejdzie. Numer telefonu masz ten sam?

Potwierdziłem. Wróciłem do domu. Pod moją nieobecność pękła szybka nadstawki, na szczęście nie dostrzegłem innych zniszczeń.

*

Sprawdziłem konta na kilku serwisach internetowych. Ostatnie przedmioty Agent Łubna wystawił półtora miesiąca wcześniej. Przeanalizowałem listę jego transakcji. Była naprawdę imponująca. Sprzedawał dziesiątki fajnych fantów. Od kompletnych drobiazgów za parę groszy po rzeczy naprawdę ciekawe. A potem nagle liczba transakcji mocno spadła. Przez kilka tygodni nie sprzedał nic. Później – po kilka przedmiotów miesięcznie. I już wyłącznie bardzo ciekawe albo wartościowe.

– Wyprzedał, co miał na handel, i zwinął internetowy kramik – mruknąłem pod nosem. – Teraz bieduje i wyzbywa się kolekcji, czyli zabytków najciekawszych i najcenniejszych, które zebrał przez lata i odłożył dla siebie. Dlaczego przestał handlować historycznym barachłem? Dlaczego sięga do prywatnego zbioru? Bo najprawdopodobniej wyszło źródło towarów. Czyli ktoś wykołegował go z interesu. Kto mógł przegonić króla śmietnikowych dziadów z największego wysypiska w stolicy? Na pewno nie barany ze straży miejskiej. Ciepło, ciepło...

Wysłałem mu wiadomość z prośbą o spotkanie. Nie odpisał. Liczyłem jednak, że wcześniej czy później zajrzy jeszcze na konto i przeczyta mój post.

*

Zadzwonił budzik. Pacnąłem go ręką i przetoczyłem się na drugi bok. Mogłem sobie dziś na to pozwolić. Dodatkowa dwudziestominutowa drzemka i filiżanka mocnej kawy niczym błogosławieństwo rozświetlające cały poranek. Punktualnie o piątej trzydzieści usiadłem do pracy nad kolejną książką. Dom może się i wali, ale robota sama się nie robi! Poza tym... kiedy znów będę mógł usiąść do ulubionej pracy? Tu miałem swój stół,

porozkładane narzędzia, przedwojenne prasy introligatorskie, regał pełen skór i skórek, szydła różnych typów i rozmiarów, nici piętnastu grubości i w czterdziestu kolorach, rzemienie i rzemyki, rozmaite kleje i klajstry. Wszystko pod ręką. I niczego nie musiałem składać i chować na noc. Zaczynałem pracę tam, gdzie ją przerwałem poprzedniego dnia. Szycie grzbietów, naciąganie skór, plectenie kapitałek uspokoiły mnie trochę. Zajęły myśli i palce na jakiś czas. Troski nie znikły, ale oddaliły się. Isaura w milczeniu obserwowała, co robię. W dzień nie przypominała już żywej dziewczyny, ale jej obecność jakoś mnie uspokajała.

– Szkoda, że nie umiesz szyc – mruknąłem, odkładając na blat carskie nożyczki chirurgiczne. – Druga para rąk do pomocy i wszystko poszłoby znacznie szybciej.

Nie odpowiedziała. Milczała z nieobecną miną, lekko uśmiechnięta. Wyciągnąłem z poduszeczki ulubioną igłę kaletniczą.

– Polska igła sprzed czterdziestu lat nadal mi służy, a chińskie łamią się, wyginają, tępią... – zauważyłem filozoficznie. – Mikołaj Kopernik napisał rozprawę o tym, jak gorszy pieniądz wypiera lepszy, ja mógłbym napisać o tym, że gorszy towar wypiera lepszy. Jak to mówi polskie przysłowie: „Chińczyk sprzedał diabłu duszę. Po trzech dniach się zepsuła”. Swoją drogą, ciebie chyba też zrobili w Chinach?

Nie odpowiedziała, ale zrobiła jakby obrażoną minę.

– Dobra, dobra, nie fochaj się, nie wszystko, co chińskie, musi być od razu marnej jakości. Chyba powinienem zacząć się już pakować – powiedziałem ze smutkiem, patrząc na ciemne rysy szpecące tynk.

A potem zagryzłem wargi. Magda wróci w czerwcu. Planowałem się jej wtedy oświadczyć. Jesienią ślub. A za rok dzieci. Do tej pory sądziłem, że po ślubie zamieszkamy u mnie. Ale teraz... Gdzie się podzieję, jeśli dom runie? Wracać do rodziców? Nie. Trzeba jakoś wygrzebać się z tej kabały. Zdobyć fundusze. Wyremontować kamieniczkę.

– Zobaczymy jeszcze, kto kogo – warknąłem buńczucznie. – Ten dom jest mój i pozostanie mój. A potem moich dzieci, wnuków, prawnuków.

Wypiłem kolejną kawę i ruszyłem do boju. Wiosenny czwartkowy poranek był ciepły. Na drzewach rozkwitały pączki, ale mnie nie było do śmiechu. Całe przedpołudnie łąziłem po mieście z teczką książek. Koniunktura była marna. Antykwariusze nie chcieli ryzykować zakupów za gotówkę. Albo widzieli mnie w palącej potrzebie i próbowali przycwaniaczyć, kupić za bezcen, by za chwilę zgarnąć kwoty znacznie wyższe.

Przypomniała mi się opowieść z rodzinnych stron o gospodarzu, którego piękny las chciano odkupić za kilka tysięcy złotych, a gdy nieoczekiwanie powaliła go gruźlica i szukał sposobów ratunku i pieniędzy na długotrwałe kosztowne leczenie, ci sami handlarze oferowali mu marne grosze...

– Biada pokonanym – powiedziałem sam do siebie. – Tylko skąd bydlaki wiedzą, że jestem w potrzebie? Bo zawsze od nich kupowałem, a prawie nigdy nie sprzedawałem – odpowiedziałem sam sobie.

W komis dać? Nie był to zły pomysł. Ale nie miałem czasu. Nawet bardzo okazjna cena była słabą pokusą. „Pana Tadeusza” opchnąłem dopiero w trzecim antykwariacie, i to raptem za pięć tysięcy. Nieco więcej pewnie dostałbym, wystawiając go na poważną aukcję starodruków, ale nie mogłem czekać. Wujek robił już odwiarty. Niebawem trzeba będzie płacić pierwszą transzę. Stałem i rozważałem, czy iść do metra i jechać na Żoliborz, czy może odpuścić i wracać do siebie?

– Nie, na Żoliborz już nie ma po co jechać. – Zagryzłem wargi. – Zapomniałem...

Legendarna „wyspa antykwariatów” w pobliżu placu Wilsona nie istniała. Nawet nie wiedziałem, co jest w tym miejscu obecnie, pewnie kolejna modna knajpa dla ćwoków.

Ciągle łapałem się na tym, że wszystko się pozmieniało, że poznikały antykwariaty, sklepiki, warsztaty i ludzie, których znałem od lat. Wystawić resztę białych kruków w necie? Za dobrą, ale okazijną cenę, w opcji „kup teraz”. Może ktoś się skusi?

– Szukałeś mnie... – dobiegło z tyłu.

Głos szeleścił jak stara pożółkła gazeta. Odwróciłem się. Z tego, co wiedziałem, Agent Łubna był kilka lat starszy ode mnie, ale wyglądał prawie na starca. Nie widziałem go może rok, a on przez ten czas wychudł, czoło przeryły mu zmarszczki, ale najbardziej zdumiało mnie, że ewidentnie wyłysiał i posiwiał. Oczy zapadły mu się trochę, przy ustach pojawiły się głębokie bruzdy. Wyglądał, jakby stał nad grobem. A przecież nie miał jeszcze czterdziestki. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Próbowaleś nawiązać ze mną kontakt. Czym mogę zatem służyć? – zagadnął. – Już nie robię w branży... Wypadłem z obiegu, definitywnie. Finito.

– Chciałbym pogadać na temat ludzi, którzy przegonili pana z Łubnej – powiedziałem.

– To nie ludzie, to najgorsze bydło – warknął.

Przez twarz przemknął mu cień. Zacisnął usta w przypiływie mimowolnej złości. Poruszył się lekko, jakby chciał odwrócić się na pięcie i odejść, ale ostatecznie został.

– Czy jest sens o tym gadać? – pytanie zabrzmiało jak retoryczne.

– Wydaje mi się, że narobiłem sobie kłopotów, bo pokrzyżowałem plany lewego biznesu tym samym ludziom.

Milczał przez chwilę, jakby coś sobie układał w głowie. Wreszcie wzruszył bezradnie ramionami.

– Jeśli to ci sami ludzie, odpuść i spieprzaj z miasta na jakiś czas – powiedział wreszcie. – To jedyna sensowna rada, jakiej mogę udzielić. Nie ma sensu kopać się z koniem. Gdy wróg jest silniejszy, czasem warto się stawiać. Ale gdy przewaga jest absolutnie miażdżąca, trzeba wiedzieć, kiedy sobie darować. A może to nie ci sami?

– Śmieciarze.

– Tak, pierdoleni Śmieciarze... – urwał i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. –

Chodźmy na piwo – zaproponował nieoczekiwanie.

Za domami centrum był pub o fikuśnej hipsterskiej nazwie i wystroju zaprojektowanym przez idiotę. Na ścianie zawieszono plansze udające stare amerykańskie reklamy.

– Jakbyśmy nie mieli własnych, polskich czy nawet warszawskich tradycji – burknął mój towarzysz, omiatając je wzrokiem. – Jakby nie można było wziąć gazety sprzed osiemdziesięciu lat i zreprodukować czegoś swojskiego.

– A kto niby miałby to zrobić? – Wzruszyłem ramionami. – Właścicielem jest jakaś pieprzona zagraniczna korporacja, kolesie od designu i reklam to młode luje, które nawet nie zdają sobie sprawy, że to miasto ma swoją historię. A nawet gdyby wiedzieli, to co oni mogą? Właściciel mówi, że ma być jak w Londynie, i tyle. Globalne trendy...

Agent rzucił na paskudną szklaną ladę dwa banknoty. Dziewczyna, która nalewała piwo, miała kretyńską fryzurę, idiotyczne kolczyki i „artystyczne” tatuaże na przedramionach. Była sztuczna jak całe to miejsce.

Zaprojektowana. Podsunęto jej pewne gotowe wzorce ubioru i zachowania, i kazano wierzyć, że to jej własny styl.

– Gdzie te czasy, gdy kolczyki lub tatuaże wykluczały z pracy w gastronomii.

– Widać i on myślał o tym samym.

Zajęliśmy stolik w kącie i po chwili sączyliśmy złocisty napój. Piwo było dość podłe, ale jakoś dawało się pić. W takich miejscach często dolewają wody i zazwyczaj leją ciut poniżej kreski. Logo browaru na ścianie było nawet ładne, ale wolałbym pić z ciężkiego kufla, poczuć pod palcami grube lane szkło.

A może jestem malkontentem? – pomyślałem. Mają tu czysto, wręcz higienicznie, wszystko pod wyśrubowane normy. Nie grozi mi zatrucie czy zakażenie. W takich lokalach nie zdarzają się awantury ani mordobicia. Tylko to poczucie fałszywości, wręcz plastikowości tego świata... To nie jest nic trwałego. Dziś ta knajpa istnieje, jutro będzie tu oddział banku, pojutrze lumpeks, a potem sklep sieciowy albo znów knajpa, ale z innym, choć równie cudacznym wystrojem.

– Nie powinienem pić alkoholu, bardzo negatywnie reaguje z moimi lekami – mruknął, ocierając wargi wierzchem dłoni. – Z drugiej strony, to już prawie bez znaczenia. Powiedz, co dokładnie się dzieje?

– Wszystko zaczęło mi się niszczyć, pleśnieć, rdzewieć, śniedzieć... Czyściłem, ale po paru dniach znów rzucała się korozja. Nawet na złotych monetach wylazły przebarwienia. Korniki w sprzętach. Mole w tkaninach. Trułem, ale co rusz pojawiały się nowe. A teraz cały dom zaczął siadać. Wymyło pod fundamentem dziurę jak stodoła. Na psa urok...

– Śmieciarska magia – mruknął. – Ludzie, z którymi gadałem, twierdzili, że oddziaływanie magiczne przeważnie jest subtelne, dłuższy czas nie widać ani nie odczuwa się efektów. Pojawiają się zdarzenia, które można od biedy wyjaśnić racjonalnie, ale jest ich zbyt wiele. Gdy zaczynamy coś podejrzewać, jest już za późno. Seria zniszczeń, które w zasadzie da się wytłumaczyć upływem czasu, ale kpiących sobie ze statystyki, narastających jak gigantyczna lawina. To rzeczywiście wygląda jak ich klątwa. Czytujesz czasem Zajdla?

– Tak.

– Czas nieubłaganie obraca wszystko w bezwartościowe śmieci. Tylko że w normalnych warunkach to trwa naprawdę długo i daje się ten proces w znacznej mierze powstrzymać, po prostu dbając o rzeczy. Pamiętasz „Cylinder van Troffa”? Szalony profesor zrobił komorę, w której czas zwalniał. To tutaj jest jakby na odwrót. Masz efekt, jakby czas przyspieszył. Lata wciśnięte w dni, może w godziny. Coś jakby soczewka koncentrująca czas.

Zadumałem się nad jego słowami i wreszcie kiwnąłem głową.

– Tak to wygląda. Więc obaj doszliśmy do tych samych wniosków. Gryzą mnie jednak wątpliwości. Czy mamy do czynienia ze zjawiskiem wytłumaczalnym naukowo, czy, nazwijmy to, nadprzyrodzonym?

– Brzytwa Ockhama... – mruknął. – Szukajmy najprostszego wyjaśnienia. Gdyby to było oddziaływanie fizyczne, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, żeby dotknęło wyłącznie materii nieożywionej. W końcu nasze ciała składają

się z tysięcy substancji chemicznych. Zarówno organicznych, jak i nieorganicznych. Gdyby coś oddziaływało na materię, siłą rzeczy jakoś odbiłoby się na nas. Zestarzelibyśmy się. Poza tym to by wymagało jakiejś aparatury, ekranów, soczewek, laserów, emiterów fal nieznanych nauce. Gdybym podpadł CIA albo Mosadowi, może należałoby szukać wyjaśnień naukowych.

– Czyli pozostaje magia. Siła kpiąca sobie z praw fizyki, naginająca je, tworząca zdarzenia paradoksalne, niemożliwe, niewytłumaczalne.

Nie odpowiedział, tylko pociągnął długi łyk piwa. Nad miastem słońce przebiło się przez chmury. Popatrzyłem przez okno. Tłum ludzi na deptaku. Japiszony w garniturach. Znużone bezczynnością bogate gówniarstwo. Dziewczyna w zbyt ciasnych legginsach, z miną owcy szczebiocząca radośnie do srajfona. Wokoło witryny, migoczące reklamy i cały ten syf. A obok za szybą my. Jakby przybysze z zupełnie innego miasta. Ludzie poprzedniej epoki. Może nawet wielu poprzednich epok. Ja jak przedwojenny inteligent. W butach od szewca. Z teczką od kaletnika. Ogolony przy użyciu mydła, pędzla z prawdziwej borsuczej sierści i brzytwy. Uczesany szylkretowym grzebieniem. W marynarce i pod krawatem. Mój rozmówca założył turecką „jeansową” kurtkę na syntetycznym białym misiu, a pod szyją zamotał wściekle zielony akrylowy szaliczek. Sam szczyt bazarowej mody około roku osiemdziesiątego ósmego. I też lubił stare, niemodne już mokasyny z chwościkami. Dwaj rozbitkowie z dawnej, prawdziwej Warszawy, w dodatku gadający o czarach, klątwach i urokach jak o czymś rzeczywistym. Realnym.

– Nie od razu się domyśliłem, co jest grane – przyznał. – Cóż, jak się robi w antykach, czasem trafia się coś... – Strzelił palcami. – Jak dotknięcie obcej, zimnej jaźni. Przywykłem. Nie byłem nigdy szczególnie religijny. Może gdybym poświęcił w porę dom...

– U mnie był poświęcony, ale nie pomogło. – Wzruszyłem ramionami. – Widocznie naruszyliśmy spokój tamtej strony. Za mocno.

– Chyba tak. Nie jestem teologiem, niewiele się wyznaję na tych sprawach. Ściągnąłem kilka wrózek z ogłoszeń w gazetach. Strata czasu i kasy, ale ostatnia mi powiedziała, że czuje napór z zewnątrz, a do tego coś jest

w moim domu. Przedmiot, który stał się katalizatorem katastrofy. Kluczem otwierającym zamki i zrywającym pieczęci. Wniosłem przez próg coś naprawdę brudnego. Sam to zrobiłem, wprowadzie nieświadomie, ale przez to jakakolwiek ochrona mieszkania przestała działać.

Poczułem nieprzyjemny chłód na karku. Włoski na przedramionach nastroszyły się. To, co powiedział, było niepokojąco zbieżne ze słowami naćpanej babki Tytusa. A przecież staruszka raz już przepowiedziała mi przyszłość i sprawdziło się co do joty.

– Co było dalej? – zapytałem.

– Próbowałem żyć jak wcześniej. Ignorowałem to wszystko. Aż pewnej nocy mój dom się spalił. Ocalało tylko to, co miałem w sejfach. Całą kolekcję diabli wzięli. Nie była może szczególnie cenna, ale i tak szkoda.

Nawygrzebywało się przez te lata różności. Ludzie często nie myślą, tylko wywalają do śmieci rzeczy, które byłyby ozdobą każdego muzeum. Raz trafiłem taki fant, że wręcz nie do uwierzenia... – urwał, widocznie nie chcąc zdradzić, co też takiego zdobył.

– Muszę zidentyfikować przedmiot, który mi podłożono. I zapewne go zniszczyć? Albo inaczej się go pozbyć?

– Hobbici musieli wrzucić trefny pierścień do wulkanu, ale w naszym przypadku może wystarczyłoby do Wisły? Albo do muzeum oddać? Być może. Nie wiem. Nie jestem wróżką – westchnął. – Może to tylko otworzyło drzwi? Może już się nie zamkną?

– Stara Cyganka, która badała mój dom, sugerowała, że może chodzić o tak zwanych Śmieciarzy – wróciłem do wcześniejszego wątku rozmowy. – Szukałem o nich jakichś konkretniejszych informacji. Pomyślałem, że pan, że się tak wyrażę, od lat robiący w śmieciach, zapewne zetknął się z tymi ludźmi. Szukam klucza. Kim są? Jakie mają możliwości? Jak się bronić. Może jak kontratakować? Może da się pozyskać jakichś sojuszników i wspólnie im wklepać?

Po jego twarzy przemknął cień.

– To bardzo wiele pytań i chyba nazbyt ambitny plan działania. Owszem. Kilka razy miałem z nimi drobne scysje. Wcześniej. Nic poważnego. Pewne, powiedzmy, koleżeńskie nieporozumienia. Próby podorania miedzy, bezprawnego przesunięcia znaków granicznych, na które gospodarz terenu musi zareagować. Z perspektywy czasu widzę, że postępowali miękko, sprawdzali. Ja postępowiałem miękko, bo ceniłem sobie święty spokój i nie chciałem zadrażnień. A może trzeba było od razu w łeb?

– Coś się zmieniło?

– Stali się bardziej chciwi. Przestało im wystarczać to, co mieli. I sięgnęli po moje. Tym razem inaczej. Konkretnie i na ostro.

– Opowie pan o tym?

– Jasne. Co wiesz o Śmieciarzach?

– Legendy z czasów wielkich zaraz siedemnastego wieku i trochę relacji nowszych.

Milczał przez chwilę, a potem zaczął:

– Od bardzo dawna wśród warszawskich pracowników MPO istnieje niewielka grupka wtajemniczonych. Coś jak łoża masońska. Wyłapują ze śmieci co ciekawsze rzeczy. Nie robiłem im konkurencji – parsknął ze złością. – Po prostu uszczelnili sobie system. To jak dwa sita. Ci, co robią przy śmieciarkach, widzą, co ludzie powyrzucali. Czasem od razu wiadomo, że ktoś czyści mieszkanie po zmarłych krewnych i wywala na śmietnik różne różności, listy, odznaki, fanty, które dla dziadka były ważne, a wnusio dresiarz nawet nie wie, co to. Tacy zwykli, szeregowi pracownicy, którzy taczają kubły do śmieciarki, wiedzą tyle, że jak coś takiego się trafi, to są koledzy, którzy chętnie w tym pogrzebią i dadzą za cynk kilka dych. Ale rzecz jasna dużo przez to sito przelatuje. Do niedawna było drugie sito. Na moim wysypisku buszowało od czterdziestu do sześćdziesięciu dziadów. Działłem tak samo. Zasadniczo szperaczy interesował złom. Puszki z aluminium, miedziane kable, czasem makulatura. Ale znosili mi wszystko, co mogło być ciekawe, a ja dawałem po parę dych za interesujące mnie fanty. Czasem miałem na tym przebitkę dwukrotną, czasem dziesięciokrotną. Niby

można powiedzieć, że to wyzysk. Ale ja te wszystkie rzeczy ratowałem, czyściłem, konserwowałem, naprawiałem, uzupełniałem. Przywracałem blask.

– Podobnie jak ja.

– Czyli rozumiesz. Śmieciarze żyli ze swego pierwszego sita jak królowie, a ja z tego drugiego, powiedzmy, jak hrabia... – Zaśmiał się głucho z własnego porównania. – Nikomu krzywda się nie działa. Nawet tym dziadom z samego dołu. Ale w pewnym momencie przyszło „królom” do głowy, by mnie wykołegować z biznesu. By wyłapywać na moim sicie to, co przegapili. Aby zostać cesarzami. Przyszli do mnie i zaproponowali tysiąc złotych za oddanie im mojego kramiku. – W zadumie patrzył w okno. – Wyśmiałem ich i pogoniłem. Na wysypisku czułem się mocny. Złudne poczucie przewagi, jakie daje zasiedzenie w miejscu uważanym za własne... I wtedy się zaczęło. Jak przyspieszenie entropii. A potem już tylko gorzej i gorzej.

Nawet nie zaskoczyło mnie, że użył identycznego sformułowania jak ja w rozmowie z Tytusem.

– Tak samo jak u mnie – westchnąłem.

– O co poszło, jeśli możesz powiedzieć...?

– Zaoferowano nam kilka monet. Za walizkę gotówki. Zidentyfikowałem je jako falsyfikaty. Naprawdę dobrze wykonane, oryginalnymi sztancami, ale podróby... Moi przyjaciele nie dobili targu. Tyle mogę powiedzieć. Pół miliona przeszło sprzedawcy koło nosa. I chyba wiedział, że monety są trefne. Nawet jeśli nie wykonał ich sam, tylko znalazł w śmieciach. Chyba że znalazł sztance, bo i tak mogło być.

Agent Łubna gwizdnął.

– Ładna kwota. – Pokiwał głową.

– Gdyby monety okazały się prawdziwe, byłyby warte kilka, może kilkanaście milionów. Dobry interes. Zbyt dobry...

– Ich szef ma dłonie całe pokryte bliznami, spalone jakimś zaleczonym liszajem. Przypuszczam, że załapał to kiedyś, gdy był na samym dole w hierarchii cechu. Osobiście musiał grzebać w śmieciach i złapał jakieś paskudztwo. O, widzę, że go spotkałeś – odgadł po mojej minie. – To on sprzedawał te monety?

– Tak.

– Paskudna rzecz taki liszaj. Mnie się tylko przytrafiło zakażenie tężcem i kilka razy świerzb. Wszy łąpałem, pluskwy. Po prostu tak już bywa, jak się grzebie w czymś takim. W końcu śmieci to śmieci. Nic przyjemnego, ale banalne w porównaniu z tym, co teraz.

Pociągnął łyk tych przemysłowych szczyń. Poszedłem w jego ślady. Smakowałem płyn dłuższą chwilę. Czym nadawano ostatnio kolor i goryczkę piwu? Kiedyś używano chmielu, potem żółci bydlęcej. Być może browary w ogóle przeszły już na syntetyki? Wypuściłem trochę gazu przez nos. Jako weteran niejednego bazarowego zakupu, bezbłędnie rozpoznawałem znajomy sztyk spirytusu gorzelnianego, pędzonego z kartofli. Ale była też śladowa nutka chloru. Czyli w tym lokalu opanowali trudną sztukę takiego rozpracowania zabezpieczeń kegow, by dało się dodać kranówki.

– Powie mi pan teraz to, czego pan nie powiedział?

– Dom może by mi się nie spalił, ale kombinowałem dokładnie tak jak ty przed chwilą. Nie uciekać, tylko walczyć i solidnie zadać im bobu. Próbowałem kontratakować – westchnął. – Ściągnąłem kobietę, która twierdziła, że jest wiedźmą. Miała zdjąć urok rzucony na mnie i moją chatę oraz magicznie wzmocnić i odesłać go do nadawcy. Ale chyba coś nie poszło. Tak, wiem, wy moherowcy inaczej na to patrzycie. Próbowałem się bronić. I tyle.

– Przyczyna pożaru...

– Niewyjaśniona. Ale straż pożarna stwierdziła, że wybuchł jednocześnie w kilku miejscach i na kilka sposobów. Cztery razy tłumaczyłem prokuratorowi i sędziemu, że przecież nie podpaliłbym domu wartego półtora miliona, by odzyskać niespełna trzysta tysięcy od tych złodziei

z ubezpieczenia. Tyle dobrze, że w końcu uwierzyli, bo jeszcze bym poszedł siedzieć pod zarzutem próby wyłudzenia odszkodowania. Wyniosłem się z Warszawy. To pomogło, ale na krótko. Przyplątała się choroba. A może przyplątała się, bo mieli lepsze kadry i raz jeszcze odbili klątwę w moją stronę? Znaczący wróciło to, co im przesłała ta moja wynajęta wiedźma. Byłem u takiego jednego uzdrowiciela. Nie dał rady mi pomóc, ale powiedział, że to nie jest normalne. Widział u mnie dziury w aurze jak od odłamków pocisku. Tak przynajmniej twierdził.

– Większość tych ludzi to wydrwigrosze. Ale trafiają się czasem tacy, którzy faktycznie posiadają pewne niewytłumaczalne zdolności.

– Ten, co zobaczył u mnie te dziury, nie chciał pieniędzy. Powiedział, że jak nie umie pomóc, nic mu się nie należy. Zatem domniemywam, że jego diagnoza jest prawdziwa. A w każdym razie wydrwigroszem nie jest.

Umilkliśmy. Długą chwilę w milczeniu sączyliśmy piwo.

– Myślę, że po prostu trzeba kropnąć to ścierwo. Mam na myśli Spalonego – powiedział wreszcie Agent.

– We dwóch? – Zagryzłem wargi.

– Nie, ty nie nadajesz się do takiej roboty. Musiałbym sam... Poza tym ja nie mam już wiele do stracenia. To jak pozbyć się grzyba ze ściany. Wszystkim będzie się lżej oddychać... Wiedźma powiedziała, że klątwa jest jak pies. Poszczuta, zagryzie tego, na kogo została rzucona. Ale gdy ginie ten, kto ją rzucił, staje się jak bezpański pies. Atakuje na oślep i bez przekonania jakiś czas, a potem się rozprasza i znika.

– Pomijając aspekt moralny i prawny, zazwyczaj dziabnięcie szefa jakiejś organizacji oznacza otwartą wojnę ze wszystkimi jego przydupasami – zauważyłem. – Tych Śmieciarzy może być kilkudziesięciu. Kilkuset raczej nie, ale ze trzydziestu, czterdziestu... Poza magią mogą się posługiwać także bronią konwencjonalną, a skoro mają kasę, są w stanie wynająć jakichś obszczymurków, którzy porachują nam kości albo rozbijają głowy, a policja nawet nie będzie podejrzywała, że to na zlecenie. Walka w pojedynkę z armią Czyngis-chana. A potencjalni sojusznicy jeszcze gorsi niż wróg...

– Dom Czterech Liści – westchnął i kiwnął głową, przyznając mi rację. – Jedni warci drugich. Jeden stary człowiek opowiadał mi, że w czasie wojny ci magicy spierniczyli z miasta i gdzieś się pochowali, a Śmieciarze pozostali, by korzystając z okazji, szukać skarbów i grabić, najpierw tereny po getcie, potem, po powstaniu, Śródmieście. Umieli się dogadać z każdą władzą, nawet ze Szwabami.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, obrócił w palcach i schował. W pubach nie wolno palić. Z jednej strony cieszył mnie ten zakaz, z drugiej, był mi mocno obojętny. W zasadzie nie uczęszczałem już do takich lokali. Bo i po co?

– Wojna to wojna. Jestem gotów pogodzić się z pewnymi stratami własnymi – mruknął. – A zwłaszcza ze stratami cudzymi.

– Wojna z organizacją, o której prawie nic nie wiemy... ale która za to może wiedzieć wszystko o nas. Czarno to widzę. – Pokręciłem głową. – Mamy jeszcze jakichś sojuszników?

– Grono Jarzębiny?

– Średnia wieku siedemdziesiąt plus. Ale mają synów, wnuki, prawnuki. Mogę poprosić o walne zebranie i postawić na nim tę sprawę.

– Wydaje mi się, że tu nie wystarczy kilka aut młodych, wyrównych chłopaków z bejsbolami. A do tych z Domu Czterech Liści lepiej nie zwracać się o pomoc. Rzecz jasna, chętnie by ze Śmieciarzami wyrównali rachunki, ale skoro tego nie robią, widocznie czują się zbyt słabi. No i jeszcze jedno. Oni za każdą przysługę liczą sobie, i to bardzo słono. Obawiam się, że nie mamy czym zapłacić. No i układy z takimi ludźmi... To nie jest dobry pomysł.

– Chyba nie – przyznałem.

– We dwóch tego nie ugryziemy. Jeśli mogę doradzić, wynieś się na jakiś czas z miasta.

– A pan?

– Nie chcę uciekać przed takimi wszarzami. Mam spluwę, a jakby tego było mało, zachomikowałem sobie jeszcze kilka puszek pewnej ciekawej substancji. Tylko zastanawiam się, czy po sześćdziesięciu latach... – urwał.

Zaniósł się kaszlem, zasłonił usta rękawem. Gdy oderwał tkaninę od ust, błękit jeansu znaczyło kilka kropel krwi.

– Nie mamy uchwytnej informacji o wrogu, nie mamy sojuszników – wyliczałem. – Nasze pukawki nie zapewniają przewagi.

Pociągnął długi łyk z kufla, jakby w milczeniu przyznawał mi rację.

– Piwo... Twoje pokolenie nie wie nawet, jak powinno smakować – westchnął. – Przemysłowy zajzajer. Jestem może niewiele starszy od ciebie, ale pamiętam wyroby pochodzące sprzed dyktatury międzynarodowych koncernów. Mam znajomego z nietolerancją glutenu i uczuleniem na pyłki zbóż. I co? Pije piwo i nic się nie dzieje. A przecież powinno go zdrowo sponiewierać. Słód, ekstrakt słodowy to przecież chyba z jęczmienia się uzyskuje! No i jak to wyczyścić z pyłków? Jedyne wyjaśnienie, że to nasze piwo już chyba w ogóle nie jest robione ze zboża. Pamiętam, jak chodziło się do sklepu firmowego browarów warszawskich na Żelazną. Piwo Królewskie, niegdyś Haberbusch i Schiele... Ludzie uważali, że jest gówniane, ale wtajemniczeni wiedzieli swoje. Trzeba było przyjść w środę rano po takie z wtorkowej nocnej produkcji. I szybko wypić, bo w butelkach umierało po kilku dniach. – Gdy oddał się wspomnieniom, jego spojrzenie zmiażdżyło, a na wargach pojawił się uśmiech pełen łagodnej zadumy.

Ucieka od tematu. Nawet on wie, że walka jest beznadziejna, tylko nie chce tego przyznać, pomyślałem. W dodatku jest chyba bardziej chory, niż sądziłem. Czyli kicha. Wojna przegrana, zanim jeszcze się rozpoczęła. Czyli co mam robić? Poddać się? Uciekać? Wyjechać znów na jakiś czas z Warszawy?

Pożegnałem go z paskudnym przeczuciem, że widzimy się po raz ostatni. Wróciłem do domu zmęczony, zdenerwowany, zły... Położyłem się na wersalce i tępo gapiłem w sufit. Więcej sobie obiecywałem po tym spotkaniu. W zasadzie nie powiedział mi wiele ponad to, czego sam się domyślałem. Śmieciarze rzucili klątwę. Na niego, potem na mnie. I co dalej? Diecezjalny

egzorcysta? Oczyszczenie domu? To chyba nie zawadzi. Gdybym zdołał zidentyfikować przedmiot, który mi podłożyli. O ile prababka Tytusa miała rację.

– Wdepnąłem zbyt głęboko w te sprawy – westchnąłem.

A jak głęboko wdepnął Agent? Czarownica, pewnie też wzięta z gazetowego ogłoszenia, odbijanie klątw... Idiota. To, co robił, przypominało zabawę zapalkami w stodole pełnej siana. Nic dziwnego, że oberwał jakimś rykoszetem. Z drugiej strony, ja też zacząłem od „mądrej babki”. Mogłem tylko mieć nadzieję, że faktycznie znała się na rzeczy. I że nie naniósłem w ten sposób więcej błota do domu.

Walka z organizacją, o której nie dość, że nie wiedziałem prawie nic, to jeszcze nie bardzo miałem kogo zapytać. Bez sensownych sojuszników. W dodatku na czym niby miała polegać ta walka? Zagrozić im i zażądać cofnięcia klątwy? Czy w ogóle są w stanie? No i jak miałbym ich zaszantażować? Kompletnie nie miałem pomysłu.

Najpierw trzeba oczyścić dom z podejrzanych przedmiotów, podjąłem decyzję.

Wstałem ciężko, zaparzyłem sobie mocnej kawy. Do północy grzebałem po szufladach i pudełkach. Zebrałem w jedną skrzynkę wszystkie drobiazgi zgromadzone w ciągu ostatnich tygodni. Oddam je do jakiegoś muzeum. Przy odrobinie szczęścia będzie wśród nich przedmiot, który przysporzył mi kłopotów.

– Przyjmijmy, że jakimś cudem usunę przyczynę katastrofy – powiedziałem w ciemność za oknem. – Ale skutki nie znikną. Dom nie zaleczy cudownie swoich ran. Czyli nawet jeśli zablokuję działanie klątwy, pozostanie jeszcze zebrać kilkaset tysięcy złotych na remont.

Co zrobię, jeśli to nie pomoże i dom runie? Działkę się sprzeda. Może deweloper, który ją kupi, rozliczy się mieszkaniem? Zostanę w Warszawie. Będę nadal patrzył, jak moje miasto umiera... A gdyby faktycznie rzucić to wszystko i wyjechać? Na rok, na dłużej, może na zawsze? Raz już tak zrobiłem. Podobało mi się w Etiopii, mógłbym znów uprawiać z mnichami

stare księgi w koźlącą skórę. Albo do USA, przecież nigdy tam nie byłem. Pojechać, odwiedzić Magdę, powłóczyć się po miejscach znanych z młodzieńczych lektur. Popłynąć bocznokołowcem po Missisipi. Zobaczyć, jak wygląda wyspa Matecumbe na Florydzie. Poszukać złota w Górach Czarnych. Przejechać się koleją od oceanu do oceanu... A może wypuścić się gdzieś bliżej? Mam trochę pieniędzy na koncie oszczędnościowym. Za mało na remont, ale na bilet wystarczy. Polecę gdzieś, zaczepię się do jakiejś roboty. Może jest takie miejsce na świecie, gdzie przyda się doświadczony introligator?

– Agent Łubna coś kombinuje – mruknąłem sam do siebie. – Ciekawe tylko co. Nie chciał pomocy. Wspomniał o broni i o jakichś puszkach. Zamierza zrobić Śmieciarzom bolesnego psikusa? Żeby się tylko nie przeliczył. Samotni mściciele, w pojedynkę wykańczający całe mafie, trafiają się tylko w filmach.

Nie myliłem się. Planował psikusa. Ale nawet nie domyślałem się, jak szatański plan chodził mu po głowie...

*

Kolejne dni spędziłem na rozmowach. Objechałem całą starszyznę Grona Jarzębiny, przedstawiłem sytuację. Na wieść, że chcę iść na wojnę ze Śmieciarzami, wszyscy tylko ponuro kręcili głowami i stanowczo odradzali. Za to kilka osób zaproponowało mi datki na remont, a kilka kolejnych pożyczki. Członkowie naszej konfraterni przeważnie posiadali bardzo ciekawe kolekcje antyków, pamiątek historycznych i curiosów, ale raczej nie byli szczególnie bogaci. Mimo to łącznie zadeklarowali wsparcie na nieco ponad sto tysięcy złotych. Większości nie musiałbym nawet zwracać...

– Miło z waszej strony – mruczałem, notując sobie, ile kto gotów mi dać. – Ale to nadal kropla w morzu.

Rodzina, jak się okazało, mogła mnie wesprzeć, ale nasza wspólna kasa świeciła pustkami. Jeden ze stryjków musiał jechać do USA na wszczęcie protezy kolana, Fredzia i jeszcze inna dalsza kuzynka wychodziły za mąż, więc kupiono im po mieszkaniu, stypendia dla kilkorga młodszych też wyczyściły konto z nadwyżek. Pradziadek, podliczywszy niezbędne rezerwy, zaoferował mi raptem dwieście tysięcy. Czyli dysponowałem mniej niż połową potrzebnej sumy, a w perspektywie było kilka lat spłacania zobowiązań. To już był konkret, ale nie miałem żadnego pomysłu na zdobycie brakującej kwoty.

Pan Maciek tymczasem pogadał w bankach, ale dowiedział się, że pod hipotekę walącego się budynku i gruntu „ze szkodą górniczą” nie dostaniemy żadnej pożyczki. Ubezpieczenie kamieniczki po dokładnym sprawdzeniu też okazało się diabła warte. Gdyby dom się spalił albo zawalił, musieliby wypłacić „aż” dwadzieścia procent wartości polisy, bo na tyle opiewała umowa w przypadku uszkodzeń ścian i stropów. Ich rzeczoznawca, obejrzawszy pęknięcia, zaproponował dwa i pół tysiąca na ich zagipsowanie i pomalowanie. Miałem ochotę skuć mu porządnie mordę, ale sąsiedzi mnie w porę powstrzymali. Zmykał jak niepyszny.

– No i sama widzisz – klarowałem Isaurze podczas kolacji. – Skundlone czasy... Brak mi prawdziwych przyjaciół, gotowych iść razem ze mną na wojnę. W ogóle brak mi przyjaciół, takich, wiesz, jak kiedyś bywali. Z gatunku tych, co to zjedzą z nami beczkę soli i pójdą konie kraść. Jedyny potencjalny sojusznik ledwo trzyma się na nogach.

Silikonowa lala nie odpowiedziała. Teoretycznie mogłaby, miała gdzieś wbudowany odtwarzacz aktywowany na pilota, a na nim nagrane różne dźwięki, ale raczej nie bardzo pasujące do tematu rozmowy.

– Z tymi ubezpieczeniami to po prostu żenada. Płaci człowiek latami składkę, a gdy przyjdzie co do czego... – zacząłem i urwałem.

Po co mówić rzeczy oczywiste?

– Masz dziwnie zaniepokojoną minę, jakbyś coś przeczuwała – zauważyłem.
– Coś się szykuje? Nadchodzi kolejne uderzenie nawałnicy? Zresztą po co ja cię pytam... Jesteś tylko lalką, w dodatku stworzoną w jednym celu.

Swoją drogą, to też swego rodzaju narzędzie, pomyślałem. A ja zamiast go używać zgodnie z przeznaczeniem, trzymam w piwnicy albo zapraszam na herbatę.

Zagryzłem wargi. Czułem się kompletnie zagubiony.

– Wyjechać? – bąknąłem. – Na jakiś czas, może na stałe?

Tylko co to da? Raz już tak zrobiłem. Jeździłem na nartach przez Alpy. Byłem też w Etiopii i Sudanie, przemierzałem zasypane piachem chrześcijańskie królestwa starożytnej Nubii. Moje myśli pozostawały jednak w Warszawie. Odliczałem dni, kiedy będę mógł wrócić. A gdy wróciłem, okazało się, że nic się nie zmieniło. Nadal mam tę samą robotę. Idiotyczną, nisko płatną, ale ukochaną.

Lala ponownie nie odpowiedziała.

– Jestem, jak się to teraz mawia, przegrywem – wyznałem. – Mam prawie trzydzieści lat, ani żony, ani dzieci, ani dobrej pracy. Nie piję, nie palę, ale prawie nic nie uciulałem na czarną godzinę. Nie mam żadnych oszczędności. Powinienem zgromadzić parę groszy na koncie. Tak z milion złotych, żeby zrobić remont domu bez żebrania po ludziach... A za co się wezmę, wszystko spieprzę. Odnalazłem Sezam Czerwia i co mi z tego przyszło? Miały być miliony, wyszła kicha. Tyle dobrze, że nie musiałem się dokładać do poszukiwań. Teraz ta sprawa z monetami. Znów miały być miliony i znów obesłaliśmy się smakiem. Mówią, że mam wyjątkowe szczęście, ale w praktyce, gdy przyjdzie co do czego, sama widzisz...

Albo mi się zdawało, albo zrobiła współczującą minę. Zdmuchnąłem świeczkę. Włączyłem normalne światło. Spojrzałem na lalę. Włosy nabrały sztucznego połysku, oczy zgasły i były tylko szklano-porcelanowymi kulkami. Elektryczność wydobyła wszystkie szczegóły, zdarła woal półmroku... Przed chwilą czułem, jakbym rozmawiał z kimś prawdziwym. Wystarczył blask żarówki i wszelkie pozory życia uleciały w jednej chwili.

Gadam z silikonową lalą z sex shopu, pomyślałem ze smutkiem. To chyba jeszcze gorzej, niż gdybym gadał sam ze sobą...

Spałem tej nocy źle, śniło mi się, że podpalam własny dom.

*

Popołudnie było ponure, wiatr pędził po niebie burzowe chmury. Mój nastrój był – o ile to możliwe – jeszcze gorszy. Kiepsko zapowiadał się ten wiosenny dzień. Po pierwsze, rano poleciał kawał elewacji – na szczęście od podwórza, więc nie stanowiło to zagrożenia dla przechodniów. Po drugie, okazało się, że pewien znajomy milioner nie pożyczy mi kasy, bo nie żyje. Po trzecie, rodzice przyznali się, że ich willa ma obciążoną hipotekę, nie dostaną pożyczki, więc i z tego źródła nic nie skapnie. Po czwarte, Marta – z tego, co wiedziałem – wyszła za mąż, więc za mnie już nie wyjdzie i posagu też nie będzie. Po piąte, gdy odpaliłem komputer, znalazłem w poczcie mail, że mam się stawić na komendzie policji. Po szóste, sprawdziłem wyniki totolotka i okazało się, że moją kumulację znów wygrały jakieś nieznane mi sukinsyny. Po siódme, kawa mi się skończyła, więc przed wizytą na policji nie mogłem się napić czegoś, co rozjaśni mi w głowie.

*

– Dzień dobry, mam takie wezwanie... – Pokazałem funkcjonariuszowi za barierką wydruk maila.

– Zna pan drogę? – Sprawdził mój dowód osobisty, odnotował nazwisko w księdze i wskazał miejsce, gdzie mam złożyć podpis.

Potwierdziłem.

Nie miałem pojęcia, czego Piotrek chce ode mnie tym razem. Gdy tylko dostałem „zaproszenie”, zrobiłem pośpiesznie rachunek sumienia. Nic nie przychodziło mi do głowy. Przez ostatnie pół roku byłem doskonale praworządnym obywatelem. Nigdzie się nie włamywałem, nie szukałem żadnych skarbów, nie kułem murów, nie drążyłem szybów w trawnikach. Z pewnością nie kupiłem też nic trefnego i nawet do nikogo nie strzelałem. Jednak na wszelki wypadek zapakowałem do raportówki szczoteczkę do zębów, notes i książkę, a kaburę z rewolwerem zamknąłem w sejfie. Gdyby mnie zapuszkowali, miałbym co czytać przez pierwsze dwa, może trzy dni. Gorzej, jeśli znajdą na mnie coś konkretnego. Tak na dłuższą odsiadkę. Nie byłem pewien, czy w aresztach śledczych mają biblioteki, a jakoś nie znałem żadnego recydywisty, żeby zapytać.

Znajome biuro. Ileż razy już tu byłem? Oj, zbyt wiele... Cztery ściany, mocne drzwi, okno z siatką założoną od środka. Biurko przykręcone do podłogi. Stalowe szafy na akta, na ścianach bure olejne lamperie. Na podłodze stary parkiet, wymagający cyklinowania. Wnętrze przygnębiające, odpychające, jakby stanowiące relikty poprzedniego ustroju.

Mój kumpel wyglądał na bardzo zmęczonego, chyba zarwał noc. Spodziewałem się, że będzie na mnie czekał cały zespół, ale poza nami w pomieszczeniu nie było nikogo. Widać chciał pogadać szczerze i bez świadków. To chyba pół biedy. Wskazał mi miejsce na krześle. Przez chwilę milczał, jakby zbierał siły przed rozmową.

– Robert... – odezwał się wreszcie.

– Taaa?

– Ja cię prosiłem tyle razy. Wycisz się, wyluzuj. Opuść sobie te wariackie

afery, w które pakuje cię Grono Jarzębiny. No i co? Posłuchałeś życzliwej rady? Gdzie tam! Przez kilka miesięcy był spokój, ale dziś znowu mam z tobą cholerny problem.

– Ze mną? – zdziwiłem się. – Ostatnio nie robiłem nic podejrzanego, nielegalnego, wątpliwego moralnie...

Raz jeszcze zrobiłem pospiesznie rachunek sumienia. Hm. Posprzedawałem książki, teoretycznie od niektórych poważniejszych transakcji powinienem odprowadzić podatek. O to mu chodziło? Raczej nie, przecież był od morderstw, a nie od spraw gospodarczych. Żadna z tych książek nie była kradziona. Na niektórych widniały pieczętki dawnych właścicieli, ale ci ludzie nie żyli od wielu dekad.

– Pogadajmy szczerze – zawiesił głos.

– Tak zupełnie szczerze to może lepiej nie – zaniepokoiłem się.

Moja odmowa jakby w ogóle go nie zraziła.

– Jesteś cholernie prostolinijny, kompletnie nie umiesz kłamać i zazwyczaj czyta się w tobie jak w otwartej księdze. Jedyne kłopot w tym, że niektóre strony tej księgi mają jakiś sens, ale większość to bełkot wariata. Wybacz, ale mamy tu gigantyczną aferę. To jeszcze nie jest oficjalne przesłuchanie, jednak muszę zapytać konkretnie. Co robiłeś wczoraj około godziny jedenastej?

– O dziewiątej gadałem z wujkiem odnośnie do wyników ekspertyzy próbek z odwiertów. Ponieważ jechał na Mokotów, zabrałem się z nim i około dziesiątej siedziałem już w Bibliotece Narodowej.

– Masz świadków? Alibi? Im mocniejsze, tym lepiej. Bo tym razem naprawdę rozszalał się sztorm.

No proszę, u mnie sztorm i u niego sztorm. Zafrasowałem się. Za często ostatnio słyszałem to słowo. Sztorm zagroził mojemu domowi, on też miał jakąś burzę wokół siebie. W dodatku zaczął do opisywania rzeczywistości używać tych samych określeń co ja...

- Obawiam się, że nie wiem, o co chodzi – powiedziałem zupełnie szczerze.
- Mamy trupy. Dużo. Za dużo – dodał poważnie. – Poszlaki wskazują, że mogłeś mieć z tym coś wspólnego. A nawet jeszcze gorzej. I co? Nadal nic ci nie świta?
- Trupy? Nigdy w życiu nikogo nie zabiłem. Zasadniczo nawet do pewnego stopnia brzydzę się przemocą.
- Twoi świadkowie? Pomijając krewniaka.
- Gadałem w obecności sąsiadów. Wujek potwierdzi, gdzie mnie odwiózł i o której. Było z nim dwóch pracowników. Nie znam ich, ale wujek przecież powie, którzy to, i można ich przesłuchać. W bibliotece jestem stałym bywalcem. Jeśli nawet bibliotekarze mnie nie rozpoznają, to system odnotował, jakie książki i o której brałem, będę na nagraniach z monitoringu. Tam jest kilka kamer, na pewno mnie złapały. Płaciłem kartą w barku i za skany. Może ochrona też mnie zapamiętała. Wysłałem kilka esemesów. Będą logowania, pozwalające ustalić lokalizację. Trzy, może cztery niezależne źródła potwierdzą, że tam byłem. Od biedy można pewnie wyodrębnić moje odciski palców z książek, które czytałem.
- Czyli można powiedzieć: tym razem niepodważalne, żelazne alibi – mruknął Piotrek, jakby uspokojony.
- Żelazne – potwierdziłem. – Granitowe.
- Popatrzył mi w oczy. Wytrzymałem jego spojrzenie. Widziałem, że odetchnął z ulgą. Jeśli byłem na jego liście podejrzanych, chyba właśnie mnie skreślił. To pewnie głupie uczucie, gdy trzeba zapuszkować kumpla, którego zna się jeszcze ze szkoły. I który ma szansę zostać jego szwagrem.
- Na szczęście – westchnął. – Drugie pytanie. Twoja śliczna, a przy tym całkowicie nielegalna dubeltówka na słońce... Ile w Warszawie może być strzelb na pociski Nitro Express?
- To raczej sztucer. Wiem o jednej. Konkretnie tej, która wisi u mnie na ścianie. To rzadka broń. Nie sądzę, by było łatwo o drugi egzemplarz. Może

taką flintę mieli jacyś przedwojenni podróżnicy, jak Goetel, Lepecki, Korabiewicz, Ossendowski. Jeśli zostawili w spadku dzieciom, wnukom, krewnym, a ci nie oddali do muzeum, to może ktoś ma coś podobnego zachomikowane. Wydaje mi się to jednak skrajnie mało prawdopodobne. Mój egzemplarz to w ogóle szacowny zabytek, jeśli dobrze rozszyfrowałem sygnatury producenta, czyli WJ Jeffery & Co, wyrób z tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Próbowałem po numerze seryjnym rozszyfrować jego historię, ale...

– Zabytek, ale jednak na chodzie. – Popatrzył na mnie ciężko. – Wyjątkowo trefny zabytek, rzekłbym. Niezarejestrowany. Wyprodukowany po roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym. A kaliber i siła pocisku jak rusznica przeciwpancerna.

– Do czego zmierzasz? – zniecierpliwiłem się.

– Nikomu tego grata nie pożyczałeś ostatnimi czasy?

– Skąd! To dla mnie cenna pamiątka po wyjątkowym człowieku. Spotkaliśmy się tylko raz w życiu.

– Tak, wspominałeś, był błaznem.

– Klaunem – sprostowałem z godnością.

– No tak, przepraszam, tłumaczyłeś mi to przecież. Klaun to dusza przedstawienia, najważniejszy człowiek w całym cyrku i tak dalej, i tak dalej. A dawno używałeś tej pamiątki?

– Naboje są w Polsce nie do zdobycia.

– Kiedy konkretnie?

– Naprawdę trudno o taką amunicję...

– Gadaj zdrów. Ty jesteś w stanie zdobyć wszystko! Każę ci przynieść kawałek Bursztynowej Komnaty, to wzruszysz ramionami i będzie na poniedziałek.

Hmmm... Szczerze powiedziawszy, zainspirował mnie. Gdyby tak faktycznie odszukać Bursztynową Komnatę? Z pewnością Ruscy zapłaciliby mi za nią taką nagrodę, że wyremontowałbym kamienicę od piwnic po komin. Zresztą, dlaczego zaraz Ruscy? Bo to mało nacji byłoby zainteresowanych?

– Ty, obudź się! – syknął Piotrek. – Przestań odlatywać. Skup się na rozmowie, to może nie będziesz musiał skupiać się podczas oficjalnego przesłuchania w prokuraturze.

– No tak... Nielegalna flinta na słonie – przypominałem sobie. – Nikogo z niej nie zabiłem, do nikogo nie strzelałem, nikomu nie pożyczałem. O co tym razem jestem podejrzan?

– Na razie chyba o nic – odburknął. – Ale jakbyś się przypadkiem nie nagrał w bibliotece na kamery, to może być i dożywocie. Zatem kiedy ostatni raz strzelałeś sobie w piwnicy do słoni? Bo nie da się wykluczyć, że jednak będziemy musieli zrobić ekspertyzę. Spalony proch i tak dalej.

– Do worka z piaskiem. Z pół roku temu – przyznałem niechętnie. – Naprawdę trudno o te naboje. Oszczędzam. Mam tylko dwanaście sztuk. Trzymam na czarną godzinę. Uprzedzając kolejne pytanie, nigdy nikomu nie udostępniłem ani jednej sztuki tej amunicji.

– Na czarną godzinę, czyli kiedy uznasz, że dość już tego unikania przemocy i zechcesz kropnąć prezydenta w pancernej limuzynie...

– Nie czuję niechęci do obecnych władz – odgryzłem się. – Poza tym, rozważając czysto teoretycznie, rzecz jasna, na prezydenta i jego limuzynę karabin przeciwpancerny UR-35 byłby chyba lepszy, bo pociski Nitro Express mają obły ołowiany czubek, a do rusznicy, mimo o połowę mniejszego kalibru, są szpiczasto zakończone, co daje lepsze możliwości penetracji celu...

Zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. No i dobrze, bo tylko tego brakowało, żeby wywęszył, gdzie trzymam mój egzemplarz karabinu.

– Trzecia sprawa. Kojarzysz tych dwu gości? – Położył na blacie zdjęcia Spalonego i Agenta Łubna.

– Czy naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie? – Uciekłem spojrzeniem w bok.

– Odpowiedz albo będziesz się w sądzie tłumaczył, że nie jesteś wielbłądem. I że tę swoją strzelbę pierwszy raz widzisz na oczy, bo wrogowie ci ją podrzucili. I na szereg innych pytań będziesz musiał odpowiedzieć. Pod przysięgą i pod rygorem odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. I tak dalej.

Westchnąłem ciężko. W Gronie Jarzębiny z reguły stosowaliśmy zasadę bezwzględnej poufności. Co mogłem mu powiedzieć, żeby nie minąć się z prawdą, pomóc w śledztwie i jednocześnie nie naruszyć żelaznych reguł naszego kodeksu?

Puknąłem palcem w fotkę.

– Ten koleś zaoferował nam niedawno kilka złotych monet. Byłem przy tym obecny jako wynajęty ekspert. Uznałem je za fałszywki. Transakcja nie doszła do skutku. Prawdopodobnie ma na imię Igor. Mistrz Igor, tak się przynajmniej przedstawił. Ma paskudne blizny na dłoniach, być może efekt zakażenia i zgorzeli gazowej. Podejrzewam, że to jednocześnie szef grupy łowców antyków, noszący ksywę Spalony.

Kumpel kiwnął głową, jakby moje informacje potwierdzały jego przypuszczenia.

– Mówiąc „nam”, masz na myśli tych świrów, z którymi się prowadzasz? Tak zwane Grono Jarzębiny? – zapytał pro forma.

– Tak.

– I oczywiście nie powiesz, który z twoich kumpli chciał monety kupić, za ile, ani jakie to były monety.

– To chyba bez znaczenia, kto chciał kupić, bo przecież nie doszło do transakcji. – Wzruszyłem ramionami. – Co do monet zaś... To były fałszywe dwudziestomarkówki getta w Łodzi, wybite w złocie. Cena bardzo okazjna, bo pół miliona złotych za siedem sztuk. Szkoda tylko, że nie były prawdziwe.

– Pół miliona?! Okazyjna?! – wykrztusił Piotrek.

– Gdyby były autentyczne, dałoby się tyle wycisnąć za jedną. Ponieważ obiecano mi prowizję od sprzedaży, bardzo żałuję, że okazały się falsyfikatami. Wykonano je dość starannie, więc nie wykluczam, że inny kupiec może się naciąć. Czyli mogą jeszcze wypłynąć i narobić zamieszania.

– Tym się nie przejmuj. Jak wyglądały? Po jednej stronie nominal „dwadzieścia” i napisy po niemiecku, że pokwitowanie coś tam, coś tam, po drugiej gwiazda Dawida w wianku z czegoś w rodzaju drutu kolczastego i data: tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy?

– Tak.

– A wszystko w rzeźbionym pudełku z profilem górala na wieczku? No to zdaje się, że mam je na liście zabezpieczonych fantów. A ten drugi facet? Kto to jest i skąd się znacie?

– Przecież wiesz. – Kolejny raz wzruszyłem ramionami.

– Wiem – westchnął. – Ale skoro to przesłuchanie, powinienes sam się przyznawać. A ja powinienem konfrontować twoje wersje z moimi danymi, przyłapywać cię na kłamstwach oraz przemilczeniach.

– No niby tak – zgodziłem się.

Hmm... Co zrobię, jak mnie przymkną? Będę siedział w areszcie. W tym czasie dom runie. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa uratowania kamienicy, muszę pozostać na wolności. Czyli trzeba iść na współpracę.

– Wiktor Ewaryst Kowalski, bardziej znany jako Agent Łubna – rzucił mój kumpel zniecierpliwiony.

Następnie spojrzał w okno i zabębnił palcami po blacie, czekając, co powiem.

– Nawet nie wiedziałem, jak się naprawdę nazywa. Słyszałem tylko, że Wiktor. Zawsze przedstawiał się pseudonimem.

– Był wariatem? Trzeba chyba nie mieć piątej klepki, żeby sobie ksywę

stworzyć od nazwy wysypiska śmieci.

– Wszyscy jesteśmy trochę wariatami – zauważyłem filozoficznie.

– Mów za siebie – burknął.

– O brak piątej klepki bym go akurat nie podejrzewał. Ratował skarby kultury, robił to, co lubił, i do tego żył z tego całkiem nieźle. Miał dom, gdzieś na Bemowie. I dorobił się go uczciwą pracą.

– Uczciwą? Ale podatków nie płacił. Ty zresztą też nie płacisz. – Łypnął na mnie.

– Płacę VAT, ile razy pójdę na zakupy! A wiesz, jakie są narzuty na materiały konserwatorskie? Ja ratuję cenne pamiątki przeszłości, a władza łupie mi za to domiar i wywala to, co zedrze, w błoto, przeznacza środki na cele, na które ja bym nie dał ani grosza! Na przykład na zasiłki dla meneli, którzy szczają mi w bramie.

Znów zabębnił palcami.

– Agent Łubna – odpowiedział.

Wolałem wrócić do tematu.

– W Polsce tylko trzy procent ludzi łączy twórczo swój zawód i hobby – zauważyłem. – A ksywę czasem wymyślamy sami, a czasem nadają nam ją inni. Z tego, co obito mi się o uszy, kiedyś wołali go po prostu „Łubna” i sam dodał słowo „agent”, żeby brzmiało bardziej elegancko i trochę tajemniczo.

– Czyli twierdzisz, że nic o nim nie wiesz?

– Żeby tak zupełnie nic, to nie. Słyszałem, że kiedyś siedział w więzieniu. Nie wiem, za co. A gdy wyszedł, nie miał już do czego wracać i dlatego osiadł na śmietniku. Ale nie wiem, czy to prawda. Bo przecież miał przed odsiadką dom.

– Przejrzałem jego teczkę. Zabił trzech ludzi, mając szesnaście lat – powiedział Piotrek, patrząc mi w oczy. – Włamywaczy. Twierdził, że działał

w obronie własnej. Oddał trzy strzały. Wszystkie celne. Nie wahał się, nie próbował ranić, tylko rąbał jak na strzelnicy. A czasy były takie, że sądy nie stosowały nadzwyczajnego złagodzenia kary. Odsiedział kilkanaście lat, zanim prezydent go ułaskawił.

– Nie wiedziałem. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Ostatnio obniżył loty, a wręcz można powiedzieć, że wypadł z branży, nieprawdaż? Coś mu ten śmieciowy interes przestał iść.

Gwizdnąłem w myślach. Mój kumpel, jak widać, dobrze się przygotował do rozmowy. Uruchomił agenturę czy jak? Dostał donos? Byłem autentycznie ciekaw, skąd policja bierze takie informacje.

– Przegoniono go ze śmietnika, na którym buszował. Hmm... Co się właściwie wydarzyło? Pracujesz w wydziale zabójstw, a oni obaj wyglądają jak nieboszczycy. – Oddałem mu fotki.

Policyjny technik podretuszował zdjęcia na komputerze, żeby do okazywania fotek świadkom denaci byli „jak żywi”, ale mnie nie zwiódł.

– To się nie nazywa wydział zabójstw! Owszem, nie żyją. Opowiesz, co o nim wiesz? O Wiktorze Ewaryście.

– Już tłumaczyłem. Wiem naprawdę niewiele, prawie tyle, co nic.

– Raczej całkiem sporo. – Spojrzenie Piotrka stwardniało. – Zgaduję, że nie był członkiem twojego klubu kolekcjonerów dżentelmenów, a w każdym razie nie nosił przypinki z jarzębiną. Ale robił z grubsza w tym samym interesie. Poza tym wasze drogi niedawno się przecięły. Szukałeś go intensywnie przez swoich znajomych i w necie. Zapewne znalazłeś, bo z reguły znajdujesz to, za czym grzebieasz. Z wyjątkiem własnej piątej kleпки oczywiście, ale jej chyba nigdy nie szukałeś.

– A ty skąd wiesz, że go poszukiwałem!? – zirytowałem się. – Jestem aż tak podejrzanym typkiem, że profilaktycznie mi pluskwę założyliście?

– Robert, ja cię naprawdę proszę... Nie utrudniaj mi śledztwa.

– Nie mam z tym jakimś tam zabójstwem nic wspólnego. Co niby mogę powiedzieć? Agent Łubna znałem z widzenia. Nie byliśmy kumplami, raczej, powiedzmy kolegami z pracy. Jakby z sąsiednich wydziałów jednej firmy. On wiedział, kim jestem, ja wiedziałem o nim też tylko tyle. On grzebał w śmieciach, a ja buszowałem po bazarach. Król śmietnika i król... no, może raczej hrabia wśród szperaczy. Nie przeszkadzaliśmy sobie. To duże miasto, jest tu roboty dla wielu takich jak my. Co do tego drugiego, nie wiem, jak się naprawdę nazywa ani czym się zajmował tak oficjalnie. – Uniosłem rękę jak do przysięgi. – Już powiedziałem. Przedstawił się jako „mistrz Igor”, ale nie mam pojęcia, czy to jego prawdziwe imię. Miał siedem złotych monet na sprzedaż, zbadałem je, okazały się lewe, do transakcji nie doszło. Mogę poza protokołem dodać, że facet jest prawdopodobnie kimś ważnym w tajnej gildii tak zwanych Śmieciarzy. Może ich mistrzem, może jednym z mistrzów. Wiem o nich tyle co nic. Handlują na sporą skalę różnymi fantami wygrzebanymi ze śmieci. Agent Łubna wszedł im w drogę, a może raczej to oni postanowili zająć jego teren. Ja, blokując transakcję, poniekąd też im podpadłem. I tyle.

– Poza protokołem, powiadasz – wycodził Piotrek, chyba bardzo wkurzony. – A nie łaska czasem zeznać kumplowi coś do protokołu?

– Ech, nie... – Pokręciłem głową.

Przeszedł się po gabinecie. Chyba układał sobie to, co powiedziałem. Wargi poruszały mu się, jakby mełł przekleństwa. Wreszcie uspokoił się.

– Mam ja z tobą ruski cyrk – westchnął.

– Jak zginął mój... przyjaciel? – zapytałem. – I dlaczego sądzicie, że mam coś z tym wspólnego?

Słowo „przyjaciel” zabrzmiało nieco fałszywie.

– W oficjalnym raporcie wygląda to tak, że biznesmen pracujący w branży utylizacji odpadów komunalnych i recyklingu ginie od kuli na słońce. Dobrze usłyszałeś. Kropnięto go z flinty takiej jak twoja. Miazga... Rozpierniczyło pancerną szybę mercedesa, przebiło przednie siedzenie, wyrwało mu w piersi dziurę jak królicza nora i wyszło tyłem, w sensie, że przez tylne siedzenie.

Drugiego... – Podszedł do biurka i pukał w zdjęcie Agenta. – Drugiego to samo auto rozjechało na miazgę. To znaczy, gdy szef zginął, jakiś jego przydupas dał gaz do dechy i wziął twojego kumpla na zderzak. A potem zawrócił, wysiadł i dobił go z glocka. Nie mamy broni ani kierowcy. Flinty na słonie też nie znaleźliśmy. Ani łusek, co stanowi problem, bo gdybyśmy je mieli, moglibyśmy porównać z twoimi i miałbyś alibi. Ale prawdziwy problem znaleźliśmy w domu obok miejsca zbrodni. To znaczy w miejscu, gdzie popełniono zbrodnię numer dwa. Powiedz mi teraz taką rzecz: skąd wziąć cyklon B?

– Że niby co!? – zdumiałem się.

– Cyklon B. Albo podobne świństwo. Gaz trujący, prawdopodobnie na bazie cyjanowodoru. Laboratorium jeszcze to bada.

Patrzył na mnie bardzo uważnie, jakby sondując rozmiary mojego zaskoczenia. A może to, co odmalowało się na jego twarzy, było wyrazem ulgi?

– Jeśli rozpylono gdzieś cyjanowodór, to będzie się w powietrzu unosił zapach migdałów, a na żelaznych przedmiotach i ceglach pozostaną niebieskawe plamy. I szukajcie miski z wodą. Bo zasadniczo Niemcy czasem używali go na sucho, po prostu sypiąc świństwo ludziom na głowy lub pod nogi, ale gaz łatwiej się wydziela, jeśli granulat rozpuści się w wodzie. Dlatego najczęściej uruchamiali prysznice, żeby w komorze zrobiło się mokro, a potem sypali granulat albo rozpuszczali go w wodzie i tłoczyli do pomieszczeń gotowy gaz.

– Plamy na ceglach? A na tynku nie?

– Cegła jest wypalana z glin żelazistych. Czerwoną barwę nadają jej tlenki żelaza. Jeśli ściana jest wilgotna i zasolona, wówczas atomy węgla grupy cyjankowej wchodzi w reakcję z żelazem i potasem, tworząc oktaedryczny anion heksacyjanożelazianowy.

Gapił się na mnie przez chwilę z bardzo dziwną miną, jakby nie bardzo rozumiał. A przecież w liceum to on miał piątki z chemii, podczas gdy ja jechałem na trójach.

– Oksy-cyno-żelazo... – spróbował powtórzyć, ale zaraz się poddał. – A co to znaczy po ludzku?

– Cyjanowodor reaguje z różnymi związkami żelaza i tam, gdzie rozbije ich wiązania chemiczne, powstaje sól żelaza barwy niebieskiej, tak zwany błękit pruski. Im wilgotniej w pomieszczeniu, tym łatwiej to idzie. Tak historycy i archeolodzy identyfikują pomieszczenia, które posłużyły kiedyś szkopom jako komory gazowe. Można też dzięki niemu identyfikować gruz z wysadzonych budynków i resztki instalacji służących do mordowania ludzi w ten sposób. To bardzo trwałe barwniki, utrzymuje się dziesiątki lat.

– Okej. Skąd to wziąć? Powiedz, czy twój koleś mógł znaleźć to na swoim śmietniku? Czy może w twojej szopie na podwórku? – podpuścił mnie.

Zadumałem się.

– No, w handlu to on raczej od dawna nie występuje. Po wojnie jakiś czas robiono to jeszcze w Czechosłowacji jako bardzo silny środek owadobójczy, ale bardzo źle się kojarzył. Nie wiem, skąd Agent Łubna go miał. Ludzie wyrzucają różne różności. A warszawskie strychy i piwnice kryją jeszcze niejedną niespodziankę – powiedziałem. – Nie wiem tylko, czy po tylu latach nadal by to zadziało. Substancje chemiczne się starzeją, utleniają, tracą właściwości. Zaraz... – Wyteżyłem pamięć. – Agent Łubna wspominał, że ma puszki z jakąś substancją, ale nie wie, czy po sześćdziesięciu latach będzie się jeszcze nadawała do użytku. To mogło być to! Jeśli puszki się nie rozszczelniły... – Zmarszczyłem czoło, usiłując wyobrazić sobie potencjalne reakcje chemiczne pomiędzy cyjanowodorem a występującymi w ziemi okrzemkowej kalcytem i krzemionką.

– Cholernie dobrze się na tym znasz, jak widzę – stwierdził Piotrek. – Powiedziałbym wręcz, że zbyt dobrze. Chcesz powiedzieć, że wszystko to wyczytałeś w książkach historycznych i nie masz nic wspólnego z atakiem przy użyciu trujących gazów?

– Nic.

– Na pewno? – Patrzył na mnie ostro i podejrzliwie.

– Nic.

– Ale i ty, i Agent Łubna podpadliście tym samym ludziom.

– Agent Łubna wspomniał, że warto by kropnąć Spalonego – powiedziałem wreszcie. – Nie brzmiało to poważnie i nie proponowałem, żebym mu w tym pomógł. Ale i tak bym odmówił. Nie dostarczyłem mu broni. Ani amunicji. Ani cyklonu B. Nie powiedziałem mu także, gdzie Spalony mieszka. Nie miałem nawet pojęcia. Domu, w którym nas przyjął, już nie ma.

– Taaa... Czyli jesteś czysty jak łąza.

– No jestem. – Wytrzymałem jego inkwizytorskie spojrzenie, choć szczerze powiedziawszy, irytowała mnie już mocno ta rozmowa.

– Wiesz, jak by to wyglądało w oczach prokuratora? Dwaj kolesie podpadają tym samym ludziom. Jeden ma nielegalną spluwę kalibru jak do polowań na tyranozaury. Drugi z takiej właśnie spluwy rozwała człowieka.

Prawdopodobieństwo, że w kraju są dwie takie armaty jest bliskie zera. Obaj kolesie grzebią się w historii, więc takie rzeczy, jak stare niemieckie puszki z granulatami śmiertelnie trującego gazu mogły im się do ręki przykleić.

Lista, nazwijmy to, zbiegów okoliczności jest jak stąd do więzienia na Białoleścu.

– Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego – odparłem.

– Może i tak. A nie mogłeś, ciulu, chociaż zadzwonić do mnie, że szykuje się taka afeta?

– Nie wyglądał na zdolnego do tego, by kogokolwiek zamordować – burknąłem. – Myślałem, że tak tylko rozważa to sobie teoretycznie. Pojęcia nie miałem, że planuje strzelaninę i atak gazowy. A swoją drogą tamtemu „mistrzowi” chyba się należało. Ale tak gazem ludzi truć jak jakiś Niemiec, to nieelegancko, fakt. – Skrzywiłem się.

– Wiesz, jak to było!? – prychnął. – Dostaliśmy doniesienie, że przed willą w Konstancinie była strzelanina. Jadę z ekipą, przed domem znajdujemy przestrelonego na wylot mersia ze sztywniakiem na siedzeniu pasażera

i drugim trupem pod kołami. Wchodzimy do domu, a tam jeszcze gorsza rzeźnia. Tyle dobrze, żeśmy poczuli, że coś jest nie tak z powietrzem, i nie pchaliśmy się w głąb. W życiu nie oglądałem podobnej jatki, a widziałem niejedno! No i teraz mam pół kostnicy trupów. Od czasów wojen gangów na początku lat dziewięćdziesiątych nie było czegoś takiego! W dodatku to nieomal sami „czyści”, nikomu nieznani, nigdy nienotowani. Tyle ustaliłem, że trzy czwarte z nich pracowało kiedyś jako śmieciarze.

– Śmieciarze – mruknąłem. – Czyli wszystko się zgadza.

– Gówno, a nie „się zgadza”! W tej sprawie w ogóle nic się nie klei. W dodatku willa, w której doszło do zbrodni, wyglądała wewnątrz jak muzeum.

– Jak muzeum? – zaciekałem się.

– Taaa... Znaleźliśmy na ścianie przy trupach na przykład obraz olejny Wyspiańskiego. Nasz spec go zidentyfikował. Zaginiony w czasie wojny, wyceniony przez rzeczoznawcę na dwa miliony złotych.

– Olejnych jest bardzo mało, bo Wyspiański był alergikiem i malował głównie pastele. – Pokiwałem w zadumie głową. – To znaczy na początku trochę eksperymentował z różnymi technikami, ale później w ogóle porzucił olejne farby. Faktycznie może być tyle wart, bo malowany inną techniką, od biedy i za czterysta tysięcy kupisz. Co z nim zrobicie?

– Nie wiem, ja się tym nie zajmuję. Został zabezpieczony, tak samo jak reszta fantów. Na razie pewnie trafi do magazynu, potem spadkobiercy jacyś się znajdą. Chyba że kradziony, to wtedy albo potomkowie właściciela się zgłoszą, albo jako mienie bezspadkowe pójdzie na skarb państwa i zawiśnie w jakimś muzeum. O ile da się z niego te niebieskie plamy wywabić, bo gaz przerobił go na dalmatyńczyka.

– Da się tę reakcję chemiczną odwrócić, ale to wymaga...

– A daj mi już spokój z tym naukowym bełkotem. Gdybym chciał zostać chemikiem, tobym inne uczelnie skończył. Powiedz mi teraz, po co on tam poszedł.

– No to chyba jasne, że poszedł ich pozabijać.

– A skąd wiedział, gdzie się zebrali i tak dalej?

– Nie wiem.

– Chyba ich załatwił podczas przygotowań do jakiejś transakcji, bo pod stołem były trzy walizki z kasą. Łącznie siedemset tysięcy! A w sejfach biżuteria antykwaryczna i złoto w sztabach. Bibeloty wszędzie poustawiane. Nawet jajko Fabergé mieli!

– Wielkanoc za kilka miesięcy dopiero – zauważyłem filozoficznie. – Zrobiłeś może zdjęcia? Chętnie bym rzucił okiem.

– Zamknij się, idioto! W każdym razie nie widziałem czegoś podobnego od śmierci twojego kumpla Waserwagera! Ale twój kolo, co gaz rozpylił, najwyraźniej niczego nie ukradł. Otruł ludzi, zadzwonił po ich szefa, zasadził się i kropnął w auto. Afera jak jasny piorun.

Pokiwałem filozoficznie głową.

– To teraz gadaj resztę tego, co wiesz.

– Nic nie wiem. Mam hipotezę...

– Dobrze i to. Wal.

– Moim zdaniem, było tak. Złapał z nimi kontakt i zaoferował im jakiś naprawdę ciekawy fant ze swojej kolekcji. Połknęli haczyk, zaprosili na spotkanie. Myślę, że planowali go stuknąć zaraz po transakcji, dlatego przyjęli go w domu, w którym mieli magazyn łupów. Ale jakoś ich przechytrzył. Może nie przyniósł fantu, ale na przykład zdjęcie. W każdym razie nie mogli go stuknąć od razu, za to zadzwonili po szefa. Żeby przyjechał i zdecydował, co dalej, albo żeby ocenił, czy gra jest warta świeczki. I zaraz potem poumierali od gazu, a zabójca wyszedł przed dom, wyciągnął flintę schowaną wcześniej w krzaku i pierdut w nadjeżdżające auto wodza klanu.

Mój kumpel przymknął oczy, jakby układając sobie w głowie moją teorię.

– Ewentualnie mogło tak być – przyznał. – Ale kasę mieli naszykowaną...

– Żeby uśpić jego czujność? – zaryzykowałem hipotezę. – Na ile znam życie, to obie strony grały i żadna nie zamierzała doprowadzić do finału transakcji.

– Co mógł im zaoferować?

Zamyśliłem się.

– Obrazy na śmietnik mogą trafić, ale na wysypisku to już raczej ich nie znajdziemy, śmieciara wszystko niemiłosiernie gniecie... Może jakaś rzeźba? Bibelot... Może naprawdę rzadka i ciekawa historycznie moneta? Na przykład nieznana nauce donatywa Zygmunta III Wazy? Pierścień z brylantem, który rodzina kogoś zmarłego uznała za odpustowe świedelko i wywaliła? Zdarzają się takie przypadki. Siedemset tysięcy to konkretna kwota. Nie mam pomysłu.

– I co mam napisać w raporcie? Nieznany motyw zabójstwa?

– Motywem były porachunki – odpowiedziałem.

– Porachunki ze śmieciarzami? Dobre sobie! Każdy, kto przeczyta taką bzdurę, dostanie kolki ze śmiechu. Za co można mieć porachunki z MPO? Że kubłów nie opróżnili? Że rabatkę śmieciarą rozjechali? Wódz dziadów z wysypiska walczący z tajną gildią buszujących w śmietnikach. To brzmi głupio nawet w luźnej rozmowie, a wiesz, jak by wyglądało na papierze?

– Fakt – przyznałem. – Nie wiem, jak ubierzesz to w słowa...

– Co tam mamy dalej? Przypuszczalny sprawca staranowany autem. Jego domniemany współnik – wskazał mnie gestem – ma żelazne alibi. A najbardziej mnie wkurza, że wiedziałeś, co się kroi. Wbij sobie do łba i wytłumacz kumplom świrom, że nikt wam nie dał prawa oceny cudzego postępowania i wydawania wyroków. Od tego jest policja, prokuratura i sądy, a nie banda dziwaków z flintami!

– Nie wiesz, co wpisać w raporcie? – Parsknąłem. – To teraz pomyśl, co by powiedział prokurator, gdybym przyszedł i powiedział, że w Warszawie od

czterystu lat istnieje tajna gildia ludzi grzebiących po śmietnikach? Jak by zareagował sąd na oskarżenie, że mojemu znajomkowi przy użyciu czarnej magii spalili dom i wywołali raka, a mnie jak na razie tylko rozpierniczyli fundament kamienicy? Nic mi nie mogło pomóc, nawet Grono Jarzębiny, a ty proponujesz policję... Agent Łubna poszedł i kropnął gościa, który siedział jak wielki, tłusty pająk na niewidzialnej lepkiej pajęczynie, oplatającej nasze miasto. Wytruł gazem jego przydupasów. Trochę oczyścił Warszawę. Potem sam zginął i cześć jego pamięci. – Stałem na baczność.

Piotrek milczał chyba przez pół minuty, a potem eksplodował.

– Jesteście psychiczni! Ty i twoi kumple! Całe to Grono Jarzębiny, Śmieciarze, Dom Czterech Liści, jacyś popierdoleni szermierze, buszujący nocami w Teatrze Wielkim, i reszta tej operetki. Jeszcze tylko jakichś cholernych nindźów do kompletu brakuje! I cała ta banda klaunów ni z gruchy, ni z pietruchy zaczęła się wyrzynać w moim mieście!

– To także moje miasto. Ja tam nikogo nie wyrzynałem – obraziłem się. – Grono trzyma się z dala od przemocy. Owszem, zachowujemy pewną dyskrecję, nie lubimy, gdy ktoś węszy wokół naszych spraw klubowych, ale nikogo nie zabiliśmy. Cenimy wiedzę fachową, obcujemy z ponadczasowym pięknem, z dziełami sztuki, staramy się kultywować etos przedwojennej inteligencji, a zarazem stanowimy swego rodzaju konserwatywną elitę.

– Elitę, która ma swoje elitarne sekrety... Byłbym zapomniał – parsknął Piotrek. – Już dawno chciałem zapytać. Ta wasza gazeta. „Kurier Warszawski”. Wyjaśnij mi ten idiotyzm. Po co komu nieistniejące pismo drukowane w tajemnicy? Co się tak gapisz? Policja wie wszystko.

– Ale...

– Przeczytałem cztery numery znalezione wtedy, gdy deweloper burzył tę rudę po piekarni przy ulicy Środkowej. Nie ma w nich nic nielegalnego czy choćby podejrzanego! Zwykłe wiadomości codzienne. Tak, twoje artykuły w tym piśmie też czytałem.

– Skąd wiesz, że pisałem tam artykuły? – nastroszyłem się.

– Bo podpisałeś się imieniem i nazwiskiem, bęcwale! I to też nic ciekawego. Po co drukujecie gazety w jakichś lochach tradycyjnym linotypem, zamiast przysłać do drukarni plik i rano odebrać gotowe, poskładane egzemplarze? I co jest warta gazeta, której nie można kupić w kiosku? Nakład pięćdziesiąt trzy sztuki. Jak rozumiem, elitarne pismo tylko dla wtajemniczonych. I tylko nie kumam, po co ta tajemnica!?

– A dlaczego zakładasz, że jak coś jest dla wtajemniczonych, to musi od razu być dziwne czy nielegalne? – prychnąłem. – Są ludzie, którzy mają poczucie misji. A od pewnego czasu ich poczucie misji jest dokładniej zaspokajane, bo Grono, za moją namową, też zaczęło ten tytuł prenumerować.

– I jeszcze może powiesz, że wy, wariaci, płacie tamtym wariatom przedwojennymi monetami?

– Tym płacimy – syknąłem, kładąc na blat srebrną dychę z Piłsudskim.

Uniósł ją do oczu, obrócił w palcach. Spostrzegł aktualną datę roczną poniżej orzełka. Zamrugał, przyjrzał się raz jeszcze.

– O kuźwa, wy jesteście jeszcze bardziej pomerdani, niż sądziłem... To już nawet bijecie własną walutę!?

– Na potrzeby opłacenia prenumeraty. Uspokoję cię od razu, że monety II RP nie są już prawnie chronione, nie podrabiamy przedwojennych roczników, tylko bijemy nowe. A wydawanie nieistniejącego już tytułu tradycyjnymi technikami poligraficznymi to jest hobby ludzi z zespołu redakcyjnego. Posiadanie hobby też jest legalne.

– Porypało was? Po co?!

Głupie i niepotrzebne pytanie. I jak na nie odpowiedzieć? Ja sam nie wiedziałem, po co. Bo tak trzeba? Bo mamy taką możliwość? Bo żal maszyn stojących bezużytecznie? Bo szkoda byłoby zaprzepaścić taką tradycję?

– Powiedzmy, że robimy to, bo jesteśmy psychiczni, będzie ci łatwiej to ogarnąć – westchnąłem. – A może to świat zwariował? Mam ostatnio wrażenie, że otaczająca nas rzeczywistość trzeszczy, pojawiają się rysy... Ale

wierzę w moje gwiazdy, w przeznaczenie. Agent Łubna, jak mi się wydaje, miał takie stadium nowotworu, że już nie było ratunku, a może po prostu stracił poczucie sensu życia i tym samym nie wierzył, że się jeszcze wygrzebie. Albo zdecydował się poświęcić dla sprawy ważniejszej. Zróbcie sekcję, to się dowiecie.

– Zrobili... Ale nie mam wyników.

– Może nawet ja nie ogarniam znaczenia tego, co się stało? – rozważałem dalej. – Wierzę, że postąpił słusznie. Jak Jan Kryst. Słyszałeś o nim? Był śmiertelnie chory na gruźlicę, nie chciał umierać bez pożytku, więc po konsultacjach z kierownictwem AK przeprowadził samotny atak na kawiarnię pełną gestapowców.

– Też mi porównanie – prychnął. – Wojna skończyła się siedemdziesiąt lat temu!

– Tamta wojna...

– A fakt, przeeeepraszam. Dla was II RP trwa nadal. – Puknął palcem monetę.

Przypomniały mi się rozmowy z Tytusem. Odniosłem wrażenie, że ja i Piotrek osiągnęliśmy podobny poziom wzajemnego niedogadania. Po prostu nadawaliśmy na innych falach. Co innego było dla nas ważne, inne wartości kształtowały nasze charaktery. Przyjaźń pozwalała nam przerzucać mosty nad przepaściami niezrozumienia, ale nie do końca.

– Fakt, że nie jesteśmy bezpośrednio okupowani, nie oznacza, że zdrajcy, dranie i łajdacy wymarli – powiedziałem po chwili milczenia. – Dla ciebie to zabójstwo. Nie neguję, w kodeksie karnym tak to jest zdefiniowane. „Kto zabija człowieka...” Ale dla mnie pozbycie się tej mafii stanowi raczej coś jakby niezbędną dezynsekcję i deratyzację. To byli podli ludzie, a teraz ich nie ma. Gdyby jeszcze ktoś był tak miły i skasował Dom Czterech Liści...

– Dezynsekcja, powiadasz? A co zrobisz, gdy jakiś palant to ciebie uzna za karalucha? Jak nie masz, kretynie, nic więcej do powiedzenia, podpisz tu, gdzie wykropkowane, i wypierdalaj mi z oczu, bo zaraz wyjdę z siebie!

A swoją flintę na słonie zakop w ogrodzie razem z kolekcją łusek i zapomnij chwilowo, że miałeś coś takiego. Byle nie w swoim ogrodzie zakop, bo tam, jakby co, będziemy musieli jej szukać!

*

Dowlokłem się do domu. Po przesłuchaniu czułem się źle. Faktycznie, gruba sprawa. I gdybym trafił na innego glinę, to pewnie teraz siedziałbym w areszcie. I niewykluczone, że z zarzutem o współudział. Dobrze, że miałem mocne alibi, bo niechcący wkopałem się po uszy, a przecież nie zrobiłem nic złego.

– Czemu to tak? – westchnąłem.

Szczerze powiedziawszy, na myśl o tym, co zrobił Agent Łubna, chciało mi się rzygać. Rozumiałbym, gdyby ich wystrzelał, wysadził w powietrze, podpalił kwaterę. Ale gazem? Ohyda. Wprawdzie w rozmowie z kumplem sam użyłem słowa dezynsekcja, ale mimo wszystko byli to ludzie, a nie karaluchy.

Zabić to zabić. Czasem po prostu trzeba. Ale takimi metodami!? Jakby w pewien sposób zbrukał pamięć milionów ofiar obozów koncentracyjnych, rozważałem.

Zatrzymałem się przed bramą. Szklane płytki znaczników na elewacji były strzaskane. Nie wszystkie wprawdzie, ale sześć umiejscowionych obok siebie. Szczelina musiała się poszerzyć. Zagryzłem wargi. Nie ma już ratunku. Dom runie. I do pewnego stopnia jest to moja wina. Nie zachowałem ostrożności, nadepnałem na odcisk ludziom, których powinienem omijać szerokim łukiem. Wprawdzie pozbyłem się

przedmiotów, które prawdopodobnie narobiły problemów, a klątwa teoretycznie powinna wygasnąć, ale zapewne jest już po prostu za późno. Na remont nie mamy pieniędzy. Miesiąc temu była szansa szmalcowego interesu na monetach z łódzkiego getta. Pryśła jak mydlana bańka... Jestem goły i wesoły. A niebawem stracę dach nad głową. Cała ekspertyza wujaszka była zbędna. Wywaliłem tylko w błoto kupę kasy, która do niczego się nie przyda. Nie mam przecież pieniędzy na remont.

– Uwierzyć własnym gwiazdom – burknąłem pod nosem, cytując własne słowa. I to podobno mnie sprzyja szczęście... Akurat jak by się przydało, to kicha. Czy za dużo żądam od losu? Chcę mieszkać po ludzku, chcę mieć kilka metrów kwadratowych ekstra, żeby pomieścić kolekcję, pokoik na biblioteczkę, warsztacik. Małe podwórko z szopą na rower, drzewem i ławeczką... A za ścianą porządnym ludzi za sąsiadów. Czy to tak wiele?

Wszedłem do sieni, popatrzyłem na bruk z kocich łbów, położony przed stu dwudziestu laty. Pochyliłem się i dotknąłem wygładzonej powierzchni granitu. Ileż razy były weń kopyta koni, ile różnego rodzaju kół przetoczyło się po tych kamieniach. Ilu ludzi mieszkało tu przede mną. Ile historii widziały te ściany. A po mnie? Po mnie nie będzie już niczego. Przyjedzie buldożer, zrówna wszystko z ziemią, postawi kolejny paskudny betonowy klocek. Ohydna plomba na dwadzieścia mieszkań. Drogich mieszkań dla nuworyszy, którzy przybyli do Warszawy znikąd, którzy nie rozumieją tego miasta, mają gdzieś jego przeszłość... Dla dorobkiewiczów, traktujących stolicę tylko jak teren do złupienia, nachapania się.

Dla takich, którzy zdobywają wielką forszę, depcząc i niszcząc innych.

Wiedziałem, co będzie dalej. Na parterze urządzi klub fitness dla bogatych idiotek i sklep sieciowy, pięćsetny w tej okolicy. Pod domem i podwórzem wyryją dziurę na podziemny parking. Unicestwią przy okazji moją piwnicę, zetną moje drzewo, rozpieprzą moją szopę. Co można uratować, zachować

dla kolejnych pokoleń? Żeliwne odbijacze w kształcie krasnali pilnujące rogów bramy? Jeśli dom pójdzie na zatracenie, wyrwę je i zabiorę. I bruk wykopię, ułożę z tych kamieni dróżkę w ogrodzie rodziców. Zdejmę z muru na podwórku kapliczkę powieszoną tu we wrześniu 1939. Reszta – na zatracenie. W bezsilnej złości uderzyłem dłonią w mur.

Coś białało w skrzynce na listy. Wygrzebałem z kieszeni klucze i wyjąłem grubą kopertę bąbelkową. Na wierzchu ktoś napisał markerem: Robert Storm. Nadawca nie podpisał się. Dostałem w życiu sporo anonimów. Na szczęście tylko raz trafił się papier zakażony świerzbem. Zważyłem przesyłkę w dłoni. Ze sto gramów miała. Bomba? E, raczej nie. Spojrzałem pod światło. Wewnątrz coś było. Rozciąłem ostrożnie papier i wyjąłem kartkę. Nie znałem tego charakteru pisma, ale już z pierwszych słów domyśliłem się nadawcy.

Robercie!

Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że wszystko poszło zgodnie z planem, czyli natłukłem tych wszy ile wlezie, a sam przeniosłem się do lepszego świata. Mam tylko nadzieję, że niczego nie zaniedbałem i tak zatrzasnąłem pułapkę, by pociągnąć za sobą tamto ścierwo – Spalonego.

Szczerze powiedziawszy, chciałem już sobie odpuścić, ale spotkanie z Tobą uświadomiło mi, że gdy ja odejdę, oni zostaną. Że będziesz następny na ich liście i bynajmniej nie ostatni. W dodatku chciałeś walczyć, nie mając do tego ani środków, ani predyspozycji. Nie chcę prawić Ci morałów, ale zapamiętaj radę starszego kolegi. Nie jest łatwo iść i zabić człowieka. A już szczególnie trudno żyć potem ze świadomością tego, co się zrobiło, nawet jeśli był to czyn popełniony w imię tak zwanych wyższych wartości. W każdym razie nie chciałem, aby obciążało to Twoje sumienie ani – co znacznie bardziej prawdopodobne – byś marnie zginął, próbując coś zrobić. Nie sądzę, żeby udało mi się wypalić ten wrzód do końca, ale może choć trochę zdołałem ich osłabić.

Wspomniałeś, że masz problem z remontem. W woreczku znajdziesz

ceremonialną pieczęć królewską Jana III Sobieskiego. Niestety, nie jest kompletna, uchwytu ani rączki nie znalazłem, to tylko tłok rzeźbiony w karneolu. To najcenniejszy eksponat, jaki znalazłem na Łubnej przez te wszystkie lata grzebania w śmieciach. Osiem lat temu eksperci muzeum w Wilanowie potwierdzili jej autentyczność i zaoferowali pół miliona złotych. Mają przyjaciół i mecenasów gotowych sfinansować taki zakup. Sprzedaj albo zachowaj jako pamiątkę. Jeśli sprzedasz, nie wiem, czy jest sens, byś próbował ratować swoją kamienicę. Jeśli mistrz Igor nie żyje, to być może klątwa wygasła. A może nie. Nie znam się na tym kompletnie. Zrób, co rozum dyktuje, i tyle.

Bywaj, A.Ł.

Wyjąłem z koperty zasznutowany rzemykiem aksamitny woreczek. Rozsupłałem węzeł. Wewnątrz krył się gruby krążek czerwonego półprzejrystego kamienia. Poczułem, jak wokoło ugina się czasoprzestrzeń. Tyle burz dziejowych przetoczyło się przez naszą ojczyznę. Tak niewiele królewskich regaliów przetrwało do naszych czasów. A to ocalało. Dłuższą chwilę podziwiałem grawerowany głęboko rysunek. Herby, napisy, bordiura... Jak ci ludzie potrafili tak ciąć twardą powierzchnię bez frezów szybkoobrotowych i obrabiarek sterowanych komputerowo? Jakimi drogami wędrowała ta pieczęć przez ocean czasu, by spocząć na moim brzegu? Przez jakie ręce przeszła, zanim ostatecznie wylądowała na wielkim wysypisku śmieci? Tyle fascynujących pytań bez odpowiedzi... Może uda mi się znaleźć jakiś trop w książkach wydanych w ubiegłych stuleciach? W opracowaniach naukowych, w pamiętnikach, wspomnieniach? Może ktoś to widział, opisał?

Taki przedmiot znajduje się raz w życiu, pomyślałem. Najcenniejszy obiekt

jego kolekcji. Unikalny. Wyprzedał stopniowo całe zbiory, ale to zostawił na koniec. Może to miało stanowić jego zabezpieczenie emerytalne? Ale gdy przekonał się, że już po nim, zamiast spieniężyć i wydać forszę na kolejne terapie, przekazał to mnie. A wcześniej pewnie zaoferował Śmieciarzom na przynętę. By zebrać ich do kupy, by wywabić ich wodza z kryjówki... Jeden niewielki fant wart setki tysięcy złotych.

Nie miałem dowodów, ale po prostu czułem, że tak właśnie było.

Różniliśmy się w zbyt wielu kwestiach. Między nami były też przepaści światopoglądowe, a brakło czegoś, co pomogłoby przerzucić nad nimi mosty porozumienia. Nie byliśmy przyjaciółmi. W zasadzie nie byliśmy nawet znajomymi. Miał inny niż ja próg wrażliwości. A jednak wyczuł we mnie wspólnotę dusz. Coś, co sprawiło, że zamykając swoje ziemskie sprawy, nie tylko postanowił mnie uratować przed Śmieciarzami, ale na dodatek zdecydował się, ot tak, przekazać mi cenny artefakt. Może i żył z grzebania na wysypisku, ale schodząc ze sceny życia, pokazał klasę.

I co dalej? Zachować ten zabytek dla siebie? Nie. Pieczęć jest zbyt ważna. To swego rodzaju dobro wspólne, które powinno należeć do całego naszego narodu. Taką rzecz należałoby umieścić w pancерnej gablocie w muzeum, by cieszyła oczy wielu ludzi. U mnie, zamknięta w sejfie, tylko pokryje się kurzem. Powinna trafić w ręce fachowców, historyków i sfragistyków. Pobudzić umysły uczonych do dociekań. Wydać owoc w postaci publikacji naukowych. Tylko teraz pytanie: sprzedać czy oddać w depozyt? Druga taka okazja nie trafi się nigdy.

Rozejrzałem się po klatce schodowej. Tu także długie pęknięcie przecinało tynk. Wedle ekspertyzy wujaszka budynek był jeszcze do uratowania, ale każdy tydzień zwłoki zmniejszał szanse. Dom... To ja ocaliłem go przed laty i to właśnie ja ściągnąłem na niego kolejne zagrożenie. Teraz znów los kamienicy spoczął w moich rękach. Jeśli sprzedam pieczęć, zdołam odmienić go po raz drugi. Kasa to tylko kasa. Raz jest, raz jej nie ma. Jak mówi przysłowie, pieniądź jest okrągły i jeszcze się do wyciągniętej ręki potoczy. Czyli pieczęć trzeba sprzedać. Żal będzie się z nią rozstać, ale życie wymusza na człowieku pewne decyzje. A przecież dobrze by było jeszcze mieć okazję posiedzieć pod drzewem na podwórku i zagrać w szachy. Dobrze by było otworzyć okno i podsłuchiwać, jak sąsiad lutnik wypróbowuje nowy

instrument. Dobrze by było mieć bezpieczną enklawę, kawałek własnego świata, niczym liść tańczący na fali wzburzonej rzeki ścieków...

– Ten liść może kiedyś zatonić – szepnąłem. – Ale nie tym razem. Dom przetrwa. Przyjdą jeszcze po mnie inni ludzie, którzy zamieszkają w tych murach. Moje dzieci, wnuki, prawnuki. Bo to jest mój dom i moje miasto. Na zawsze.

Spojrzałem na zegarek. O tej porze w muzeum już nikogo nie zastanę. Trzeba będzie jechać do nich jutro z samego rana. Najpierw chyba zawiozę tylko fotografie i zorientuję się, czy ich propozycja jest aktualna. Byli zainteresowani wtedy, nie jest powiedziane, że obecnie dysponują budżetem na taki zakup. Ano nic, sprawdzimy.

Ale wcześniej, za radą przyjaciela, zakopię moją flintę na słońce w ogrodzie.

W cudzym ogrodzie.